

Najlepszy autor kryminałów we Francji

# MICHEL BUSSI

2,5 miliona sprzedanych egzemplarzy

## Nigdy nie zapomnieć

Świat Książki

## Spis treści

Karta tytułowa Karta redakcyjna Pięć miesięcy wcześniej, 19 lutego 2014 roku I. Dochodzenie 1. Dziennik Jamala Salaoui 2. Ufać mi do końca? 3. Zapomnieć o bólu? 4. Jak to możliwe? 5. Kto by mi uwierzył? 6. Czy spotkałem gwałciciela? 7. Udużona czerwonym kaszmirowym szalikiem Burberry? 8. Chyba pan nie uwierzy? 9. Nie ma dymu bez ognia? 10. Do wieczora? 11. Myślisz, że się z nią zobaczysz? 12. Dlaczego ja? 13. W rękach swojego kata? 14. Znowu zaatakuję? 15. Najzwyklejsza dziewczyna? 16. Jeszcze jeden zbieg okoliczności? 17. Los się odwrócił? II. Aresztowanie 18. Jak długo jeszcze? 19. Zapach nieznajomego? 20. Koszmar? 21. Czy znalazł coś? 22. Dwojakię znaczenie? 23. Jego nazwisko i adres? 24. Ona trochę traci głowę? 25. Coś nie tak? 26. Na co czekać? Żeby zgwałcił kolejną dziewczynę? 27. Kim pan jest? 28. Porozmawiać z kimś, kto by zechciał mi uwierzyć? 29. Tak jakby nigdy nie istniała? 30. Współpraca – wzajemność – wybaczenie? 31. Rozdrapywanie najgłębszych ran? 32. Znalazłaś coś? 33. Zmarła i jej duch? 34. W innym życiu? 35. Coś się nie zgadzało? 36. Czy tak się rodzi popęd? III. Sąd 37. Nadzieja, że się obudzę? 38. Prawdziwa historia? 39. Ładny casting, prawda? 40. Włącz się do ich gry? 41. Nikt o tym nie wie? 42. Jedno z was? 43. Ukartowany spisek, do cholery? 44. Spotkał wielką miłość? 45. Najlepsze przede mną? IV. Egzekucja 46. Czy wygrałem? V. Rewizja 18 dni później, 31 sierpnia 2014 roku

MICHEL  
**BUSSI**

**Nigdy  
nie zapomnieć**

Z francuskiego przełożyła  
**Maria Braunstein**

  
Świat Książki  
wydawnictwo

Tytuł oryginału  
*N'oublier jamais*

Wydawca  
*Grażyna Woźniak*  
*Agnieszka Koszałka*

Redaktor prowadzący  
*Tomasz Jendryczko*

Redakcja  
*Maja Lipowska-Wiktorowska*

Korekta  
*Ewa Grabowska*  
*Jadwiga Piller*

Copyright © Presses de la Cité, un département de Place des Editeurs, 2014  
Copyright © for the Polish translation by Maria Braunstein, 2016

Świat Książki  
Warszawa 2016

Świat Książki Sp. z o.o.  
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)

Łamanie  
*Piotr Trzebiecki*

Dystrybucja  
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. j.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
e-mail: [hurt@olesiejuk.pl](mailto:hurt@olesiejuk.pl) tel. 22 733 50 10  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

ISBN 978-83-8031-446-7

Skład wersji elektronicznej  
pan@drewnianyrower.com

Arturowi... na osiemnaste urodziny. Jutro!

Spotykasz na skraju klifu ładną dziewczynę?  
Nie wyciągaj do niej ręki!  
Mogliby pomyśleć, że ją zepchnąłeś.

*Żandarmeria Narodowa, Brygada Terytorialna okręgu Etretat, Seine-Maritime, 13 lipca 2014.*

*Od: pana porucznika Bertranda Donnadiou*

*Do: pana dyrektora Gérarda Calmette*

*Pan Gérard Calmette, dyrektor jednostki Żandarmerii do spraw Identyfikacji Ofiar Katastrof (UGIVC), Instytut Badań Kryminalnych Żandarmerii Narodowej (IRCGN)*

*Rosny-sous-Bois*

*Panie Dyrektorze!*

W nocy 12 lipca 2014 roku około 2.45 powyżej miejsca zwanego Valleuse d'Etigues, trzy kilometry na zachód od gminy Yport, urwała się ściana klifu wielkości około 45 tysięcy metrów kwadratowych. Ten rodzaj osunięcia się skały nie jest rzadkością na naszym wybrzeżu. Ratownicy, którzy przybyli na miejsce zaledwie godzinę później, zdołali ustalić, że ten wypadek na pewno nie pociągnął za sobą żadnej ofiary.

Jednak o ile w zwalisku nie znaleziono żadnego ciała, to ratownicy – i to jest przedmiotem niniejszego pisma – dokonali dziwnego odkrycia. Na plaży między blokami skalnymi leżały porozrzucane kości trzech szkieletów.

Posiłki żandarmerii przybyłe pośpiesznie na miejsce nie znalazły w pobliżu tych szczątków żadnej odzieży ani żadnych innych rzeczy osobistych, które by pozwoliły na identyfikację. Można wysunąć hipotezę, że byli to speleolodzy uwięzieni w klifie, ponieważ krasowa rzeźba terenu tych kredowych wybrzeży jest rejonem często uczęszczanym przez amatorów podziemnych wycieczek. Jednak w ciągu ostatnich miesięcy, a nawet lat, nie sygnalizowano nam zaginięcia speleologów. Być może te szkielety są jeszcze starsze, ale nie wygląda na to, o ile można wnioskować ze wstępnej analizy, bez użycia odpowiedniego sprzętu.

Chciałbym od razu zaznaczyć, że podczas zawalenia się skały kości zostały rozrzucone na plaży na powierzchni około czterdziestu metrów. Departamentalna Brygada Informacji i Dochodzeń Sądowych z jej pełnomocnikiem pułkownikiem Bredinem przystąpiła do pomiaru różnych części szkieletów. Ich pierwsza analiza potwierdza naszą: wydaje się, że nie wszystkie kości osiągnęły ten sam stopień rozkładu, tak jakby poszczególne osoby poniosły śmierć we wnętrzu skały w różnym czasie, zapewne w kilkuletnich odstępach. Przyczyna ich zgonu również nie jest nam znana: powierzchniowe oględziny kości i czaszek nie ujawniają żadnych ciosów, które mogłyby spowodować ich śmierć. Nie mając najmniejszej



wskazówki ani punktu wyjścia, żeby ukierunkować śledztwo, nie możemy podjąć jakiegokolwiek tropu identyfikacji *ante* czy *post mortem*. Pytania pozostają więc otwarte: kim są te trzy osoby? Kiedy nastąpiła ich śmierć? Co było przyczyną ich zgonu?

Jest rzeczą oczywistą, że to odkrycie bardzo pobudza ciekawość mieszkańców regionu dotkniętego już przecież w ostatnich miesiącach makabryczną sprawą, niemającą jednak, jak się zdaje, związku ze znalezieniem tych trzech nieznanymi zwłok.

Dlatego więc, Panie Dyrektorze, choć zdaję sobie sprawę z ogromu pilniejszych spraw, którymi musi się Pan zajmować, i z cierpienia rodzin czekających na formalną identyfikację swoich bliskich, którzy ponieśli śmierć w ostatnim czasie, pozwalam sobie zwrócić się do Pana, żeby pańskie służby mogły, w trybie wyjątkowym, potraktować to *dossier* w sposób priorytetowy, aby z największą starannością przeprowadzić identyfikację tych trzech szkieletów.

Proszę przyjąć, Panie Dyrektorze, wyrazy najgłębszego poważania  
Porucznik Bertrand Donnadiou,

Brygada Terytorialna Okręgu Etretat

**Pięć miesięcy wcześniej,  
19 lutego 2014 roku**

– Uważaj, Jamal, trawa na skale będzie śliska.

André Jozwiak, szef La Sirène, natychmiast pożałował, że wypowiedział te dobre rady zachowania ostrożności. Włożył trencz i stał przed drzwiami swojego hotelu-restauracji. Rtęć w termometrze wiszącym nad menu z trudem przekraczała niebieską kreskę zera. Prawie bezwietrznie. Wiatrowskaz przymocowany do jednej z belek fasady, żaglowiec z kutego żelaza, zdawał się nieruchomy, jakby zamarł w nocy.

André Jozwiak obserwował, jak na wprost niego na plaży wstaje dzień, patrzył też na cienką warstwę lodu na samochodach zaparkowanych przed kasynem, kamyki otoczaki ściśnięte jeden przy drugim jak drżące z zimna jaja porzucone przez olbrzymiego drapieżnego ptaka, słońce ledwie rozbudzone, które z trudem wznosiło się nad morzem za martwym klifem w Pikardii, sto kilometrów na wschód.

Jamal oddalał się drobnymi krokami. André widział go, gdy przechodził koło kasyna i zaczął się wspinać ulicą Jean-Hélie. Hotelarz chuchnął w ręce, żeby je rozgrzać. Trzeba było podać śniadanie tym nielicznym gościom, którzy spędzali zimowe wakacje nad kanałem La Manche. Początkowo uważał za dziwne, że ten młody niepełnosprawny Arab codziennie rano biega ścieżką turystyczną, mając jedną nogę umięśnioną, a drugą zakończoną przyśrubowaną stopą z włókna węglowego w trampku. Teraz ogarniała go prawdziwa czułość wobec tego chłopca. Kiedy nie miał jeszcze trzydziestki, będąc w wieku Jamala, w każdą niedzielę rano André zasuwiał ponad sto kilometrów na rowerze na trasie Yport–Yvetot–Yport i przez trzy godziny nikt mu nie zawracał głowy. W gruncie rzeczy rozumiał więc, że ten chłopak z Paryża i jego sztuczna gira mają ochotę pocić się w wiszących dolinach, jak tylko robi się widno.

Dyskretny cień Jamala znowu ukazał się w narożniku schodów prowadzących pod górę ku klifom i natychmiast zniknął za pojemnikami na śmieci kasyna. Szef La Sirène zrobił krok naprzód i zapalił winstona. Nie był jedynym już na nogach mieszkańcem Yport, nie zważając na zimno, w oddali na mokrym piasku odcinały się dwie sylwetki. Stara kobieta trzymała na niekończącej się smyczy śmiesznego pieska, coś w rodzaju zdalnie sterowanego modelu na baterie, małego zarozumialca, który urągał mewom, histerycznie je obszczekując i skowycząc. Dwieście metrów dalej dość wysoki facet z rękami wciśniętymi w brązową skórzaną kurtkę, trochę sfatygowaną, stał tuż nad wodą, posyłając

pogardliwe spojrzenia falom, tak jakby miał wziąć odwet na horyzoncie.

André wypluł niedopałek i wrócił do hotelu. Wolał nie spotkać nikogo, bo był nieogolony, źle ubrany, rozczochrany, niczym prehistoryczny człowiek wychodzący ze swojej grotty, którą pani z Cro-Magnon opuściła już wieki temu.

Jamal Salaoui wspinał się z regularnością taktomierza na najwyższy klif w Europie. Sto dwadzieścia metrów. Droga za ostatnimi willami przechodziła w szlak turystyczny. Rozciągała się stąd panorama aż do Etretat, dziewięć kilometrów dalej. Jamal zauważył dwie sylwetki odcinające się na końcu plaży, staruszkę z pieskiem i faceta wpatzonego w otchłań morską. Trzy mewy, może wystraszone psim ujadaniem, zerwały się z klifu i zagroziły mu drogę, po czym pofrunęły dziesięć metrów nad nim.

Pierwszą rzeczą, jaką po tablicy z nazwą campingu Le Rivage zobaczył Jamal, był czerwony szalik. Wisiał na ogrodzeniu, ostrzegając przed niebezpieczeństwem. To była pierwsza myśl Jamala.

Niebezpieczeństwo.

Zapowiedź osuwiska, powodzi, martwego zwierzęcia.

Potem natychmiast odrzucił tę myśl. To po prostu szalik wiszący na drucie kolczastym, zgubiony przez spacerowicza i porwany przez wiatr od morza.

Zastanawiał się, czy nie przerwać rytmu swoich kroków, czy wykręcić szyję, żeby poobserwować ten kawałek materiału, który zwisał, mało brakowało nawet, żeby poszedł dalej, prosto przed siebie. Wtedy wszystko byłoby tak inne, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Ale Jamal zwolnił, potem się zatrzymał.

Szalik wyglądał jak nowy. Błyszczał ostrą czerwienią. Jamal dotknął go, wczytał się w metkę.

Kaszmir. Burberry... Ten kawałek materiału wart był niezłą fortunę! Jamal, odczepiając delikatnie szalik z drutu ogrodzenia, pomyślał, że zaraz zanieśe go do La Sirène. André Jozwiak znał w Yport wszystkich, będzie wiedział, czy ktoś go zgubił. Jak nie, to Jamal go zatrzyma dla siebie. Poglądził tkaninę, nie przestając biec. Kiedy wrócił do domu, na osiedle 4000, nie był pewny, czy go doniósł. Kaszmir za pięćset euro, wystarczy, żeby stracić głowę!!! Ale na pewno znajdzie w swojej dzielnicy miłą dziewczynę, która chętnie owinie sobie nim szyję.

Koło schronu, po prawej stronie, z dziesięć baranów odwróciło głowy w jego stronę. Czekwały, żeby trawa odmarzła, z takim samym lobotomicznym spojrzeniem, jakim kolesie debile z jego pracy w południe wpatrują się w mikrofalówkę.

Tuż za schronem Jamal zobaczył dziewczynę. Natychmiast oszacował odległość między nią a klifem. Niecały metr! Dziewczyna stała na brzegu pionowej stromej skały wysokości przeszło stu metrów! Wpadł w przerażenie. Włączył do podświadomości inne parametry, lekkie nachylenie nad otchłanią, oszroniona trawa: ta dziewczyna, wspinając się tam, ryzykowała o wiele więcej, niż gdyby

stanęła na parapecie najwyższego okna trzydziestopiętrowego wieżowca.

– Proszę pani, wszystko w porządku?

Kilka słów Jamala pofrunęło w ziąb. Bez odpowiedzi.

Jamal był jeszcze w odległości stu pięćdziesięciu metrów od dziewczyny.

Mimo dojmującego zimna miała na sobie tylko obszerną czerwoną sukienkę rozdartą na dwa strzępy, z których jeden powiewał na jej brzuchu, potem na udach, a drugi rozchyłał się od szyi do piersi, odsłaniając miseczkę biustonosza koloru fuksji.

Dziewczyna drżała z zimna.

Piękna. Jednak w danej chwili Jamal nie dostrzegł w tym obrazie erotyzmu. Zadziwiająca, wzruszająca, niepokojąca, ale nic, co by mogło wzbudzać pociąg seksualny. Kiedy później myślał o tym, zastanawiając się nad sytuacją, najlepsze porównanie, jakie przyszło mu do głowy, to było rozszarpane dzieło sztuki. Świętokradztwo, profanacja, niewybaczalna pogarda dla piękna.

– Wszystko w porządku, proszę pani? – powtórzył.

Odwróciła się do niego. Podszedł trochę bliżej.

Wysokie trawy sięgały aż do połowy łydki, więc przyszło mu na myśl, że dziewczyna może nie zauważyła protezy na jego lewej nodze. Stał teraz naprzeciwko niej. Dziesięć metrów. Dziewczyna zbliżyła się jeszcze bardziej do przepaści, za plecami miała pustkę.

Bardzo płakała, ale wydawało się, że źródło zdążyło wyschnąć. Makijaż wokół oczu się rozmazał, ale był już suchy. Jamal z trudem usiłował uporządkować sprzeczne ze sobą znaki, które kłębiły mu się w głowie.

Niebezpieczeństwo.

Nagłość sytuacji.

Przede wszystkim emocja. Emocja, która go opanowywała. Nigdy nie widział tak pięknej kobiety. Jego pamięć uwieczniła na zawsze doskonały, idealny owal twarzy, którą miał przed sobą, jakby zaokrąglony przez dwie pieszczotliwie opadające kaskady czarnych jak węgiel włosów, dwoje oczu jak węgliki osadzone w śnieżnej skórze, zarys brwi i ust, delikatny i żywy, jak trzy ostre kreski narysowane palcem maczanym we krwi i w sadzy. Następnie spróbował ocenić, czy zaskoczenie miało wpływ na jego osąd, również sytuacja, strapienie tej nieznanym, konieczność pochwycenia jej ręki, brak odpowiedzi.

– Proszę pani...

Jamal wyciągnął rękę.

– Proszę się nie zbliżać – powiedziała dziewczyna.

Raczej prośba niż rozkaz. Ciemne oczy wydawały się definitywnie zgaszone w węglowych tęczęwkach.

– Dobrze – wymamrotał Jamal. – Dobrze. Pani też niech się nie rusza, mamy dużo czasu.

Spojrzenie Jamala prześliznęło się po bezwstydnym sukience. Wyobraził sobie, że dziewczyna wychodzi z kasyna, sto metrów niżej. Wieczorem zamieniali salę widowiskową Sea View w dyskotekę.

Wyjście do lokalu, które się źle skończyło? Dziewczyna, wysoka, delikatna, seksy, miała warunki, by wzbudzać pożądanie. Nocne lokale pełne były facetów, którzy przychodzili tylko po to, by ujarzmić bombę wieczoru.

Jamal przemówił najspokojniej jak mógł.

– Podejdę powoli i podam pani rękę.

Dziewczyna po raz pierwszy spuściła wzrok i zatrzymała go przez chwilę na protezie z włókna węglowego. Nie mogła powstrzymać odruchu zdziwienia, nad którym prawie natychmiast zapanowała.

– Jeśli zrobi pan najmniejszy krok, skoczę...

– Dobrze, dobrze, nie ruszam się...

Jamal zamienił się w posąg, wstrzymując nawet oddech. Tylko oczy mu biegały, od tej dziewczyny, która wychyłała znikąd dziesięć kroków przed nim, do pomarańczowego świtu na horyzoncie. Podochoceni faceci, którzy napawają wzrok, śledząc każdy ruch bioder królowej parkietu, pomyślał znowu Jamal. A wśród nich przynajmniej jeden chory, a może kilku, wystarczająco, na tyle zuchwałych i bezwstydnym, by czyhać na dziewczynę przy wyjściu. Przyprzeć ją do muru. Zgwałcić.

– Czy... czy ktoś panią skrzywdził?

Węglowe kule zalały się lodowymi łzami.

– Nie może pan zrozumieć. Niech pan idzie swoją drogą. Proszę odejść! Szybko.

*Jakaś myśl...*

Jamal oplótł rękami szyję. Powoli. Jednak nie dość wolno. Dziewczyna cofnęła się raptem, prawie stawiając jedną stopę w pustkę.

Jamal zamarł. Ta dziewczyna to spłoszony wróbel, którego można złapać w rękę. Ptak, który wypadł z gniazda, niezdolny do fruwania.

– Nie będę się ruszał. Rzucę tylko pani mój szalik. Będę trzymał jeden koniec. Niech pani po prostu złapie drugi. Zdecyduje pani, czy go puścić, czy nie.

Dziewczyna się zawahała, znowu zaskoczona. Jamal wykorzystał to, żeby rzucić kawał czerwonego kaszmiru. Dwa metry dzieliły go od młodej samobójczynie.

Tkanina upadła jej pod nogi.

Nachyliła się ostrożnie, wiedziona śmiechu wartym wstydem, naciągnęła strzęp sukni na odsłoniętą pierś, potem wstała, chwytając szal oferowany przez Jamala.

– Spokojnie – powiedział Jamal. – Będę ciągnął szalik, nawijając go sobie na rękę. Niech się pani da przyciągnąć do mnie, dwa metry, tylko dwa metry dalej od

czeluści.

Dziewczyna ścisnęła mocniej tkaninę.

Jamal zrozumiał, że wygrał, że wykonał właściwy gest, rzucając ten szal, tak jak marynarz rzuca koło ratunkowe topielcowi, teraz trzeba poprowadzić ją łagodnie po powierzchni, centymetr po centymetrze z niezwykłą ostrożnością, żeby nie zerwać nici.

– Powolutku – powtórzył. – Niech pani idzie w moją stronę.

W ułamku sekundy zdał sobie sprawę, że spotkał najpiękniejszą dziewczynę, jaką kiedykolwiek widział. I że właśnie ratuje jej życie.

Ta myśl wystarczyła, żeby w ułamku sekundy rozproszyć jego uwagę.

Nagle dziewczyna pociągnęła szal. Jamal spodziewał się wszelkich reakcji z wyjątkiem właśnie tej. Gwałtowny, szybki ruch.

Szalik wyśliznął mu się z rąk.

To, co nastąpiło, trwało mniej niż sekundę.

Spojrzenie dziewczyny, niezapomniane, wbiło się w niego niczym spojrzenie dziewczyny w oknie odjeżdżającego pociągu. Spojrzenie fatum.

– Neeeeee! – zawył Jamal.

Ostatnią rzeczą, którą zobaczył, był czerwony kaszmirowy szal powiewający w rękach dziewczyny. Chwilę potem spadała w otchłań.

Życie Jamala również, ale on jeszcze o tym nie wiedział.

**I**

**Dochodzenie**

# 1

## Dziennik Jamala Salaoui

Długo nie miałem szczęścia.

Ponieważ szczęśliwy traf zdarza się zawsze po jednej stronie, nigdy po mojej, doszedłem do tego, że wyobrażałem sobie życie jako coś w rodzaju gigantycznej konspiracji, składającej się wyłącznie z członków, którzy sprzysięgli się przeciwko mnie. Na jej czele – ktoś jakby bóg podobny do nauczyciela sadysty, który zawziął się na najsłabszego z klasy. A wszyscy pozostali koledzy, zbyt zadowoleni, że ciosy nie spadają na nich, również odgrywają gorliwych oprawców. Na odległość. Żeby uniknąć rykoszetów. Tak jakby pech był zaraźliwy.

Później, z biegiem lat zrozumiałem.

To złudzenie.

W swoim życiu nie spotykacie raczej występnego, szczwanego boga, spotykacie belfra, który was traktuje jak królika doświadczalnego.

Zarówno bogowie, jak i nauczyciele mają was gdzieś. Nie istniejecie dla nich.

Jesteście całkiem sami.

Żeby moneta spadła kiedyś na waszą stronę, trzeba po prostu grać, często, dużo, ciągle zaczynać od nowa.

Nie ustępować.

To jest po prostu kwestia prawdopodobieństwa. I może również, koniec końców, szczęścia.

Nazywam się Jamal.

Jamal. Salaoui.

Nie jest to nazwisko, które przynosi szczęście.

*Chociaż...*

Mam takie samo imię, jak może zauważyliście, jak Jamal Malik, chłopiec ze *Slumdog. Milioner z ulicy*. Nie jest to zresztą nasz jedyny wspólny punkt. Obaj jesteśmy muzułmanami w kraju, który muzułmański nie jest, i trochę sobie z tego kpimy. On dorastał w Dharavi, slumsie Bombaju, ja w wieżowcu Balzac osiedla 4000 w La Courneuve. Nie wiem, czy naprawdę można porównywać. Pod względem fizycznym też nie, nie wiem. On nie jest bardzo urodziwy z tymi swoimi odstającymi uszami i wyglądem lęklivego wróbla. Ja też nie. Gorzej, mam tylko jedną nogę, no, powiedzmy, jedną i pół, druga dochodzi tylko do kolana i zakończona jest plastikową protezą koloru ciała. Kiedyś wam opowiem.

To był jeden z tych razów, kiedy moneta nie spadła na dobrą stronę.



Ale główny punkt wspólny stoi przede mną. Dla Jamala Malika najważniejsza sprawa to nie miliony rupii, to Latika, jego najdroższa, piękna jak marzenie, zwłaszcza pod koniec, w żółtej chustce, kiedy odnajduje ją na dworcu w Bombaju. Jego jackpot to ona.

Ze mną jest podobnie.

Mam naprzeciw siebie niesamowicie powabną dziewczynę. Włożyła właśnie sukienkę koloru niebieskiego tulipana. Jej piersi tańczą pod jedwabnym dekoltem, w który wolno mi zanurzać wzrok tak długo, jak długo tego pragnę. Jak wam to powiedzieć, żebyście zrozumieli? Ona jest moim kobiecym ideałem, to trochę tak, jakby mnie podrywała w swoich marzeniach w ciągu tysięcy nocy, zanim któregoś pięknego ranka wynurzyła się przede mną.

Jem z nią kolację.

U niej w domu.

Płomienie w kominku jakby pieszczą białą skórę jej twarzy. Jest też szampan. Piper-Heidsieck 2005. Za kilka godzin, może nawet przed końcem kolacji, będziemy się kochać.

Będziemy się kochać co najmniej przez całą noc.

Może kilka nocy.

Może przez wszystkie pozostałe noce mojego życia, jak marzenie, które nie ulatnia się rano, które będzie mi towarzyszyć pod prysznicem, potem w obskurnej windzie ostatniego bloku na osiedlu 4000, którego nie wysadzono w powietrze, potem aż do stacji Courneuve-Aubervilliers metra RER B.

Uśmiecha się do mnie. Podnosi kielich z szampanem do ust, wyobrażam sobie bąbelki, które schodzą do jej ciała i musują w niej. Dotykam wargami jej warg. Wilgotne od piper-heidsiecka jak musujący cukierek.

Wolała intymność w swoim domu niż szyk nadmorskiej restauracji. Może w głębi duszy trochę się wstydziła afiszować ze mną, wstydziła się spojrzeń z sąsiednich stolików na niepełnosprawnego Araba w towarzystwie najpiękniejszej dziewczyny w tym regionie. Rozumiem ją, chociaż mam w nosie tę ich nędzną zazdrość. Bardziej niż kto inny zasłużyłem na tę chwilę. Postawiłem wszystko. Za każdym razem, kiedy moneta spadała na złą stronę, odgrywałem się. Nigdy nie przestając wierzyć w to, że się odegram.

Wygrałem.

Pierwszy raz spotkałem tę dziewczynę sześć dni temu w miejscu najbardziej nieprawdopodobnym, by spotkać czarodziejkę. Yport.

W ciągu tych sześciu dni kilka razy o mało nie umarłem.

*Jestem żywy.*

W ciągu tych sześciu dni zostałem oskarżony o morderstwo. O kilka morderstw. Najohydniejszych ze wszystkich. Mało brakowało, a sam bym w to uwierzył.

*Jestem niewinny.*

Zostałem zaszczuty. Osądzony. Skazany.

*Jestem wolny.*

Zobaczycie, wam też trudno będzie uwierzyć w szaleństwa biednego kalekiego innowiercy. Cud wyda się wam zbyt nieprawdopodobny. Wersja gliniarzy wyda wam się o wiele bardziej do przyjęcia. Zobaczycie, wy też będziecie mieć wątpliwości. Do końca.

Wróćcie do początku tego opowiadania, jeszcze raz przeczytacie te linijki i pomyślicie, że zwariowałem, że zastawiam na was pułapkę albo że wszystko zmyśliłem.

Niczego jednak nie zmyśliłem. Nie zwariowałem. Żadnej pułapki. Proszę was tylko o jedno, żebyście mi ufali. Do końca.

*Wszystko się dobrze skończy, zobaczycie.*

Jest 24 lutego 2014 roku. Wszystko się zaczęło dziesięć dni temu, w piątek wieczorem, czternastego, w porze, kiedy dzieciaki z Instytutu Terapeutycznego Saint-Antoine wracają do domów.

## 2

### Ufać mi do końca?

Zimny deszcz zaczął padać bez uprzedzenia na trzy budynki z czerwonej cegły Instytutu Terapeutycznego Saint-Antoine w Bagnolet, na trzyhektarowy park i na białe posągi hojnych, sławnych i zapomnianych ofiarodawców minionych wieków. Około dziesięciu sylwetek ożywiło się raptownie, dając złudzenie, że ulewa wraca życie rzeźbom. Lekarze, pielęgniarze i noszowi w białych fartuchach przybiegli schronić się przed deszczem jak duchy, które się boją zamoczyć swój całun.

Niektórzy znaleźli schronienie w bramie, inni w dwudziestu samochodach typu monospace i minibusach zaparkowanych jeden za drugim w żwirowej alei, z otwartymi jeszcze drzwiami, z dziećmi upchanymi w środku.

Jak w każdy piątkowy wieczór najbardziej niezależni młodzi ludzie wyjeżdżali na weekend do swoich rodzin. Tego piątku weekend plus dwa tygodnie ferii zimowych.

Ja też jak inni pobiegłem schronić się przed ulewą, kiedy już wcisnąłem Grégory'ego z tyłu scenica i zostawiłem na deszczu jego pusty fotel na kółkach. Rzuciłem tylko okiem na trzy samochody dalej, w stronę karetki, której kogut rozpryskiwał deszcz, żeby znaleźć Ophélie, potem wróciłem na salę personelu medycznego.

Panował tu nastrój sali w schronisku, w której spotykają się zmarznięci turyści po wycieczce narciarskiej na biegówkach. Koledzy z Instytutu Saint-Antoine, prawie wyłącznie kobiety, pielęgniarki, wychowawczynie i psychoterapeutki, ścisnęły w zlodowaciałych palcach kubeczki z herbatą lub kawą. Niektóre z nich nawet nie spojrzały w moją stronę, inne rzuciły przelotne spojrzenie, Sarah i Fanny, najmłodsze nauczycielki, uśmiechały się do mnie, Nicole, szefowa psycholożek, jak zwykle trochę za długo wpatrywała się w moją sztywną nogę. Większość dziewczyn z Instytutu w gruncie rzeczy lubiła mnie mniej lub bardziej w zależności od wieku, dyspozycyjności uczuciowej i zawodowej sumienności. Matki Teresy bardziej niż Marilyn.

Ten kretyn Jérôme Pinelli, szef działu kadr, wszedł tuż po mnie, powiódł spojrzeniem po zebranych, po czym zmierzył mnie wzrokiem zupełnie jak gliniarz.

– Zabierają Ophélie. Pewnie jesteś dumny z siebie, co?

Niezupełnie.

Wyobraziłem sobie koguta karetki na podwórzu. Ophélie wyjąca, żeby ją zostawili w spokoju. Przez kilka sekund próbowałem zastanowić się nad kilkoma

słowami wyjaśnienia, przynajmniej przeprosin, żeby mieć spokój. Szukałem bez przekonania pomocy na sali. Nikogo. Dziewczyny opuszczały głowy.

– Załatwimy to po feriach – podsumował Pinelli.

Do listy codziennych oprawców, którzy szukają sobie ofiary, do występnych bogów i nauczycieli sadystów trzeba dodać jeszcze faszyzujących szefów: Jérôme Pinelli. Pięćdziesiąt trzy lata. Kadrowiec. W ciągu niecałych sześciu miesięcy przyczynił się do jednego cudzołóstwa, dwóch depresji i trzech zwolnień z pracy.

\*

Stanął przed wielkim plakatem z Mont-Blanc, który powiesiłem na ścianie w sali personelu. Metr na dwa metry. Cały grzbiet, jego zarys. Mont-Blanc zwany przekłętą górą, igłą Południa, zębem Giganta, Zieloną igłą...

– Cholera – powiedział Pinelli – wcale mi nie będzie brakować tych smarkatych debili. Basta... Za niecałe dziesięć godzin będę w Courchevel...

Obrócił się powoli, jakby chcąc umożliwić damskiej świcie podziwianie swojego profilu, potem stanął naprzeciw mnie i ostentacyjnie utkwiał wzrok w mojej protezie.

– A ty? Jedziesz poszaleć na śniegu? Fajnie masz, co? Z tą swoją węglową stopą możesz wypożyczyć tylko jedną nartę!

Roześmiał się. Śliski teren... Personel medyczny zawahał się, czy pójść w jego ślady. Wszystkie Mariliny parsknęły, Matki Teresy oburzyły się w milczeniu.

Pinelli nie zdążył dorzucić jakiejś głupoty ani się pograżyć, kiedy w jego kieszeni rozległy się pierwsze akordy *I gotta feeling*. Wyciągnął komórkę, mrużąc pod nosem „psiakrew”, następnie nie spiesząc się, wyszedł z sali, rzucając mi oczywiście ostatnie spojrzenie.

– Po feriach trzeba będzie się policzyć, Salaoui. Mała jest nieletnia, nie będę cię mógł ciągle kryć.

*Skurwiel!*

W tym momencie wszedł Ibou i zamknął mu drzwi przed nosem.

Ibou był jedynym moim prawdziwym sprzymierzeńcem w tej pracy. W Instytucie sanitariusz od noszy zajmował się też zakładaniem kaftanów, unieruchamianiem, kiedy dwóch młodych napażało się między sobą. Czasem też pomagał mi w różnych robotach. Stawiać rusztowania albo przesuwać meble, zmieniać koło jumpera. Ibou był szafą z lustrem wyrzeźbioną w baobabie. W rodzaju Omara Sy. Ten drań godził Mariliny i Teresy, przystojny, spokojny, śmieszny. Wysportowany.

No, wysportowany... One nie wiedziały, że nawet jeśli biegał ze mną w każdy czwartek piętnaście kilometrów z parku w La Courneuve do lasu Montmorency, to za każdym razem w końcowym sprincie go wyprzedzałem, choć

dawałem mu fory na zakręcie.

Poklepał mnie po ręce.

– Słyszałem tego durnia i jego szyderstwa o nartach. Bez wygłupów, Jam, jedziesz na wakacje?

Odwrócił się do plakatu z Alpami. On też napawał oczy wiecznymi śniegami lodowców wiszących na ścianach sali.

– Do Yport. I to dzięki tobie!

– Yport? Łał! Tam są trasy?

– To jest miejscowość w Normandii, staruszku. Koło Etretat. Tysiąc metrów różnicy wysokości na dystansie dziesięciu kilometrów. Ale bez śniegu i wyciągów narciarskich...

Ibou gwizdnął, nie komentując, po czym zwrócił się do kobiecego audytorium.

– Bo ten skryty chłopczyk Jamal nie powiedział wam, że jest wysokiej klasy sportowcem! Ten uparciuch odmawia uczestniczenia w dyscyplinach paraolimpijskich, które mogłyby przysporzyć Instytutowi Saint-Antoine sławy, chwały i medali, za to wbił sobie do głowy, że będzie pierwszym jednonogim, który przekroczy metę najtrudniejszego biegu Ultra-Trail du Mont-Blanc...

Natychmiast poczułem, że dziewczyny zaczęły inaczej na mnie patrzeć. Ibou, jako usłużny kumpel, ciągnął:

– Najtrudniejszy na świecie wyścig. Mały nie ma żadnych wątpliwości, co?

Oczy dziewczyn wędrowały między mną a biało-niebieskim plakatem. Ja z kolei zapatrzyłem się na wysokość trzech tysięcy metrów. Morze lodowe. Vallorcine. Kolejka linowa na iglicę Południa. UTMB to było sto sześćdziesiąt osiem kilometrów włącznie, dziewięć tysięcy sześćset metrów różnicy wysokości, czterdzieści sześć godzin biegu... Na jednej nodze. Czy byłem zdolny do takiego wyczynu? Dojść do kresu swoich możliwości, zapomnieć o bólu? Pielęgniarki już się litowały, z łezką w oku. Miałem wrażenie, że zaczerwieniłem się jak prawiczek. Moje oczy ściagały niewidzialne detale, biały, brudny, chropowaty tynk ściany, ślady zagrzybienia i rdzy, które tworzyły zacieki na suficie.

– W dodatku Jam jest kawalerem – nawiązał Ibou. – Może by któraś z nim pojechała? Yport, cholera!

Puścił oko w moją stronę. Zwiększyłem czujność.

– No, dziewczyny... – zachęcał. – Która chętna? Tydzień marzeń w towarzystwie mistrza olimpijskiego, tydzień przyjemności.

Dziękuję ci, Ibou...

– Ale bez wygłupów, dziewczyny. Tym razem trzeba będzie mi go oddać.

### 3

#### Zapomnieć o bólu?

Trup spał u moich stóp, na łożu z kamieni.

Spod jego głowy powoli spływała krew, tworząc czerwone jedwabne prześcieradło ciągnięte przez niewidzialną rękę, szkarłatną falę, która spadając, łagodnie cofała się do morza.

Nieznamąca, nawet martwa, była wciąż nieprawdopodobnie piękna. Kruczoczarne włosy zakrywały jej zimną białą twarz niczym algi przyłączone do skały wygładzonej przez kolejne przyływy. Ciało dziewczyny było już tylko jak odłamany kawałek klifu, który morze będzie pracowicie rzeźbić, żeby go po wsze czasy dopasować do scenerii.

Moje spojrzenie ześlizgnęło się z ciała i wspięło po wapiennej ścianie. Prosto przede mną. Odkąd przyjechałem do Yport, przed trzema dniami, te klify nie zrobiły na mnie takiego wrażenia. Gliniaste strugi spływały z rosnącej wysoko trawy, zupełnie jak ślady rdzy, wilgoci i brudu. Zdawało mi się, że stoję przed gigantycznym murem więzienia stworzonego przez bogów, żeby zamykać w nim ludzi. Próba ucieczki, skok przez ten mur groziły utratą życia.

Spojrzałem na zegarek.

8.28.

Niecały kwadrans upłynął od chwili, gdy wyszedłem z La Sirène na codzienny trening. Przypomniały mi się rady szefa.

*Uważaj, Jamal, trawa na klifie będzie śliska.*

Potem pomyślałem o tym czerwonym szalu wiszącym na ogrodzeniu, o baranach, o schronie... Obrazy wciąż napływały. Obsesyjne. Znowu widziałem dziewczynę na skraju czeluści, w podartej sukience, słyszałem jej ostatnie słowa: „Niech pan się nie zbliża. Nie zrozumie pan”, widziałem bezdenną rozpacz w jej spojrzeniu, zanim spadła w pustkę, kaszmirowy szalik Burberry, który jej podałem, w jej mocno zaciśniętej garści.

Serce cały czas mi waliło w rytm mojego szaleńczego biegu, zaraz po jej skoku, aż na plażę, tak jakbym mógł dobiec na dół przed nią i pochwycić ją w ramiona. Uratować ją.

Śmiechu warte.

– Widziałem, jak upadła – szepnął za moimi plecami poważny niski głos.

Był to facet w brązowej skórzanej kurtce. Podszedł powoli do zwłok, powłócząc stopami po plaży, tak jakby ten incydent w najwyższym stopniu go drażnił.

– Słyszałem, jak pan krzyczał – ciągnął tym samym sfatygowanym tonem. – Odwróciłem się i właśnie zobaczyłem, że dziewczyna spada jak kamień.

Twarz wykrzywił mu grymas odrazy, co miało znaczyć, że widział na żywo, jak ciało rozpadało się pod wpływem uderzenia. Miał rację, kiedy dziewczyna spadła, zawyłem na cały głos do pustego już nieba. Chyba całe Yport mnie słyszało.

– Ona nie spadła – uznałem za stosowne wyjaśnić. – Ona skoczyła.

Facet nic nie powiedział. Czy chociaż zrozumiał tę subtelną różnicę?

– Biedaczka! – skomentowała stara kobieta po mojej prawej stronie.

Była trzecim świadkiem tego dramatu. Trochę później dowiedziałem się, że nazywa się Denise Joubain. Ona również, tak jak mężczyzna w brązowej kurtce, była na plaży wcześniej niż ja, ale daleko od miejsca upadku, ponad sto metrów. Do ciała dobiegłem po swoim zwariowanym sprincie kilka sekund przed nimi. Denise miała grube żółte skarpety, które wystawały z wędkarskich plastikowych botków, po czym znikwały pod płócienną sukienką koloru écru i szarym płaszczem. Trzymała w ramionach psa, shih tzu, ubranego w beżowy pulower w czerwone paski, który przywiódł mi na myśl te noszone przez postacie z albumów *Gdzie jest Charlie?*

– Spokojnie, Arnold – szepnęła mu do ucha, po czym znowu: – Taka piękna dziewczyna... Naprawdę jest pan pewny, że ona sama skoczyła?

Refleksja Denise wydała mi się idiotyczna.

*Oczywiście, że sama skoczyła.*

Potem zdałem sobie sprawę, że byłem jedynym świadkiem tego samobójstwa. Tamci dwoje spacerowali sobie po plaży, patrząc na morze, i odwrócili głowy dopiero, kiedy krzyknąłem.

*Co Denise miała na myśli? Że to był wypadek?*

Ogrom nieszczęścia wyryty na anielskiej twarzy, jej rozpaczliwy skok sprzed chwili znowu mnie wzburzyły.

– Absolutnie pewny! – odpowiedziałem. – Mówiłem do niej tam na górze koło schronu. Próbowałem przemówić jej do rozsądku...

Denise Joubain rzucała mi inkwizytorskie spojrzenie, tak jakby moja skóra, mój akcent i moja sztywna noga przedstawiały dla niej trzy połączone motywy podejrzliwości.

*Co ona sobie myślała? Że to nie był wypadek? Że ktoś ją pchnął?*

Wykręciłem jeszcze głupio szyję, żeby spojrzeć aż na szczyt klifu, po czym ciągnąłem, tak jakbym czuł potrzebę usprawiedliwienia się.

– Wszystko odbyło się bardzo szybko. Podeszedłem tyle, ile mogłem. Usiłowałem podać jej rękę. Rzucić jej...

Słowa utknęły mi nagle w gardle.

Po raz pierwszy zauważyłem pewien szczegół na tym ciele leżącym metr ode

mnie. Surrealistyczny szczegół...

*Niemożliwe!*

Obrazy dramatu defilowały w kółko.

Rozpaczliwe spojrzenie pięknej samobójczyni.

Szal Burberry, który powiewał na końcu jej ręki.

Pusty horyzont.

Cholera! Coś mi umykało.

Moje oczy wciąż były wlepione w czerwoną tkaninę tuż pod moimi stopami...

Musiło istnieć jakieś racjonalne wyjaśnienie...

Musi...

– Trzeba coś zrobić!

Odwróciłem się. Powiedziała to Denise. Przez moment się zastanawiałem, czy ona zwracała się do mnie, czy do swojego psa wciąż przypartego do jej piersi.

– Słusznie – poparł ją mężczyzna w brązowej kurtce. – Trzeba wezwać gliniarzy...

Miał głos palacza. Poza sfatygowaną kurtką nosił jeszcze ciemnozieloną wełnianą czapkę naciągniętą na zaczerwienione od zimna uszy, w której uwięził swoje rzadkie i długie siwe włosy. Instynktownie wyobraziłem sobie, że jest samotny, rozwiedziony i bezrobotny. Przynajmniej w na tyle beznadziejnej sytuacji, żeby mieć ochotę przeanalizować ją tu i teraz, kiedy nikt nie będzie na niego wywierał presji. Od razu przywiódł mi na myśl Lanoëla, nauczyciela matematyki ze skłonnością do depresji, którego mieliśmy w piątej klasie gimnazjum imienia Jeana Vilara i którego cała buda, od trzech pokoleń uczniów, przeżywała Atarax. Tak właśnie ochrzciłem już w myśli tego faceta z plaży. *Atarax*. W rzeczywistości, jak usłyszałem zaraz potem, nazywał się Christian Le Medef... nie wiedziałem wtedy, że zobaczę go na tej samej plaży następnego dnia, niemal o tej samej godzinie, jeszcze bardziej zdeprymowanego, i że dostarczy mi wtedy informacji, które uczynią nas współnikami połączonymi tą samą paranoją.

Arnold szczeknął między piersiami swojej pani.

*Wezwać gliniarzy?*

Przez dłoń mojej prawej ręki przeszedł dreszcz, tak jakby znowu, niczym podstępny wąż, wypadał z niej kaszmirowy szal. Oczy odmawiały mi posłuszeństwa, jeszcze raz spoczęły na leżącym przede mną kawałku czerwonego materiału. Wyglądałem chyba nie najlepiej, bo Denise i Atarax jakoś dziwnie na mnie patrzyli.

Albo też czekali, żebym podjął jakąś inicjatywę...

*Wezwać gliniarzy?*

W końcu zrozumiałem, że chyba ani jedno, ani drugie nie ma telefonu komórkowego. Wyjąłem swojego iPhone'a i wybrałem numer 17.



– Żandarmeria Fécamp – odezwał się po kilku sekundach męski głos.

Przedstawiłem sytuację. Samobójstwo. Miejsce. Tak, dziewczyna nie żyje, na pewno, spadła z wysokości stu dwudziestu metrów na kamienie. Jeden świadek widział, jak skoczyła, dwoje innych – jak się rozbiła.

Po drugiej stronie telefonu wszystko skrzętnie notowano. Bardzo się dopytywano. Poproszono, żebym jeszcze raz powtórzył dokładne miejsce, po czym się rozłączono.

Posłałem uśmiech w stronę Denise i Ataraxa.

– Żandarmi jadą... Będą tu za dziesięć minut.

Poprzestali na skinieniu głowy. Przez dłuższą chwilę ciszę zakłócał tylko odgłos kamieni poruszanych przez morze. Prawie przy każdej fali Atarax spuszczał wzrok na tarczę swojego zegarka. Dobrze mu się przyglądając, stwierdziłem, że nie wygląda na naprawdę zmartwionego tą martwą dziewczyną u swoich stóp, jest tylko wkurzony, tak jak człowiek, który z powodu karambolu znalazł się w potwornym korku i łapie się na tym, że mniej się przejmuje biedakami uwięzionymi pod blachą samochodu niż opóźnieniem, jakie to powoduje. Atarax nie wyglądał jednak na wyczerpanego szwendaniem się po plaży od ósmej rano...

Nagle Denise zrzuciła Arnolda na ziemię. Shih tzu schronił się między butami swojej pani, która chwyciła mnie za rękę.

– A gliniarze nie przyjeżdżają! Chodź, chłopcze, daj mi kurtkę.

Nie od razu zrozumiałem, co ona chce ode mnie. Żebym się rozebrał? Było zaledwie pięć stopni... Denise powtórzyła władczym tonem:

– Daj mi swoją kurtkę joggingową!

*Kurtkę joggingową? To tak nazwała moją wiatrówkę North Face on Wind Wall?*

Niewiele myśląc, posłuchałem. Denise pochyliła się nad zwłokami, żeby przykryć moją fioletową wiatrówką twarz i górną część ciała dziewczyny.

Kwestia religii? Przesądów? Chęć uchronienia swojego biednego Arnolda od traumy psychicznej?

Nie miało to znaczenia. Wszystko jedno, w głębi duszy byłem jej wdzięczny za inicjatywę.

Ostatni raz popatrzyłem na szalik, zanim Denise położyła ten improwizowany całun. W głowie mi wył wzburzony głos:

*Jak to możliwe?*

Od wielu minut myślałem już tylko o tym. Przypominałem sobie ciąg wydarzeń od rana, każdą sekundę, każdy ruch i wciąż nie znajdowałem żadnego spójnego wytłumaczenia.

Martwa dziewczyna leżąca na kamieniach miała owinięty wokół szyi czerwony kaszmirowy szal Burberry.

## Jak to możliwe?

Ziąb szczypał okrutnie moje gołe ręce. Słońce, ukazawszy się na krótko za klifem od strony Fécamp, zdawało się już chować pod piernatem chmur. Żeby się rozgrzać, dreptałem w miejscu. Temperatura chyba znowu dochodziła do zera, ale przecież nie mogłem poprosić leżącej na kamieniach dziewczyny, żeby mi oddała wiatrówkę. A poza tym gliny na pewno zaraz się zjawią, wezwałem ich dobre dziesięć minut temu. Wszyscy troje staliśmy w milczeniu. Nad naszymi głowami podśmiewywało się kilka mew.

Arnold, przywiązany do swojej pani cienką skórzaną smyczą, usiadł i obserwował te latające mewy z mieszaniną obawy i zdziwienia.

Obawa i zdziwienie.

Miałem chyba równie głupią minę jak ten pies.

*Martwa dziewczyna leżąca na kamieniach miała owinięty wokół szyi czerwony kaszmirowy szal Burberry!*

Przeżuwałem w myśli różne argumenty, szukałem racjonalnego wytłumaczenia. Jednego tylko byłem pewny, dziewczyna wyrwała mi z rąk tkaninę, po czym z tym samym rozpędem rzuciła się w otchłań.

Popatrzyłem uważnie na pustą groblę, na pusty parking przed kasynem, na trzydzieści plażowych kabin opuszczonych na zimę. Wciąż żadnego żandarma na horyzoncie.

Kto mógłby owinać szalikiem szyję tego trupa? Przecież ja pierwszy dotarłem do ciała u stóp klifu. W okolicy nie było nikogo poza Ataraxem i Denise, ale oni oboje znajdowali się o wiele dalej od miejsca upadku niż ja. Niemożliwe, żeby któreś z nich zdążyło odbiec pędem od ciała, a następnie wrócić powoli, bez najmniejszej oznaki zadyszki. Zresztą dlaczego mieliby tak postąpić?

To zupełnie bez sensu!

A zatem kto?

Nikt! Nikt nie mógłby się zbliżyć do trupa na tej olbrzymiej pustej plaży, nie będąc zauważonym przez Denise albo Ataraxa. Oni widzieli, jak dziewczyna spadała z klifu, i zaraz potem poszli w jej stronę, ze wzrokiem utkwionym w ciało...

Po rękach przechodziły mi dreszcze. Zimno. Lęk. Strach. Musiałem przemyśleć sprawę, eliminując wszystko, co było niemożliwe. Zostawało więc tylko jedno rozwiązanie: dziewczyna sama owinęła sobie szal wokół szyi podczas spadania z klifu!

*Niesamowite...*

Nie było jednak innego sposobu rozwiązania równania. Oszacowałem wysokość klifu, ustaliłem, w jakim czasie ciało spada z samego szczytu. Kilka sekund. Trzy, może cztery. Wystarczy zapewne, żeby owinąć kawałek materiału.

Technicznie było to z pewnością możliwe.

Technicznie...

Podczas zawrotnego spadania, z rękami, które machają w pustce, przy wietrze, który smaga twarz...

Przyjrzałem się mewie, która sprzeciwiała się nieważkości i leciała między niebem a kredową skałą.

Żeby to się udało, trzeba by obmyślić dużo wcześniej gotowy plan, to powinna być absolutna determinacja, powtarzane tysiące razy gesty, żeby wyeliminować wszelkie emocje. Maksymalne skupienie na jednym celu, owinąć sobie przed śmiercią ten cholerny szal wokół szyi w mniej niż cztery sekundy, żeby zdążyć przed zabójczym upadkiem na kamienie...

To też zupełnie bez sensu!

Powtarzane tysiąc razy gesty? Szalik przecież nawet nie należał do tej dziewczyny! Znalazłem go na ścieżce, podałem go odruchowo samobójczynie, żeby jej pomóc, przyszło mi to do głowy w ostatniej chwili. Ten anioł nad przepaścią nie miał żadnego sposobu, by się domyślić, że ów kawałek czerwonego materiału znajdzie się w jej rękach.

Mój wzrok przeniósł się na Denise i Ataraxa. On zapalił papierosa, a ona ciągnęła smycz Arnolda, żeby na pieska nie powiał dym.

Przemyśleć sprawę, eliminując wszystko, co niemożliwe. Co więc pozostawało, jakie rozwiązanie? Nawet gdy wyobrażałem sobie, że dziewczyna zdążyła w ostatnim odruchu okręcić ten materiał wokół szyi zamiast spadać jak kamień czy machać rozpaczliwie rękami jak mewa, ciągle nasuwało się to pytanie bez odpowiedzi:

Po co wykonywać tak bezsensowny gest?

Słońce raptem znów się pokazało i wbiło swoje promienie w klif, iskrząc złotem i srebrem rdzawo gliniastą i kredową skałą.

Żandarmi przybyli minutę później. Zaparkowali furgonetkę boxer na parkingu kasyna.

Było ich dwóch, szli w naszą stronę. Młodszy wcale nie był szybszy. Miał koło czterdziestki, głowę wydłużoną w kształcie otoczaka, i wściekał się za każdym razem, kiedy jeden z jego butów firmy Weston ślizgał się na wilgotnych algach. Taki typ gliniarza, co wstał lewą nogą i nie zdążył wypić kawy przed rozpoczęciem dnia pracy, który zaczyna się o świcie od zbierania zwłok samobójczynie.

Drugi żandarm rozgniatał kamienie pod podeszwą, jakby to był zwyczajny

żwir. Doświadczenie... Miał wygląd gliniarza, który od zawsze jest tuż przed emeryturą, jakby wyszedł z filmu Oliviera Marchała. Rozpięta kurtka na szerokim torsie i gruby brzuch. Zwłaszcza facjata. Siwe półdługie włosy, sztywne, zaczesane do tyłu aż na kark, odsłaniające duże pomarszczone czoło. Typ późnego Marlona Brando.

Kiedy podszedł bliżej, moje wrażenie się potwierdziło.

Marlon Brando. Arogancja przyklejona do warg.

Drugi gliniarz włókł się jeszcze z dziesięć metrów, kiedy Brando wyrósł przed nami tuż nad trupem.

– Kapitan Piroz – rzucił obojętnym głosem. – Dawno już nie mieliśmy tutaj samobójczyni! Odkąd wybudowali most Normandzki, modne jest raczej rzucanie się do estuarium.

Przetarł obiema rękami czoło, jakby chciał wygładzić zmarszczki, potem mówił dalej:

– Znacie ją?

Wszyscy troje potrząsnęliśmy przecząco głowami.

– Co dokładnie widzieliście?

Pierwszy odpowiedział Atarax. Widział, jak dziewczyna spadała w przepaść, potem rozbiła się na kamieniach sto dwadzieścia metrów poniżej. Denise potwierdziła, ja ograniczyłem się do wyrażenia zgody gestem.

– Wszyscy byliście wtedy tutaj? Nikt nic nie widział, co się działo na górze?

Piroz wlepił we mnie wzrok, tak jakby zwęszył moje zakłopotanie. Odpowiedziałem na pewno trochę zbyt pośpiesznie.

– Tak, ja. Jak zwykle rano, biegałem nadbrzeżną ścieżką. Ona stała na brzegu klifu, koło schronu. Mówiłem do niej. Próbowałem ją powstrzymać, ale...

Piroz spuścił oczy na moją protezę z włókna węglowego i wyglądał, jakby się zastanawiał nad kompatybilnością mojej niepełnosprawności z codziennym joggingiem. Zacząłem coś bełkotać:

– Ja... codziennie trenuję. Jestem sportowcem wysokiej klasy. Kategoria paraolimpijska. Widzi pan...

Kapitan, jeśli zobaczył, nie pokazał tego po sobie. Poprzestał na zmarszczeniu czoła à la Brando, potem pochylił się nad leżącym ciałem. Położył moją kurtkę North Face obok trupa, na kamieniach.

*To nie cud, ten cholerny szal wciąż był owinięty wokół szyi dziewczyny.*

Nie widziałem niczego innego poza tym kawałkiem materiału, ale Piroz zdawał się nie przywiązywać do tego najmniejszej wagi. Obejrzał dokładnie czerwoną sukienkę, strzępy tkaniny, potem przyjrzał się klifowi jakby w poszukiwaniu jakiegoś krzaka przyczepionego do gołej skały. W końcu odwrócił się do nas.

– Nie mogła rozerwać sukienki, kiedy spadała.

Potwierdziłem, nie pozostawiając gliniarzowi czasu, żeby mówił dalej.

– Kiedy zobaczyłem dziewczynę tam na górze, jej sukienka była już podarta. Makijaż też miała rozmazany. Wydawała się przestraszona.

Denise i Atarax patrzyli na mnie dziwnie, tak jakby mieli pretensje, że nie powiedziałem im tych szczegółów wcześniej. Piroz znowu przesunął ręką po swoich zmarszczkach, pewnie po to, by pomóc myślom dotrzeć do mózgu. Drugi gliniarz wciąż wyglądał na nieobecnego. Patrzył gdzie indziej, na fale, na świeżo pomalowane kabiny na plaży, na turbiny wiatrowe nad Fécamp, których ta sprawa dotyczyła tak samo jak psa Arnolda.

Piroz nie zwracał na niego uwagi, chyba go to nie dziwiło. Może jadąc tu, pokłócili się w samochodzie?

Ukląkł na obu kolanach między kamieniami, żeby obejrzeć ciało.

– Samobójstwo? – wycedził przez zęby. – Trzeba jednak mieć ważny powód, żeby się rzucić w przepaść...

Piroz przyjrzał się dokładnie podarłym fałdom sukienki.

Gdybym to sobie przypomniał później, uznałbym, że był to jedyny moment, w którym mógłbym rozmawiać z glinami. Powiedzieć im, że ten szal należał do mnie, w pewnym sensie, opowiedzieć im dokładnie, co się wydarzyło tam wysoko, koło schronu, że wyrwała mi z rąk ten przeklęty kawałek materiału, choćby to było niemożliwe do przyjęcia...

Jednak nic nie powiedziałem. Czekałem tylko, żeby racjonalne wytłumaczenie spadło z nieba. Albo żeby wszystko samo się ułożyło i żebyśmy przeszli do innych spraw. Nie mogłem przewidzieć, co Piroz odkryje, podnosząc sukienkę dziewczyny.

– Cholera – wyszeptał żandarm.

Podszedłem bliżej. Atarax i Denise również.

Pod sukienką dziewczyna nie miała nic na sobie.

Ani koronkowych majtek koloru fuksji, ani stringów.

Wzdłuż jej ud biegły sine ślady. Również cztery cienkie równoległe zadrapania na wysokości pachwiny, po prawej stronie całkowicie pozbawionego owłosienia wzgórka łonowego.

Denise przymknęła powieki i jeszcze raz przycisnęła Arnolda do piersi. Twarz Ataraxa nabrała koloru pigulek, które musiał zapewne połknąć rano. Koloru trupio bladego. Moja węglowa proteza zagłębiła się między kamieniami i z trudem utrzymałem równowagę.

Piroz puścił sukienkę, która opadła między nogami, tak jak kurtyna opada na scenę.

– Cholera. Ta mała została zgwałcona... Kilka godzin temu w dużym przybliżeniu. – Przygryzł wargi. – To mi się wydaje cholernie ważnym powodem, żeby skoczyć z klifu.

Wstał, jeszcze raz zmierzył wzrokiem kredową ścianę, która przecinała krajobraz, po czym wreszcie skierował wzrok na szal owinięty wokół jej szyi.

Odwinął go delikatnie końcami palców.

Oczy zaszyły mi mgłą. Piroz mówił o gwałcie. Na tym kawałku tkaniny były moje odciski. Decylitry potu na włóknie. Cysterna DNA.

Za późno. Co powiedzieć? Kto mógłby mi uwierzyć?

Piroz przejechał palcem między materiałem a szyją dziewczyny, powoli, jak lekarz, który osłuchuje zachrypniętego pacjenta. Zmarszczki na czole Piroza tak się ściągnęły, że zlały się w jedną pofalowaną całość.

– Mała nie tylko została zgwałcona... Została uduszona.

Ładunek elektryczny mnie sparaliżował. Odpowiedziałem, nie myśląc.

– Ja... rozmawiałem z nią tam na górze. Ona... była żywa. Skoczyła z własnej woli. Ona...

Piroz mi przerwał.

– A więc usiłowanie uduszenia. Pana przybycie na ścieżkę turystyczną zapewne wystraszyło gwałciciela, zanim ją udusił. Uratował pan życie tej dziewczynie... No, mógł pan...

*Mógł pan?*

Uznałem to wyrażenie za dziwne. Wersję gliniarza również. Gwałciciel miałby możliwość schować się w schronie, kiedy usłyszał moje kroki, ale co do reszty? Dlaczego dziewczyna nic nie powiedziała? Dlaczego nie zauważyłem żadnej oznaki duszenia, kiedy wyciągnąłem rękę do tej dziewczyny? Bo nie spojrzałem? Bo skupiłem się na jej twarzy? Na jej podartej sukience?

– Co pan robi?

Pytanie zadała Denise. Piroz stał teraz na czterech łapach wśród kamieni i wachał skórę trupa. Arnold obserwował go z dziwnym zainteresowaniem. Gliniarz podniósł głowę i uśmiechnął się lekko z zadowoleniem, jak ogar, który zwęszył trop.

– Jej skóra ma smak soli.

Miałem wrażenie, że przeżyłem surrealistyczną scenę graną przez aktorów, którzy improwizują każdą replikę. Drugi gliniarz, nadal wycofany, słuchał spostrzeżeń swojego współnika, nie reagując. Może to była jakaś ich taktyka. Każdy miał swoją rolę. Pierwszy robił show, a drugi ograniczał się do spokojnego obserwowania naszych reakcji.

– Smak soli? – powtórzył Atarax mocno zdziwiony.

– Taak... Ale przynajmniej w tym punkcie jest proste wyjaśnienie. – Piroz zamilkł na dłuższą chwilę. – Ta dziewczyna kąpała się w morzu.

Nasze spojrzenia zwróciły się jednocześnie, tym samym ruchem, w stronę La Manche.

Kąpiel? Dziewiętnastego lutego? W środku nocy? W wodzie o temperaturze

poniżej dziesięciu stopni?

– Nago – dodał Piroz. – Jej ubranie jest suche.

Denise podeszła do mnie. Zaczynała słabnąć. Nie myśląc wiele, podałem jej ramię, żeby mogła się chwycić.

– Kąpiel na golasa – ciągnął gliniarz. – W końcu to może bardziej upraszcza sprawę, niż ją komplikuje. To była bardzo ładna dziewczyna, może to przyciągnęło gwałciciela.

Przejechał palcami po swoich gładkich włosach.

– Jesteśmy tu, aby zabezpieczyć miejsce zbrodni. Sprowadzić lekarzy sądowych i cały ten cyrk. Przykro mi, ale musicie mi dać swoje dane, nazwiska, adresy, telefony i całą resztę. Będę was prosił o przybycie do brygady w Fécamp i złożenie zeznań, jeśli to możliwe wczesnym popołudniem, kiedy dowiemy się trochę więcej, poczynając od tożsamości tej dziewczynki.

Denise wieszala się na mnie całym swoim ciężarem. Dygotałem z zimna. Piroz to zauważył, wpatrywał się we mnie uporczywie, po czym się schylił i podał mi moją wiatrówkę.

– Proszę, zdaje się, że to pana. Proszę ją włożyć, niech się pan nie przeziębi, będę pana potrzebował.

## 5

### Kto by mi uwierzył?

Na wprost siebie dostrzegłem Iglę Etretat. Przypominała element puzzla oderwany od klifu, część mechanizmu wprawionego w monumentalne wrota otwierające jakąś tajną jamę.

Kiedy rozstałem się z gliniarzami na plaży, biegałem prawie godzinę, ale raczej mniej niż w inne dni. Zaledwie dwanaście kilometrów. Yport–Etretat przez wiszącą dolinę Vaucottes i przełęcz Etigues.

Wystarczająco, żeby uciec od tego. Pomyśleć. Zrozumieć.

Było chyba nie więcej niż trzy stopnie, ale mocno się spociłem. Trawa na wapiennym podłożu odmarzała powoli, tworząc cienkie rowki z zimną wodą, które zapadały się w pustkę mikroskopijnymi kaskadami, sekunda po sekundzie drążąc w kredowej skale bruzdy koloru ochry. Ten odwieczny pejzaż był tylko złudzeniem. Klif atakowały ze wszystkich stron woda, lód, deszcz, morze; stawiał opór, poddawał się, ustępował, umierał na oczach milionów turystów, którzy nie dostrzegali najmniejszej zmiany w krajobrazie.

Zbrodnia doskonała.

Teraz się trząłem.

Od godziny, odkąd opuściłem plażę w Yport, żeby pozwolić gliniarzom na wykonywanie swojej pracy, nie przestawałem rozpatrywać w myśli argumentów. Wnioski kapitana Piroza zdawały się jasno ustalać powiązania wydarzeń. Nieznana dziewczyna kładzie swoją czerwoną sukienkę na plaży w Yport, jest bardzo wcześnie rano, słońce zapewne dopiero co wzeszło. Dziewczyna kąpie się nago. Gwałciciel ją dopada, czyhał na nią, kiedy się ubierała. Idzie za nią, kiedy ona wchodzi pod górę wzdłuż nadmorskiej ścieżki. Gubi swój szal, łapie dziewczynę koło schronu, gwałci ją, próbuje udusić. W tym momencie słyszy moje kroki, chowa się w schronie, zanim do niego dojdę. Za późno.

Dziewczyna, zrozpaczona, skacze.

Na wprost mnie, po drugiej stronie zatoki, kilku spacerowiczów wielkości mrówek szło ostrożnie po śliskiej kładce, która prowadziła do Chambre des Demoiselles[1]. Spojrzałem na zegarek.

11.03. Czas wracać.

Pokonałem wiszącą dolinę aż do Yport w zaledwie czterdzieści pięć minut. Nie spotkałem nikogo oprócz cyklisty w dolinie Vaucottes i osła na drodze Couchant, który zdawał się mnie poznawać, bo widywał mnie tu codziennie rano. Wbiegłem po ostatnim stoku aż na równinę de la Vallette. Wiatr zapomniał się



zerwać. W oddali nieruchome turbiny wiatrowe z Fécamp przypominały olbrzymów, którzy odpoczywają. Zobaczyłem antenę w Yport pogrążoną we mgle, schron, rozproszone wokół barany.

Niepokój ścisnął mi gardło.

Jeżeli teza Piroza jest słuszna, gwałciciel mnie widział. Czekał na mnie w schronie. Byłem jedynym świadkiem...

Ścieżka spacerowa lekko schodziła w dół. Przyspieszyłem na tyle, na ile pozwalała mi sztuczna stopa.

*Jedyny świadek?*

Minąłem kemping le Rivage. Zatoka w Yport wybuchnęła w porannym świetle. Morze w dalszym ciągu wycofywało się powoli, daleko, odsłaniając księżycową scenerię. Szmaragdowe algi przyczepiały się kępami do umęczonych kamieni równi pływowej, wyglądały jak wyskubane oazy na wilgotnej pustyni.

Moje chromanie skandowało inną hipotezę.

*A jeśli Piroz się myli?*

A jeśli gwałciciel porzucił dziewczynę na plaży w Yport po tym, jak ją zaatakował, zgwałcił, udusił? Dziewczyna traci więc głowę, podchodzi aż do klifu, gubi po drodze szal. Jest w szoku. Skacze mimo mojego przyjacięcia.

Stopnie schodów prowadzących do kasyna zadzwięczały pod sztabką włókna węglowego.

Czy gwałtu dokonano na plaży, czy na szczycie klifu, dla tej biednej dziewczyny to w gruncie rzeczy żadna różnica... Ale dla mnie między tymi dwiema możliwościami przemykało pytanie. Pytanie, nad którym powinienem się zastanowić, zanim Piroz weźmie mnie w obroty.

Czy ja spotkałem, czy nie, gwałciciela?

Jeszcze trzy stopnie. Przeskoczyłem worki ze śmieciami kasyna, żeby wylądować na betonowym podejściu. Byłem przed wejściem do La Sirène.

*Czy ja spotkałem gwałciciela?*

Prześladowało mnie to pytanie i zdałem sobie sprawę, że ono skrywa inne pytanie, jeszcze bardziej kłopotliwe, którego Piroz nie przepuści.

W jaki sposób ten przeklęty czerwony szalik mógł się znaleźć na szyi tej dziewczyny? Ten szal Burberry, na którym był utrwalony mój materiał genetyczny.

Tak jak każdego ranka użyłem drewnianej balustrady na tarasie La Sirène, żeby się wyciągnąć. Nikomu nie przeszkadzałem, na zewnątrz nie było żadnego stolika, żadnego krzesła ani żadnego klienta. Tuż obok menu, 12,90 za cały posiłek – talerz trąbików, mule i pływająca wyspa – André przypiął pinezkami prognozę pogody.

*Pochmurno*

*Śnieg spodziewany powyżej 400 metrów*

*Temperatura dojdzie do -15°*

Łał!

André Jozwiak ruszył w moją stronę. Nie miał w sobie już nic z człowieka prehistorycznego, który wstawał o świcie, żeby mi podać śniadanie, zdążył się ogolić, uczesać i uperfumować. Biała koszula. Nieskazitelna kurtka. Gotów przyjąć paryskiego turystę zagubionego w tej okolicy. André to był *horsain*[2], który zanim wylądował w Yport, prowadził hotel z restauracją w Bray-Dunes, gdzie jest ostatnia francuska plaża przed granicą belgijską. Lubił opowiadać, że jeździł na południe w poszukiwaniu słońca. A żeby lepiej przekonać sceptyków, codziennie wywieszał prognozę pogody: najgorsza w całej Francji! Co wieczór szukał w internecie miejsca na mapie Francji, w którym miały się rozbijać trąby wodne, szaleć najgwałtowniejsze nawałnice albo w którym rtęć termometru miała zejść najniżej. Tego ranka, było to napisane małymi literkami pod prognozą, wybrał Chaux-Neuve w kantonie de Mouthe w samym środku departamentu Jura.

W pierwszym odruchu chciałem mu powiedzieć o samobójczyni na plaży. Od piętnastu lat, odkąd prowadzi La Sirène, zna wszystkich w miasteczku. Taką ładną dziewczynę, jeśli mieszkała w Yport, na pewno mógłby zidentyfikować...

Zanim zdążyłem otworzyć usta, wyprzedził mnie i podał mi grubą brązową kopertę z papieru pakowego.

– Poczta, chłopcze!

Usiadłem na łóżku w moim pokoju nr 7. Ostatnie piętro. Widok na morze, tuż pod łupkowym dachem. Kiedy rezerwowałem La Sirène, zdawało mi się, że trafiłem na najbardziej kiczowaty hotel.

Bzdura!

Pokoje były czyste i przytulne. Zostały świeżo odnowione, na ogół na niebiesko, z gymsem w muszelki i sznurem od kotwicy przy zasłonach. Stojąc przy oknie, widziałem całe wybrzeże aż do latarni morskiej w Fécamp. Gdy siedziałem na łóżku, mogłem jeszcze obserwować górną część klifów.

Palce mi drżały, gdy otwierałem kopertę.

Kto mógł tu do mnie napisać? O moim pobycie w Yport nikt nie wiedział poza Ibou, Ophélie i kilkoma innymi dziewczynami z Instytutu Saint-Antoine. A i to... Znali nazwę miejscowości, ale nie nazwę hotelu.

Na kopercie nie było nazwiska nadawcy. Tylko moje z adresem, napisane ręcznie okrągłym pismem, kobiecym.

*Jamal Salaoui*

*Hotel restaurant La Sirène*

*7 boulevard Alexandre Dumont*

*76111 Yport*

List został nadany w Fécamp.

Tuż obok...

Strzępy papieru koloru ochry wypadły na łóżko.

Koperta zawierała około dwudziestu kartek. Rzuciła mi się w oczy pierwsza z nich. Była to fotokopia artykułu z gazety „Le Courrier cauchois”. Wydanie z Fécamp. Tytuł tłustą czcionką zajmował całą pierwszą stronę.

### **19 LAT. ZNALEZIONA MARTWA U PODNÓŻA KLIFU W YPORT**

Klify zakołysały się za oknem.

Moje palce zacisnęły się na papierze. Jakim cudem lokalny dziennik mógł już się zwiedzieć i zamknąć numer z tą informacją. Dziewczyna skoczyła niecałe trzy godziny temu, gliniarze pewnie są jeszcze na plaży i przeprowadzają oględziny zwłok.

Starąłem się zwolnić szaleńcze bicie serca. Oczy mi się uspokoiły, wpatrywały się teraz w tę kartkę i sortowały informacje. Nagle odetchnąłem trochę spokojniej. Trzymałem w rękach stare wydanie „Le Courrier cauchois”.

Bardzo stare. Sprzed prawie dziesięciu lat. Z 10 czerwca 2004 roku.

Cholera!

Po co mi ktoś przysłała fotokopię gazety z tytułem tak dawnego wydarzenia?

Drżącą ręką przerzuciłem pozostałe kartki. Wszystkie dotyczyły tej samej sprawy. Młoda dziewiętnastoletnia dziewczyna znaleziona martwa u stóp klifu w Yport. Koperta zawierała inne wycinki z gazet, lokalnych lub ogólnokrajowych, jak również dokumenty, które wydawały mi się bardziej poufne, fragmenty przesłuchań, notatki ze śledztwa prowadzonego przez lokalną żandarmerię, listy wymieniane między sędzią śledczym a kapitanem prowadzącym sprawę.

W miarę czytania tożsamość nadawcy stała się szybko najmniej ważną kwestią.

W dokumentach, które mi przysłał nieznajomy, wszystko wydawało się prawdziwe. Jednak każdy szczegół zbrodni, którą opisywały, jawił mi się jako niemożliwy do przyjęcia.

Po dziesięciu latach.

1 Groty wywiercone w klifie Etretat.

2 Osoba pochodząca z innego regionu, która zamieszkała w Normandii.

## 6

### Czy spotkałem gwałciela?

*Sprawa Morgane Avril – niedziela 6 czerwca 2004 roku*

Aspirant Maxime Baron po raz pierwszy widział trupa. Kiedy chłopcy przyszedli i ciągnęli go za rękaw, nie mógł się wymigać.

„Panie policjancie, panie policjancie, na plaży jest martwa kobieta”.

Maxime nie zdążył im wyjaśnić, że jest dopiero uczniem w żandarmerii w Fécamp, że przypadkiem znalazł się tu, na placu Jean-Paul-Laurens w Yport, że tak naprawdę nie jest na służbie, a kapitan Grima stoi na dole i czeka na otwarcie kiosku z loterią, żeby kupić fajki. Że zaraz wróci...

Musiał pójść z chłopakami.

Dziewczyna na plaży w Yport miała wgniecioną czaszkę.

Na pewno spadła z klifu. Głową w dół. Jej ładną buzię otaczała papka z mózgu.

Na oczach osłupiałych młodych ludzi, którzy stali wokół niego, Maxime najpierw wymiotował na kamienie swoje śniadanie. Następnie wytarł się wewnętrzną stroną rękawa i zadzwonił do szefa.

– Phil, mamy trupa. Na plaży. Na poziomie restauracji La Sirène i kasyna.

Maxime podniósł wzrok.

Na ścianach kasyna rozciągnięty był ogromny plakat, dwa metry na trzy.

*Festiwal Riff on Cliff*

*Godz. 19.00 – 4.00*

Pod srebrzystą gitarą fruującą w stanie nieważkości koło klifów wymieniono nazwy piętnastu regionalnych grup rockowych. Betonowy podest usłany był pustymi kufkami i butelkami.

Yport budziło się na kacu.

Kapitan Philippe Grima przybył niecałą minutę później, przez ten czas Maxime mógł jeszcze raz rzygnąć, a na plaży zrobiło się widowisko. Maxime nie był pewny, czy jego szef ma większe niż on doświadczenie z trupami. Przełożony był zaledwie pięć lat od niego starszy i dopiero co ukończył szkołę żandarmerii w Montluçon. I kumpel, i szef. Jeszcze wczoraj, spociwszy się razem w klubie squasha w Fécamp, przez dwie godziny rozmawiali o piłce nożnej, o rowerach i panienkach w barze nadmorskim, po czym Grima wrócił do domu. Kapitan był żonaty i był już tatusiem.

Pięć lat starszy... Prawie całe życie ich dzieliło.

Dowód. Kapitan Grima nie rzygał. Zachował się jak boss. Koniec kumplowania się z aspirantem Baronem, nie ośmielił się nawet na porozumiewawcze mrugnięcie okiem czy poklepanie po plecach. Wydał krótkie, wyraźne rozkazy, które Maxime skwapliwie wykonał, w najmniejszym stopniu nieobrażony z powodu oziębłości szefa, raczej dumny. Przykład! On za pięć lat?

Pierwsza rzecz, którą zrobił kapitan Grima, to poprosił aspiranta Barona, żeby wytarł sobie kącik ust i żeby odsunął gapiów. Potem wyjął z kieszeni telefon komórkowy i zrobił ze trzydzieści zdjęć. W końcu odwrócił się do zaledwie dwudziestki zgromadzonych osób, głównie młodzieży.

– Czy ktoś zna tę dziewczynę?

Był wśród nich facet w czerwonej kamizelce zapinanej na złote guziki. Wyglądał jak nadzorca plaży, który pewnie obsługiwał windę wyżłobioną w klifach. Na sercu nad żółtymi płomieniami logo kasyna w Yport miał naszyte złote litery. *Jérémy*.

– Tak, ja. Nie sposób o niej zapomnieć. Całą noc spędziła w Sea View.

Identyfikacja dziewczyny zajęła niecałą godzinę.

Morgane Avril.

Dziewiętnaście lat.

Studentka pierwszego roku medycyny.

Zamieszkała u matki, Carmen Avril, zajazd Dos d’Ane, droga Fourcarmont, Neufchâtel-en-Bray.

Porucznik Grima bez trudu odtworzył wydarzenia, które poprzedziły dramat. Morgane Avril przyjechała poprzedniego dnia wieczorem do Yport na festiwal rockowy zorganizowany przez tutejsze kasyno. Riff on Cliff. Razem z nią przyjechała jej siostra Océane i troje przyjaciół. Nicolas Gravé, Clara Bartélémy i Mathieu Picard. Clio Nicolasa Gravé z czworgiem jego pasażerów wyruszyło z Neufchâtel-en-Bray, jakieś sto kilometrów od Yport, poprzedniego dnia koło osiemnastej. Matka Morgane długo się wahała, czy wyrazić zgodę na wyjazd córek, skądinąd pełnoletnich.

Nadopiekuńczość? Obawa, troska? Przeczucie?

To był ich pierwszy wieczór w dyskotecce! Morgane wkuwała przez kilka miesięcy na uczelni w Rouen i zaliczyła pierwszy rok medycyny jako jedna z lepszych. Trudno więc było Carmen zamykać córkę w domu.

Pierwsze oględziny lekarza sądowego wezwanego na plażę pozwoliły ustalić bez cienia wątpliwości przyczyny śmierci dziewczyny. Morgane Avril została zgwałcona między piątą a szóstą rano, potem uduszona, a na koniec zrzucona z klifu w Yport.

Twarz obrzmiała, spuchnięta. Kończyny powykręcane pod wpływem uderzenia. Sukienka podarta. Bielizna zerwana. Majtki, różowe stringi, znaleziono

dopiero następnego dnia u stóp klifu, kilkadziesiąt metrów poniżej schronu, zapewne zwał je tam zachodni wiatr. Na stringach widniały ślady spermy i kilka włosów łonowych należących do gwałciciela, identycznych z tymi, które znaleziono na ciele Morgane. Natomiast ani śladu torebki dziewczyny, ani w szatni Sea View, ani na klifie, ani na plaży. Poszukiwania zajęły trzem gliniarzom dwa dni, bez jakiegokolwiek rezultatu.

Koło godziny szesnastej, czyli mniej więcej dziesięć godzin po odkryciu zwłok Morgane Avril, kapitanowi Grimie udało się przesłuchać dwudziestu trzech świadków, głównie mieszkańców Yport, którzy spędzili wieczór w Sea View. Piętnastu mężczyzn i osiem kobiet.

Festiwal Riff on Cliff zgromadził prawie tysiąc uczestników, z których większość spotkała się na wieczorze zorganizowanym w Sea View po występie ostatniej grupy. Jednak wszyscy świadkowie, bez wyjątku, potrafili dokładnie opisać Morgane Avril.

Piękna.

Powabna.

Podeksytowana.

Kapitan Grima spędził następnie kilka godzin na odczytywaniu tych pierwszych zeznań zebranych na żywo. Świadkowie byli często skrepowani, mówiąc o zmarłej, o dziewczynie, którą zgwałcił jakiś facet, zapewne jeden z tych, którzy ją nagabywali w dyskotecie. Ale wszystkie ich komentarze były ze sobą zgodne. Zarówno chłopców, jak dziewcząt.

Kokietka.

Gorąca.

Seksowna aż po stringi.

Opowiadali o jej zaimprovizowanym *lap dance* wokół jednej z dębowych belek w Sea View, o jej zmoczonej sukience lepiącej się do skóry wilgotnych piersi, kiedy wracała z toalety, jej ciało wijące się jak węgorz, jej ręce, które szarpały materiał na udach, na plecach, ślizgając się po nich, wzlatując, otwierając się. Jej spojrzenie wymierzone było w mężczyzn jak muszka strzelby snajpera.

Układna studentka medycyny się rozluźniła.

Nikt już nie widział Morgane po piątej rano. Nikt nie zauważył, kiedy wychodziła z Sea View. Nikt nie potrafił powiedzieć, czy wyszła sama, czy w towarzystwie.

Koło godziny osiemnastej kapitan Grima przyjął Carmen Avril, matkę Morgane. Rozmyślnie kazał jej czekać. Oficjalnie dlatego, że pragnął dać pierwszeństwo sprawom pilnym, rozeznąć świeże jeszcze ślady, bezpośrednie relacje. Nieoficjalnie dlatego, że w głowie mieszały mu się dwa obrazy, obraz wiotkiego martwego ciała Morgane i obraz jej ciała pożądanego kilka godzin wcześniej przez setki samców... I miał niesamowitą tremę przed poruszeniem tego

tematu w rozmowie z matką, która była zapewne prawie w tym samym wieku co jego matka.

Carmen Avril weszła. Kasa pancerna, takie było pierwsze wrażenie kapitana Grimy.

Kasa pancerna, którą trzeba sforsować.

Oczy żandarma zmierzyły beczkową sylwetkę pozapinaną na metalowe guziki zamszowej kurtki, jej sznurowane botki na ciężkich nogach. Całe ciało Carmen Avril zdawało się zamknięte na kłódkę aż po grube okulary z łańcuszkiem na karku i skórzaną torebkę z ciężką metalową armaturą. Brakuje tylko, wyobraził sobie kapitan, żeby chowała pod kurtką klucz zawieszony na szyi.

Klucz, który zawiadywał jej sercem.

Stracony na zawsze, pomyślał jeszcze Grima. Wrzucony dziś rano na dno studni!

Mężczyzna, który jej towarzyszył, wyglądał, jakby od lat nosił na sobie fatalizm jak zbyt wielki ciężar. Miał szczupłą twarz, spiczasty podbródek i ręce, które spływały wzdłuż ciała jak z gumy. Przywodził mu na myśl pana Chatouille, tego z niekończącymi się rękami, ale Grima uznał to porównanie za niestosowne w danej chwili.

Nie idą razem, pomyślał kapitan.

Wskazał dwa krzesła koło swojego biurka.

– Państwo Avril?

– Pani – odpowiedziała kasa pancerna. – Gilbert jest wujem Morgane.

Dotrzymuje mi towarzystwa.

– A ojciec Morgane?

– Morgane nie ma ojca.

– On...

Kapitan zawahał się między kilkoma możliwościami. Nie żyje. Zniknął. Wyjechał...

Carmen Avril go uprzedziła.

– Morgane nigdy nie miała ojca.

– To znaczy, że...

Kapitan nie miał pojęcia, ale wystarczająco długo przeciągał intonację, żeby Carmen Avril znowu mu przerwała.

– Sama ją wychowałam. Od dwudziestu pięciu lat prowadzę zajazd le Dos d’Ane, w Neufchâtel-en-Bray. Też sama.

Odwróciła się do brata. Jej torebka wydała odgłos podobny do szczęku łańcucha ciągniętego przez galernika.

– Zależało mi, żeby Gilbert mi towarzyszył dzisiaj. Ale zazwyczaj...

Tym razem to Grima wyszedł jej naprzeciw.

– Sama pani znosi wszelkie przeciwności. Rozumiem.

Nie kłamał. Carmen Avril była twarda jak skała, prawie niezatapialna, zrozumiał to doskonale po kilku zamienionych z nią słowach, a zresztą śledztwo miało to potwierdzić w najbliższych dniach. Carmen była instytucją w Neufchâtel-en-Bray. Poważna szefowa stołówki i uczęszczanego zajazdu, wiceprzewodnicząca towarzystwa rozwoju regionu de Bray, delegatka do spraw turystyki i kultury, przed piętnastu laty członkini rady miejskiej. Kobieta silna, aktywna, stanowcza. Nie było w jej życiu mężczyzny. Jej brat Gilbert Avril był kierowcą ciężarówki, pracował dla kompanii Gournay-en-Bray i połowę życia spędzał na promie Dieppe–Newhaven, wożąc do Anglii produkty mleczarskie w samochodzie chłodni.

Kapitan nalegał. Utkwił wzrok w Carmen. Butonierki jej kurtki zamknięte metalowymi prętami przypominały otwory strzelnicze.

– Co do ojca Morgane, to muszę wiedzieć.

Zrobiła smutną minę, która nie spodobała się Grimie.

– Mam panu powtórzyć, kapitanie? Ona nie ma ojca.

– Tak się mówi, pani Avril. Pewnie ojciec jej nie wychowywał. Ale z genetycznego punktu widzenia muszę wiedzieć, kto...

– Dziewiętnaście lat temu zrobiłam in vitro.

Grima przez chwilę się zastanawiał. Znał prawo. Zapłodnienie in vitro przeznaczone jest dla małżeństw albo par, które mogą się wykazać co najmniej dwoma latami wspólnego życia.

– Ale w tym celu trzeba być w związku, prawda?

– Nie w Belgii!

O, Boże, pomyślał Grima. Carmen Avril zrobiła sobie dwoje dzieci sama... W innych okolicznościach posunąłby się zapewne do tego, żeby jej powiedzieć, jak bardzo uważa to postępowanie za egoistyczne. Od czterech miesięcy każdej nocy budził się co trzy godziny, żeby dać smoczek swojej córeczce Loli, pięć kilo ukochanego dreszczu na jego nagim torsie, i za każdym razem błogosławił niebo, że jego kumpelka Sarah nie chciała karmić piersią.

Carmen Avril pociągnęła łańcuszek od okularów, żeby przetrzeć szkła papierową chusteczką. Trochę zaparowane. Prawie łyzy. W końcu prywatne życie Carmen Avril i jej sposób wychowania córki nie miały żadnego związku z gwałtem i zamordowaniem Morgane. Psychika matki skomplikuje mu tylko jego pracę, przeczuwał to.

– Pani Avril, będę musiał zadać pani kilka pytań na temat Morgane. Intymnych pytań.

Nagle poczuł się za młody, za ledwie trochę bardziej kompetentny niż jego aspirant Maxime. Carmen była starsza od niego o dwadzieścia lat. Grima miał dopiero kilka miesięcy euforycznego doświadczenia z córką.

– Proszę, niech pan pyta.



– Morgane miała dziewiętnaście lat. To było jej pierwsze wyjście do dyskoteki. Wielu świadków tego wieczoru opisało nam ją jako, powiedzmy...

Udawał, że szuka słów, jakby dla złagodzenia tego ostatniego, które padnie.

– Wyzywającą – rzucił.

– Wyzywającą?

W zaciśniętych dłoniach Carmen opancerzona torebka wygięła się jak rozgrzany do białości metal. Jej ciało jakby spuchło, ale żelazne pręty wytrzymały. Łańcuszek na oprawce okularów wydawał się zatrzymywać szklaną tamę przed jej oczami. Ale cała bolesć gromadziła się za wilgotnymi tęczówkami, zatapiając ją od wewnątrz.

– Wyzywająca, co pan przez to rozumie, kapitanie?

Grima oddawał się nawigacji wzrokowej. Celował do określonego przyłodka, ale nie wyliczył, ile ruchów wiosłem potrzeba, żeby do niego dotrzeć.

– Pożądana, proszę pani. Ładna. Zdolna przyciągać spojrzenia mężczyzn. Nie tylko spojrzenia. Była tego świadoma, pani to wie tak jak ja, pani Avril.

Blokada puściła. Kierowca ciężarówki wyciągnął miękką rękę, żeby uspokoić siostrę. Wykręciła się, jakby chciała go pacnąć.

– Co pan sugeruje, kapitanie? Że Morgane szukała tego, co ją spotkało? Ona została zgwałcona, kapitanie. Zgwałcona, uduszona i zrzucona z wysokiego klifu. A pan mnie tu pyta, czy ona była wyzywająca!

Grima opanował się. Pomyślał o Loli. Już była pociągająca, mając te swoje cztery miesiące. I też wyzywająca, w swoim rodzaju. Wybełkotał:

– Jesteśmy w tym samym obozie, pani Avril. Staramy się odnaleźć mordercę pani córki. Liczy się każda minuta. Morgane padła ofiarą najstraszniejszej zbrodni, nikt nie zaprzeczy. Ale potrzebne mi wszystkie świadectwa, żeby dopaść jej zabójcę.

– Świadców, którzy opowiadają, że moja córka sama tego chciała?

Kapitan Grima, nie wiedząc dokładnie, dlaczego to robi, wstał.

– Pani Avril... Spróbuję mówić jasno, mamy tylko dwie możliwości. Albo morderca pani córki jest zbrodniarzem, chorym umysłowo, który spotkał tej nocy Morgane na zewnątrz, może na parkingu kasyna albo na plaży w świetle latarni. W takim przypadku nie mamy prawie żadnego sposobu zidentyfikowania tego nieznajomego, którego pewnie nikt nie widział. Albo, druga możliwość, zabójca Morgane znajdował się w dyskotecie kasyna wczoraj wieczorem, spotkał Morgane, tańczył na tym samym parkiecie, może nawet z nią rozmawiał. Mogli wyjść z dyskoteki razem, Morgane mogła z nim pójść z własnej woli. Później sprawy źle się potoczyły, tu się zgadzamy. Ten facet jest potworem, a Morgane najniewinniejszą w świecie ofiarą. Ale proszę mnie zrozumieć, pani Avril, ta druga hipoteza znacznie skraca listę możliwych winowajców.

Carmen Avril nie zareagowała. Otworzyła torebkę ze skóry i żelaza i znowu

wyjęła z niej papierową chusteczkę, której nie miała odwagi przytknąć do oczu. Grima znowu pomyślał o zbieżnych zeznaniach.

Morgane wyginająca się przy dębowej belce. W majtkach, z piersią wystającą z sukni, strategicznie źle dopasowanej. Najpiękniejsza dziewczyna w Sea View... Grima nie mógł dostarczyć tych szczegółów jej matce. Nie od razu. Nie teraz. Zrobił częściowy obrót.

– Powiem pani jeszcze więcej, pani Avril. Wszyscy, którzy znali Morgane, nam to potwierdzili, ona była dziewczyną przyzwoitą, pracowitą, rozsądną. Ten udział w festiwalu to była nagroda za cały rok intensywnej pracy... Czy według pani Morgane przywiązywała jakąś szczególną wagę do tego festiwalu? Czy było to dla niej coś w rodzaju... – Grima szukał najbardziej odpowiedniej metafory... – oczekiwanego od dawna pierwszego doświadczenia?

Carmen zastrzeżiła go wzrokiem.

– Czy ona za wszelką cenę starała się stracić dziewictwo, to pan sugeruje? Niech pan nie mówi ogródkami, kapitanie. Że chciała się oddać pierwszemu lepszemu, tak?

Grima potrząsnął głową i dopowiedział:

– Mogła trafić na złą osobę... Jeżeli przystała na to, żeby pójść z nieznajomym, łatwo możemy ustalić jego tożsamość.

Wydawało się, że pod pancerzem kurtki wybuchnie zaraz pijany z wściekłości potwór. Kapitan uznał, że sprawę może załagodzić komplement, tym bardziej że był szczery.

– Pani córka była ładna, pani Avril. Bardzo ładna. Pewnie najładniejsza tego wieczoru. Niech pani spróbuje podążać za moim rozumowaniem, to ważne. Morgane miała bardzo duży wybór. Mogła sobie wybrać chłopca. Jeśli to ona wybrała swojego zabójcę, a nie na odwrót, odnajdziemy go. Łatwo go odnajdziemy.

Carmen Avril podskoczyła na krześle. Wszystkie łańcuchy zerwane. Dając upust swojej wściekłości.

– Wybrała swojego zabójcę? Czy dobrze usłyszałam, kapitanie? Wybrała swojego zabójcę! Niech pan mnie dobrze posłucha, Grima, moja córka nie poszła z nikim! Moja córka nie była chętna. Moja córka została zgwałcona. Rozumie pan? Zgwałcona, uduszona i zrzucona w przepaść jak padnięte zwierzę.

Philippe Grima pomyślał znowu o ciepłym ciałku swojej malutkiej Loli. Wychowywać córkę przez dziewiętnaście lat, żeby...

Tak, rozumiał. Oczywiście. Właśnie dlatego chciał jak najszybciej zapuszkować tego faceta.

– Chcę tylko znaleźć tego drania, który jej to zrobił...

Pan Kauczuk, nie wstając, wyciągnął długą jak wierzbowa gałąź rękę, żeby pociągnąć Carmen za rękaw. Carmen postąpiła krok naprzód, żeby uniknąć

kontakty z ręką brata, i zmierzyła wzrokiem kapitana Grime.

– Jest pan młodym niekompetentnym wałem.

Sekcja Morgane Avril odbyła się nazajutrz.

Potwierdziła znane już szczegóły. Morgane Avril została zgwałcona między piątą a szóstą rano, potem uduszona, potem zrzucona ze szczytu klifu w Yport. W tej kolejności. Biegli potwierdzili, że zapewne nie żyła już, zanim spadła w przepaść. W pochwie Morgane lekarze sądowi znaleźli ślady spermy, którą zidentyfikowali, biorąc pod uwagę chronologię wydarzeń, jako należącą do gwałciciela.

Była to świetna wiadomość dla kapitana Grimy. Kolejnym etapem byłoby sprawdzenie DNA wszystkich facetów obecnych na festiwalu Riff on Cliff i w Sea View, a nawet wszystkich dorosłych mężczyzn z Yport. Kilka gazet rozwodziło się na temat podobieństw ze sprawą Caroline Dickinson z 1996 roku, kiedy to zgwałcono angielską gimnazjalistkę w Bretanii. Wszyscy mężczyźni z Pleine-Fougères musieli udostępnić swój materiał genetyczny... Potem wszyscy możliwi podejrzani w Bretanii i spoza niej, ponad trzy tysiące pięćset osób żyjących na wolności, które w przeszłości były skazane za przemoc seksualną. Czy jakiś sędzia osiem lat później miałby odwagę uruchomić taką maszynię w Normandii?

Sekcja wykazała inne szczegóły, dokładnie dwa, bardziej zadziwiające, ale zarówno jeden, jak i drugi wzmacniały hipotezę kapitana Grimy.

Przede wszystkim Morgane Avril, zanim została zgwałcona i zabita, wykapała się w morzu. Nago. Lekarze sądowi twierdzili z całą pewnością, że ślady jodu i soli nie ulegały wątpliwości. Najpierw się kąpała, potem z powrotem włożyła sukienkę. Została zgwałcona dopiero później. Kapitan Grima odwrócił głowę w stronę portu Fécamp, czytając raport. Ten element stanowił jeszcze jedną część w przekładni zębatej, którą sobie wyobrażał. Morgane idzie z nieznajomym, którego roznamiętniła w Sea View. Podnieca go jeszcze bardziej. Kąpiel o północy, oboje nago, z dala od spojrzeń ciekawskich. Dopiero potem sprawa przeradza się w dramat. Morgane się ubiera, postanawia, że już wystarczy, daje nieznajomemu całusa, a tamten traci głowę.

Drugi szczegół był jeszcze dziwniejszy. Gwałciciel nie udusił Morgane Avril rękami, udusił ją szalikiem. Sekcja wykazała nawet więcej szczegółów: włókna pobrane z szyi ofiary były wystarczająco rzadko spotykane, włókna czerwonego kaszmiru w kilku odcieniach, wyjątkowej jakości – biegli bez trudu rozpoznali ich pochodzenie: szalik w kratkę marki Burberry, jedynej, która oferuje ten luksusowy model.

Kawałek materiału wart czterysta dwadzieścia pięć euro.

*Czerwony szalik...*

Kapitan Grima gwizdnął przez zęby.

Kleszcze szybko się zacisną wokół gwałciciela. Chyba niewielu młodych mieszkańców Yport nosi coś takiego na szyi.

\*\*\*

Podniosłem oczy.

Jeszcze raz przeczytałem strony pisane na maszynie, artykuły prasowe, raport żandarmerii, wszystkie szczegóły śledztwa przekazane przez kapitana Grimę.

*Dziewiętnastoletnia dziewczyna zgwałcona, uduszona i zrzucona ze szczytu klifu w Yport.*

*Prawie dziesięć lat temu. W czerwcu 2004 roku.*

*Po morskiej kąpieli, nago.*

*Uduszona czerwonym kaszmirowym szalikiem Burberry?*

Wydawało się, że pokój kręci się wokół mnie. Mój laptop znajdował się na stole. Podłączony.

Wystukałem gorączkowo w wyszukiwarce kilka kluczowych słów.

*Morgane Avril. Gwałt. Yport.*

Google poszukiwał odpowiedzi niecałą sekundę, po czym plunął mi nią w twarz: dziesiątki artykułów poświęconych sprawie Morgane Avril. Przejrzałem streszczenia. Żadnych wątpliwości, wszystko dokładnie się zgadzało na stronach, które właśnie przeczytałem.

Wstałem. Klify za oknem naigrawały się ze mnie. Owce pasły się spokojnie koło schronu, tak jakby rano nie wydarzył się żaden dramat. Jakby ta scena mi się przyśniła, scena, która miała się rozegrać nie kilka godzin temu, lecz dziesięć lat temu.

Szalałem.

Schwyciłem znowu kopertę i położyłem palec na pieczęci.

*Fécamp*

*godz. 17.43*

*18 II 14*

*Francja*

Ktoś wysłał mi ten list z Fécamp wczoraj!

A więc ktoś, kto wiedział, że spotkam tę dziewczynę na klifie następnego dnia. Ktoś, kto wiedział również, że ta dziewczyna umrze w tych samych okolicznościach co tamta dziesięć lat temu, z jednym tylko wyjątkiem... Ta nie została zrzucona martwa ze szczytu klifu jak Morgane Avril, lecz skoczyła żywa z własnej woli.

Psiakrew, to nie miało żadnego sensu.

Kto by się mógł domyślić? Jak? Dlaczego?

Popatrzyłem na nieskazitelnie pościelone łóżko, bez jednej fałdki, poduszki ułożone przy niebieskiej tapecie pokoju.

Nie, nie śniło mi się to! Wprost przeciwnie. Tarcza budzika, świecąca, zielona, przypominała mi to jak rozkaz.

Godzina 12.53.

Zdażyłem złapać autobus o 13.15, żeby nie spóźnić się na spotkanie z Pirozem w żandarmerii w Fécamp.

## Udużona czerwonym kaszmirowym szalikiem Burberry?

Pokonałem trzy stopnie przed wejściem do żandarmerii w Fécamp. W recepcji dziewczyna o oczach tak niebieskich jak kołnierzyk jej bluzki powitała mnie uśmiechem stewardesy.

– Jestem umówiony z kapitanem Pirozem.

Miała głos niczym syrena przyciągająca do sieci żandarmerii wszystkich młodych próżniaków z okolicy.

– Ostatnie drzwi na prawo, łatwo pan znajdzie, jest na nich jego nazwisko.

Wszedłem do czegoś w rodzaju przedpokoju zastawionego fotokopiarką i metalowymi szafami uginającymi się pod stosami dokumentów. Ściany były wytapetowane plakatami „I ty możesz zostać żandarmem”. Szedłem dalej długim korytarzem. Faceci w mundurach uwijali się przed komputerami. Koło drzwi ustawiony był rząd krzeseł.

Atarax siedział dwadzieścia metrów przede mną. Miał na sobie tę samą skórzaną kurtkę, którą nosił rano. Usiadłem koło niego. Uśmiechnął się do mnie, szerzej niż przedtem.

– Denise już tam jest – powiedział. – Arnold też... Po niej ja wchodzę.

Odwzajemniłem mu uśmiech, po czym nie wypowiedzieliśmy już ani słowa. Usiłowałem sobie przypomnieć jego prawdziwe nazwisko, to, które podał gliniarzom rano. Po kilku minutach już wiedziałem. Ale nazwisko, że tylko w łeb sobie strzelić! Facet, który wygląda jak ofiara systemu, nazywa się Le Medef[3]. Christian Le Medef.

Czekaliśmy. Brakowało tylko niskiego stolika z „Le Figaro Magazine” i „Paris Match”. Powstrzymałem się przed otwarciem swojego iPhone’a i przejrzaniem internetu. Miałem straszną ochotę dowiedzieć się czegoś więcej o sprawie Morgane Avril. Nie wiedziałem, kto mi przysłał list do La Sirène, ale żandarmi na pewno musieli skonfrontować bieżącą sprawę z tą starą, tę serię punktów wspólnych.

Gwałciciel w czerwonym szaliku powracał po dziesięciu latach.

Atarax, zniecierpliwiony, patrzył ciągle na zegarek. Po korytarzu chodzili tam i z powrotem żandarmi. Trochę dalej, koło automatu z kawą dostrzegłem jedną z nielicznych tu postaci kobiecych, dziewczynę odwróconą plecami. Wrzucała nerwowo do maszyny monetę, która za każdym razem wyskakiwała. Nosila obcisłe dżinsy, które podkreślały jej ładne pośladki, rude włosy miała związane w koński ogon, który opadał kaskadą na kark. Zaintrygowała mnie. Kto dziś nosi jeszcze

koński ogon? Z niecierpliwością czekałem, żeby odwróciła głowę, chciałem zobaczyć jej twarz.

Nic z tego! Wciąż pokazywała mi plecy, a tymczasem otworzyły się drzwi do gabinetu Piroza. Denise wyszła z Arnoldem pod pachą. Był on jedynym świadkiem dramatu, który zmienił ubranie i obnosił się teraz z eleganckim żakardowym czerwono-niebieskim sweterkiem, prawie w kolorach żandarmerii narodowej. Piroz ją odprowadził, uścisnął jej dłoń.

– Panie Le Medef. Teraz pan...

Atarax i Piroz zniknęli za drzwiami, które kapitan zamknął za sobą. Denise, głaszcząc wciąż Arnolda jak dziecko, jak chorowite dziecko, które wychodzi od lekarza, utkwiała we mnie jasne oczy.

– Ma pan czas, to potrwa dobry kwadrans. Wszystko chcą wiedzieć, nawet to, czego nie widzieliśmy.

Pomarszczone dłonie Denise zniknęły w sierści jej shih tzu, a cały czas przebierała nogami, jakby natychmiast musiała oddać mocz.

Albo coś mi powiedzieć.

Nachyliła się do mnie powoli, rzucając kątem oka spojrzenie na żandarmów, którzy przechodzili z jednego pokoju do drugiego.

– Wybacz mi, chłopcze. Musiałam powiedzieć im prawdę.

*Prawdę?*

Miałem chyba minę prawdziwie osłupiałego.

Denise pochyliła się jeszcze bardziej.

– Pamiętasz, rano powiedziałeś policjantowi, że widzieliśmy, jak dziewczyna skoczyła. Wszyscy troje. Bardzo nas o to wypytywali. No więc musiałam uściślić.

Poprawiła Arnoldowi sweterek w chwili, gdy obok nas przechodził żandarm, potem mówiła dalej, prawie szeptem.

– Ja nie widziałam, jak ona skoczyła. Widziałam, jak upadła, rozbiła się na kamieniach, tego jestem pewna, myślę, że tak samo ten pan, co jest u kapitana. Ale nie widziałam, jak skoczyła! Zresztą z tego miejsca, w którym byliśmy, nie można było widzieć tego, co się działo na górze klifu, żandarmi to sprawdzili.

Patrzyła na mnie dziwnie, tak jakbym był Żydem, którego ona wydała w ręce Gestapo, z fałszywie przepraszającą miną dzielnej kobiety, która tylko spełnia swój obowiązek.

– Rozumiesz, chłopcze, nie mogłam powiedzieć niczego innego.

Przyjąłem postawę, której ode mnie oczekiwała, łagodnego chłopca.

– Oczywiście. Niech się pani nie przejmuje. Może pani być spokojna, śledztwo nie zajdzie daleko, to... to było samobójstwo.

Denise wstała i wpatrzyła się we mnie jeszcze bardziej intensywnie, prawie nie dowierzając, jakbym był najbardziej naiwnym facetem na świecie. W końcu postawiła Arnolda na ziemi i się oddaliła. Shih tzu poszedł za nią, obwąchując

każde drzwi po drodze jak szpicel amator, zachwycony, że zwiedza siedzibę zawodowców.

Wyciągnąłem swoją sztywną nogę. Wszystko mi w głowie buzowało.

Naprzeciw mnie ruda dziewczyna wreszcie zapanowała nad automatem. Odwróciła się z uśmiechem. Jej spojrzenie na ćwierć sekundy zatrzymało się na moim, nie zeszło nawet poniżej mojego kolana. To było nietypowe, pewnie tak jak spojrzenie chłopaka na dziewczynę, które by nie zeszło na jej piersi.

Przeszła koło mnie z kubkiem w ręce, po czym jej ładna pupa zniknęła w kącie korytarza. Była urocza, twarz miała usianą piegami, trochę jak Marlène Jobert w młodości. Taka bezwstydną facjata do ogłupiania gliniarzy.

– Pan Salaoui?

Odkąd Atarax wszedł do pokoju, upłynęło co najmniej dwadzieścia minut. Minęliśmy się bez słowa w drzwiach i teraz ja zagościłem w gabinecie kapitana Piroza.

– Niech pan siada, panie Salaoui.

Posłuchałem. Przede mną na biurku Piroza, na mahoniowym cokole, stała ogromna makietka żaglowca z trzema masztami.

Kapitan cały się nadał.

– Dokładna reprodukcja „Etoile de Noël”! Dundee zbudowany w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku, jeden z ostatnich *terre-neuvas*, który wyruszył z Fécamp przed drugą wojną światową. Mojego pradziadka! Widzi pan, nie odmładza nas to.

Czy Piroz sam wykonał tę makietę?

Kolejny raz wyglądałem chyba na prawdziwego kretyna. Pamiętałem, że kiedyś na Boże Narodzenie dostałem skrzynkę Meccano z firmy, w której moja matka pracowała w stołówce. Motocykl długości piętnastu centymetrów, który jeździł, kiedy się go brało w dwa palce i puszczało po dywanie. Super! Miałem dwanaście lat i w każdy weekend naprawiałem już yamahę VMAX mojego kuzyna Latifa.

– Trzysta godzin roboty! – ciągnął Piroz. – Muzeum Rybołówstwa zamówiło u mnie inny, „Le Dauphin”, ostatni trawler rybacki z Fécamp. Całe miasto oplakiwało ten statek, ale poczekają do mojej emerytury, żebym się wziął do makiety. Za niecały rok. Chyba wytrzymają, prawda?

Skinąłem głową, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Piroz pogładził dłonią włosy, odgarniając je do tyłu.

– Ale co tam pana obchodzi moje makiety, hę, Salaoui? Stary gliniarz, ledwie się nadaje, by go zaprosili na kolację dla głupców, pewnie tak pan sobie myśli?

Nie raczyłem odpowiedzieć. Czekałem. Domyślałem się, że Piroz nie improwizował żadnej repliki. Na jego biurku, za trójmasztowcem piętrzyły się akta



spraw. Nie mogłem odczytać nazwiska napisanego markerem na ciemnozielonej teczce leżącej na samej górze.

Linie na czole Piroza gwałtownie się wydłużyły.

– To nie samobójstwo, panie Salaoui.

Przyjąłem tę informację jak policzek. Piroz działał na czas, nie dał mi złapać oddechu.

– Zidentyfikowaliśmy ofiarę.

Otworzył zieloną teczkę i podał mi fotokopię dowodu osobistego.

– Proszę, Salaoui, w końcu to nie jest poufne.

Mój wzrok zatrzymał się na recto i verso dowodu osobistego widniejących na tej samej stronie.

*Magali Verron*

*ur. 21 stycznia 1995 roku*

*w Charlesbourg, Québec*

*wzrost 173 cm*

*znaki szczególne: brak*

Zarejestrowałem informacje.

– Niestety, kapitanie. Nigdy nie słyszałem o tej dziewczynie.

Piroza jakby wcale nie obchodziła moja wypowiedź, czytał dalej dossier.

– Pracowała w rejonie Hawru jako reprezentant dużej firmy farmaceutycznej. Wczoraj spotkała się z dziesięcioma medykami z kantonu Fécamp i Criquetot-l'Esneval. Według jej kalendarza służbowego miała jeszcze odwiedzić drugie tyle. Przypuszcza się, że chyba spała w Yport albo w pobliżu, ale na razie nie ma żadnego śladu jej pobytu w miejscowych hotelach.

Piroz przewrócił jedną kartkę dossier, po czym podniósł oczy na mnie, jakby chciał sprawdzić, że jestem pilnym uczniem.

– Natomiast powiązanie faktów od dziś rana jest dość jasne. Magali Verron kąpała się w morzu około piątej rano. Została zgwałcona później, przed szóstą, lekarze sądowi stwierdzają to z całą stanowczością. Ślady spermy w pochwie, ciało fioletowawe, sukienka podarta. Ale wciąż nie znaleziono jej majtek, prawdopodobnie ciemnopomarańczowych, dobranych do biustonosza koloru fuksji. Szukamy. Podobnie jak jej torebki. Ani śladu.

Każde słowo Piroza stukało w mojej głowie.

Oczywiście przeprowadził porównanie z morderstwem Morgane Avril sprzed dziesięciu lat. Każdy szczegół był niezwykle podobny. Gwałt. Miejsce i godzina ataku. Wiek ofiary. Kąpiel w morzu. Nieodnalezione majtki.

Oprócz jej śmierci...

Odkaszniałem, żeby się wtrącić i przejść do sprawy Avril, ale kapitan Piroz machnął ręką, żeby zaznaczyć, że jeszcze nie skończył.

– Magali Verron najpierw została zgwałcona, a potem uduszona. – Zrobił długą pauzę. – Szalikiem, który znaleziono na jej szyi. Pamięta pan? Czerwony kaszmirowy szalik w kratkę, to coś w rodzaju szkockiej kratki, tego się przynajmniej dzisiaj dowiedziałem. Szalik marki Burberry. Rzecz, która kosztuje fortunę. Jak panu powiem ile, Salaoui, chyba pan nie uwierzy!

3 MEDEF – skrót od Mouvement des Entreprises de France, dosł. Ruch Przedsiębiorstw Francuskich. Jest to największa we Francji federacja pracodawców (przyp. tłum.).

## 8

### Chyba pan nie uwierzy?

Kapitan Piroz zmoczył palec w ustach i dotknął nim lakierowanego kadłuba „Etoile de Noël”, żeby zetrzeć jakiś niewidzialny pyłek.

Nie poprosiłem go, żeby powtórzył.

Nie zapytałem go, czy jest pewny ekspertyzy lekarzy sądowych, czy mogą oni na serio twierdzić, że Magali Verron zmarła od uduszenia tym czerwonym szalikiem, zanim spadła z klifu.

Nie powiedziałem niczego, co mogłoby obudzić jego nieufność. Po prostu zachowałem milczenie i jeszcze raz przesuwalem przed oczami obrazy wydarzeń z tego ranka. Szalik Burberry wiszący na drucie kolczastym na szlaku turystycznym, moja ręka, która się waha, potem zdejmuję go z ogrodzenia, ta sama ręka, która rzuca go Magali, ręka Magali, która go łapie, ciągnie, wymyka się. Ten sam szalik sto dwadzieścia metrów i cztery sekundy niżej owinięty wokół jej szyi.

*Mów o tym!*

Jakiś głos w mojej głowie mi to nakazywał.

Mów o tym szaliku! Opowiedz wszystko temu gliniarzowi. Są pewnie na tym kawałku materiału odciski gwałciciela, ale są też twoje. Gliniarze niechybnie je znajdą...

– Kapitanie Piroz...

Przełknąłem ślinę.

Co powiedzieć?

Że Magali owinęła sobie szyję szalikiem, rzucając się z klifu? Wyjawić, że byłem ostatnim, który dotykał tego skrawka materiału? To by się równało oskarżeniu mnie o gwałt. O zabójstwo. Wpakowaniu się w najgorsze gówno.

– Tak, panie Salaoui?

Encefalogram płaski na czole Piroza. Czekał z klinicznym chłodem.

– Ja...

Za długo się wahałem. Nie mogłem już skoczyć na głęboką wodę. Zalewały mnie argumenty skłaniające do milczenia. Piroz mówił o śladach spermy, krwawych wybroczynach na skórze Magali Verron, śledczy zidentyfikują materiał genetyczny gwałciciela w niecały tydzień, na pewno będzie taki sam jak zabójcy Morgane Avril dziesięć lat temu. Zostanę więc uniewinniony. Wtedy będzie odpowiedni moment, żeby opowiedzieć moją wersję.

W jednej chwili się zdecydowałem, opowiedziałem się za zmianą kursu. Zaatakować, żeby odwrócić uwagę.

– Kapitanie Piroz, mam do pana jedno pytanie. Nie uważa pan, że ta historia dziwnie przypomina sprawę Morgane Avril? Yport. Czerwiec dwa tysiące czwartego roku. Chyba coś to panu przypomina, prawda?

Piroz zainkasował. Zapewne nie przewidział, że cios przyjdzie tak szybko, ale skontrował.

– Pan pamięta tamtą sprawę, panie Salaoui?

Improwizowałem. Na razie nie było mowy, żebym mu powiedział o liście, który dostałem.

– Po dziesięciu latach mieszkańcy Yport mówią tylko o tym! Trudno nie dostrzec takich zbieżności, kapitanie, prawda? Gwałt, kąpiel morska, podarta czerwona sukienka...

Zawahałem się, trochę za długo, czy dalej wymieniać.

– Czerwony kaszmirowy szalik – dorzucił Piroz. – Jedyna i taka sama broń w obu zbrodniach... – Popatrzył mi prosto w oczy. – Oczywiście, panie Salaoui, skonfrontowaliśmy ze sprawą Morgane Avril. Pracujemy nad tym, niech mi pan wierzy... Ale jak pan wie, to historia sprzed przeszło dziesięciu lat... W obecnej chwili będziemy się skupiać na zabójstwie Magali Verron.

Piroz przewrócił kolejną kartkę w swoim dossier, jakby po to, żeby mi dać czas do namysłu. Podjąłem wątek najszybciej jak mogłem:

– Kiedy spotkałem Magali na klifie w Yport, była żywa. Chyba przeszkodziłem jej gwałcicielowi, nie zdążył jej udusić. Nie do końca...

Kapitan popatrzył na mnie przez długą chwilę. Czoło zmarszczyło mu się w V, tworząc strzałkę w kierunku ekspertyz medycznych w jego dossier.

– Nie jest to wymarzona wersja lekarzy sądowych, panie Salaoui. Uważają oni raczej, że Magali umarła od uduszenia, a dopiero później została zrzucona na kamienie...

Piroz zafundował sobie wreszcie uśmiech, po czym dopowiedział:

– Ale przyznaję, że jest wątpliwość. To się rozgrywa w ciągu kilku minut. Porozmawiajmy o tym wszystkim. Oni zmiękną. My też, panie Salaoui. Potrzebuję możliwie jak najdokładniejszego opisu Magali Verron, takiej, jaką pan spotkał rano.

Kapitan chłonał każdy szczegół. Dokładne miejsce, rozdarcia sukienki, kilka słów wypowiedzianych przez Magali.

*Niech się pan nie zbliża.*

*Jeśli robi pan choćby najmniejszy krok... skoczę...*

*Nie może pan tego zrozumieć. Niech pan idzie dalej swoją drogą.*

*Niech pan odejdzie! Szybko.*

Również spojrzenie Magali, każdy jej gest.

Piroz wszystko notował, trwało to przeszło dziesięć minut.

– Dobrze. Bardzo dobrze, panie Salaoui.

Pochylił się do przodu i końcem palca przesunął do drążka „Etoile de Noël” sternika wielkości pięciu milimetrów ustawionego lekko bokiem.

– Teraz, jeśli pan pozwoli, pomówimy trochę o panu.

Podniósł jedną kartkę z zielonego dossier. Rozpoznałem logo ITEP, Instytutu Saint-Antoine.

*Cholera!*

Piroz przyparł mnie do muru.

– Pan pracuje w zakładzie dla obłąkanych, panie Salaoui?

– Nie, kapitanie! W Instytucie Terapii i Edukacji. Nie przyjmujemy stukniętych dzieciaków, zajmujemy się tylko dziećmi z zaburzeniami charakterologicznymi.

– Należy pan do personelu wychowawczego?

– Nie, kapitanie.

– Terapeutycznego?

– Też nie. Zajmuję się konserwacją. Samochody, klamki do drzwi, spłuczki, takie rzeczy. Budynek osiemset metrów kwadratowych, trzy razy większy ogród, sześć jumperów.

Kapitan podniósł pióro, nie interesowały go moje szczegóły.

– Od dawna pan jest w Instytucie Saint-Antoine?

Zapytał „Od dawna pan jest”, a nie „Od dawna pan pracuje”. Rozumiałem tę insynuację. Miałem już dość tej zabawy w chowanego. Moja sztywna noga jeździła nerwowo po posadzce gabinetu.

– Powiem panu wprost, kapitanie. Nie spędziłem dzieciństwa w tym Instytucie. Nie jestem znikowanym dzieciakiem, z którym nie wiadomo było, co zrobić, gdy skończył osiemnaście lat. Jestem absolwentem technikum budowlanego. Zostałem zatrudniony sześć lat temu.

Piroz dmuchnął w kierunku dużego masztu na biurku, jakby chcąc usunąć kurz. Przez chwilę obserwował nadymające się papierowe żagle, potem znowu zanurzył się w notatkach.

– Doskonale. Praca w ramach kontyngentu zatrudnionych osób niepełnosprawnych w dwa tysiące ósmym roku. Pana pracodawcy podali mi wszystkie szczegóły.

Ten drań szukał guza. Z jego zachowania łatwo odgadywałem jedyne elementy, które zapamiętał z mojego profilu, jakby je pogrubiał fluorescencyjnym markerem.

*Jamal Salaoui*

*Arab. Kaleka. Pracuje u wariatów...*

*Idealny profil gwałciciela.*

Na liście codziennych oprawców do występnych bogów, do nauczycieli sadystów i do faszyzujących szefów należało dodać gliniarzy reakcjonistów...

Piroz brnął dalej.

– Panie Salaoui, nie mieliśmy dużo czasu od rana, ale mimo to udało nam się zadzwonić do pana bezpośredniego przełożonego, pana Jérôme’a Pinellego.

– On jest na urlopie!

Piroz pokazał mi po raz pierwszy swoje pożółkłe zęby. Prawie uśmiech.

– Złapałem go w Courchevel. Podchodził właśnie przez La Tania w kierunku czarnego szlaku Jockeys. Potwierdził mi wszystko.

*Co potwierdził ten idiota?*

Teraz ja z kolei piorunowałem go wzrokiem.

– Pańską tożsamość, panie Salaoui. Pana stanowisko w Instytucie Saint-Antoine. Punkt dla pana, nie ma pan kartoteki sądowej, nie sposób pracować z młodzieżą w wyspecjalizowanym zakładzie bez czystej kartoteki. Niemniej jednak...

Miałem dziką ochotę zwalić jednym prztyczkiem wszystkie malowane karły, które się wałkonily na pokładzie „Etoile de Noël”.

– Niemniej jednak?

– Jérôme Pinelli wysunął wątpliwości.

*Co ten idiota znowu wymyślił?*

– Wątpliwości?

– Mówił mi o Ophélie Parodi. Piętnastolatce przyjętej do zakładu osiemnaście miesięcy temu.

Głupia ciota! Wyrzucać mi to, z przypiętymi nartami, w okularach przeciwsłonecznych przyśrubowanych do dupowatej gęby.

Piroz mówił dalej. On i Pinelli musieli natychmiast dojść do porozumienia.

– Powiedział między wierszami, że pan jest bardzo blisko z tą małą Ophélie, o wiele za blisko zdaniem psychologów z Instytutu. Że kilka razy był pan z tego powodu przywoływany do porządku...

Nie, nie prztyczek w lakierowane karły, lepiej walnąć w trzy maszty statku, dla samej przyjemności zobaczenia, jak Pirozowi eksploduje gęba.

*Strike!*

Zachowałem jednak dziwny spokój. Może zadziałał uspokajający obraz Ophélie.

– Trzeba, żeby pan zmienił źródła. Szef działu kadr nie zawsze jest na tyle kompetentny, żeby opowiadać o zatrudnionych, mam wielu innych kolegów, którzy podadzą panu wersję bardzo różną od wersji Jérôme’a Pinellego. Ale... ale nie rozumiem w ogóle, jaki jest związek między moją pracą w ITEP a śmiercią Magali Verron. Niech pan to jasno powie, kapitanie. Jestem oskarżony? O co? Że zepchnąłem tę dziewczynę z klifu? Że ją zgwałciłem, skoro o tym mowa?

Piroz przeciągnął powoli ręką po włosach. Ten drań już od dobrej chwili oczekiwał takiej reakcji z mojej strony. Zdażył jeszcze zamknąć to zielone dossier.

– Spokojnie. Spokojnie, panie Salaoui. Jak na razie jest pan tylko głównym świadkiem w sprawie, powiedzmy, co najmniej skomplikowanej. Jedynym, który widział, jak Magali Verron skoczyła w dół z własnej woli, jedynym, który mówi o samobójstwie, co stoi w sprzeczności z główną tezą biegłych...

– „Jak na razie”?

– Niech pan dobrze zrozumie, panie Salaoui. Wziąwszy pod uwagę wszystkie dostępne mi elementy, najrozsądniejszym rozwiązaniem dla prowadzącego śledztwo byłoby zastosować w stosunku do pana środek zapobiegawczy.

Opadłem na krzesło jak ogłuszony.

– Szybko pan biega, panie Salaoui, nawet na jednej nodze, jest to napisane w pańskim dossier. Jeżeli jest pan gwałcicielem, a ja pozwolę panu się wymknąć...

Piroz czuł, że uzyskał przewagę. I skwapliwie z niej korzystał.

– A więc zanim mnie pan oskarży o nękanie, panie Salaoui, niech pan dobrze oceni sytuację. *Swoją* sytuację! Ja zaryzykuję i pozostawię pana na wolności, poczekam kilka godzin, żeby porównać w tym czasie kilka materiałów genetycznych. Chcę pana widzieć w tym gabinecie jutro o czternastej.

Zerwał się jednym ruchem, schwycił zieloną teczkę, obszedł biurko i stanął za mną.

– Co się panu stało, panie Salaoui?

– Jak to?

– No, znaczy, w nogę.

Nie podobał mi się sposób, w jaki na mnie patrzył.

Na biurku Piroza na stosie dossier znalazła się pojedyncza kartka. Zaintrygowała mnie. Była biała, wyjąwszy tabelę z czterema polami, w których zapisano osiem cyfr.

2/2

3/0

0/3

1/1

Jakaś matematyczna łamigłówka? Czyżby w ostatnich miesiącach przed emeryturą Piroz zajmował się rozwiązywaniem sudoku?

– Nie odpowiedział mi pan, panie Salaoui.

Musiałem wykręcić szyję, żeby z nim rozmawiać.

– Ciemna sprawa, kapitanie. Gliniarz mnie postrzelił. Wychodziłem ze skoku na bank BNP przy ulicy Soufflot w piątym arrondissement w Paryżu. Już wtedy

szybko biegałem, ale okazało się, że nie dość szybko. Mam czystą kartotekę, bo mnie nie rozpoznano. Byłem w masce Betty Boop...

– Pan sobie ze mnie kpi?

– Usiłuję oddramatyzować.

Piroz wzruszył ramionami, podszedł i otworzył szufladę.

– Proszę, à propos Betty Boop...

Wcisnął mi do rąk starego „Playboya”.

– Przejdzie się pan do sąsiedniej sali i napełni pan próbkę...

– Spermą?

– Tak. Nie chantilly.

Polecenie Piroza wydawało mi się wprost surrealistyczne.

– To zwyczajna procedura?

– Co pan chce, Salaoui? Żebym panu potrzymał?

– A jeśli odmówię?

Kapitan westchnął.

– Jaki miałby pan w tym interes, żeby odmawiać, skoro to nie pańską spermę znaleziono w waginie Magali Verron? Wyciągnie pan również ręce do mnie, muszę osobiście obciąć panu kawałek paznokcia i włosy.

Zwinąłem „Playboya” w rulon. Słusznie mówił. Nie miałem sobie nic do zarzucenia. Wszystko się jeszcze wyprostuje, kiedy porównają moje DNA z materiałem gwałciciela. Piroz, Pinelli i wszyscy inni będą musieli wtedy odszczekać swoje insynuacje...

Tak przynajmniej sądziłem.

Jak mógłbym wtedy pomyśleć coś przeciwnego?

Moja sperma, moje włosy, moje paznokcie...

Nic z tego nie dotknęło ani nawet nie zbliżyło się do tej dziewczyny.

Od tamtej pory znowu dużo myślałem o spojrzeniu Denise, kiedy powiedziałem jej o samobójstwie Morgane Avril. O tym spojrzeniu, w którym odczytywałem jej konsternację wywołaną odkryciem, że jestem taki naiwny...

Miała rację.

*Naiwny...*

Być niewinnym, nie zrobić niczego złego, nie mieć sobie nic do wyrzucenia, to nie wystarczy.

*Nie ma dymu bez ognia.* Nieważne dowody, nieważna prawda, wątpliwość zawsze się wciśnie.

Mimo wszystko.

*Mimo waszych...*

Bo jak się dobrze zastanowić, czyż nie jest łatwiej uwierzyć raczej w wersję gliniarzy i biegłych niż w wersję kalekiego Araba, który robi u czubków?



## Nie ma dymu bez ognia?

– Nie przyjmuje drobnych monet, takich jak pięć centymów... Dwadzieścia centymów połyka, wypróbowałam. Przyjmuje tylko jedno euro i nie wydaje reszty.

Odszedłem od automatu i odwróciłem się, żeby zidentyfikować kobiecy głos, który mówił za moimi plecami.

– Wszyscy gliniarze to oszuści! – dodała.

To była ruda dziewczyna. Marlène Jobert w młodości. Uśmiechała się do mnie swoją buzią ryjówki. Czarne, żywe oczy, zadarty nosek, różowe wargi, które ledwo się otwierały, ukazując mlecznobiałe zęby; brakowało tylko cienkich nylonowych wąsów, które by wyrastały z piegów pokrywających jej policzki.

Odwzajemniłem uśmiech.

– Całkowicie się zgadzam.

Posłuchałem rad, włożyłem monetę wartości jednego euro i zamówiłem dużą kawę bez cukru. Wyciągnęła do mnie swój kubeczek. Trąciłem go swoim.

– Każą mi tu wyczekiwać od czterdziestu pięciu minut! A pan?

– Ja już skończyłem... Przynajmniej na dzisiaj. Ale czuję, że będę musiał wziąć kartę stałego klienta...

Wychłęptała swój kielich, ukazując różowy języczek, tak jak gryzoń. Ładny obrazek, pomyślałem, przypominał mi trochę obrazki z kalendarzy pocztowych, które moja mama wieszała nad zlewem. Koty pijące mleko z miseczki, dziewczynki w spódniczkach baletnic koło fortepianu. Moje pierwsze zdjęcia, pierwsze zauroczenia.

Dziewczyna również przyglądała mi się z ciekawością.

– Pan tu jest w jakiej sprawie?

Zawahałem się przez sekundę, może ciut dłużej.

– Jako świadek. Dziewczyna rzuciła się ze szczytu klifu w Yport. Byłem tam tuż przed, ale nic nie mogłem zrobić.

Zagryzła wargi. Jej spojrzenie polnej myszki zaszło mgłą.

– Niewesołe to. A czy... czy wiadomo, dlaczego to zrobiła?

– Domyślają się. Śledztwo wykazało, że została zgwałcona tuż przed samobójstwem. Próbowano ją też udusić.

– O, Boże...

Myszka położyła rękę na ustach, prawie spłoszona, ale natychmiast doszła do siebie. Najwyraźniej lubiła grać.

– Ale pan nie jest gwałcicielem?

W samo serce! Podziwiałem jej umiejętność riposty. Dokładnie taka, jaką dzieliłem z Ibou. Doskonale wyważony koktajl złościwości i czarnego humoru.

– Nie, nie sędzę. Wkrótce się dowiemy, właśnie dałem policjantowi swoją spermę...

Przez moment się zamyśliła, tak jakby sobie wyobrażała w myśli tę scenę, facet, który się onanizuje za zasłoną w sąsiednim pokoju, po czym przyglądała mi się uporczywie, schodząc aż do rozporka, zdając się w ogóle nie zauważać mojej żelaznej nogi.

Gratulacje, panienko! Byłem jednak pewny, że to właśnie moje kalectwo przyciągnęło jej uwagę. Moja odmienność. To była dziewczyna z rodzaju tych, co to uwielbiają wszystko, co niezgodne z normą. Wbiła swoje dwie ciemne kulki w moje oczy.

– A to dobra wiadomość! Jeśli jest pan gwałcicielem, niczego się nie obawiam w pana towarzystwie co najmniej przez kilka minut. Lew został zaspokojony.

Spojrzałem na zegarek.

– Niech mnie pan nie ignoruje... Gwałt w budynku żandarmerii, to by było w dobrym stylu, nie?

Wybuchnąłem śmiechem, ale ryjówka nie była tak bardzo uspokojona, na jaką chciała wyglądać. Jej białe ząbki atakowały plastikowy brzeg kubeczka. Zagadnąłem ją, zanim mogła się zaszyć w jakąś dziurę.

– A pani?

– A ja?

– Z jakiego to powodu, do diabła, gliniarze każą pani czekać od czterdziestu pięciu minut?

Zamiast odpowiedzieć, wygięła się przede mną i z tylnej kieszeni dzinsów wyjęła pogniecioną kartkę.

– Czekam tylko na pieczętkę. Pozwolenie na zbieranie kamyków na plaży.

– Słucham?

Wybuchnęła śmiechem.

– Teraz ja pana zaskakuję!

Wyciągnęła do mnie rękę.

– Mona Salinas. Nie wyglądam, ale jestem dziewczyną krnąbrną i poważną. Po doktoracie z chemii doświadczalnej. Mam stypendium ufundowane przez grupę P@nshoe Computer Technologies, międzynarodową hindusko-amerykańską firmę specjalizującą się w komponentach elektronicznych dla informatyki...

– Co to ma wspólnego z kamykami?

Gniotła w palcach kubeczek. Wydawała się zdenerwowana, może z powodu mojej historii z gwałtem. Rzuciła mi krytyczne spojrzenie.

– Niech pan zgadnie...

Związek informatyki z kamykami? Zielonego pojęcia!

Zrobiłem jednak taką minę, jakbym się zastanawiał. Trochę to dziwne, ale lubiłem dziewczyny, które studiowały, prymuski, pracusie. Chłopaki, z którymi się kolegowałem w La Courneuve, przeważnie unikali takich jak dzumy... Ja nie. Wprost przeciwnie, zauważyłem, że jak się je naprawdę zna, często są najzabawniejsze. Również mniej wyniosłe. A przede wszystkim rzadko rozmawiały ze mną takie dziewczyny po doktoracie z chemii doświadczalnej.

Moja ryjówka się zniecierpliwiła.

– To co, poddaje się pan?

Przytaknąłem głową, z żalem.

– Okay! – powiedziała. – Spróbuję pokrótce wytłumaczyć. Krzem jest niezbędnym składnikiem w informatyce. Służy do przewodzenia prądu elektrycznego. Nie słyszał pan nigdy o Silicone Valley, Dolinie Krzemowej w Stanach Zjednoczonych? Nazwa „Krzemowa” pochodzi właśnie od krzemu, a nie od silikonowych piersi mieszkanki Kalifornii.

I bęc! Moje oczy nieuchronnie powędrowały na ćwierć sekundy w stronę guzika jej odpiętej bluzki aż do górnej części jej małych płaskich piersi sportsmenki, białych i usianych piegami. Mleko i miód.

Niczym linoskoczek cudem odzyskałem równowagę na linii rozmowy.

– Pewnie jestem idiotą, ale ciągle nie widzę związku z tymi pani kamykami.

Bawiło ją moje zmieszanie.

– Cierpliwości. Zaraz do tego dojdę. Krzemionka, a więc krzem, rozumie pan, w stanie naturalnym występuje tylko w jednej formie zwartej. W otoczkach! A te z La Manche mają najwyższy na świecie współczynnik krzemu.

– Naprawdę?

– Naukowo udowodnione. Dzisiaj światowa stolica otoczek znajduje się w Cayeux-sur-Mer w Pikardii... Ale Normandczycy zapewniają, że ich otoczek jest jeszcze lepszy... Największe jakościowe i ilościowe zasoby krzemu na Ziemi.

Przedefilowały mi przed oczami szare obrazy kamyków toczonych przez morze przy powszechnej obojętności przechodniów. Z trudem sobie wyobrażałem, że zawierają one skarb dla wysokiej technologii.

– I potrzebne jest zezwolenie gliniarzy na zbieranie otoczek?

– Tak! Sto lat temu zużyto ich tysiące ton do budowy wszystkich dróg, domów i miejscowych kościołów. Ale potem dostrzeżono, że otoczki chronią klify i wszystko, co zbudowane powyżej. A więc dzisiaj koniec z tym! Zbieranie jest surowo zabronione, wyjąwszy specjalne zezwolenie.

– Jak na przykład dla wielkiej międzynarodowej hindusko-amerykańskiej firmy inwestującej jakoby w tym regionie.

– Wszystko pan zrozumiał. A ja pobieram tylko kilkaset otoczek. Żeby dać panu pojęcie, krzem używany w elektrolicie musi być czysty w 99,9999999

procent. – Jej usta nawlekały dziewiątki, tak jakby wypuszczała malutkie bańki mydlane. – Taka jest aktualna norma, ale P@nshee, moja firma, chce jeszcze więcej! Dwie czy trzy dodatkowe dziewiątki. To jest moja praca, wiedzieć, czy można zyskać te kilka cyfr po przecinku dzięki otoczakom z Fécamp, Yport czy Etretat.

– A ma pani ze sobą sprzęt chemika?

– Tak! Młotek, szczypce, próbówki, mikroskop i komórkę nafaszerowaną skomplikowanymi programami...

Miałem ochotę z nią zostać. Nie rozumiałem wszystkiego, co mi opowiadała, może nawet mnie uwodziła krzemem i dziewięcioma cyframi po przecinku, ale bardzo mi się to podobało! Uważałem, że to genialne, spodziewać się, że taka pospolita rzecz jak kamyk może zawierać w sobie jedyny na świecie skarb.

Obydwoje opróżniliśmy w milczeniu swoje kubki. Na tym etapie, jeśli Mona chciała podtrzymać płomień, powinna teraz zapytać mnie o imię i o to, co robię w Yport. Byłem zupełnie gotowy, żeby rozwinąć przed nią folder Ultra-Trail na Mont Blanc i każdy szczegół mojego przyszłego nie lada wyczynu z annałów sportu niepełnosprawnych.

Milczenie się przeciągało.

Wyrzuciłem kubek do śmieci.

Koszyk.

Poszła w moje ślady.

Zrównanie.

Zrozumiałem, że Mona nie zrobi ani kroku dalej.

– Miło było panią poznać, Mona. Do zobaczenia? Może będzie tu pani jeszcze jutro, czekając na pieczętkę, kiedy ja przyjdę w kajdankach...

Położyła mi rękę na plecach i nachyliła się do ucha, szepcząc:

– Mój szósty zmysł mi mówi, że zobaczymy się przed jutrem.

Delektowałem się łagodnym naciskiem jej dłoni, nie odpowiadając. Ta dziewczyna uwielbiała bawić się w zagadki, do których nie miałem klucza.

– Mój szósty zmysł jest potężny. Mówi mi również, że śpi pan w Yport. Hotel La Sirène. Pokój siedem.

Za dużo powiedziała. Ta dziewczyna była czarownicą przebraną za gryzonia w celu szpiegowania mnie. Równie ciekawska jak gliniarze. Piroz był kotem, a ona myszką.

– Skąd pani to wie?

Pochyliła się jeszcze bardziej. Jej pomalowane na pomarańczowo paznokcie wbite w mój obojczyk robiły wrażenie łapek chomika biegającego mi po plecach.

– Mój szósty zmysł! Takie biedne gazele jak ja muszą być dobrze poinformowane, żeby przeżyć wśród drapieżników pańskiego pokroju.

Cofnęła się gwałtownie i spojrzała na zegarek.

– Trzyście minut! Będę musiała pana opuścić. Lew się obudzi, nie jestem już bezpieczna w pana towarzystwie.

– Nie pojrę pani tutaj. W samym środku siedziby żandarmerii.

– Tutaj nie. Ale później?

*Później?*

Mona wciąż nie wyglądała tak, jakby chciała opuścić. Zrobiła trzy kroki w stronę korytarza i podeszła do jednego z gabinetów.

– Przykro mi, że pana zostawiam, ale naprawdę trzeba, żeby któryś z tych gliniarzy podpisał mi ten cholerny papier!

– No to powodzenia.

Poszedłem korytarzem, żeby wyjść z żandarmerii. Tuż przed wejściem do jednego z pokoi Mona odwróciła się i rzuciła mi, jakby to była oczywistość, najbardziej tajemnicze zaproszenie:

– Do wieczora! Niech pan będzie punktualnie.

Autokar dowiózł mnie do Yport na plac Jean-Paul-Laurens, po czym odjechał do Hawru. Zaledwie piętnaście minut jazdy, ale prawie trzy kwadransy oczekiwania w Fécamp. Przez ten czas przemyślałem śledztwo Piroza. Czułem prawie ulgę. Sperma gwałciciela, jego odciski, ta zbieżność z morderstwem Morgane Avril sprzed dziesięciu laty, wszystko to dowodziło (miało dowodzić!), że nie miałem z tym nic wspólnego.

Wolałem nie myśleć o strefach cienia...

Rozjaśnia się. Wraz z przybliżeniem. Tak jak to słońce o zmierzchu na wprost mnie, którego ostatnie promienie strzępiły chmury w tęczowe koronki. Słynne światło impresjonistów! Musiałem to przyznać, mimo że moja noga nigdy nie postąpiła w żadnym muzeum, dla samego tego widoku warto było zbaczać z drogi do Yport!

Ruszyłem w kierunku morza. Znowu myślałem o Monie. Jej twarz towarzyszyła mi przez całą drogę, pokazując się tu i ówdzie, jakby wydrukowana na zachodzącym słońcu... Nie miała tego tragicznego wdzięku co twarz Magali Verron, jej rozpaczliwej urody, tego czegoś, co wnika człowiekowi niczym ostrze do serca. Nie... Mona była trochę jak kumpel, z którym miałoby się ochotę pójść na piwo, tylko kumpel innej płci. Z którym miałoby się też ochotę pójść do łóżka i nie byłoby to bardziej skomplikowane niż pójście na piwo. Może to właśnie była miłość.

Miłość widziana przez facetów.

Z tego co wiedziałem.

Przechodziłem koło jednego ze sklepów mięsnych w Yport. Właścicielka za szybą patrzyła na mnie z ukosa, tak jakbym niszczył jej chodnik, chodząc po nim na jednej podszewie.

Kretynka!

Twarz Mony wyparła twarz rzeźniczki.

Dlaczego się mną zainteresowała?

Dlaczego mnie zagadnęła?

Dlatego, że nie było nic bardziej naturalnego na świecie między mężczyzną a kobietą zagubionymi w jakimś miejscu, w którym oboje byli jedynymi obcymi w tym samym wieku? Zapewne. Nigdy nie mogłem się pozbyć tego poczucia niższości, prawie winy. Jakim cudem jakaś dziewczyna mogłaby się mną zainteresować, tak że bym nie musiał w tym celu uciekać się do podstępów? Było

tylu innych na rynku. Innych lepszych ode mnie...

Zszedłem z chodnika, żeby przepuścić dwie staruszki idące z naprzeciwka, z laskami, jeszcze bardziej kalekie niż ja.

W lutym Yport przypominało miejsce pobytu dla osób starszych, ładny nadmorski dom starców składający się z kilkuset pawilonów. Lepiej jeszcze niż dom starców. Yport było starszą panią. Babcią, którą odwiedzano już tylko, kiedy była ładna pogoda, w niedziele, podczas wakacji, i do której przyprawiano wnuki, żeby wzbogacić rozmowę, żeby narobić hałasu. Babcią, która posiadała duży ogród z wybujałymi trawami i huśtawkami rdzewiejącymi przez cały rok.

Yport przywodziło mi na myśl moją babcię Djamilę. Nie dlatego, że mieszkała nad morzem gdzieś w Essaouir czy w Agadirze, absolutnie nie! Mieszkała w Drancy w wieżowcu Géricault za obwodnicą, ale ona też miała duży ogród, park miejski, który nadzorowała z szóstego piętra. Kiedy chodziłem do niej z kuzynami, mieliśmy wtedy mniej niż osiem lat, plac zabaw wieżowca B to był nasz Adventureland. Kiedy wstąpiłem tam ostatni raz, zabawki nadal były, konik na biegunach, małpi mostek, ale na ławkach wokół siedzieli sami starzy i nie było już ani jednego dzieciaka do pilnowania. Gdyby się tu zjawił jakiś bachor, na pewno poczułby się jak egzotyczne zwierzę w zoo dla emerytów.

Zszedłem prosto do morza. Wiatr w oczy. Jeszcze dwadzieścia metrów i dotarłem do La Sirène.

Nie wiedzieć czemu, Mona przywodziła mi na myśl dzieciństwo.

Kiedy wchodziłem do hotelu, wyrósł przede mną André Jozwiak.

Cały uśmiechnięty.

Z kopertą w ręce.

Moja ręka przywarła do gipsowego gzymsu nad boazerią udekorowaną rybackimi linami. Rozpoznałem pieczętkę UPS na pakunku. Kurier musiał przynieść go po południu. André się śmiał.

– Jak na kogoś, kto nigdy nie dostawał poczty... Napisałeś coś, jakiś rękopis, i żadne wydawnictwo nie chce go przyjąć?

Podał mi kopertę. Zobaczyłem swoje nazwisko napisane tym samym charakterem co rano. Na niebiesko.

André drażył dalej.

– Spotkałeś dziewczynę i twoje eks odsyłają ci listy miłosne?

Schwyciłem pakiet i uciekłem na schody prowadzące do mojego pokoju.

– Dziękuję, André.

Nie przestawał.

– Wypracowania do poprawienia? Zrobiłeś dyplom nauczyciela, robią promocje w szkołach specjalnych?

Odrzuciłem się, żeby mu zaserwować odpowiedź, na którą czekał.

– To są katalogi sprzedaży wysyłkowej. Przeglądy medyczne. Ze zdjęciami

wyłącznie lewych stóp z żywicy.

Na schodach rozległ się potężny wybuch śmiechu szefa.

– Kolacja o dziewiętnastej.

Koperta została wypatroszona i leżała na łóżku.

Ta sama zawartość co rano. Artykuły prasowe, szczegółowy raport kapitana Grimy, zeznania.

Ciąg dalszy sprawy Morgane Avril, nadawca potrafił dozować suspens...

Rozłożyłem kartki i zagłębiłem się w lekturze. Jeżeli mój tajemniczy korespondent chciał igrać z moją ciekawością, nie zamierzałem go pozbawiać tej przyjemności.

\*\*\*

### *Sprawa Morgane Avril – czerwiec 2004 roku*

Mimo młodego wieku i braku doświadczenia kapitan Philippe Grima wykazał się wybitną skutecznością. Niecałe trzy dni po morderstwie Morgane Avril 90 procent mieszkańców Yport płci męskiej między piętnastym a sześćdziesiątym piątym rokiem życia zgodziło się dostarczyć żandarmerii swój materiał genetyczny. Odsetek chłopców obecnych na festiwalu Riff on Cliff przekroczył nieco 70 procent (dokładnie 323 próbki spermy). Oczywiście żadne DNA nie zgadzało się z materiałem gwałciciela.

Kapitan Grima bardzo szybko zrozumiał, że tak czasochłonna operacja zakrawa na śmieszność. Śledztwo doprowadzone do absurdu, oparte na dobrej woli zabójcy współpracowania z policją i oddania spermy, która ma go zdemaskować. Ale pozwalało to uwolnić od zarzutu bliskich, podkreślał sędzia Nadeau-Loquet, wyeliminować podejrzanych jednego po drugim, a więc zawęzić ich krąg...

Kapitan Grima starał się uczestniczyć w rozmowach z głównymi świadkami, w tym również z tymi, co zostali zwolnieni od zarzutu dzięki materiałowi genetycznemu. Początkowo spędzał w ciągu dnia dwanaście godzin w żandarmerii, a noce w domu z podgrzany daniem na jednym kolanie i głową malutkiej Loli na drugim. Zasypiał, na zmianę, przy ostatnich świadkach albo w ramionkach swojej czteromiesięcznej córeczki. Jego żona Sarah wyrzuciła go z domu na czas śledztwa i przez trzy tygodnie, od 21 czerwca do 12 lipca 2004 roku, sypiał na łóżku polowym w kafeterii żandarmerii i tylko co trzeci dzień przynosił rodzinie rogaliki na śniadanie.

Jego hipoteza stopniowo się umocniła. Przyczynił się do tego dokładny rozkład zajęć Morgane Avril danego wieczoru. Choć miała dziewiętnaście lat, Morgane uczestniczyła 5 czerwca 2004 w swoim pierwszym prawdziwym nocnym wypadzie. Jej matka Carmen zgodziła się tylko z powodu obecności Nicolasa Gravégo, tego, który prowadził clio, dwudziestotrzyletniego przyjaciela, studenta



ostatniego roku leśnictwa w Mesnières-en-Bray. W sprawie pilnowania Morgane i drugiej córki, Océane, zaufała również dwóm innym pasażerom, dziesięcioletniej Clarze Barthélémy, która pracowała jako pomoc wychowawcy w przedszkolu Charles-Perrault w Neufchâtel, i Mathieu Picardowi, dwadzieścia jeden lat, studentowi medycyny tak jak Morgane, ale już na trzecim roku.

Paczka przyjaciół. Rozsądne towarzystwo...

\*

Wszyscy potwierdzili chronologię wydarzeń. Wyjechali z Neufchâtel-en-Bray koło osiemnastej i dotarli do Yport trochę ponad godzinę później. Zjedli kebaby na plaży, siedząc na kamykach przed kasynem, tak jak setki innych młodych uczestników festiwalu Riff on Cliff, potem byli na koncercie. Atmosfera festiwalowa, bez ekscesów. Morgane była już bardzo podekscytowana, ale jeszcze nic spektakularnego się nie wydarzyło.

Histoire d'A, dobra regionalna grupa, zamknęła pełen uniesienia wieczór. Była pierwsza w nocy i DJ-e już się zwinęli.

Morgane zaczęła wtedy, jak to ujęli Nicolas i Mathieu, robić z siebie spektakl.

*Lap dance*, dwuznaczne pozycje...

Nicolas i Mathieu wyznali, że próbowali jej nieco przemówić do rozsądku, bo trochę wypła, kilka piw. Właściwie nie tak dużo, ekspertyzy to wykazały, w jej krwi znaleziono mniej niż 0,9 grama alkoholu. Wystarczyło to zapewne, żeby Morgane puściły hamulce.

Nicolas Gravé i Clara Barthélémy dość szybko udzielili innej informacji: od godziny drugiej resztę nocy spędzili na całowaniu się i pieszczotach na tapczanie w Sea View. Wypad na koncert był pretekstem, a troje innych pasażerów stanowiło ich alibi, bo już od kilku tygodni dyskretnie ze sobą chodzili. Zniknięcie Morgane zauważyli dopiero wtedy, gdy w lokalu wybuchła panika, około szóstej rano, po tym jak jakiś oszalały facet, biegnąc między kanapami, wrzeszczał w kółko: „O, Boże, znaleźli trupa! Trup na plaży!”.

Mathieu i Océane ich kryli. Zaczęli opuszczać krąg taneczny i nudzić się koło trzeciej nad ranem. Między 3.00 a 4.00 wymienili strzępy rozmowy zakłócone decybelami i długimi minutami popijania. Żadne z nich nie zaniepokoiło się tym, co wyprawiała Morgane, ostatni raz widzieli ją na parkiecie koło 3.30. Mathieu Picard przyznał tylko, że domyślał się, iż nie zakończy ona wieczoru sama i że nie za bardzo się zdziwił, kiedy zniknęła. Sea View wraz z nadmorską promenadą jako dobudówką stało się prawdziwą trasą miłosnych schadzek... Posunął się w zwierzeniach aż do tego, że przyznał, iż próbował szczęścia z Océane, bez większego przekonania, chociaż ona piła więcej niż zazwyczaj. Przyjaźnił się z siostrą Morgane od przedszkola i wiedział, że ona nie jest z tych, co lecą na

jednorazowy flirt. Przeciwiństwo Morgane. Była podobna raczej do matki. Carmen. Specjalistka od kastrowania, nie znalazł innych słów.

Krótko mówiąc, kapitan Grima trafił na dwugodzinną dziurę między 3.30 a 5.30, od zniknięcia Morgane do odkrycia jej zwłok.

Dla ścisłości, to były niecałe dwie godziny. Sonia Thureau z szatni Sea View, mała blondynka o wyglądzie lalki Barbie trash, przypomniała sobie, że widziała, jak Morgane wychodziła na papierosa koło 3.40. Mówiła z wielką stanowczością. Według niej Morgane była najbardziej atrakcyjną klientką tego wieczoru. Pot ściekający po twarzy, obcisła, niemal przezroczysta sukienka podchodząca do góry na wilgotnych udach, pod spodem widoczna różowa bielizna.

– Miała wtedy na sobie majtki i stanik – potwierdziła Sonia.

– Spozrzegawcza! – powiedział jej komplement Grima.

– No, wie pan, kapitanie! Chętnie bym jej wyskubała cipkę!

Sonia Thureau odpowiedziała z taką naturalnością, że żandarm poczuł się zażenowany, tym bardziej że jej równie bystre spojrzenie badające jego budowę anatomiczną pozwalało się domyślać, że nie ma ona jednej tylko preferencji seksualnej. Po kolejnym doświadczeniu, bo odbyła się jeszcze jedna zasadnicza rozmowa z Sonią, powierzył przesłuchanie innemu żandarmowi, któremu było bliżej do emerytury niż jemu.

„Wyszła na papierosa”...

Po rozmowie kapitan długo rozmyślał o tym szczególe.

Morgane Avril nie paliła...

Nowy impas.

Kapitanowi Grimie intuicja bardzo wcześnie podpowiedziała, że powinien odwrócić śledztwo. Że powinien nie tylko przesłuchiwać jak najwięcej świadków, odtwarzać każdą minutę z życia Morgane Avril, lecz wprost przeciwnie, skupić się na bronii, którą popełniono zbrodnię.

*Szalik Burberry.*

Dnia 19 lipca 2004 roku sędzieja Nadeau-Loquet wysłał mu wiadomość z gratulacjami za znaczące postępy w śledztwie, na drodze, w którą jedynie kapitan naprawdę wierzył.

Szalik. Kawałek materiału za przeszło czterysta euro.

Grima poświęcił czas na sprawdzenie wszystkich zeznań, na zestawienie ze sobą różnych wersji, wyeliminowanie kilkudziesięciu informacji, które wydawały mu się niepoważne.

Ostatecznie tylko trzech wiarygodnych świadków pamiętało o tym szaliku Burberry.

Sonia Thureau, siedząc w swojej szatni, najpierw się wykrzywiła na szpakowatego gliniarza, który przyszedł ponownie ją przesłuchać, potem w końcu przypomniała sobie klienta, którego zakwalifikowała jako maminsynek.

„Opalony”, to był jedyny epitet, jaki zgodziła się zapisać w swoim zeznaniu. Nie zgodziła się na „ogorzały” ani „północny Afrykanin”, ani „Metys”, odrzuciła też wszystkie inne określenia, które zaproponował jej stary żandarm.

– Biedaku, jeśli myślisz, że mogłam zmierzyć grubość jego podkładu na twarzy...

Opalony maminsynek zostawił w szatni lnianą kurtkę i kaszmirowy szalik. Taki rodzaj stroju raczej rzadko występował na festiwalu rockowym, dlatego Sonia to zapamiętała.

– Czy to był czerwony szalik? Burberry?

Nie zauważyła marki, ale tak, mógł przypominać wyrób Burberry. Sonia nie widziała, kiedy facet wychodził, zapewne jedna z koleżanek wydała mu okrycie, ale żadna nie pamiętała. Kapitan Grima brał pod uwagę hipotezę, że Sonia Thureau wymyśliła tego tajemniczego klienta. Sprawa Avril stała się szybko w mediach „sprawą zabójcy w czerwonym szaliku”. Nic nie pozwalało tego potwierdzić. Sonia Thureau, kiedy nie siedziała w szatni kasyna, odbywała w Rouen poważne studia porównawcze prawa europejskiego. A przede wszystkim dwa inne zeznania potwierdziły jej relacje.

Mickey, tymczasowy bramkarz, który spędził noc z 5 na 6 czerwca, kręcąc się po parkingu i słuchając odgłosu fal zagłuszającego *riff*, w końcu, po wielu nagabywaniach, przypomniał sobie cień faceta, który palił papierosa koło śmietników kasyna pod klifem, może właśnie ubranego w kurtkę i szalik. Nie mógł odróżnić koloru. Nie pamiętał też, która była godzina. W każdym razie po trzeciej rano, tego jedynie był pewny, bo miał wtedy przerwę. Nie mógł określić dokładniej. Cień był sam, to Mickey mógł stwierdzić z pewnością.

– Tak jakby czekał na kogoś? – zapytał Grima.

– Może.

– Na dziewczynę?

– Może... albo na kumpli. Kontynuowałem obchód.

Mickey nie miał nic więcej do opowiedzenia, no, może o sylwetce, którą zauważył między światłem latarni ulicznej a wiązką świetlną latarki. Tylko że godzina mogła być zbieżna z tą, o której Morgane Avril opuściła Sea View... A potem już nikt nie widział jej żywej.

Vincent Carré, trzeci świadek, dwadzieścia jeden lat, student chemii, przybył około siedemnastej na dworzec w Bréauté, najbliższy Yport przystanek na trasie pociągu Paryż–Rouen–Hawr. Stamtąd autokar miał przewieźć podróżnych bezpośrednio na festiwal. Vincent liczył na ten autobus, bo chciał spotkać się na koncercie z kumplami z klubu tenisa stołowego. Przez mniej więcej dziesięć minut czekał na autobus razem z chłopakiem w swoim wieku, ubranym klasycznie, biała koszula, lakierki, kurtka na grzbiecie i czerwony szalik na szyi. Wygląd odbijający od innych uczestników festiwalu. Wymienili kilka słów.

– Wystroiłeś się jak księżę – skomentował Vincent.

– Dziewczyny to lubią – wyjaśnił księżę.

– Jedziesz tam dla muzyki czy dla dziewczyn?

Vincent Carré zapamiętał dokładnie odpowiedź.

– Dla muzyki czy dla dziewczyn? Żartujesz? Dobra muzyka, stary, to rzadkość, w Yport nie znajdziesz nowego Hendrixa! Ale dziewczyny... He, dziewczyny są piękne wszędzie!

Przyjechał autokar. Vincent nie usiadł obok księcia. Nie był z jego bajki. Każdy włączył swoje MP3. Koniec epizodu.

Vincent zobaczył znowu faceta w szaliku w Sea View. Tańczył w tłumie i najczęściej przyklejał się do najładniejszej tego wieczoru dziewczyny, Morgane, choć wtedy Vincent nie znał jej imienia. Jasne, że ją podrywał.

Na parkiecie nie nosił szalika, ale dziesiątki innych świadków potwierdziły, że jakiś chłopak kręcił się koło Morgane. Océane i Mathieu również.

Wszyscy, w tym Vincent, zebrali się, żeby sporządzić portret pamięciowy. Ładna twarz, raczej kwadratowa, oczy brązowe, skóra bardzo ciemna, może nawet, choć nie było pewności, pochodził z północnej Afryki. Grafik przez dwa dni pracował, żeby zrobić ten portret pamięciowy równie przybliżony co banalny. Rozesłano go jednak wszędzie. Setki odpowiedzi, wszystkie sprawdzone, nie dały dosłownie nic. Zresztą kapitan Grima nie wierzył w ten portret. Przecież w sali dyskoteki panował półmrok, a świadkowie nie mieli żadnego powodu, w godzinach poprzedzających dramat, żeby zapamiętać dokładnie tę twarz.

Vincent Carré zobaczył jeszcze raz nieznanego w czerwonym szaliku następnego dnia rano. W Yport wrzało, właśnie znaleziono zwłoki Morgane Avril, gliniarze przeczesywali miasto. Facet czekał na placu Jean-Paul-Laurens koło piekarni, w kurtce na grzbiecie. Vincent przeszedł koło niego prawie biegiem, wzburzony wydarzeniem: od drugiej w nocy spał w domu, padnięty, i właśnie przyszli go budzić. Zwłoki dziewczyny na plaży! Zgwałcona! Musiał pilnie, jak inne chłopaki, stawić się na policji, dostarczyć również swoje DNA... Kiedy mijał nieznanego, nie wiedział nic więcej o sprawie. Ani kto został zabity, ani jak.

Facet pozdrowił go, machając ręką. To on go rozpoznał. Gdyby nie podniósł ręki, Vincent by go nie zauważył. Dziwne, nie mówili o nieżyjącej dziewczynie, Vincent Carré nie umiał powiedzieć dlaczego. Jedyne wyjaśnienie, jakie mógł złożyć, sprowadzało się do tego, że nieznanomy sprawiał wrażenie, jakby nic nie wiedział. Albo się nie przejmował.

– No co, podobał się koncert? – zapytał Vincent.

Tamten wybuchnął śmiechem.

– Też coś...

– A dziewczyny z Yport?

– Ładne. Bardzo ładne.

– Widziałem w nocy. Nie wybrałaś najbrzydszej...

– Ani najmniej napalonej, wierz mi...

Vincent Carré w tamtej chwili wziął go za pyszałka. Zauważył też, że nieznajomy nie nosi już czerwonego szalika na szyi.

– A twój szalik?

– Zostawiłem go małej – powiedział nieznajomy. – Na pamiątkę.

– Myślisz, że się z nią spotkasz?

– Nie sądzę...

Znowu wybuchnął śmiechem, który później psychologowie kazali Vincentowi opisywać setki razy, w miarę możliwości z najdrobniejszymi niuansami.

Śmiech spontaniczny? Wymuszony? Cyniczny? Sadystyczny?

Vincent nie wiedział. Pamiętał tylko odpowiedź nieznajomego na ostatnie pytanie.

– Wracasz autobusem? – nalegał Vincent.

– Nie, jadę do moich starych. Mają dom letniskowy na wybrzeżu normandzkim.

Klucz do całej sprawy Morgane Avril!

Oczywiście sprawdzono wiarygodność zeznań Vincenta Carrégo. Sprawiał wrażenie solidnego, chociaż gliniarze długo się zastanawiali nad luką w jego rozkładzie zajęć: Vincent poszedł się położyć koło drugiej w nocy, zostawił swoich kumpli z klubu tenisa stołowego. To do niego niepodobne...

Kapitan Grima zadał mu pytanie. Vincent Carré odpowiedział, że był padnięty, że miał ciężki tydzień. Kiedy go przyciskano, zdenerwował się, wściekły, że się go podejrzewa, a przecież jest jedynym świadkiem, który posunął nieco śledztwo do przodu. Miał rację, Grima nie miał żadnego powodu, żeby podejrzewać Vincenta Carrégo bardziej niż jakiegokolwiek innego klienta Sea View. Zresztą jego DNA nie odpowiadało materiałowi gwałciciela.

Szukano więc mniej więcej dwudziestoletniego chłopaka, którego rodzice posiadali dom letniskowy na wybrzeżu normandzkim. Kapitan Grima dowiedział się przy okazji, że takich domów jest tam ponad trzydzieści pięć tysięcy... Wytropienie tego właściwego okazało się misją niemożliwą, mimo że ekipy policyjne przez kilka tygodni chodziły od drzwi do drzwi z portretem pamięciowym w ręku, zataczając coraz szersze kręgi, poczynawszy od najbliższej okolicy, Etretat, potem Saint-Valery-en-Caux, potem Honfleur, potem Deauville, Cabourg, Dieppe...

Na próżno.

Nic.

Nieznajomy w czerwonym szaliku rozpułnął się w przyrodzie.

Kapitan Grima sporządził raport dla sędziego Nadeau-Loquet 20 sierpnia

2004. Śledztwo dreptało w miejscu prawie od pięciu tygodni. Żadnego nowego faktu, ale Grima powziął już przekonanie. Morgane Avril zgodziła się pójść z tym nieznanym, który się koło niej kręcił w dyskotecce. Wziął z szatni kurtkę i szalik Burberry, tak że nikt go nie zauważył, potem poczekał na parkingu na dziewczynę. Pewnie kapali się razem w morzu, w dyskretnym zakątku. Następnie historia musiała przybrać inny obrót.

Morgane nie chce posunąć się dalej, poza zwykły flirt. Nieznajomy nalega. Walczą ze sobą, on ją gwałci, wpada w panikę, dusi ją, wciąga na szczyt klifu i zrzuca jej ciało, może żeby zyskać na czasie, żeby upozorować samobójstwo.

Potem znika...

Kapitan Grima, mimo nieobecności podejrzanego, którego powinien wskazać sędziemu Nadeau-Loquet, zamknął swój raport optymistyczną nutą. Zabójca Morgane Avril został częściowo zidentyfikowany. Z czasem stanie się mniej nieufny, ktoś będzie mógł w końcu go rozpoznać na wybrzeżu normandzkim albo gdzie indziej. Kapitan Grima jednego tylko był pewny, co również wyraził w ostatnim rozdziale swojego raportu.

*Morderca Morgane Avril nigdy tego nie powtórzy.*

Jego profil był profilem młodego człowieka pochodzącego ze środowiska zamożnego, wykształconego, który tamtego wieczoru popełnił największe głupstwo w życiu. Będzie żył z tą potworną tajemnicą skrywaną w głębi duszy. Aż do śmierci.

Jeżeli go wcześniej nie przyskrzynią.

Raport żandarmerii w Fécamp wywołał wściekłość klanu Avril.

Carmen Avril i jej rodzina ustami swojego adwokata sprzeciwili się ostro teorii kapitana Grimy. Nie wierzyli w tezę o synu z porządnej rodziny, który by wpadł w poślizg. Dla nich morderca był zboczeńcem, drapieżnikiem, który działał z premedytacją. Ich najbardziej przekonujący argument opierał się na opisanym przez Vincenta Carré zachowaniu nieznanego w czerwonym szaliku rano po tragedii. Podejrzany numer 1 kapitana Grimy czekał spokojnie, aż rodzice przyjadą po niego na plac Jean-Paul-Laurens, bez stresu paniki, podczas gdy dziesiątki gliniarzy przemierzały ulice Yport. Ten spokój nie pasował do teorii nocnego podrywu, który by się przerodził w dramat.

W gronie gliniarzy, adwokatów i sędziów godzinami rozprawiano na temat czterech zdań, które przytoczył Vincent Carré.

*A twój szalik?*

– *Zostawiłem go malej. Na pamiątkę.*

– *Myślisz, że się z nią spotkasz?*

– *Nie sądzę...*

Czy można było je interpretować jako odpowiedzi improwizowane przez nieszczęsnego faceta, który dopiero co popełnił morderstwo prawie przypadkiem

i który narażał swoją wolność, zdając się na los szczęścia? Jako odpowiedzi cynicznego kryminalisty zachowującego przerażająco zimną krew? Czy po prostu jak odpowiedzi niewinnego człowieka... który jednak nigdy nie stawi się na policji?

Kapitan Grima po raz ostatni wyraził publicznie swoją opinię 23 sierpnia w „Le Havre libre”: nie wierzył w hipotezę o sadyście, który znajduje się tam w odpowiednim momencie, któremu udaje się zbliżyć do Morgane Avril, potem ją zaatakować, i nikt tego nie zauważa. Dlaczego więc ta kąpiel w morzu? Dlaczego więc szalik Burberry?

Potem, 26 sierpnia 2004 roku jego teoria rozsypała się na kawałki.

Jego wiarygodność również.

Cała jego wytrwała praca, jego nocne czuwanie poza domem, kiedy to umknęły mu trzy z sześciu pierwszych miesięcy życia małej Loli, wszystko to wzięło w łeb.

Poślizg opóźnionego w rozwoju młodzieńca. Żadnej premedytacji.

W ciągu jednego dnia sprawa czerwonego szalika Burberry została wyniesiona do rangi dramatu narodowego, który swoim zasięgiem przekroczył wszystko, co kapitan Grima mógł sobie wyobrazić.

Który się rozrósł, odfrunął ku wyższym sferom sprawiedliwości i policji.

Daleko poza jego kompetencje.

\*\*\*

Dźwięk dzwonu oderwał mnie od lektury.

Bił nieprzerwanie jak dzwon alarmowy, jak natarczywe wzywanie marynarzy do zgromadzenia się na pokładzie.

Głos André wybuchł na korytarzu.

– Jamal. Kolacja!

Sprawdziłem godzinę na nocnym stoliku.

19.17.

*Cholera!*

## 11

### Myślisz, że się z nią zobaczysz?

W lutym La Sirène funkcjonował bardziej jako pensjonat rodzinny niż jako hotel i restauracja. Kolacja o dziewiętnastej i jedno menu dla kilku klientów: dwójka emerytów, którzy zatrzymali się na jedną noc, po czym pojechali na Mont Saint-Michel, para Anglików przybyłych z Dieppe ze swoim czerwonym na twarzy niemowlakiem, facet pod krawatem, sam, w typie zagubionego przedstawiciela handlowego.

Zszedłem kilka stopni.

Jadalnia była obszerna, pomyślałem, że może pomieścić ponad trzydzieści nakryć. Prawie wszystkie stoliki miały niezakłócony niczym widok na morze przez olbrzymie przeszklone drzwi balkonowe. Gdy tylko zrobiłem dodatkowy krok w sali restauracyjnej, zobaczyłem gościa niespodziankę.

– Spóźnił się pan, Jamal.

*Mona!*

Siedziała sama przy stoliku, uzbrojona w pikę z nierdzewnej stali, nad talerzem trąbików. Para emerytów jadła w milczeniu kilka stolików dalej. W drugim kącie sali Anglicy we dwójkę z trudem usiłowali wcisnąć swojemu niemowlakowi słóiczek jarzyn z zieloną żabką. Mona wpatrywała się w krzesło naprzeciw siebie.

– Woli pan zjeść sam czy zrobić panu miejsce?

Jak tu odmówić?

Usiadłem naprzeciw niej. Musiało to zostać zaaranżowane z pomocą André, moje nakrycie pojawiło się po paru sekundach. André ulotnił się z porozumiewawczym uśmiechem, nie wiadomo, czy skierowanym do niej, czy do mnie.

– Skryta dziewczynko, przyjechała pani do La Sirène dziś rano, tak? Czy to tajemnica?

Oczy Mony zaiskrzyły z dumy, bo udało jej się zostawić tę tajemnicę w żandarmerii.

– Zgadza się. Wczoraj prowadziłam poszukiwania w sektorze Veules-les-Roses, ale teraz muszę się przesunąć między Antifer a Paluel[4], dwie największe na wybrzeżu zasadzki z otoczkami. Minęłam się z panem rano, kiedy wracał pan z footingu. Stałam tyłem przy kontuarze, nie zauważył mnie pan.

Nic dziwnego, w tym momencie André dawał mi pierwszą kopertę.

– Udało się pani w końcu przekonać gliniarzy, żeby dali pieczętę?



– Tak! Ale musiałam się przespać z połową żandarmerii. A u pana co, jakieś nowe samobójczynie?

– Nic mi nie wiadomo...

André właśnie w tym momencie przyniósł mi trąbiki z majonezem. Na pewno usłyszał aluzję do „nowych samobójczyń”, ale nie podjął tematu.

– Zamówmy butelkę wina – zaproponowała Mona. – Ja funduję!

Zaprotestowałem pro forma, ale Mona nalegała.

– Wliczę to w koszty. Mojemu sponsorowi nie brakuje euro. P@nshee Computer Technologies miało w zeszłym roku prawie pięć miliardów zysku. Nie ma powodu, żeby korzystali na tym tylko emeryci z Key Biscayne, prawda?

Zamówiła u André bourgogne chardonnay 2009, vougeot z pierwszego zbioru.

Siedemdziesiąt pięć euro!

Jego tygodniowe obroty.

Zapadło długie milczenie. Runda obserwacji. Absolutnie nie miałem ochoty rozmawiać o porannym samobójstwie, o szaliku Burberry, jeszcze mniej o sprawie Morgane Avril. Mona była dla mnie cudownym wytchnieniem w tym potoku pytań bez odpowiedzi i niezwykłych zbiegów okoliczności.

Moje spojrzenie wędrowało na wystrój sali, na romantyczne płótna z burzą morską i klifami, żeglarskie węzły w drewnianej i miedzianej ramie, niebieską boję „witajcie na pokładzie”, olbrzymią busolę zawieszoną na belce. Klimat morski. Przesuwałem wzrok po najdrobniejszych bibelotach, aby uniknąć zatopienia się w dekolcie Mony, która teraz miała odpięty jeszcze jeden guzik od bluzki.

Żeby mnie uwodzić, czy żeby przekonać gliniarzy?

Mona zaatakowała pierwsza.

– Wie pan, jak prezes P@nshee zrobił majątek?

– Nie mam pojęcia...

– To nieprawdopodobna historia. Spodoba się panu, Jamal. Panshee Kumar Shinde, tak się nazywa, to imigrant, Hindus. Przyjechał do San Francisco w połowie lat siedemdziesiątych, bez jednej rupii w kieszeni. Nocami czyścił klozety w biurach *downtown*, a w dzień chodził na kursy zarządzania. „Jak przygotować swój start-up”, wie pan, taka szkoła za dziesięć tysięcy dolarów rocznie, która, żeglując po *american dream*, werbuje tysiące zagranicznych studentów zadłużonych na trzy pokolenia. W połowie roku Panshee miał oddać pracę pisemną. Projekt utworzenia przedsiębiorstwa, z planem marketingowym, programem amortyzacji finansowej i całą resztą. Facet wykończony nocnym sprząaniem nie miał czasu na napisanie choćby linijki. Chciał rzucić to wszystko. Grzebiąc dwiema rękami w gównie, zaczynał rozumieć, jak funkcjonuje Ameryka. W przeddzień oddania pracy czyścił jeszcze toalety w Transamerica Pyramid na czterdziestym siódmym piętrze, nie mając żadnego pomysłu, nawet wirtualnego, na

stworzenie przedsiębiorstwa. Bardziej prozaicznie, kłął na świntuchów, którzy zatykali klozety chusteczkami papierowymi albo kartkami A4, kiedy nie było już papieru toaletowego.

Mona spróbowała łyk chardonnay i mówiła dalej:

– I tu nagle wpadł na pomysł...

– W klozecie?

– Tak, najgłupszy na świecie pomysł. Zamiast umieszczać w ubikacjach biurowych standardową rolkę papieru długości dwudziestu metrów, taką, jaką mamy w domu, można przecież powiesić dużo dłuższą rolkę. Dwieście, trzysta metrów, schowanych w metalowym bębnie. Z braku czegoś lepszego rozwinął ten pomysł i przez resztę nocy napisał cały projekt. Następnego dnia tak jak każdego ranka miał wysiąść na stacji Civic Center linii L metra, żeby się udać na kurs. W ostatniej chwili przepuścił ją, wysiadł pięć stacji dalej, na West Portal, i wszedł do agencji Wells Fargo, żeby sprzedać swój projekt bankierowi i zgłosić patent.

– Udało się?

Mona odpowiedziała entuzjastycznie.

– Został multimilionerem w ciągu niecałego roku. Jedną ze stu największych fortun na świecie. Zna pan choćby jeden dworzec, jeden hotel, jeden zakład publiczny, który nie byłby dziś wyposażony w tego typu dystrybutor papieru toaletowego? Niech się pan zabawi i obliczy liczbę centymetrów papieru odwijanego codziennie przez każdą osobę na świecie.

Mona opróżniła kieliszek i ciągnęła:

– Najbardziej lukratywny patent tego wieku! Podobno Panshee zainwestował potem w informatykę, następnie zakupił wyspę w Mikronezji, żyje na niej przez cały rok jak go Pan Bóg stworzył i podciera się liśćmi palmowymi.

– To prawda?

Roześmiała się.

– Jak pan myśli?

Troszkę się zawahałem.

– Wszystko pani zmyśliła?

– Może. Uwielbiam opowiadać historie.

Miałem ochotę bić jej brawo, wziąć ją w ramiona, wyjść z nią na zewnątrz i przez całą noc śmiać się na głos do księżyca. Nigdy jeszcze nie spotkałem dziewczyny tak bliskiej mojej wizji świata. Taka inna, trochę oddalona od rzeczywistości. Na parapecie okna między jedną przepaścią a drugą, tą z samochodami, od których roi się na ulicy na dole, tą z gwiazdami na górze. Drugi raz tego dnia pomyślałem o Djamili. Mona przypominała moją babkę, Szeherazadę z Drancy, przezywaną Canal+ przez wszystkie dzieciaki, które z otwartymi oczami i ustami słuchały jej historii w wieżowcu Géricault, klatka C, w każdą sobotę wieczorem, aż do dnia, w którym wpakowano Djamilę do umieralni

w Blanc-Mesnil i pielęgniarki sprowadziły jej baśniowe opowieści do niespokojnych majaczeń świadczących o zaawansowanej chorobie Alzheimera. Miałem wtedy osiem lat. Nie zapomniałem ani jednej z jej historii.

André skorzystał z mojego rozmarzenia, żeby sprzątnąć mi talerz i postawić na stole rondel z mulami. Chwila wahania z jego strony – zrozumiałem, że ma ochotę pogadać, zapewne o tej historii z samobójczyniami, słyszał, jak o niej rozmawialiśmy. Wiadomość musiała się rozejść po mieście. Dziewczyna, którą znaleziono martwą po wielkim skoku ze szczytu klifu! Może nawet ujawniono próbę uduszenia...

Wyobrażałem sobie, jaka panika zapanowała w domach rybaków.

Czyżby gwałciiciel w szaliku Burberry wrócił po dziesięciu latach?

– A pan? – zapytała nagle Mona.

– Ja?

– Tak! Teraz pana kolej, żeby mi opowiedzieć jakąś nadzwyczajną historię.

Potrząsałem głową w braku natchnienia, tak jakby przebieranie muli w sosie wystarczyło, żeby wyczerpać całą moją uwagę. Mona tupnęła.

– Niech mnie pan nie zawiedzie, Jamal. Nie zaprosiłabym pana do stolika, gdybym nie była pewna, że mnie pan czymś zaskoczy. No, coś szalonego!

Wytarłem spokojnie palce w serwetkę. Trzy stoliki dalej dwaj emeryci trzymali w rękach smartfony i surfowali każdy po swoim.

– Okay, Mona. Sama pani chciała. Coś szalonego? Nie będzie pani zawiedziona! Proszę bardzo, wymyśliłem rewolucyjny sposób na podrywanie dziewczyn. Niezawodną metodę, żeby najładniejsze zaciągnąć do łóżka.

Złapałem Monę na haczyk. Wypięta biust, wytrzeszczyła oczy, rozchyliła wargi. Nie wiem, dlaczego przyszło mi na myśl jedno słowo na określenie jej twarzy roześmianej lalki, jedno jedyne słowo, którego, jak sądzę, nigdy w życiu nie użyłem, słowo, którego używali tylko starzy.

*Buzia.*

Połączenie twarzy dziewczynki, kotki i myszy. Twarz postaci z bajki La Fontaine'a.

– Bardzo pan zarozumiały, Jamal...

– Nie wierzy mi pani?

– Czekam, zobaczę...

Wyciągnąłem powoli portfel z kieszeni, po czym wyjąłem z niego małą wizytówkę. Położyłem ją na stole, zasłaniając dłonią, żeby Mona nie mogła przeczytać.

– Oto moja tajemna broń.

– Ach – powiedziała Mona, robiąc na siłę zawiedzioną minę.

Przesunąłem nieco wizytówkę, nie odsłaniając jej.

– Od dziesięciu lat nie wychodzę nigdy bez wizytówek. Mam ich zawsze

kilka w kieszeni. Codziennie jeżdżę RER-em, podmiejskimi pociągami, chodzę po mieście... Czasem mijam dziewczynę, która mi się podoba. Wsuwam jej do ręki wizytówkę, nawet się nie zatrzymując ani nie dając jej czasu, żeby mi się przyjrzała.

Odsunąłem dłoń i przeczytałem wizytówkę.

*Droga pani!*

*Zabawiłem się, obliczając, że codziennie na ulicach Paryża mijam kilka tysięcy kobiet. Codziennie daję wizytówkę jednej z tych kobiet, czasem dwóm, rzadziej trzem, nigdy więcej.*

*Jedna kobieta z kilku tysięcy.*

*Pani. Dzisiaj.*

*Jest pani inna. W tym tłumie coś panią wyróżnia spośród wszystkich innych.*

*Jeśli ma pani kochającego mężczyznę i jest pani z nim szczęśliwa, może jednak poczuje się pani poruszona moim gestem. Jeśli tak nie jest, to niesprawiedliwe, bo zasługuje pani na szczęście. Bardziej niż inne.*

*Według mnie.*

*Dziękuję za tę magiczną chwilę.*

jamalsalaoui@yahoo.fr

Odłożyłem karteczkę i Mona natychmiast ją schwyciła jak jakiś skarb.

– Łał! I to działa?

Teraz ja opróżniłem kieliszek chardonnay i delektowałem się nim za słuszną cenę. Jedno euro za centylitr.

– To niezawodne! W najgorszym razie kobiety czują się docenione. W najlepszym są bardzo poruszone. Gram na zaskoczeniu, na ich ego, na kontraście między ogólną paryską obojętnością a moim drobnym romantycznym gestem, który spada z nieba. Widzi pani, Mona, idealny kompromis między wirtualnym podrywem na forach społecznościowych a ordynarnym zaczepianiem, na które stale narażone są dziewczyny na ulicy.

Mona chwyciła butelkę i nalała nam znowu. Gwizdnęła przez zęby.

– Jedna dziewczyna na tysiące. Jak pan wybiera?

– To cały problem, Mona. Jak by to pani wytłumaczyć... Jeśli istnieje coś, z czego nigdy nic nie rozumiałem, to jest to miłość od pierwszego wejrzenia. To może spaść na człowieka na ulicy. Tłum, który się rozstępuje w zwolnionym tempie. Naprawdę, Mona, prawie wszystkie kobiety mają wdzięk, urok, prawie wszystkie mają w sobie to coś, co pozwala się w nich zakochać i kochać je przez całe życie, nie żałując wyboru. No, dobrze, założmy, że to nie wystarcza, żeby się zakochać od pierwszego wejrzenia... Niemniej jednak, chyba, nie wiem... co trzecia kobieta jest naprawdę ładna, jeśli chce się podobać. A poza tym, szukając dalej, przynajmniej co dziesiąta kobieta, może co dwudziesta, jest doskonała! No więc rozumie pani, Mona, miłość od pierwszego wejrzenia to jak grom z jasnego

nieba. Ciągłe spotykam kobiety zdolne spuścić na mnie taki grom: jedną w każdym wagonie metra, z dziesięć w każdym kawiarnianym ogródku pod słońcem paryskiego placu, ze sto na plaży w lecie...

Mona, pogryzając mule swoimi kłami jak u kota, spojrzała na mnie z zainteresowaniem.

– Niełatwo za panem nadążyć, Jamal. Czy jest pan najgorszym ze wszystkich macho, czy twórcą postromantyzmu?

Przerwała, żeby pomyśleć, jakby szukała luki w mojej metodzie.

– Naprawdę rozdaje pan najwyżej trzy wizytówki dziennie?

Próbowałem małpować zawstydzone dziecko przyłapanie na gorącym uczynku.

– Żartuje pani! W niektóre dni dochodziłem aż do kilkuset...

Roześmiała się.

– Figlarz, oszust! A teraz ważne pytanie. Czy one panu odpowiadają?

– Poważnie?

– Tak...

– Odsetek odpowiedzi dochodzi do osiemdziesięciu procent... Prawie wszystkie przechodzą do działania po trzech mailach. Spałem z najpiękniejszymi dziewczętami w stolicy, to ideały, które zbieram na ulicy o wiele łatwiej, niż gdybym był szefem największej agencji modelek w Paryżu.

– Podpuszcza mnie pan?

– Może, uwielbiam wymyślać historie.

Mona podniosła kieliszek chardonnay i stuknęła się ze mną.

– Ładne, Jamal. Remis.

Zawahała się, po czym wypaliła:

– Gdyby mnie pan spotkał na ulicy, dałby mi pan wizytówkę?

Zrozumiałem, że nie powinienem odpowiadać za szybko, obejrzałem spokojnie każdy por jej skóry, rude refleksy na kościach policzkowych, cienie rzęs na jej uroczym zadartym nosku. Mona już zupełnie przesadziła, przybrała pozę, oczy utkwiła w morzu, żebym mógł podziwiać jej profil, przeciągnęła się, ukazując mi gardło i kark.

W końcu odpowiedziałem, ważąc każdą sylabę.

– Tak. I tego dnia wręczyłbym tylko jedną.

Mona się zaczerwieniła. Pierwszy raz poczułem, że jest zażenowana.

– Kłamczuch! – Znalazła na mnie sposób.

Szukała pretekstu, żeby zmienić temat rozmowy. Zanim zadała pytanie, wzięła głęboki oddech.

– A pana... pana noga... To był wypadek?

W gruncie rzeczy nie była taka znowu obojętna na innych. Nie oparła się pokusie. Moja odpowiedź była gotowa. Od lat.

– Tak. Stacja Porte Maillot. Najpiękniejsza dziewczyna czekała po drugiej stronie peronu, nie można było pozwolić, żeby odjechała bez mojej wizytówki... Skoczyłem na tory, ale w tym momencie przyjechał pociąg.

Zaśmiała się.

– Idiota! Powie mi pan kiedyś?

– Obiecuję.

– Śmieszny z pana facet, Jamal. Zabawny, ale kłamczuch! Zresztą, jestem pewna, że nie dałby mi pan wizytówki. Domyślam się, że lubi pan kobiety romantyczne, piękności fatalne, ulotne. A nie takie bezpośrednie dziewczyny jak ja. Moim zdaniem to jest problem pana techniki, przyciąga pan obrazy, zbiera je pan jak figurki Panini. Nie chwyta pan tych, których panu potrzeba!

– Dziękuję za radę.

Mona pożerała mnie oczami.

– Przepraszam – powiedział jakiś głos do naszych pleców.

Za nami stał André, trzymając dwie miseczki z pływającymi wypami. Postawił je, unikając w ostatniej chwili tsunami, i wreszcie przemówił.

– Jamal, mówiłeś tu o jakiejś samobójczyni. Czy to... czy to świeża sprawa?

André najwyraźniej nic nie wiedział o porannym wypadku. Dziwne!

Przedstawiłem mu pokrótce fakty, nie wspominając tylko o tym, że znalazłem szalik Burberry wiszący na drucie kolczastym na klifie i że w sposób zagadkowy znalazł on się później na szyi Magali Verron. Im dalej się posuwałem w moich opowieściach, tym większe André robił oczy. Kiedy przerwałem, szef La Sirène, biały jak płótno, wybełkotał:

– Twoja historia przypomina mi...

Uprzedziłem go.

– Gwałt na Morgane Avril. Dziesięć lat temu.

André powoli kiwnął głową na znak potwierdzenia.

– Byłem tam – ciągnął. – W pierwszym rzędzie! Dziewczyna umarła pod moim oknem, by tak rzec. Festiwal Riff on Cliff to była dla mnie nie lada gratka. Uplłyniłem litry muli, tony frytek i kebabów, mój taras zajmował cały podest, wieczór był raczej pogodny, młodzi przyjechali tu ze wszystkich zakątków. Pierwszy i ostatni raz zorganizowano takie wydarzenie w Yport.

– Rozumiem.

Nie znajdowałem nic lepszego, by mu odpowiedzieć.

– Nie mam się co skarżyć – dodał André. – Po tym morderstwie mój hotel przez pół roku był pełny. Dziennikarze, gliny, eksperci, świadkowie, adwokaci.

– No, to dobra nowina – wtrąciła Mona. – Dzięki tej nieboszczce znowu będzie pan miał komplet!

Nie byłem pewny, czy André doceniał tak jak ja poczucie humoru Mony. Nie podjął tematu i tylko długo milczał.

– Mam nadzieję – dorzucił w końcu – że nie będzie ich już więcej.

– Więcej czego?

– Więcej ofiar...

– Jedna co dziesięć lat – ciągnęła Mona. – To zostawia margines.

André rzucił jej dziwne spojrzenie, puste, które przeszło Monę, tak jakby ta młoda kobieta w ogóle nie istniała, i pomknęło dużo dalej, by zagubić się gdzieś między morzem a gwiazdami. Odniosłem wrażenie, że bardziej niż pogardy dla swoistego poczucia humoru Mony, oczekuje od nas, abyśmy podzielili jego niepokój. Odwróciłem się do niego.

– Dlaczego, André? Dlaczego miałyby być więcej ofiar?

Szef wyglądał tak, jakby w ciągu jednego wieczora postarzał się o dziesięć lat. Wziął krzesło i usiadł koło nas. Długo badał ciemny horyzont, po czym przemówił ściszym głosem.

– A więc, Jamal, nie znasz całej historii? Dowiedziałeś się tylko o Morgane Avril?

Przypomniałem sobie ostatnie linijki artykułów prasowych, które czytałem przed kolacją, teorię kapitana Grimy, która wzięła w łeb, sprawę, która przybierała wymiar narodowy.

– Cztery miesiące po morderstwie Morgane Avril – ciągnął André – popełniono kolejną zbrodnię. Dziewczyna z Elbeuf koło Rouen. Działo się to w Dolnej Normandii, również nad morzem, pod koniec wakacji, prowadziła obóz dla młodzieży. Ten sam gwałcieł. Udużona tym samym czerwonym szalikiem Burberry. Co się działo wtedy w Normandii! Panika! Obawiano się, że seryjny morderca będzie dalej zabijał... Ale poprzestał na tym... Dwie dziewczyny...

Zrobił długą pauzę.

– Aż do dzisiejszego rana.

Próbowałem wysunąć racjonalne wytłumaczenie.

– To znaczy, że ten psychol dziesięć lat był w kiciu, a teraz wyszedł i znowu to robi?

– Nigdy go nie przyskrzynili – powiedział André monotonnym głosem.

Zamyślił się, pogrążony we wspomnieniach. Pływające wyspy, te chemiczne, zanurzały się powoli w swoim kremowym morzu. W końcu André odszedł, żeby sprzątnąć stół Anglików, którzy zniknęli wraz ze swoim dzieciakiem, zostawiając za sobą kałużę zielonego purée.

Mona kontemplowała deser jak ławicę lodową, ofiarę ocieplenia klimatu.

– Straszna historia.

Zatopiłem się w myślach, nawet na nią nie spoglądając.

Dwa morderstwa.

Gwałcieł, ukrywający się od dziesięciu lat, który najwyraźniej dziś rano znowu przystąpił do działania.

Tylko że tym razem nie zabił.

Magali sama rzuciła się ze szczytu klifu. Najpierw owinąwszy sobie szalik wokół szyi.

Szalik z moimi odciskami.

Ktoś wiedział. Ktoś sobie drwił ze mnie i wydzielał mi informacje kropłomierzem.

Dlaczego ja? Co ja niby robiłem w całej tej historii?

Palce Mony bawiły się moją wizytówką.

– Idziemy? – spytała.

Nie odpowiedziałem. Wydawała się zawiedziona takim obrotem sprawy na końcu posiłku, jakby skok w rzeczywistość był zbyt brutalny. Przeczytała na głos kilka słów z mojej wizytówki.

– „Dziękuję za tę magiczną chwilę”. Zwierzę się panu z czegoś, Jamal. Byłabym zachwycona, gdyby nieznajomy wcisnął mi do ręki takie słowa na peronie podmiejskiego pociągu. Myślę, że dałabym się uwieść bez względu na to, jaki by był.

Chwilę obserwowała spokojnie przez oszklone drzwi, w świetle ulicznych latarni, taniec przycumowanych łodzi rybackich. Pustych. Albo opanowanych przez zjawy. Potem dodała:

– Ale przy okazji kolacji z widokiem na morze też może być.

Odsunęła krzesło i wstała. Przetarłem oczy, zakłopotany nieprawdopodobną serią wydarzeń, które następowały po sobie, począwszy od tego ranka, po czym rzuciłem Monie uśmiech. Mam nadzieję, że był w jej guście.

– Mam pewną zasadę, Jamal. Kiedy chłopiec mi się podoba, idę z nim do łóżka od razu pierwszego wieczoru.

4 Antifer to terminal naftowy na nabrzeżu, Paluel – elektrownia jądrowa.



## Dlaczego ja?

Mona otworzyła okno. Do pokoju wpadł odgłos podmywanych przez fale kamyków, zdawać by się mogło, że jesteśmy w kajucie statku na pełnym morzu. Mona stała między dwiema zasłonami, naga, wystawiając swoją skórę na odpryski piany, które tłukły w falochron, dopóki wiatr ich nie unióś w górę.

Leżałem na łóżku i patrzyłem z zachwytem na Monę od drugiej strony medalu. To był widok na linię jej lędźwi, która schodziła aż do okrągłych pośladków, potem na dwie syrenie nogi, które wyrzekły się oceanu. Księżyc malował noc światłocieniem. Światelka pustej plaży płały po Monie. Czerwony neon kasyna, żółty piasek halogenów.

Nastrój wnętrza lasu, żywica, sosny.

Odwróciła się do mnie. Dwa brązowe orzeszki sterczały na jasnych wydmach jej piersi. Na wydepilowanym wzgórkę łonowym rosło kilka rudych korzonków.

Wspaniała.

W łóżku, kiedy Mona rozwiązała gumkę, która przytrzymała koński ogon, włosy spadły niczym kaskada na plecy, nadając niebywały rozmiar jej mysiej twarzyczce. Ogrom, powaga, które rozładowała wybuchem śmiechu.

Mona kochała się ze śmiechem.

Z naturalną energią, nieustanną inwencją. Jakby się bawiła. Zabawy z dzieciństwa. W chowanego. W berka. Zamknij oczy, daj mi rękę, otwórz usta.

Lawina chichotów. Nigdy czegoś takiego nie zaznałem.

Ani ona, ani ja nie mieliśmy prezerwatywy, nie przejmowała się. Nacisnęła delikatnie moje plecy na dole, żebym w niej został.

Zaczęła mi mówić po imieniu tuż przed orgazmem.

Popatrzyłem na budzik. 3.10 rano.

Mona uchyliła nieco okno i przysunęła się do mnie bez skrępowania. Wyobraziłem ją sobie, jak chwyta jedną z muszelek przyklejonych do gzymsu na ścianie i zakrywa nią łono na sposób Wenus Botticellego.

– Mam też *pied-à-terre* w Vaucottes – powiedziała. – Znasz?

Znałem. Kiedy biegałem, każdego ranka przemierzałem dolinę Vaucottes. To był jeden z najpiękniejszych zakątków zieleni na całym wybrzeżu. Kilka neobarokowych dziewiętnastowiecznych willi zawładnęło tylko dla siebie tą zadrzewioną doliną i jej malutką plażą.

– To jest dom rodzinny mojego promotora – wyjaśniła Mona. – Dał mi

klucze, ale jeszcze tam nie dotarłam. Z tego co widziałam na zdjęciach, to jakaś stara chałupa, elegancka i ponura, typu *Psychoza*. Dziękuję bardzo...

– Spałaś z nim?

Wydawała się niemal zdziwiona tym pytaniem.

– Żartujesz! W pracy jestem ponura ważniaczka, a w łóżku wesolutka. Jakbym zaczęła mieszać jedno z drugim... Oj...

Mona podskoczyła w pościeli. Ja siedziałem na brzegu łóżka, jej palce przesunęły się po moich plecach.

– Już zmęczony? Za wcześnie biegasz? Przecież mama mnie uprzedzała: „Córeczko, nie sypiaj nigdy z zawodowym sportowcem!”.

Pocałowałem ją w usta i dotknąłem ręką jej prawej piersi.

– Poczekaj kilka minut. Dobrze?

Nie usłyszałem jej odpowiedzi, włożyłem gatki i otworzyłem laptopa stojącego na biurku na wprost łóżka. Tak jak się spodziewałem, Mona wyrzuciła z siebie deszcz sarkazmów.

– Trafiłam na geeka. Co ty robisz? Wchodzisz na twittera, żeby obwieścić, że straciłeś dziewictwo z najzgrabniejszą laską na wybrzeżu?

Lekko się uśmiechnąłem.

– Nie, chodzi o to, co nam opowiedział André. Ta sprawa podwójnego gwałtu...

– Ta stara historia sprzed dziesięciu lat czy twoja poranna?

– Ta stara sprzed dziesięciu lat.

– To nie może poczekać?

*Nie... Muszę wiedzieć.*

– Daj mi dwie sekundy, Mona. Potem opowiem ci najbardziej zwariowaną rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałaś.

Postanowiłem powiedzieć wszystko Monie, również o wędrowce szalika Burberry z drutu kolczastego aż na szyję młodej i pięknej samobójczyni.

Mój stary laptop strasznie długo się otwierał.

– Możesz mi pomóc, Mona? W kieszeni mojej kurtki, w portfelu, jest hasło La Sirène do podłączenia wi-fi.

Pościel powoli się odchyliła, a ona zwijała się na łóżku, żeby złapać moje ubranie. Wykrzyczała mi serię cyfr i liter.

Wystukałem kilka pierwszych słów na chybił trafił.

*Seryjny morderca*

*Dolna Normandia*

*2004*

*Szalik Burberry*

Google zaproponował mi ze sto odpowiedzi, prawie wszystkie do siebie podobne. Niektóre słowa powracały w kółko w podkreślonych tytułach albo

w streszczeniach artykułów.

*Myrtille Camus*

*Czwartek 26 sierpnia 2004*

*Ośrodek Wypoczynkowy w Isigny-sur-Mer*

*Zgwałcona*

*Zamordowana*

Jedna z nazw utkwiła mi w głowie.

*Isigny-sur-Mer*

Nie wiedząc dlaczego, nawet nie potrafiłem zlokalizować tej miejscowości na wybrzeżu normandzkim. Próbowałem się skupić, ale w tej samej chwili wbił mi się w plecy głos Mony.

– Skryty chłopczyku. Jesteś gliną!

*Gliną?*

Mona zwariowała! Odwróciłem się do niej, przestraszony.

– Dlaczego to mówisz?

Pomachała mi przed nosem pozłocaną i pogiętą gwiazdką szeryfa.

*Moja gwiazda!*

Mona nie poprzestała na znalezieniu portfela, przeszukała wszystkie kieszenie mojej kurtki.

– Pamiątka z dzieciństwa? – zapytała.

– Dokładnie. Odłóż ją na miejsce, proszę.

Przypomniałem sobie ten jesienny poranek, kiedy wychowawca uliczny odprowadził mnie prosto do matki, bo przyłapał mnie na tym, jak czatowałem na Hakima i jego kumpli. Miałem wtedy siedem lat. Moja matka, zamiast mi nawymyślać, zaciągnęła mnie do sklepu z zabawkami w centrum handlowym, po drugiej stronie drogi. W tamtych czasach zajmowałem się oglądaniem kaset ze starymi westernami, które kolekcjonował wujek Kamel. Mama kupiła mi tę żelazną gwiazdę szeryfa, która pewnie kosztowała niecałe pięć franków, przypięła ją do mojej bluzy, nic mi nie mówiąc, potem zaprowadziła mnie do domu i posadziła przed filmem z kowbojami. Pierwszym z brzegu, było jej wszystko jedno. Chciała tylko, żebym zrozumiał, po której stronie prawa mam się opowiedzieć. Na zawsze.

– To ty napisałeś te słowa?

Ta uparciucha Mona nie odłożyła mojej gwiazdy. Wprost przeciwnie, oglądała ją ze wszystkich stron.

– Czasowniki jakies – ciągnęła. – Pięć czasowników. Jeden na każdym ramieniu.

Odczytała powoli słowa, w połowie zatarte, napisane markerem.

*Zostać*

*Kochać*

*Mieć*

*Być*

*Splacić*

Westchnąłem.

– To są jakby zasady, Mona. Wskazówki, jeśli wolisz. To rodzaj busoli.

– A dokładniej?

Oczy Mony błyszczały. Było za późno, żeby jej wyrwać tę gwiazdę. Kołdra zsunęła się już ostatecznie na jej uroczą pupę, ale ja czułem się jeszcze bardziej nagi niż ona. Udałem obojętność i z powrotem dałem nura w odpowiedzi Google'a.

*Poczta z Bessin*

*Miejsce zwane Grandes Carrières, u wylotu z Isigny-sur-Mer. Późne popołudnie. Zwłoki znalezione koło dawnych pieców wapiennych.*

– Ale poważnie – nalegała Mona. – Co znaczą te czasowniki?

– To moja busola. Mówiłem ci...

Znowu odgrywałem brak zainteresowania, nachylając się nad ekranem komputera i nie widząc, jak ona w dalszym ciągu myszkuje w moim portfelu. Po kilku sekundach wyciągnęła triumfalnie złożony na czworo kawałek papieru.

– Znalazłam! – zawyła.

Nikt nigdy nie grzebał tak w moich rzeczach, nikt nigdy nic nie wiedział o pięciu liniijkach ukrytych na tej karteczce, a jednak nie kiwnąłem palcem, żeby jej przeszkodzić w ich przeczytaniu.

Odszyfrowała je na głos. Miałem wrażenie, że słyszę, jak w jej piersi bije serce.

1. *Zostać...* pierwszym niepełnosprawnym sportowcem uczestniczącym w Ultra-Trail du Mont Blanc

2. *Kochać...* się z kobietą piękniejszą ode mnie

3. *Mieć...* dziecko

4. *Być...* opłakiwanym przez kobietę, kiedy umrę

5. *Splacić...* dług przed śmiercią

Zamilkła i rzuciła mi długie spojrzenie.

– Nie wszystko rozumiem, Jamal... Wytłumaczysz mi?

Kliknąłem na kolejny artykuł.

*Zachodnia Francja. Wydanie z Bayeux*

*Oblawa na gwałciciela zatacza coraz szersze kręgi. Komendant Léo Bastinet z SRPJ w Caen przejmuje sprawę Avril–Camus. W najbliższym czasie przybędzie do Dolnej Normandii psychokryminolożka, specjalna wysłanniczka Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.*

– Wytłumaczysz mi? – powtórzyła Mona.

Oderwałem niechętnie oczy od ekranu.

– Niezłe z ciebie ziółko, Mona! Jestem pewny, że już zrozumiałaś. To są takie jakby zasady, którymi się kieruję w życiu. Moje ambicje, jeśli wolisz. Moje

cele, żeby pokonać niepełnosprawność. Nie umrzeć, jeśli to możliwe, zanim będzie można odhaczyć wszystkie pięć punktów. Nieważne, w jakim wieku zostaną rozrzucone moje prochy, jeśli uda mi się osiągnąć wszystkie te cele...

– Niezły z ciebie szajbus!

– To ci się we mnie spodobało, prawda?

Myślałem, że jestem spokojny. Otworzyłem plik PDF.

*France-Soir*

*Seryjny zabójca, który sieje postrach w Normandii. Przybliżony portret około dwudziestoletniego faceta noszącego biało-niebieską czapkę firmy Adidas.*

– Cel numer jeden – skomentowała Mona. – Wycieczka na Mont-Blanc! To zrozumiałam. Po to trenujesz codziennie rano. To się odbywa pod koniec lata, tak? Masz czas. A więc cel numer jeden osiągnięty!

Uśmiechnąłem się bezwiednie. Czy ona była choć odrobinę świadoma tego, jak trudna jest to trasa i na jak ogromny wyczyn się porywam? Najdłuższy szlak na świecie! Moje chłopięce marzenie. Nie mówiąc o wyścigach kwalifikacyjnych w miesiącach poprzedzających...

– Okay – ciągnęła ironicznie. – Odhaczam też cel numer dwa, *kochać się z kobietą piękniejszą ode mnie*, bo to już zaliczone wczoraj wieczorem!

Odrzuciła stopą kołdrę i wyciągnęła swoje nagie ciało na łóżku, jakby żądając ode mnie potwierdzenia tego, co wygłosiła.

Co robić? Wyznać jej, że tak, jest, i to jak, najpiękniejszą dziewczyną, z jaką spałem.

Nie czekała na odpowiedź i mówiła dalej.

– Cele trzy i cztery. Dzieciak. Opłakująca wdowa. Okay, Jamal, ale tu nasuwa się ważne pytanie. Czy masz osiągnąć wszystkie te cele z tą samą kobietą? Tą od numeru dwa?

Wpatrywałem się w ekran, nie otwierając nowych dokumentów.

– No więc? – pytała. – Kochanka, matka i wdowa. Jedna, dwie czy trzy kobiety?

– Nieważne.

– Kłamczuch!

– Nie... Kobieta, która płacze, rozsypując moje prochy, to może też być moja córka, kiedy będę bardzo stary.

– Jasne! I na koniec cel numer pięć. Co to za historia, *splacić dług przed śmiercią*? Zabiłeś kogoś?

Usiadłem na łóżku i położyłem jej rękę na biodrze.

– Mówię o długu, który mamy wszyscy. Życie. Chcę po prostu powiedzieć, że pragnę być przydatny, zanim umrę. Uratować jedno życie, żeby splacić swoje.

– To źle zaczynasz! Nie mogłeś nawet powstrzymać małej Magali przed skokiem z klifu...

Moja ręka powędrowała wzdłuż jej ciała. Mona była absolutną specjalistką od naruszania wszelkich tabu. Nigdy nikomu nie mówiłem o pięciu kierunkach mojej busoli, nawet Ibou czy Ophélie.

Uznałem za stosowne uściślić:

- Również powstrzymać zabójcę. Nie pozwolić mu powtórzyć zbrodni.
- Gwałciciela w szaliku Burberry?
- Na przykład...

Mona wzięła łagodnie moją rękę, położyła mi swoją na oczach i poprowadziła mnie do jednej ze swoich intymnych kryjówek.

– Zapomnij o nim...

Zielone diody budzika wskazywały godzinę 4.03. Znowu się kochaliśmy, potem leżałem zwinięty między jej nogami i wszystko jej opowiedziałem, niczego nie zatajając z tajemnicy czerwonego szalika owiniętego wokół szyi Magali Verron. Zakończyłem pytaniem.

– Muszę zaraz pójść znowu do gliniarzy. Czy radzisz, żeby im wszystko powiedzieć?

– Nie wiem. W gruncie rzeczy nie ma w tym nic dziwnego, że znalazłeś ten szalik Burberry wiszący na ogrodzeniu. Facet, który zgwałcił Magali Verron, pewnie wpadł w panikę, słysząc twoje kroki, i zostawił go na miejscu. Ale potem...

Mona zmarszczyła czoło, żeby pomyśleć. Jej nos jak u żółwia podwinął się równocześnie. Zerwała się nagle.

– Wiem! Gwałciciel nosił maskę. Albo kominiarkę. Albo Magali nie zdążyła obejrzeć jego twarzy. Gdy cię zobaczyła kilka minut później z szalikiem w dłoni, pomyślała, że wraca jej oprawca. Wzięła cię za niego!

Wróciłem w myśli do tej sceny. Pamiętam słowa, które Magali wypowiedziała, zanim skoczyła.

*Niech pan się nie zbliża.*

*Jeśli zrobi pan choć jeden krok, skoczę...*

*Niech pan idzie swoją drogą. Niech pan idzie! Szybko.*

Czy byłem aż tak głupi? Czy przestraszyłem ją tak jak myśliwy, który osacza królika? Sparaliżowana ze strachu. Gotowa na wszystko, byleby nie wpaść znowu w ręce kata? Gotowa odebrać sobie życie.

Hipoteza Mony mnie zmroziła.

Gdybym się nie zbliżył z tym szalikiem w ręce, Magali by nie skoczyła.

Mona jakby nie dostrzegając moich dreszczy. Kontynuowała niewzruszenie swój wywód.

– Jamal, to mogłoby nawet tłumaczyć coś najbardziej niesamowitego. Owinęła ten nieszczęsny szalik wokół szyi, spadając...

Zrobiła krótką pauzę.

– Żeby cię oskarżyć!

*Żeby mnie oskarżyć?*

Moja goła skóra była teraz jak zamrożone mięso. Jak Mona mogła jeszcze znieść jej dotyk? Odsunąłem się. Tym razem Mona dostrzegła moje zmieszanie i przytrzymała mnie za ramię.

Na nocnym stoliku gwiazda szeryfa odbijała światło latarni morskiej. Jej pieszczota była słodka.

– Nie przejmuj się, Jamal. Nie jesteś za nic odpowiedzialny. Nie mogłeś wiedzieć.

Wstałem. Palce Mony zacisnęły się w pustce.

– Nie zrobiłeś nic złego, Jamal! Jesteś niewinny. Niczego nie musisz się obawiać ze strony gliniarzy. Twoja sperma nie jest spermą gwałciciela Magali Verron ani gwałciciela tych dwóch dziewczyn sprzed dziesięciu lat.

Wpatrywałem się przez okno w czarne klify. Mona powtarzała za moimi plecami:

– Niczego nie musisz się obawiać ze strony gliniarzy, Jamal.

Myliła się jednak.

Straszliwie się myliła.

Wkrótce miałem się przekonać, jak bardzo.

## W rękach swojego kata?

Godzina 10.22. Koperta leżała na ławce koło mnie, tuż obok dziesięciu *caïques*[5], które spały na kamieniach. Odpływ. W kanale wydrążonym w części brzegu, aby ułatwić łodziom dostęp do morza, dwaj surferzy kończyli właśnie zawieszać swoje *wishbones*. Młodszy z nich, z długą czupryną odbarwioną przez sól, namalował na swojej desce hełm wikingów; drugi, siwiejący czterdziestolatek, wybrał stylizowaną wersję dwóch normandzkich lampartów, złotych na czerwonym tle.

Szaleńcy! Zupełni szaleńcy! Tak jakby ten ślizgowy sport można było uprawiać, tylko walcząc z żywiołami – lodowaty wiatr, szare morze, kredowa ściana – i jakby ci, którzy surfują na Bermudach, pod palmami, w Honolulu czy w Sydney, byli jak niedzielni biegacze dla ultra-trailers.

Wymieniłem z nimi koleżeński uśmiech. Poczekałem jeszcze trochę z otwarciem koperty. Delektowałem się porannym spokojem. Obudziłem się pierwszy raz koło 7.30. I od razu złapałem swoją gwiazdę szeryfa i przypiąłem ją do leżącej na brzegu łóżka bluzki Mony. Dokładnie na sercu.

– Weź ją, Mona – wyszeptałem zaspanym głosem. – Powierzam ci ją.

Jej ciepłe ciało przylgnęło do mojego.

– Łał! Wielka odpowiedzialność!

– Ogromna!

I zasnąłem z powrotem. Godzinę później Mona wyszła, zostawiając mi krótką wiadomość.

*Muszę iść do roboty. Jestem gdzieś na plaży.*

Kiedy zszedłem w sportowym stroju do holu La Sirène, było koło dziewiątej.

– To już koniec z dobrymi postanowieniami – zażartował André, patrząc na zegarek. – Przy takim wylegiwaniu się to chyba nie wytypują kulawego do biegu Ultra-Trail...

– Mam okoliczności łagodzące, no nie? Dziewczyna jest raczej ładna...

– Jaka dziewczyna? – André puścił do mnie oko.

Zważywszy na średnią wieku jego klientów, chyba nieczęsto zabawiał się w swatkę.

Planowałem szybki, intensywny bieg, jakieś piętnaście kilometrów na zachód od Etretat, a następnie szlakiem Ramendeuses aż do doliny Grainval. Przed wyruszeniem rzuciłem okiem na prognozę pogody.

*Niebezpieczeństwo lawin*



*Ciągle opady śniegu*  
*Przed południem spodziewane zawieje*  
*-15° C*  
*05350 Saint-Véran*  
*Alpy Wysokie*

Poranne żarty André mimo woli przyprawiły mnie o dreszcz. Na zewnątrz piękne słońce dawało złudzenie upału. Wyruszyłem drobnymi krokami. Jak tylko dotarłem do nadmorskiego szlaku, sztywna trawa zaskrzypiała mi pod nogami.

Mniej więcej w połowie trasy przebiegłem nad Vaucottes, chwilę odetchnąłem i zastanowiłem się, który z tych dziwnych figlarnych domów zagubionych w ogromnym lesie jest domem promotora Mony. Kiedy zszedłem do Yport szlakiem drogi krzyżowej, natknąłem się twarzą w twarz na listonosza w furgonetce.

Popatrzył na mnie jak na chłopca, który błaga o kartkę pocztową od swojej koleżanki.

– Koperta? Na nazwisko Jamal Salaoui? Tak, miałem jakąś dzisiaj, ale byłem już w La Sirène. Poprosisz o nią szefa, chłopcze.

Domyślałem się, myślałem już o czymś innym.

– Czy możliwe jest znalezienie nadawcy paczki? Na przykład na podstawie opłaty pocztowej, jeśli jest jakaś pieczęć zamiast znaczka?

Listonosz miał minę nauczyciela zachwyconego, że dostanie godziny nadliczbowe.

– Teoretycznie tak. Ale na twojej kopercie, chłopcze, pamiętam, bo miałem ją w rękach niecały kwadrans temu, widać, że użyto maszyny, żeby opłacić wysyłkę. Każda mała firma czy administracja regionalna ma taką maszynę. Jeśli liczysz na to, że znajdziesz wielbiciele, która cię nęka, będziesz musiał zabrać się do tego inaczej.

Przy wejściu do La Sirène André podał mi kopertę.

– Twoja prenumerata, Jamal! „Pomme d’api”, „Télérama” czy „Playboy”?

– „Pif gadget”...

Nie miałem ochoty otwierać koperty w pokoju. Mocne słońce starannie oświetlało plażę, podszedłem trzy kroki do ławki na grobli. Jeszcze przed rozdarciem koperty wiedziałem, co zawiera.

Dalszy ciąg serialu sądowego.

Wszystkie części potrzebne do zrozumienia szeregu powiązanych ze sobą wydarzeń sprzed dziesięciu lat.

10.29. Obaj surferzy sunęli w stronę Anglii. Przez krótką chwilę pomyślałem, że zostały mi niecałe cztery godziny do spotkania z Pirozem w żandarmerii w Fécamp. Rozdarłem kopertę i przewracałem kartki, ściskając je mocno w zgrabiących od zimna palcach, żeby wiatr ich nie porwał.

\*\*\*

*Sprawa Myrtille Camus – czwartek 26 sierpnia 2004 roku*

Victor Thouberville władał morzem kukurydzy z wysokości swojego traktora. Pomyślał najpierw, że to torba, którą porzucili tu gdzieś flejtuchowaci turyści. Potem dostrzegł podartą sukienkę. Potem zwłoki dziewczyny.

Dwaj żandarmi z brygady okręgu Isigny-sur-Mer byli na miejscu po niecałych dziesięciu minutach. Natychmiast skojarzyli to z zabójstwem Morgane Avril trzy miesiące wcześniej. Wykazali przytomność umysłu, nakazując nielicznym świadkom obecnym na miejscu zbrodni, Victorowi Thouberville i jego piętnastoletniemu synowi, najdalej posuniętą dyskrecję. Potem skontaktowali się z przełożonymi, którzy potwierdzili słuszność ich intuicji. Dwudziestoczterogodzinne embargo na media, trzeba najpierw sprawdzić, co łączy te dwie zbrodnie. Dopiero potem będzie czas, by rzucić w eter wiadomość, która z całą pewnością wywoła taką panikę na wybrzeżach normandzkich, jak pożar lasu nad Morzem Śródziemnym.

Słowa będą na ustach wszystkich dziennikarzy.

*Seryjny zabójca.*

Dwadzieścia cztery godziny wystarczyły, by rozwiązać wszelkie wątpliwości.

Myrtille Camus miała dwadzieścia lat i trzy miesiące, była instruktorką na obozie dla młodzieży, który dwa tygodnie wcześniej rozbił namioty na terenie ośrodka wypoczynkowego w Isigny-sur-Mer. Ostatni świadek, którzy widzieli ją żywą, spotkali ją koło godziny piętnastej na drodze do Grandcamp, u wylotu z Isigny. Szła sama. To był jej wolny dzień.

Każdy akapit sprawozdania z sekcji zwłok potwierdzał to, czego obawiał się każdy śledczy wtajemniczony w drugą zbrodnię.

Myrtille Camus została zgwałcona, potem uduszona szalikiem z czerwonego kaszmiru w kratkę, prawdopodobnie marki Burberry.

DNA spermy gwałciciela Myrtille Camus było identyczne z DNA gwałciciela Morgane Avril. Dokładniejsze testy, które przeprowadzono później, po testach sporządzonych naprędce, potwierdziły, bez cienia wątpliwości, jednorodność materiałów genetycznych.

Już tylko te dwa elementy same w sobie były wystarczające, by wyciągnąć wniosek, że chodzi o jednego zabójcę, ale raport dodał jeszcze inne, bardziej niepokojące.

Myrtille Camus, zanim została zgwałcona i uduszona, kąpała się w morzu. Zapewne nago, bo nie miała na sobie żadnego kostiumu kąpielowego, nie znaleziono również ani śladu wody morskiej na jej bieliźnie. Nie widziano jej jednak na żadnej plaży po tym, jak wyruszyła z Isigny-sur-Mer. Myrtille Camus

była ubrana w letnią niebieską sukienkę w duże fioletowe kwiaty hibiskusa. Bardzo elegancką. I ta sukienka została rozdarta prawie na całej długości.

Tak jak w przypadku Morgane Avril, Myrtille Camus miała jeszcze na sobie biustonosz, fioletowy, w kolorze hibiskusa, ale majtki zostały ściągnięte. Odnaleziono je dopiero następnego dnia, na kanale zatoki des Veys, poplamione spermą gwałciciela. Ostatnie podobieństwo obu spraw – torebka na ramię, którą miała ze sobą Myrtille, zniknęła. Prowadzący śledztwo szukali jej przez kilka miesięcy, na próżno.

Taki sam akt barbarzyństwa. Ten sam gwałciciel. Ta sama broń, którą popełniono zbrodnię. Ta sama agresja, również w szczegółach, o których policja nigdy nie mówiła.

Ten sam sposób postępowania.

*Znowu zaatakuj.*

To była konkluzja z dwudziestoczworgodzinnego śledztwa pod zwierzchnim nadzorem.

*Zabójca nie poprzestanie na tym. Znowu zaatakuj.*

Kapitanowi Philippe'owi Grimie z żandarmerii w Fécamp podziękowano grzecznie za prowadzone przez trzy miesiące dochodzenie, nie przypomniawszy mu przez delikatność, że w konkluzji swojego raportu wykluczył jakiegokolwiek ryzyko recydywy, po czym odebrano mu śledztwo i całość obu spraw, Morgane Avril i Myrtille Camus, powierzono duetowi, który sam minister spraw wewnętrznych i sam minister sprawiedliwości zatwierdzili z uwagi na jego komplementarność.

Komendant SRPJ z Caen, Léo Bastinet, od pięciu lat na emeryturze, miał doświadczenie, którego nikt nie kwestionował. Takt, zmysł organizacyjny, duch zespołu i brytyjski humor – Bastinet był dość rzadko spotykaną osobowością, docenianą zarówno przez swoich ludzi, jak i zwierzchników. Przydzielono mu, jako następcę sędziego Nadeau-Loqueta, Paula-Hugo Lagarde'a, młodego sędziego, który świeżo przybył do Calvados. Błyskotliwy, ambitny, w dobrych stosunkach z mediami... Gdyby Lagarde był zbyt gorliwy, Bastinet potrafiłby go uspokoić. Gdyby młody sędzia marzył o sławie i chwale, musiałby się zadowolić archiwizowaniem wszystkich szczegółów sprawy, żeby opublikować bestseller, kiedy nastąpi przedawnienie. Minister spraw wewnętrznych, przerażony widmem seryjnego zabójcy, wybrał początek roku szkolnego, by zyskać rozgłos, i uznał za stosowne dołączyć i do sędziego, i do komendanta trzeciego specjalistę, psychokryminologa. Ellen Nilsson, trzydzieści sześć lat, kolekcjonerka dyplomów, niezwykle zdolna według urzędników magistratu z placu Beauvau, miała za zadanie podążać za śledztwem jako *free-lancer* i wspomagać swoją wiedzą, kiedy zechce.

Cel wyznaczony tej trójce był jasny i oparty na trzech przykazaniach.

Działać szybko. Oddramatyzować. Ująć tego zbrodźca.

Wszystkie badania potwierdziły, że nie istniały żadne powiązania między Morgane Avril a Myrtille Camus.

Morderca uderzył na chybił trafił. Nie mógł trafić gorzej.

Przeszło pięć tysięcy osób uczestniczyło w pogrzebie Myrtille Camus w kościele Saint-Jean d'Elbeuf. Prawie co dziesiąty mieszkaniec aglomeracji.

Myrtille Camus stała się ikoną. Zasługiwała na to.

Wszyscy nienawidzili mordercy.

Wszyscy, może oprócz jego bliskich.

Charles i Louise Camus byli osobistościami znanymi w mieście. Znanymi i cenionymi. Charles był od prawie dwudziestu lat konserwatorem muzeum w Elbeuf, uznawanym za jednego z najlepszych w aglomeracji znawców archeologii Sekwany sprzed dwustu tysięcy lat aż po czasy maszyn włókienniczych w dziewiętnastym wieku. Louise uczyła tańca na cours Gambetta i działała na rzecz ochrony zabytkowego cyrku-teatru, najpiękniejszego klejnotu dziedzictwa kulturalnego ich miasta.

Para humanistów. Postępowych. Zwolenników centrum.

Louise i Charles mieli jedno dziecko, późne. Skarb, byli tego świadomi, i z tego powodu czynili wysiłki, by nie zamykać Myrtille w kasie pancernej.

Myrtille uczęszczała na kursy tańca prowadzone przez matkę, do atelier cyrku-teatru, ale również do szkoły w dzielnicy du Puchot, która skupiała na swoim terenie wszystkie możliwe skróty wymyślone przez władze miejskie w ciągu ostatnich dwudziestu lat, ZEP, ZUS, ZRU, DSQ. Na jej urodzinach w małym domu przy brzegu Sekwany, wciśniętym między większe budynki, spotykały się najbogatsze rodziny Elbeuf, córki bezrobotnych robotników i synowie imigrantów z Afryki.

Był to celowy, przemyślany wybór Louise i Charles'a, nie tyle nawet wybór polityczny, ile po prostu wybór życiowy. Myrtille była jedyną córką, kochaną, wyczekiwaną, upragnioną. Chcieli, żeby była ładna, nie fizycznie, ładna to i tak już była, nie musieli nic robić w tym kierunku; nie, chcieli, żeby wyrosła na piękną osobę. Jeśli się zastanowić, to było egoistyczne i pretensjonalne. Chcieli, żeby miała to po nich, wspaniałomyślność, dzielenie się, wybaczenie, żeby z kolei ona przekazała wartości, kiedy ich już nie będzie.

Na długo przed narodzinami córki Louise i Charles założyli stowarzyszenie Drap d'Or na rzecz dzieci z ubogich rodzin Elbeuf. Było to w roku 1964, upadek przemysłu tekstylnego pograżył połowę pracowników tej aglomeracji w bezrobociu, którego nie kompensowało pojawienie się nad Sekwaną fabryk Renault. Drap d'Or organizowało co roku w lecie kolonie dla dzieciarni i młodzieży, dla tych, którzy nie mogli wyjechać prywatnie na wakacje. Te kolonie Louise i Charles prowadzili osobiście przez ponad trzydzieści lat. Wciągnęli w tę

przygodę Myrtille, jeszcze zanim nauczyła się chodzić, i w ten sposób mała stała się maskotką przyszłych kaidów, którzy stanowili prawo w letnich sypialniach i na ulicach ich dzielnicy przez resztę roku. Louise i Charles wycofali się dopiero w 1999 roku, ich następcą został Frédéric Saint-Michel, dyrektor MJC, młodzieżowego domu kultury w Elbeuf. To pod jego okiem Myrtille, gdy tylko skończyła siedemnaście lat, stawiała pierwsze kroki jako instruktorka na koloniach.

Frédéric Saint-Michel lubił, żeby go nazywano Chichin, od nazwiska innego Frédérica, gitarzysty grupy muzycznej Les Rita Mitsouko. Saint-Michel zachował swój styl *dandy cool*, długie włosy, zarost na brodzie, gruby głos. Z surowego wychowania i dziesięciu lat patrolowania ze skautami wyniósł zasady moralności, dzięki którym wzbudzał zaufanie Charles'a i Louise, a z podróży po świecie odbytej samotnie w wieku niecałych dwudziestu lat – odrobinę szaleństwa, którym uwodził dziewczyny, również te dużo młodsze od siebie.

Również Myrtille.

Mimo różnicy wieku widać było wyraźnie, że Myrtille i Frédéric zakochali się w sobie. Ona miała wtedy osiemnaście lat, a on trzydzieści siedem, ale Louise i Charles nie mieli nic przeciwko temu.

Frédéric też był piękną osobą.

Ślub zaplanowali na 2 października 2004 roku. Na palcu martwej Myrtille tkwił pierścionek zaręczynowy.

Na ślubie Myrtille byłoby dużo ludzi.

Dużo, ale może nie aż tyle, ile było na jej pogrzebie.

Trójka śledcza się zaktywizowała. Sędzia, komendant i pani od profilu psychologicznego.

Początkowo sędzia Lagarde nic innego nie robił, tylko zgadzał się z decyzjami policjanta, a psychokryminolożka ziewała nad niekończącymi się listami kodów DNA. Wzywali tłumy mieszkańców, letników, obozowiczów z zatoki des Veys, aby skompletować normandzki bank danych genetycznych założony po morderstwie Morgane Avril.

Bez rezultatu, chyba że było nim uniewinnienie wszystkich dawców.

Rozwieszano systematycznie portret pamięciowy sporządzony przez kapitana Grimę, portret młodego człowieka w czerwonym szaliku Burberry, widzianego w Yport, tego, którego rodzice mieli jakoby dom letniskowy na wybrzeżu normandzkim.

Z braku innych tropów pozostawał on podejrzanym numer jeden.

Podejrzany widmo.

Nikt nigdy go nie widział w okolicy albo też portret był zbyt niedbały.

Carmen Avril wywierała presję na prowadzących śledztwo. We wrześniu „Femme actuelle” poświęciła prawie całą stronę na rozmowę z matką Morgane. Najbardziej znamienne zdanie z tego interview zostało powtórzone na okładce:

*Gdyby mnie posłuchano, Myrtille Camus jeszcze by żyła!*

Carmen Avril wyjaśniła dziennikarce, że zawsze była pewna, że jej córka padła ofiarą sadysty. Że wybrał ją na chybił trafił. Tak jak przypadkiem wybrał Myrtille Camus. Tak jak przypadkiem wybierze nową ofiarę, jeśli się go nie aresztuje. Myrtille Camus jeszcze by żyła, gdyby kapitan Grima nie stracił czasu na lansowanie swojej hipotezy, że to wypadek, że chłopak wpadł w panikę i trochę za mocno ścisnął za gardło swoją sympatię z tego wieczoru; że to dobry chłopak, który nigdy tego nie powtórzy...

Komendant Bastinet odniósł się do incydentu z elegancją, zaprosił Carmen, porozmawiał. Obiecano mu, że władze uruchomią gigantyczne środki.

To była prawda.

Sędzia Lagarde i komendant Bastinet otoczyli Normandię gigantyczną siatką. Chodzenie od drzwi do drzwi, zasadzki, obławy, systematyczne zbieranie zeznań, sprawdzanie kartotek informatycznych. Bastinet stawiał na długą walkę z seryjnym zabójcą, na śledztwo, które zapewne będzie się opierać na jednym szczególe, drobnym elemencie ukrytym w gigabajtach informacji. Mrówcza praca. Praca posłusznych i kompetentnych mrówek... W gruncie rzeczy taka sama, jakiej się oddawał kapitan Grima w Fécamp, ale przy tyle razy większych środkach.

Ellen Nilsson, psychokryminolożka, nudziła się. Odwrotnie niż komendant Bastinet postawiła wszystko na jedno zeznanie. Jedno jedyne.

Istniała zasadnicza różnica między zamordowaniem Morgane Avril a morderstwem Myrtille Camus.

Myrtille Camus czuła się zagrożona w dniach, które poprzedziły jej zamordowanie.

A jej bliscy wiedzieli przez kogo.

\*\*\*

Podniosłem oczy. Prawie skończyłem czytanie, ale rozproszyła moją uwagę obecność na plaży jakiejś znajomej sylwetki, ze sto metrów ode mnie.

Atarax!

Wciąż miał na sobie brązową bluzę, jakby drugą skórę, tak sfatygowaną i zniszczoną, że można by pomyśleć, że to Atarax, a nie Magali Verron powinien się rzucić z klifu. Oddalał się powoli w stronę morza, prawie tak wolno, jakby czekał z kolejnym krokiem, aż wyschnie równia pływowa po każdej fali, która się cofnęła.

Wszystko uciekało, nawet morze.

To się pewnie wiązało z jego nerwicą.

Włożyłem pospiesznie kartki do koperty i pobiegłem do niego.

Należeliśmy do bardzo zamkniętego kręgu jedyńskich trzech świadków

samobójstwa Magali Verron. Jako że, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zabójca w czerwonym szaliku znowu się pokazał, dziesięć lat po podwójnym morderstwie, to może Atarax ma swoją własną interpretację tego nieprawdopodobnego zbiegu okoliczności.

5 Łodzie rybackie Alabastrowego Wybrzeża.

**Znowu zaatakuj?**

– Christian? Christian Le Medef?

Szedłem możliwie najszybciej po skałach uwolnionych od morza. Pustynny pejzaż po cudownym deszczu. Tysiące miniaturowych szczytów, dolin i jam wydrążonych przez wiatr i tysiąclecia. Ostre. Lśniące. Moja lewa stopa zahaczyła o wystający czubek, poślizgnęła się na bruździe. Zakląłem wewnątrz. Skoro, utykając, nie potrafię utrzymać równowagi na śliskim gruncie, to nie ma co stawać do biegu na ośnieżonych zboczach Mont-Blanc.

Zawołałem jeszcze raz.

– Le Medef!

Atarax tym razem się odwrócił i utkwiał we mnie zmęczone spojrzenie.

– Ach... To pan.

Najwyraźniej nie pamiętał już mojego nazwiska. Podeszedłem, uściśnięłem mu dłoń.

– Jamal. Jamal Salaoui.

Przyjrzał się mojej wiatrówce. Tej, którą nosiłem poprzedniego dnia i wcześniej.

– A więc pan biega codziennie?

– No tak...

Nie miałem ochoty wchodzić w szczegóły moich treningów. Szukałem punktu zaczepienia, żeby nawiązać do samobójstwa Magali Verron.

– Idę zaraz na kolejną rozmowę z gliniarzami do żandarmerii w Fécamp. Mam wezwanie na godzinę czternastą. A pan?

Le Medef zrobił zdziwioną minę.

– Ja nie. Wczoraj podpisałem swoje zeznanie. Jako zwyczajny świadek. Kapitan Piroz powiedział, że skontaktuje się ze mną w razie potrzeby... Nie narzekam, wie pan.

Zdawał się przez chwilę zastanawiać nad moim wyjątkowym statusem. U podnóża klifu skaliste podłoże ciągnęło się w nieskończoność. Jak pustynia zamieszkała tylko przez czarne i zgięte wpół cienie mieszkańców Yport, którzy zbierali muszelki. Kilkudziesięciu w grupach dwu- albo trzyosobowych.

– To jest zabronione – wtrącił Le Medef.

– Co?

– Zbieranie muszelek. Zabronione! Jest duży napis wywieszony na wieży ratowniczej, a jednak wszyscy to robią... Gliny nic nie mówią. Nie mogą pojąć...



Podniósł głos, może w nadziei, że zostanie usłyszany przez jedną z grup poławiaczy.

– Albo istnieje zagrożenie i nakazuje się przestrzegać prawa, albo nie istnieje i pozwala się tym ludziom zbierać mule... Ale zabraniać i tolerować to przecież najdalej posunięta hipokryzja, nie uważa pan?

– Bo ja wiem... Nigdy nie zbierałem muszelek.

– Nie uważa pan, że gliniarze to hipokryci?

– Nawet kryminaliści!

Skrzywiłem się, chcąc jakby wyrazić mój wstręt na myśl o tym, że można jeść lepkiego skorupiaka odklejonego od skały, którą przez pół dnia ogrzewa słońce. Rozśmieszyło to trochę Le Medefa. Zdałem sobie sprawę, że nazywam go teraz w myśli Le Medef, uznałem ostatecznie, że jego prawdziwe nazwisko jest zabawniejsze niż Atarax.

– A więc tak po prostu – zapytał – kapitan Piroz chce pana ponownie widzieć?

– Tak...

– W końcu to logiczne... Ja, Denise, nie mówiąc o tym dzielnym Arnoldzie, w gruncie rzeczy niczego nie widzieliśmy. Tylko dziewczynę, jak padała bez życia. Ale pan był na balkonie.

Zdawało się, że jego spojrzenie znowu przyciągają piesi poławiacze.

– Niech pan sobie wyobrazi przez chwilę zatrucie, Jamal. Że wszyscy umierają. Albo tylko ktoś jeden. Starzec. Albo dzieciak. Po zjedzeniu kraba czy innego świństwa nafaszerowanego bakteriami. Tutaj, między naftą a elektrownią atomową, to jednak nie jest science fiction.

Słyszeliśmy jakieś krzyki najbliższej grupy poławiaczy, pięćdziesiąt metrów od nas, dziadek i jego dwoje wnucząt. Kalosze wypastowane na żółto i wiaderko Hello Kitty.

Nie, nie wyobrażałem sobie.

– Dziwna sprawa, nie? – podjął Le Medef.

Zrozumiałem, że znowu mówi o Magali Verron.

– Dlaczego?

– Kapitan Piroz powiedział panu, jak sądzę. Dla gliniarzy to nie było samobójstwo. Mała została zgwałcona, potem uduszona. Ale pana wersja jest trochę inna, tak?

Nie zdążyłem wyznać, już mówił dalej.

– Muszę powiedzieć, że pana wersja trochę mnie zdziwiła. Dziewczyna, która sama skacze z klifu. No więc trochę poszukałem, dowiedziałem się czegoś o tej Magali Verron.

Podszedł do mnie i zniżył głos. Oba jego buty moczyły się w dziurze ze słoną wodą, ale on wydawał się tym nie przejmować.

– Znalazłem różne rzeczy. Rzeczy, w które trudno uwierzyć... Mam dużo czasu, trzeba przyznać, na poszukiwania, całe dni.

– Jak to?

– Jestem na bezrobociu, rozwiedziony, opiekuję się na zmianę dziećmi, które teraz uczą się na drugim końcu Francji...

Cholera! Oczekiwałem wiadomości o Magali Verron, a on mi opowiadał swoje życie. Zbliżył swoją nieogoloną brodę do moich ramion.

– Pracowałem w elektrowni Paluel. Jako inżynier! To nie takie łatwe, wie pan, zwłaszcza kiedy człowiek, tak jak ja, ma trochę żyłkę ekologa. Któregoś dnia, osiem lat temu, zostawiłem wszystko i zainwestowałem w turbiny wiatrowe. To była przyszłość! Moja żona raczej się zgadzała, ona też jest ekolożką, no, znaczy, była. Na początku szło dobrze, założyłem małą firmę w Cany, zatrudniłem nawet dwóch techników i jednego handlowca. Mieliśmy odwiedzać miejscowych rolników i sprzedawać im wiatr... Nigdy się nie czułem tak dobrze, nosząc to cholerne nazwisko, Le Medef.

Uśmiechnął się ledwo-ledwo, łapiąc oddech. Ja nie. Jego zwietrzała woda kolońska mieszała się z mżawką. Jego głos przybierał melodramatyczny ton. Trochę za bardzo wymuszony, ale na razie nie zwróciłem na to uwagi. Przypomniałem sobie o tym później, dużo później.

– I nagle – zdenerwował się Le Medef – na rynek wkroczyły wielkie firmy. Nordex. Veolia. Suez. Dokładnie w chwili gdy przyjęto przepisy niezezwalające już na instalowanie turbin wiatrowych w prywatnych obejściach. Ani jednego wiatraka więcej bez badania użyteczności publicznej i rewizji planu zagospodarowania. Nie muszę panu tłumaczyć, wszyscy drobni rzemieślnicy poszli na dno w ciągu sześciu miesięcy, a międzynarodowe firmy podzieliły się tortem. Ogłoszenie upadłości! Żona ulotniła się z kolegą, który przyszedł na moje miejsce do elektrowni Paluel. A ja zadłużyłem się po uszy, żeby opłacić szkoły moich dzieciaków. No i, wie pan, wciąż jeszcze dostaję co miesiąc rachunki, wezwania do spłaty pożyczek, a raz do roku, albo i rzadziej, kartkę pocztową od moich dzieci.

Le Medef przypominał mi paczkę facetów, którzy przesiadywali jako squatterzy na ławkach osiedla 4000. Samotnicy, którzy odtwarzali sobie w kółko film swojego życia. Tak jakby mogli wcisnąć swoje nieszczęście pierwszemu lepszemu, po prostu mu o nim opowiadając.

– Rok temu – ciągnął – o mało nie zostałem bezdomnym. Na szczęście trafiłem na starucha, który szukał kogoś, kto by mu wyremontował dom w Yport. Pożycza mi swoją letniskową chałupę. Nigdy tam nie przyjeżdża, ale nie chce jej sprzedać. To jego sprawa, no nie? Majsterkuję tam, koszę trawę, dbam o tę chatę, a on mi ją wynajmuje za frajer. Czekam tu, aż sobie podreperuję zdrowie. Nie narzekam, to nie najgorsza miescina, żeby dojść do siebie.

Kiedy, niczym pływak, brał kolejny oddech, spojrzałem ostentacyjnie na

zegarek. Zrozumiał aluzję.

– Dobrze, à propos dochodzenia do siebie, przejdźmy do tej biednej Magali Verron. Czy Piroz coś panu o niej mówił?

– Powiedział, że była agentką medyczną, że odwiedzała lekarzy internistów w kantonie. Że pewnie spała w Yport, ale nie wiedzą gdzie...

Le Medef wrócił do dzieci i ich dziadka, z przerażeniem w oczach, jakby groziło im śmiertelne niebezpieczeństwo.

– No tak. Mnie też to mówił, więc zacząłem szukać. W elektrowni Paluel pracowałem z miejscowymi szpitalami, również z lekarzami. Kontrola jakości powietrza, dostarczanie dawkomierzy i jodu w tabletkach, cały ten cyrk. Skontaktowałem się z dziesięcioma medykami z okolicy. Wszyscy znali małą Verron... Trzeba przyznać, niezła lalka! Pracowała dla Bayer-France. Wszyscy mi ją opisywali jako milutką, skuteczną, kokietkę, tyle, ile trzeba, żeby przepisywali tę jej kokę. Pan ją widział lepiej niż ja. Znaczy żywą. Taka piękna dziewczyna jak ona, gdyby im zaproponowała grzyby halucynogenne przeciwpromienne, zamawialiby je całymi paletami. Słowem, najzwyklejsza dziewczyna... Przynajmniej pozornie. Tak się wydawało.

Le Medef miał dar przedłużania przyjemności, żeby zatrzymać przy sobie frajera, który go słuchał.

– Dlaczego pozornie?

Zrobił krok naprzód na skałach. U dołu jego butów widać było ciemną linię.

– Mam mokre buty! Wracam do miasta. Idzie pan ze mną?

Nie ruszyłem się, dociekałem dalej.

– Co pan znalazł na temat Magali Verron? To nie była zwykła dziewczyna?

– Niech pan idzie ze mną, mówię panu. Trzeba się znaleźć w tej dziurze, żeby zrozumieć.

Nie miałem wyboru. Poszedłem za nim krok w krok. Idąc w kierunku falochronu, pomyślałem sobie, że Christian Le Medef mieszka w tym rejonie od ponad dziesięciu lat. On też zapewne musiał dokonać zestawienia samobójstwa Magali Verron z morderstwami Morgane Avril i Myrtille Camus. Czerwony szalik... Zawahałem się, czy go o to nie zagadnąć, ale ostatecznie wolałem w milczeniu dotrzymać mu kroku.

Jedno odkrycie po drugim...

Przeszliśmy koło La Sirène. Le Medef wszedł w ulicę Emmanuel-Foy, handlową ulicę Yport.

– Zobacz pan – powiedział. – To nie do wiary!

Zatrzymał się z miną spiskowca przed dużym kioskiem z gazetami.

– Niech pan popatrzy tam, na gazety na stojaku.

Obejrzałem tytuły w „Paris Normandie”, w „Havre Presse”, w „Le Courrier cauchois”. Nie zauważyłem niczego nadzwyczajnego. Popatrzyłem pytająco na Le

Medefa.

– Nic... nic nie widzę.

– Właśnie! Nie rozumiał pan? To właśnie jest nie do wiary! Mała skacze z klifu, pewnie zgwałcona, uduszona. A następnego dnia nikt o tym nie pisze w miejscowych dziennikach. Nikt absolutnie...

Nagle zrozumiałem, do czego Le Medef zmierza. Spróbowałem jednak kontrargumentować.

– Samobójstwo. To nie zasługuje na tytuł na pierwszej stronie...

Przepuściłem faceta, który wychodził z księgarni z „L'Equipe” pod pachą. „Le Courrier cauchois” mówił o rozwoju wspólnoty miejskiej Fécamp, „Le Havre Presse” o zmniejszaniu się liczby miejsc pracy w Port-Jérôme, „Paris Normandie” o rosnących cenach nieruchomości na wybrzeżu.

– Nie na pierwszej stronie? – odparował Le Medef, podnosząc głos. – Nie powie mi pan, że nie porównywałeś pan z tamtymi. Chyba rozmawiał pan z ludźmi, z miejscowymi, no nie? Na Boga, przecież pan wie. Ten skurczybyk seryjny zabójca wrócił! Gwałt, młoda dziewczyna uduszona czerwonym szalikiem, który kosztuje tyle co miesięczny zasiłek! Psiakrew, to już dziesięć lat, a ja pamiętam, jakby to było wczoraj. Sprawa zrobiła się głośna, wielkie tytuły we wszystkich gazetach przez pół roku. A tu? Nic! Nic a nic!

– To świeża sprawa – wywnioskowałem. – To się stało wczoraj rano...

– Właśnie. Na Boga. Co za scoop! Jak oni mogą przejść obok tego obojętnie!

Przejrzałem pierwszą stronę dzienników w nadziei, że odkryję przynajmniej jakąś wzmiankę. Le Medef, pewny siebie, pozwolił mi szukać. Musiał już chyba przerzucić wszystkie gazety.

Usiłowałem sporządzić inne wyjaśnienie.

– To sprawa gliniarzy. Nie puścili pary. Czekają. Trochę jak... jak z wypadkiem w elektrowni atomowej, nic od razu się nie mówi, czeka się z poinformowaniem ludzi, aż niebezpieczeństwo zostanie zażegnane...

Le Medef nie wyglądał na przekonanego.

– A jak gliniarze mieli to zrobić, żeby wstrzymać informacje? Jest nas troje świadków. Ja już mówiłem o tym wszystkim swoim kumplom. Pan ze swej strony też mówił, no nie? Denise również, to w jej stylu... Nie zapominając o tych wszystkich, którzy widzieli gliniarzy wczoraj rano na plaży, jak oglądali trupa...! I nikt by sobie nie zadał pytania? W takim miasteczku jak Yport, gdzie nigdy nic się nie dzieje i gdzie starzy nie mają nic innego do roboty, jak rozpowiadać o wszystkim?

Christian Le Medef miał rację. To niemożliwe, żeby żaden dziennikarz nie otrzymał wiadomości, żeby nikt nie przypomniał sobie o sprawie Avril–Camus sprzed dziesięciu lat. Żeby nikt oprócz nas nie wiedział...

*A jednak tak było.*

– No więc? – dopytywał się Le Medef. – Ma pan jakieś wyjaśnienie?

Potrząsnąłem głową przecząco.

– Ja też nie. Wierz mi, chłopcze, coś tu śmierdzi.

Zdałem sobie sprawę, że zwrócił się do mnie per ty, tak jakby szukał współnictwa w obliczu śledztwa, które nas obu przerastało. Odwrócił wzrok i pokazał mi palcem domek rybaka. Niebieskie okiennice, ściany z krzemienia ozdobione czerwonymi ceglami, dach łupkowy. Niezłe jak na pogotowie gościnne dla byłego bezdomnego.

– To moja chata! Wstąpisz na kawę?

Czas naglił. Robiło się późno. Zostały mi niecałe trzy godziny do spotkania z Pirozem.

– Nie. Przykro mi. Natomiast czy wie pan, gdzie mieszka Denise, trzeci świadek?

Christian Le Medef wyglądał na zawiedzionego.

– Pewnie z Arnoldem... – Uśmiechnął się do siebie. – Poza tym nie mam pojęcia. Od wczoraj jej nie widziałem. Nie znam nawet jej nazwiska, trzeba przyznać... A ty, nocujesz u André Jozwiaka w La Sirène?

– Tak. Przez tydzień.

– Okay. Jak będzie coś nowego, dam ci znać. Będę dalej szperał, żeby się dowiedzieć więcej o tej Magali Verron. Przerwać omertę, rozumiesz. Wczoraj wieczorem rozmawiałem przez telefon z doktorem Charrier, ma gabinet w Doudeville, to jeden z lekarzy, którego Magali Verron odwiedziła w przeddzień swojego wielkiego skoku. O, widzisz, jeszcze jeden facet, który wie o tym wydarzeniu! Co do dziewczyn, Charrier nie jest z tych, co się łatwo zapalają. Gdybyś zobaczył jego sekretarki, same bomby... Otóż padł pod urokiem małej Magali. Próbował się nawet z nią zakolegować. Trochę z nią rozmawiał, w końcu mu opowiedziała, że chodzi na kurs tańca, więc zaprosił ją któregoś wieczoru do lokalu, chciał pokazać, że może jej dotrzymać kroku. Wyznał mi, że dostał odprawę. Trzeba powiedzieć, że piękna Magali nie tańczyła disco, wolała nowoczesny taniec orientalny, raq sharqi, coś takiego...

*Raq sharqi...*

W moim mózgu nastąpiło wyładowanie elektryczne. Moje neurony na próżno usiłowały się z powrotem połączyć.

Christian Le Medef mówił dalej, przedstawiając zapewne Magali Verron w sari z cekinami, a jej lekarza w roli krasomowcy.

Już go nie słuchałem.

Pożegnałem się, dając krótki znak ręką.

– Do zobaczenia, Christian. Informuj mnie o swoich poszukiwaniach.

Stał wciąż na ulicy, zaskoczony moim brutalnym odejściem.

La Sirène była zaledwie sto metrów stąd. Powstrzymałem się, żeby nie

puścić się biegiem.

*Raq sharqi.*

Ani śladu André w recepcji. Wszedłem po schodach, otworzyłem drzwi i rzuciłem się do laptopa, włączyłem go, z góry klnąc na jego powolność. Kółeczko Windowsów kręciło się wolniej niż moje myśli.

*Raq sharqi.*

Po raz pierwszy przeczytałem te słowa w przeddzień na kartkach z jednej z brązowych kopert.

W notatce biograficznej poświęconej Morgane Avril!

Przez ten czas, kiedy mój komputer pedałowal, rozłożyłem na łóżku wszystkie kartki, w których opisywano życie Morgane Avril. Artykuły prasowe, notatki policyjne, rozmowy...

Wreszcie strzałka na moim ekranie wskazała, że mogę zaczynać.

Wystukałem gorączkowo imię i nazwisko.

*Magali Verron.*

Pokazało się z dziesięć odpowiedzi.

*Facebook. Copains d'avant. Twitter. LinkedIn. Daily Motion.*

Schwyciłem kartkę papieru. Pierwszym piórem, które miałem pod ręką, narysowałem kreskę. Jedna kolumna dla Magali, druga dla Morgane. Notowałem sukcesywnie informacje, które znajdowałem, potem szeregowałem je w kolejności ich znaczenia.

Data i miejsce urodzenia, szkoły, do których uczęszczały, upodobania muzyczne, rozrywki, odwiedzane kraje...

Słowa, nazwy zapisywały się prawie bez mojego udziału po obu stronach.

Kolejne bardziej nieprawdopodobne niż poprzednie.

Szukałem i szukałem, aż nie było już żadnej nowej informacji.

Szalone linijki tańczyły mi przed oczami. Surrealistyczne.

Czy przypadek aż do tego stopnia mógł się ze mnie naśmiewać?

**Najzwyczajniejsza dziewczyna?**

– Halo, Mona? Gdzie jesteś?

– Jamal? Wstałeś! Wracam z Grainval przez Watt, nad samym morzem. Dochodzę do Yport.

– Okay, idę do ciebie. Muszę z tobą pogadać. Szybko, bardzo szybko. Coś niesamowitego.

– To ten twój seryjny zabójca?

– Raczej jego ofiary.

Kiedy dotarłem do falochronu, usłyszałem wołający mnie głos.

– Jamal, tu jestem!

Mona.

Usiadłem na huśtawce na niewielkim placu zabaw dla dzieci, który dominował nad plażą. Tobogan. Ścianka do wspinaczki. Mostek z lian. Mona huśtała się spokojnie, jakby po to, żeby wysuszyć kombinezon z neoprenu rozpięty aż po szyję. Na dole, u stóp, położyła plecak, który zawierał kolekcję rzadkich okazów otoczków, mających ewentualnie zrewolucjonizować przemysł informatyczny.

Kiedy się do niej zbliżałem, zaskoczył mnie pewien szczegół. Mona nosiła moją gwiazdę szeryfa przypiętą do kombinezonu. Komu innemu niż tej dziewczynie mogłem się zwierzyć z moich szalonych odkryć?

Usiadłem naprzeciwko niej na obrzeżu miniaturowego brodzika, który był dostępny chyba tylko przy pięknej pogodzie, jeżeli się tu taka zdarzała. Miedziana ryba, przeznaczona do wypływania wody do zbiornika, patrzyła na nas z otwartą i pustą paszczą.

– No więc? – zapytała Mona. – Co mi chciałeś pokazać?

Podsunałem jej kartkę, którą dopiero co zapisałem.

– Popatrz, Mona! Dwie kolumny. Jedna dla Magali Verron, zmarłej wczoraj rano. Jedna dla Morgane Avril, zamordowanej dziesięć lat temu przez sadystę. Zapisałem wszystko, co o nich wiadomo. Posłuchaj... Morgane Avril była fanką grup rocka progresywnego z lat siedemdziesiątych, Pink Floydów, Yes, Genesis, napisano to w raporcie śledczym, dlatego tak jej zależało, żeby uczestniczyć w festiwalu Riff on Cliff w Yport. Na stronie Facebooka Magali Verron należała do kilku grup fanów muzyki. Dokładnie trzech. Pink Floydów, Yes i Genesis.

– Tak jak tysiące innych fanów, no nie?

Huśtawka Mony piszczała jak płaczący ptak. Spuściłem wzrok na swoją

kartkę.

– Okay, czytam dalej. Morgane uprawiała taniec orientalny w Neufchâtel, dokładnie raq sharqi...

– Znam. Taniec salonowy w wersji Bollywood. Bardzo modny...

– Magali również uprawiała raq sharqi, w Hawrze.

– Mówiłam ci...

– Zbieg okoliczności, oczywiście! Trzymaj się, Mona. To dopiero początek. Morgane Avril pobierała naukę w szkołach państwowych w mieście, w którym się urodziła, Neufchâtel-en-Bray w latach osiemdziesiąt sześć do dwa tysiące trzy. Zanotowałem wszystkie nazwy: przedszkole imienia Charles'a Perraulta, szkoła podstawowa imienia Claude'a Moneta, gimnazjum Alberta Schweitzera, liceum Georges'a Brassensa. Klasyczna droga szkolna setek innych małych mieszkańców jej miasta. Nic wspólnego z Magali Verron, która mieszka w Val-de-Marne na południe od Paryża. Po ukończeniu szkoły podstawowej uczęszcza od września dwa tysiące czwartego oczywiście do gimnazjum w Créteil... Zgadnij, jak się nazywa to gimnazjum?

Zamiast odpowiedzi huśtawka wydała trzy nowe piski. Ja prawie zawyłem.

– Alberta Schweitzera!

Mona zboczyła raptownie ze swojej prostej trajektorii. Nie odpowiedziałem na jej osłupiały wzrok i ciągnąłem:

– Jeszcze jeden zbieg okoliczności, oczywiście! Liceum Magali, dwadzieścia kilometrów od Créteil, ściślej w Courcouronnes. Według ciebie jaka jest nazwa liceum w Courcouronnes?

– Georges'a Brassensa? – strzeliła Mona.

– Dokładnie! Sprawdziłem, liceów Georges'a Brassensa jest we Francji mniej niż dziesięć... Z czego jedno w Neufchâtel-en-Bray i jedno w Courcouronnes.

– Dziwne, na pewno. Ale...

Nie dałem Monie odetchnąć.

– Następnie Morgane i Magali studiowały medycynę, Morgane w Rouen, a Magali na uniwersytecie w Evry-Val-d'Essone.

Mona przyhamowała nogą rozpędzoną huśtawkę.

– Może one były z tej samej rodziny? Albo po prostu przyjaciółkami?

– Nie. W żadnym artykule ani w dossier śledztwa w sprawie Avril nie znalazłem śladu Magali Verron, zresztą Magali miała dziesięć lat w chwili zamordowania Morgane. I nie mieszkała w Normandii.

Wiatr od morza cały czas poruszał huśtawkę, z której Mona już zesła. Zimny wiatr. Podciągnęła pod szyję suwak kombinezonu. Na jej sercu błyszczała gwiazda.

– Okay – powiedziała. – Pomyślmy spokojnie. W jednym punkcie masz



rację, to nie może być zbieg okoliczności. Jest więc niewątpliwie jakiś związek między tymi dwiema dziewczynami... Na podstawie tego, co wiesz, zakładamy, że Morgane nie знаła Magali Verron. Magali była o dziesięć lat od niej młodsza. Mieszkała w Ile-de-France.

Jej twarz się zmarszczyła, nosek uniół się i zaczął poruszać jak nos królika, który węszy trop. Nagle w jej oczach zobaczyłem przeblyski geniuszu.

– Ale w drugą stronę to możliwe, Jamal! Magali na pewno słyszała o sprawie Avril, o zabójcy w czerwonym szaliku. Miała wtedy dziesięć lat, ta historia mogła wywołać szok u dziecka... Do tego stopnia, czemu nie, że się identyfikowała z nią, przejęła jej upodobania, jej rozrywki i wybrała gimnazjum, potem liceum noszące tę samą nazwę co te, do których chodziła Morgane Avril...

Pokazałem sceptyczny grymas.

– Do tego stopnia, że zadała sobie śmierć w ten sam sposób dziesięć lat później. Dała się zgwałcić? Że symulowała uduszenie szalikiem Burberry?

Różowy nos Mony oddychał intensywnie.

– Trudno uwierzyć, przyznaję.

Podszedłem do Mony. Zanim opowiedziałem dalszy ciąg, zawahałem się chwilę, czy nie przykleić się do jej wilgotnego kombinezonu i jej nie objąć.

– To nie wszystko, Mona. Magali Verron nie tylko skopiowała śmierć Morgane Avril. – Mój głos zniżył się o dwie oktawy. – Ona się urodziła dziesiątego maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku, czyli dziesięć lat, co do dnia, po Morgane Avril.

– Morgane urodziła się dziesiątego maja osiemdziesiątego trzeciego?

– Tak, w szpitalu Fernand-Langlois w Neufchâtel-en-Bray.

Mona czknęła.

– A gdzie się urodziła Magali Verron?

– Prawie sześć tysięcy kilometrów od Normandii, na północnym przedmieściu Québecu...

Dałem Monie czas, by mogła odetchnąć z ulgą, po czym wstrzymałem jej oddech.

– Pewnie zgadniesz, jak się nazywa to przedmieście...

– Neufchâtel?

– Tak! Może się to wydać nieprawdopodobne, ale ona urodziła się w Neufchâtel, miasteczku między Charlesbourgiem a Loretteville.

Mona rozluźniła gwałtownie mięśnie swojej mysiej twarzy. Tak jakby odmówiła zrozumienia. Zrobiła krok w moją stronę i przykleiła swój neopren do mojego Wind Wall. To zetknięcie było dziwne, trochę lepkie. Byliśmy dwojgiem kosmonautów na planecie Mars.

– Magali Verron nie tylko skopiowała śmierć Morgane Avril – powtórzyłem.

– Skopiowała również jej narodziny! Poszukałem: na świecie jest tylko pięć

miasteczek o nazwie Neufchâtel, cztery we Francji i jedno w Kanadzie. Magali Verron przyjechała do Francji, do Créteil, w wieku siedmiu lat.

– Cholera, Jamal, co to wszystko znaczy?

– Nie wiem, Mona. Nie wiem. Coś nam tu umyka. Na pewno jest jakieś racjonalne wytłumaczenie.

Nie odklejając się od niej, szepnąłem jej do ucha.

– Skopiować czyjeś życie. Każdy jego etap, od początku do końca. Każde zamięrowanie, każde uczęszczane miejsce, jak w lustrze, ale na odległość. Rodzaj hologramu. Do diabła, to niemożliwe!

Mona próbowała argumentować bez prawdziwego przekonania.

– Seryjny zabójca poszukuje ofiar, które są do siebie podobne, prawda? Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Podobne dziewczyny, które przypominają mu jego matkę, jego eks albo jakąś fantasmagorię.

– Ale tu jest odwrotnie, Mona! To tak jakby ta dziewczyna, Magali Verron, starała się zastąpić ofiarę, wejść w jej skórę. Jakby po to, żeby przyciągnąć drapieżnika, aż ją odnajdzie...

– Aż sama dokończy pracę – dodała Mona. – Aż owinie narzędzie zbrodni wokół swojej szyi. Ostatni gest w jej życiu.

Nie odpowiedziałem. Przez kilka sekund słuchałem przybijających fal, potem złożyłem delikatny pocałunek na jej wargach i położyłem rękę na jej skórze jak u delfina. Zszedłem na biodra. Oddech Mony przyspieszał. Poczulem wypukłość w cienkiej kieszeni kombinezonu. Moje palce prowadziły poszukiwania, aż wyciągnąłem żółtą jedwabną apaszkę.

– To na głowę – szepnęła Mona. – Normandzka przezorność.

Trzymałem apaszkę w palcach. Niewiele myśląc, podniosłem rękę i przyłożyłem ten kawałek materiału Monie pod brodę.

Powoli.

– Ile czasu by ci zajęło zawiązanie tego?

Znowu zbliżyłem kwadrat jedwabiu do jej szyi. Chwilę potem oczy Mony jakby się zaćmiły.

Wyczytałem w nich strach. Gwałtowne, intensywne przerażenie. Aż do przepaści.

*Co za kretyn!*

Natychmiast opuściłem ramiona, ale zło już się stało.

Głos jej się łamał, popłynęły łzy.

– Proszę cię, Jamal, nie baw się w to...

– Przepraszam cię. Nie chciałem... – wybełkotałem.

Wyrwała mi z ręki żółtą apaszkę.

– Daj spokój. To ja powinnam przeproszać, to było idiotyczne, ta obawa.

Przez chwilę patrzyła na tkaninę, którą trzymała w dłoni.

– Chcesz wiedzieć, jakie jest moje zdanie, Jamal?

– Jakie?

– Że to niemożliwe.

Spojrzała na klif na wprost nas, na schron, owce, miejsce, w które wczoraj zleciała Magali, i powtórzyła:

– Nie jest możliwe, żeby dziewczyna, która spada z wysoka, mogła to zrobić. Zawiązać apaszkę na szyi.

Gwałtownym ruchem złączyła ręce, potem je przełożyła za głowę i owinęła żółtą tkaninę wokół karku.

Ile czasu jej to zajęło? Mniej niż sekundę?

– To nie tylko kwestia czasu, Jamal – rzuciła Mona. – Może to jest możliwe, jak by to powiedzieć, technicznie. Ale wyobrażasz sobie? Wykonać taki ruch, lecąc w powietrzu czy raczej spadając jak kamień. Odpowiedni, właściwy ruch... Abstrahując od całej reszty. To niemożliwe, Jamal, tak właśnie myślę. A jednak wierzę ci, że na górze, na klifie Magali nie miała tego szalika na szyi, a miała go na dole...

– Na... na pewno jest jakieś racjonalne wytłumaczenie...

– Jamal, już to mówiłeś.

Zamilkłem. Miała rację. Cała ta historia nie trzymała się kupy.

*A jednak...*

Mona włożyła apaszkę do kieszeni. Usiadła na motorze-huśtawce, zamontowanym na sprężynie, i popatrzyła na mnie jak pielęgniarka badająca stan pacjenta, który nie bardzo chce współpracować.

– Podsumowując to, co wiemy, Jamal, seryjny zabójca gwałci i zabija dwie kobiety w dwa tysiące czwartym roku. Morgane Avril i Myrtille Camus. Dziesięć lat później pewna dziewczyna ginie w tych samych okolicznościach. Dwie hipotezy. Najpierw hipoteza szalona, że ta dziewczyna odtwarza dokładnie całe życie Morgane Avril, jej preferencje muzyczne, szkoły, rozrywki... do tego stopnia, że zadaje sobie śmierć w taki sam sposób!

– I wybiera ten sam dzień i to samo miejsce urodzenia co Morgane – wtrąciłem. – Idiotyizm!

– Idiotyizm! Zgadząmy się. Przejdźmy więc do drugiej hipotezy, bardziej logicznej. Morderca znowu atakuje. Ale tym razem nie na chybił trafił, zważywszy na to wszystko, co wiadomo o Magali Verron. Wybiera swoją ofiarę, gwałci ją, dusi. To jest chyba teza gliniarzy, no nie?

– Też idiotyizm! Magali nie umarła od uduszenia, popełniła samobójstwo.

Mona kiwnęła lekko głową i zamyśliła się na kilka chwil.

– Tylko że – ciągnąłem – za niecałe dwie godziny muszę się spotkać z kapitanem Pirozem i powiem ci, Mona, że mam okropnego pietra. Trochę... trochę za bardzo pasują do profilu idealnego sprawcy...

– Nic ci nie mogą zrobić. To nie twoja sperma, Jamal! Jesteś w kartotece?

– Nie!

– Nigdy nikogo nie zabiłeś? Nigdy nic nie ukradłeś?

Huśtała się łagodnie na motorze. W lateksowym kombinezonie, z rozpuszczonymi na ramionach włosami wyglądała jak Hell's Angel na miniaturowym harleyu.

Uśmiechnąłem się do niej z tą miną przepraszającego Droopy'ego, która, jak się zdaje, nadawała mi wdzięk.

– Ukradłem, tak. Żeby opłacić studia. Ale nigdy nie dałem się złapać, miałem niezawodną metodę.

Żrenice jej rozbłysły. Wyraźnie była zadowolona ze zmiany tematu.

– Jeszcze jedna historia?

– Kradłem jedynie w lecie, nad rzekami, w przełomach Tarn albo Ardèche. Wiesz, te autostrady dla kanoe, kajaków. Brałem bezpośrednio z blaszanych pojemników, w których turyści chowali papiery, zegarki i komórki, zwłaszcza w miejscach, gdzie zostawiali łódki przy brzegu, żeby pójść skakać ze skał. Na kempingu czy na plaży nie ma możliwości, żeby przeszukać torby, wszyscy tam wszystkich pilnują. Ale w żółtej kamizelce ratunkowej przy trzydziestu takich samych kanoe nikt nie zwraca uwagi.

Mona o mało nie spadła z motocykla.

– Cholera. To genialne! Naprawdę tak robiłeś?

Wpatrywała się w każdą rzęsę wokół moich oczu.

– Może... Uwielbiam wymyślać historie.

Trafiona odpowiedź.

– A ten czerwony szalik też wymyśliłeś?

Tak jej się wymysknęło. Odruchowo. Tak przynajmniej pomyślałem w tamtej chwili, że nie zapytała z premedytacją.

Twarz mi stężała.

– Cholera, ty, Mona!

– Co ja?

– Mona, posłuchaj, nie wygłupiałbym się ze śmiercią tej dziewczyny. Ani z gwałtem. Do diabła, czteroletnie dziecko odróżnia zabawę, udawanie, od tego, co jest poważne. Myślałem, że nie zapomniałaś tego, Mona...

Popatrzyłem jej prosto w oczy i mówiłem dalej:

– Jeśli nie mogę mieć zaufania do ciebie, to do kogo mam mieć?

Wydawała się obrażona. Wstała i zmusiła się do tego, żeby nie podnieść głosu.

– Dobrze już, Jamal. Uspokój się. Wierzę ci.

Serce mi tak waliło, że o mało nie pękło. Nie blefowałem. Wpadłem w panikę. Nie mogę sam stawić czoła tej niedorzecznej historii.

Jeśli Mona mnie zostawi...

Jeśli Mona mnie zostawi, kto mi uwierzy?

Gliniarze?

André? Christian Le Medef? Denise i Arnold?

Wy?

**Jeszcze jeden zbieg okoliczności?**

Milczenie między Moną a mną mogło trwać całą wieczność. Riff zespołów La Grange i ZZ TOP rozległ się na cały regulator, zanim uczona się oddaliła.

Dzwonek mojej komórki! Dostałem esemesa. Nerwowym ruchem złapałem za telefon w kieszeni.

– Wielbicielka? – zapytała Mona zaciekawiona.

Wydawała się zachwycona, że jakiś zewnętrzny element rozdziera pajęczynę, w której się trzepotaliśmy. Przeczytałem wiadomość i wybrałem uspokojenie.

– Nie wiesz, jak dobrze trafiłaś...

– Młoda i ładna.

– Ładna, tak. Ale bardzo młoda.

– Ile ma lat?

– Piętnaście...

Mona podniosła się o kilka centymetrów, stając na palcach, i wbiła we mnie zdziwione oczy.

– Ma na imię Ophélie. To dziewczynka z Instytutu Saint-Antoine. Została zgwałcona przez ojca. Prezent urodzinowy, na ósme urodziny. Zostały jej po tym różne powikłania. Gwałtowność. Zaburzenia charakterologiczne. Zaburzenia seksualne... Nikt z dorosłych, wychowawca, psycholog czy nauczyciel nie potrafi sobie z nią poradzić. Ale ja mam z nią raczej dobre relacje.

– I ona dzwoni do ciebie w czasie wakacji?

– Taak. W Instytucie przychrzaniają się do mnie za to. Że niby jestem z nią za blisko, że zakłócam proces terapeutyczny...

– Mają rację – powiedziała Mona. – Każdy ma swoją robotę, nie? Co ta mała chce od ciebie?

Podąłem Monie komórkę, żeby jej pokazać zdjęcie przysłane przez Ophélie. Pozowała przyklejona do wielkiego czarnego, któremu piercing zajmował pół nosa. Zdjęcie ilustrowała krótka wiadomość. Dwa wyrazy.

*Jaki stopień?*

– Co to znaczy „jaki stopień”?

Wziąłem od niej telefon.

– To taka nasza gra. W weekend albo w wakacje, kiedy Ophélie spotyka jakiegoś faceta, przysyła mi jego zdjęcie i ja go oceniam... Tak jakbym poprawiał jej wypracowanie. Stawiam stopień i daję krótki komentarz. W rodzaju „stać cię na

więcej”, „widzę postępy”, „nie na temat”. I na odwrót, ja też wysyłam jej czasem zdjęcia moich koleżanek...

Mona, uspokojona, pozwoliła sobie w końcu na wybuch śmiechu.

– Dziwne, że wychowawcy z twojego Instytutu nastają na ciebie!

Wystukałem szybko odpowiedź.

*5 na 20. Brak wyobraźni. Unikaj kopiuj-wklej.*

Kiedy klikałem, żeby wysłać wiadomość, Mona rozpięła nagle kombinezon na przekór wiatrowi, który wdzierał się między falochron a kabiny na plaży. Jej biust wymknął się delikatnie z neoprenu.

– A ja? Jaki stopień?

*Ta dziewczyna jest szalona!*

– Chcesz, żeby się wypowiedziała moja koleżanka, tak?

Ustawiłem wizjer iPhona, żeby objąć twarz Mony.

– Zrobione. Uważaj, Ophélie to żołą. Jak dotąd żadnej mojej kumpelce nie dała nawet średniej.

Podszedłem bliżej.

– Ubierz się z powrotem, zanim się rozchorujesz. Zostawiam cię, muszę wracać do gliniarzy.

Sam pociągnąłem zamek błyskawiczny, żeby dekolt Mony zamienił się w przyzwoity zwinięty kołnierzyk.

Zanim wsiadłem do autobusu do Fécamp w kierunku posterunku żandarmerii, zdążyłem wstąpić do hotelu, żeby się przebrać, potem jeszcze złapać kanapkę.

W chwili gdy wchodziłem do holu La Sirène, André układał foldery pałacu Bénédicte. Ten facet spędzał czas na pokazywaniu się i znikaniu za kontuarem, można by pomyśleć, że ma do dyspozycji jakieś sekretne wejście, jakiś wjazd pod swoim barem czy coś w tym rodzaju.

Najwyraźniej nie otrzymał nowej przesyłki dla mnie... Stałem przed nim.

– André, czy wśród swoich klientek nie miałeś przypadkiem wizytatorki medycznej? Magali Verron. Obsługiwała sektor lekarzy z rejonu Hawru. Od czasu do czasu musiała spać w hotelu. Na przykład przedwczoraj wieczorem...

– To ta dziewczyna, która się zabiła?

Nie przestawał układać spokojnie innych folderów. Trasa rowerowa koło Etretat. Muzeum Terre-Neuvas. W pierwszym odruchu zastanowiłem się, jak on mógł tak szybko skojarzyć.

– Taak...

– Nic mi to nie mówi. Wiesz, w kantonie jest z dziesięć hoteli, nie licząc tych w Etretat i pokoi gościnnych, które wynajmują wszyscy wieśniacy w okolicy. Nie masz zdjęcia?

– Nie...

Próbowałem opisać najlepiej jak umiałem Magali Verron. Nie ukrywałem przed nim jej fascynującej urody i przyciągającej siły jej rozpaczliwego spojrzenia. Odpowiedź André zabrzmiała jak oczywistość.

– Taką ładną dziewczynę na pewno bym zauważył...

*Oczywiście.*

Kiedy wchodziłem po drewnianych schodach, mój telefon zaczął wibrować. Nowa wiadomość!

Odpowiedź Ophélie w sprawie zdjęcia Mony...

Czytałem słowo po słowie, w przekonaniu, że moja młoda protegowana stłamsi rudą ryjówkę zazdrosną i ciętą krytyką. Zaniemówiłem.

*21 na 20. Nie wypuszczaj jej, to kobieta twojego życia.*

Kiedy otworzyłem drzwi do pokoju, powiało na mnie lodowate powietrze. Okno zostało otwarte.

Sprzątaczką. Żeby się przewietrzyło.

Łóżko było nieskazitelnie pościelone. Nowe ręczniki. Przypomniałem sobie przez moment bałagan po nocy spędzonej z Moną.

Nagle zastygłem z wrażenia.

Na biurku, tuż obok laptopa leżała brązowa koperta. Nowa, nietknięta koperta. Tym razem bez znaczka. Żadnego adresu. Tylko moje nazwisko.

*Jamal Salaoui.*

To samo kobiece pismo co na poprzednich przesyłkach.

Zanim dobrałem się do koperty, wyjrzałem przez otwarte okno. Podmuch wiatru mroził moje rozgrzane ciało. Nie było bardzo trudno dostać się do pokoju od zewnątrz, płaskie dachy restauracji La Sirène i jej dobudówki tworzyły coś w rodzaju schodów dla olbrzyma. Ale kto by mógł podjąć ryzyko takiej wyprawy? Tuż przy nadbrzeżnej alei, na widoku, tak że wszyscy mogli zobaczyć. Żeby położyć mi na biurku kopertę.

Przez chwilę wahałem się, czy nie zejść na dół i zapytać André, czy poza kobietą od sprzątania ktoś wchodził do mojego pokoju. Ale zrezygnowałem.

Później...

Zamknąłem okno. Musiałem się uspokoić. Pot, który Wind Wall miał jakoby wchłaniać, ściekał mi letnimi strumieniami po skórze. Rozebrałem się na łóżku, po czym odkręciłem protezę węglową. Ręce wilgotne. Zostawiły brunatne ślady na kopercie, którą rozdarłem. Była cieńsza niż poprzednie. Raptem trzy spięte kartki.

Natychmiast rozpoznałem trójkolorową opaskę policji państwowej.

*SRPJ w Caen. Sprawa Myrtille Camus.*

*Protokół z 28 sierpnia 2004 roku.*

*Dokument nr 027. Zeznanie Aliny Masson.*

Leżałem tylko w szortach na łóżku, z moją jedyną nogą zwisającą aż do podłogi, starając się powstrzymać jej nerwowe drżenie.



\* \* \*

*Sprawa Myrtille Camus – sobota 28 sierpnia 2004 roku*

– Byłam najlepszą przyjaciółką Myrtille.

– Wiemy – odpowiedział Bastinet.

Komendant SRPJ w Caen i psychokryminolożka Ellen Nilsson siedzieli naprzeciwko czterech świadków. Louise i Charles, rodzice Myrtille Camus. Frédéric Saint-Michel, jej narzeczony. Alina Masson, jej najlepsza przyjaciółka, ta, która właśnie się wypowiedziała.

Ta, której zeznanie mogło się okazać decydujące...

Komendant Bastinet nie musiał zaglądać do notatek, znał całe dossier na pamięć. Od chwili znalezienia ciała dziewczyny, zgwałconej i uduszonej w lesie koło Isigny, sypiał niecałe pięć godzin w odcinkach półgodzinnych, jak nawigator, który wyznacza kurs. To było trochę to.

Kurs.

Wbrew zegarkowi.

Samotny...

Żeby usidlić tego drania, który zaatakował już dwa razy w ciągu trzech miesięcy. Morgane Avril w Yport w czerwcu, potem Myrtille Camus, teraz.

Prawdę mówiąc, wcale nie liczył na usługi tej Ellen Nilsson, dziewczyny, którą ministerstwo sprowadziło mu na kark. Nie żeby miał coś przeciwko psychokryminolożce, przeciwnie, to nie była jego domena, ale często odwoływał się do specjalistów od mózgu, żeby lepiej zrozumieć tych niezrównoważonych, z którymi musiał się zadawać. Zastanawiał się jednak, jak ta patykowata blondynka, która stawiała się tu z etui z piórem Dupont jako jedyną bronią, z blokiem Mont-Blanc jako jedyną zbroją i jogurtem Activia jako jedynym posiłkiem, mogłaby mu być użyteczna.

– Pani Masson, pani prowadziła obóz dla młodzieży, kiedy Myrtille Camus poniosła śmierć?

Alina potwierdziła.

Smarkula! – pomyślał Bastinet.

Alina Masson miała raptem dwadzieścia jeden lat, zaledwie kilka miesięcy więcej niż Myrtille Camus. Na obozie w Isigny-sur-Mer zorganizowanym przez stowarzyszenie Drap d’Or z Elbeuf nie istniała żadna hierarchia między dwiema dziewczynami. Tylko długoletnia zażyłość.

Bastinet postanowił iść prosto do celu.

– Myrtille czuła się zagrożona? Zagrożona przez mężczyznę, kilka razy? Czy tak było, pani Masson?

– Niezupełnie, panie komendancie.

Bastinet się skrzywił. Ellen Nilsson, patrząc na swoje szmaragdowe paznokcie, zapytała nieco inaczej.

– Spokojnie, powoli, pani Masson. Niech pani poda fakty. Tylko fakty. Kim był ten mężczyzna?

– Pierwszy raz zobaczyłam go – wyjaśniła Alina – nad stawem w ośrodku wypoczynkowym w Isigny. Stał w odległości około stu metrów od nas. I... wpatrywał się w Myrtille.

– Jaka była pani reakcja? – zapytał Bastinet.

– Żadna. Wtedy tak naprawdę nie zwróciłam na to uwagi. To było, jak by to powiedzieć, dosyć częste.

– Częste? – powtórzył komendant.

Alina spojrzała z zażenowaniem na Frédérica Saint-Michela. Narzeczony Myrtille dał jej znak ręką, że może mówić dalej. Ellen nagryzmoliła jakieś notatki w bloku Mont-Blanc, a komendant Bastinet naciskał świadka, żeby mówił dalej.

– Myrtille codziennie rano proponowała młodzieży półgodzinny seans ćwiczeń wodnych nad stawem. Nastawiano głośną muzykę, Myrtille tańczyła i wszystkie dzieciaki powtarzały jej ruchy. Po kilku dniach na tych ćwiczeniach Myrtille zaczęli się codziennie spotykać wczasowicze z kempingu. Rodziny, turyści, młodzież...

– Była w centrum uwagi, wszyscy na nią patrzyli – podpowiedziała Ellen.

– No tak...

Alina się zawahała, spojrzała pytająco na Louise Camus i mówiła dalej drżącym głosem.

– Myrtille była bardzo ładną dziewczyną. Tańczyła z takim wdziękiem i energią, że nikogo nie pozostawiała obojętnym.

W kącikach oczu Louise Camus perlily się łzy. Była nauczycielka tańca ścisnęła pomarszczoną dłoń męża.

– Czy może pani nam opisać tego mężczyznę, który wpatrywał się w Myrtille? – nawiązał Bastinet. – Tego, który wpatrywał się w nią bardziej niż inni...

– Widziałam go tylko z daleka, panie komendancie. Wzrost przeciętny. Raczej młody. Chyba w naszym wieku. Nosił biało-niebieską czapkę z trzema paskami adidasa. Miał też okulary przeciwsłoneczne. Wydawał mi się raczej opalony.

Bastinet zaklął. Ten opis mógł odpowiadać opisowi nieznanego w czerwonym szaliku spotkanego przez trzech świadków w Yport, podejrzanego numer jeden o zamordowanie Morgane Avril, tego, którego bezskutecznie poszukiwał kapitan Grima. Ale mógł też być opisem tysięcy innych mężczyzn...

– Kiedy znowu widziała pani tego faceta?

– Włóczył się po kempingu, kilka razy rozpoznałam co najmniej jego

czapkę. Moim zdaniem był chyba z tych stron, miejscowy. Albo też był instruktorem w jednej z innych grup ośrodka. W Isigny prowadzono jednocześnie przynajmniej dziesięć obozów...

– Dokładnie siedem – uściślił Bastinet. – W sumie sto trzynaście osób młodocianych i dwadzieścia osiem dorosłych.

Ellen Nilsson wzniosła oczy do nieba, jakby znużona drobiazgową dokładnością komendanta.

– Dla ścisłości – podjęła Alina – tak naprawdę drugi raz go zauważyłam na morzu koło wysp Saint-Marcouf.

Bastinet szybko zajął do notatek. Wyspy Saint-Marcouf, położone siedem kilometrów od brzegów Normandii, były jedynymi wyspami wybrzeża francuskiego między Calais a półwyspem Cotentin. Dwa kamienie stojące w morzu, na których Napoleon zbudował fort, by zatrzymać Anglików. Własność państwowa, nie wolno tam nocować, ale zarzucanie kotwicy było dozwolone. Wyspy Saint-Marcouf stanowiły obowiązkowy cel lokalnych rejsów wycieczkowych. Obóz Drap d'Or zorganizował wyprawę pod żaglami pięć dni przed zabójstwem dziewczyny.

– Myrtille i jej grupa złożona z pięciorga nastolatków spędzili cały dzień na wyspach – ciągnęła Alina. – Koło południa dołączyłam do nich z inną grupą. Roz... rozpoznałam faceta. Ta sama czapka, te same okulary. Był na pokładzie Zodiaca, małego modelu, w rodzaju barki do wynajęcia... i pływał wokół wysp.

– Jak długo? – spytała Ellen.

– Nie wiem... Był już tam, kiedy podpłynęliśmy do Saint-Marcouf. Zrobił jeszcze kilka okrążeń. Wpatrywał się w Myrtille, to jasne. Potem dodał gazu. W sumie nie trwało to chyba więcej niż pięć minut, ale...

– Ale tym razem – przerwał Bastinet – to panią zaniepokoiło.

Ellen ostentacyjnie westchnęła.

– Niedokładnie, panie komendancie – sprecyzowała Alina. – Mówiłam sobie raczej coś takiego: zaczyna wkurzać ten typek, że się tak kręci wokół nas.

– Rozumiem. Odruch czujnej wychowawczynie. Kiedy spotkała pani tego człowieka po raz ostatni?

– Dwa dni później. Myrtille miała urlop, powędrowała na piechotę aż na plażę w Grandcamp-Maisy i umówiłyśmy się, że ją zgramę, jadąc na zakupy. O ustalonej godzinie szukałam jej na plaży. Spała w kostiumie kąpielowym, leżąc na plecach, z chustką na oczach. Obudziłam ją. Dopiero po chwili zauważyłam, że on tam jest, na ręczniku, jakieś trzydzieści metrów od niej. W drodze powrotnej Myrtille wyznała mi, że spała jak kłoda na piasku przeszło dwie godziny... – Jej drżące palce szukały chusteczki w kieszeni. Nie znalazła, zrezygnowała i mówiła dalej: – To znaczy, że ten facet mógł przez cały ten czas robić z nią, co mu się podobało, mógł wymyślać, co chciał, mógł ją...

Alina nagle zamilkła i zalała się łzami. Frédéric Saint-Michel, z rękami kurczowo zaciśniętymi na oparciach fotela, nie wykonał żadnego gestu w jej stronę. Wyglądał tak, jakby zamknął się w nienawiści do zabójcy swojej narzeczonej, jakby przeżywał każdą sekundę, w której nerwica podglądacza przekształcała się może w morderczy popęd.

Kiedy Ellen podawała Alinie papierową chusteczkę w delikatnym niebieskim opakowaniu, Bastinet zapytał stanowczo:

– Mogłaby nam pani go opisać?

Alina była silną dziewczyną. Pociągnęła nosem, odchrząknęła i mówiła dalej:

– Nie za bardzo. Leżał na brzuchu. Wciąż w tej samej czapce na głowie i w okularach przeciwsłonecznych. Był raczej szczupły, dość umięśniony, miał długie mięśnie jak u sportowca. Ale nie umiałabym go rozpoznać.

Policjanci pokazali jej następnie portret pamięciowy nieznanego z Yport, zastąpili w Photoshopie czerwony szalik czapką adidasa i dodali okulary przeciwsłoneczne.

To mógł być on.

Albo nie.

Komendant Bastinet uśmiechnął się wyrozumiale.

– Okay, pani Masson. Ostatni szczegół, z którym zresztą zwracamy się nie tylko do pani. Czy potwierdza pani, że Myrtille prowadziła dziennik intymny?

– Nie całkiem, komendancie. Nie był to naprawdę dziennik.

Rodzice, narzeczoney i przyjaciółka opisywali kolejno niebieski notes Moleskine, w którym Myrtille robiła notatki jeszcze jako nieletnia i który zawsze miała przy sobie albo w torebce.

Zniknął, podobnie jak ona, zapewne za sprawą jej gwałciciela.

Myrtille powierzała swoje najtajniejsze myśli temu notesowi. Kilka krótkich zdań, niekiedy zabawnych, niekiedy melancholijnych. Myrtille bardzo lubiła pisać.

Bastinet miał właśnie podziękować czworgu świadkom, kiedy Ellen podniosła rękę. Psychokryminolożka długo się wahała, czy zadać ostatnie pytanie w obecności narzeczonego Myrtille Camus. Odczuwała pewne zażenowanie wobec Frédérica Saint-Michela. Zapewne z powodu różnicy wieku między nim a przyszłą żoną, mimo że ten trzydziestosiedmioletni mężczyzna miał nieskazitelny wdzięk charyzmatycznego wychowawcy, którego łagodne spojrzenie buddyjskiego mnicha szło w parze z postawą dżudoki.

Ellen przybrała najłagodniejszy tembr głosu, na jaki ją było stać, i zwróciła się bezpośrednio do Aliny.

– Pani Masson, dlaczego według pani w dniu morderstwa Myrtille Camus była tak elegancko ubrana?

Alina znieruchomiała, zaskoczona.

– O co pani chodzi?

Ellen podniosła szmaragdowy palec, pierścionek i paznokiec pod kolor, uprzedzając w ten sposób Bastineta, żeby nie przerywał, i wyjaśniła:

– Myrtille była instruktorką na obozie dla młodzieży. Kierowanym przez panią. Przypuszczam, że nosi się tam praktyczne ubrania do pracy z młodymi chłopcami, szorty, T-shirty, tenisówki... A nie fiołkowe majtki i krótką sukienkę...

– To był... to był jej dzień wolny – bąknęła Alina, zdziwiona, że psychokryminolożka tego nie zapamiętała.

Komendant Bastinet spiorunował wzrokiem koleżankę. Frédéric Saint-Michel zacisnął znowu dłonie na poręczach, żeby powściągnąć swoją wściekłość kontrastującą ze spokojem Louise i Charles'a, którzy wstali w milczeniu, niczym duchy.

Komendant przyjrzał się Frédéricowi Saint-Michelowi, zanim ten opuścił pokój. Wysoki. Prosty. Dumny jeszcze. Jego długie włosy były związane czarną wstążką.

Bastinet był przekonany, że żałoba sprawi, iż w ciągu kilku miesięcy ta wyzywająca młodość z niego wyparuje. Czy znajdą, czy nie zabójcę jego niedosłej żony, nic to nie zmieni, Saint-Michel skurczy się szybciej niż inni, posiwieje, zgnije na pewno tak jak przejrzały apetyczny owoc.

Według dossier wszyscy nazywali go Chichin.

Historie miłosne źle się kończą, pomyślał głupio Bastinet. Na ogół...

W ciągu kolejnych dni pytanie Ellen Nilsson odbyło drogę w umyśle Aliny Masson jak drobny błysk w zwierciadle jej wspomnień, który stopniowo wydłużył się, tworząc długą rysę.

Setki razy przypominała sobie tę krótką sukienkę, te fiołkowe majtki.

Alina wahała się, czy porozmawiać jeszcze o tym z Ellen Nilsson. Kilka razy sięgała już po komórkę, ale nigdy nie wybrała numeru z wizytówki, którą dała jej psychokryminolożka. Nie mogła jakoś zaufać w pełni tej psycho z gładką twarzą.

Nawet jeśli ta kobieta może miała słusność.

Tylko ona.

Alina wolała milczeć. Żałowała tego, z każdym upływającym dniem coraz bardziej, ale wyrazić swoje wątpliwości znaczyło złamać tajemnicę Myrtille. Najlepszej, jedynej przyjaciółki.

W ciągu kolejnych dni Charles i Louise Camus jeszcze bardziej się zbliżyli do Carmen Avril.

Chociaż wszystko ich dzieliło, zjednoczyli siły.

Charles i Louise szukali pokoju, Carmen szukała wojny.

Charles'a i Louise ożywiało uczucie sprawiedliwości, Carmen uczucie nienawiści.

Ale w gruncie rzeczy ich cel był ten sam.

Poznać prawdę.

Ustalić tożsamość mordercy Morgane Avril i Myrtille Camus.

W ciągu kolejnych dni komendant Bastinet poprosił swoich ludzi, żeby się skupili na poszukiwaniu podejrzanego numer jeden.

Mężczyzny w czapce adidasa.

Listy gończe pozwoliły potwierdzić zeznanie Aliny Masson, kilku innych świadków spotkało tego chłopaka na kempingu w Isigny-sur-Mer, na plaży Grandcamp-Maisy, koło klubu żeglarskiego.

Spotkali go... ale nikt nie mógł go zidentyfikować. Nie pracował w tej okolicy, policjanci sprawdzili to u wszystkich potencjalnych pracodawców.

Samotny drapieżnik rozplywający się w tłumie letników?

Sam fakt, że nie stawił się spontanicznie na policji, żeby złożyć zeznanie, utwierdził jeszcze w umyśle komendanta Bastineta przekonanie, że jest on gwałcicielem zabójcą. Tym samym mężczyzną, który nosił czerwony szalik w Yport.

Wraz z upływem dni komendant coraz bardziej tracił nadzieję, że trafi na jego ślad. Facet przecisnął się przez oczko w sieci. Nigdy się nie dowiedzą, kim jest, chyba że za sprawą jakiegoś ogromnego szczęśliwego trafu, w który Bastinet na podstawie doświadczenia nie wierzył.

Niesłusznie.

Los odwrócił się na korzyść śledczych dwa miesiące później, dokładnie trzeciego listopada 2004 roku. W dniu, w którym policjanci ustalili tożsamość chłopaka w czapce adidasa.

Wtedy było już za późno.

Sprawa Camus–Avril okryła się żałobą z powodu kolejnych dwóch zmarłych osób.

## Los się odwrócił?

O mało mi nie uciekł autobus do Fécamp. Złapałem go na skrzyżowaniu ścieżki Colin i ulicy Cramoisan. Kierowca nie zawahał się złamać przepis, żeby pozwolić mi wsiąść w biegu, taka była korzyść z biegania za autobusem na jednej nodze.

Wykorzystałem tę półgodzinną zaledwie podróż, żeby zebrać myśli i przeanalizować sprawę. Prześladowały mnie, prawie mimo woli, te nieprawdopodobne podobieństwa między samobójstwem Magali Verron a zamordowaniem Morgane Avril dziesięć lat wcześniej. Ten ciąg okoliczności, którego żaden gliniarz nie mógł przełknąć. Ale miałem pewność, że muszę równoległe podążać w drugim kierunku, w kierunku morderstwa Myrtille Camus, drugiego gwałtu seryjnego zabójcy. Skoro jakiś nieznajomy zabawiał się dostarczaniem mi pocztą wszystkich szczegółów tego śledztwa, to dlatego że w ten czy inny sposób znajduje się tam odpowiedź na moje pytania. Powinienem utrwalić sobie w pamięci każdą wskazówkę. Wszystko to tworzyło jedną i tę samą całość. Spójną. Zapewne oczywistą, pod warunkiem bardzo dokładnego wpasowania każdego elementu puzzla.

Autokar dowiózł mnie do Fécamp, na bulwar Vicomté o godzinie 13.45. Zdążyłem jeszcze porwać z piekarni naprzeciwko kanapkę z szynką i jarzynami i pochłonąć ją w porcie. W recepcji posterunku żandarmerii ukryłem podenerwowanie, żartując z funkcjonariuszką, która uśmiechała się jak stewardesa.

– Mam wezwanie do Piroza – powiedziałem z miną licealisty wysłanego do dyrektora szkoły.

Gliniara odegrała sympatyczną wychowawczynię, która zna zły humor swojego szefa. Zaśmiała się nawet, rzucając „powodzenia”, zanim zniknęła w korytarzu.

Punkt czternasta.

Stałem przed biurkiem kapitana Piroza.

Drzwi były otwarte. Na chwilę się zatrzymałem, zaledwie sekundę.

– Niech pan wejdzie, panie Salaoui.

Piroz dał mi znak, żebym zamknął za sobą drzwi. Jego siwe włosy zaczesane do tyłu opadały mu na plecy niczym gałęzie wierzby płaczącej pod ciężarem szronu.

– Niech pan siada.

Nie wyglądał na dyrektora szkoły znużonego prawieniem morałów

wstrętnemu dzieciakowi, raczej przypominał lekarza specjalistę, który nie ma dobrych wiadomości dla swojego pacjenta. Za modelem „Etoile-de-Noël” piętrzył się stos teczek.

– Mam pańskie wyniki, panie Salaoui.

Nie byle jaki specjalista. Onkolog.

– Nie są dobre, panie Salaoui.

– To znaczy?

– Odciski palców... – Piroz przejechał palcami po swoich tłustych włosach.

– To są pana odciski.

Nawet gdybym był na to przygotowany, trudno mi było to przyjąć do wiadomości.

– Na szaliku Burberry?

Piroz kiwnął głową.

– Wytłumaczę panu, kapitanie.

Ani razu żandarm mi nie przerwał, kiedy opowiadałem mu swoją wersję faktów, znalezienie szalika wiszącego na drucie kolczastym koło schronu, idiotyczny odruch, by go rzucić Magali Verron. Jej skok w pustkę, szalik powiewający w jej ręce. Przygotowałem swoją mowę w autokarze, ale jednak zacząłem bełkotać, kiedy wspominałem to, co było potem.

Plaża.

Szalik owinięty wokół szyi samobójczyni.

Podsunałem mu wersję Mony, dziewczyna nie widziała twarzy gwałciciela, wzięła mnie za niego, wpadła w panikę, skoczyła, żeby uciec przede mną, żeby mnie oskarżyć. Sam w to nie wierzyłem, ale w moim interesie leżało, żeby pokazać się jako człowiek szczerzy, spodziewałem się, że trudno będzie Piroza przekonać.

Myliłem się.

– Pańska wersja jest interesująca, panie Salaoui. Ale przerwał mi pan przed chwilą. Odciski palców są pana odciskami, na szaliku z czerwonego kaszmiru, to pewne...

Otworzył leżącą przed nim zieloną teczkę. Z doświadczenia wiedziałem, że nie jest to dobry znak.

– Ale będzie pan musiał mi wytłumaczyć, panie Salaoui, dlaczego znaleźliśmy pana odciski palców również na szyi Magali Verron, na jej nogach i na piersiach...

Znieruchomiałem.

Jak sparaliżowany.

Całe moje ciało było już tylko zimnym stalowym szkieletem, tak sztywnym jak moja lewa noga. Mój głos na bezdechu próbował jeszcze oddychać.

– Ale to... to niemożliwe, kapitanie, ja nie dotknąłem tej dziewczyny.

Piroz podniósł oczy znad papierów i odchylił do tyłu głowę, tak jakby



pociągnęła ją ciężka kaskada jego włosów.

– Nie dotknął jej pan, zanim skoczyła, tak mi to pan opowiedział. Ale na plaży, kiedy już nie żyła?

Nienawidziłem terenu, na który Piroz chciał mnie zaprowadzić.

– Nie dotknąłem jej, kapitanie! Ani przed śmiercią, ani po. Chyba Christian Le Medef i stara Denise mówili to panu...

– Próbuję po prostu panu pomóc, panie Salaoui.

*Akurat...*

Przez chwilę odtwarzałem scenę w myśli, przypominając sobie każdy szczegół. Nie miałem wątpliwości. W żadnym momencie nie dotknąłem Magali Verron.

Co miało znaczyć to nowe szaleństwo?

Zaśmiałem się szyderczo Pirozowi w nos.

– Ani przez sekundę nie wierzę w pańskie głupstwa, kapitanie. Jaki będzie następny etap? Powiadomienie mnie, że znaleziono moją spermę w pochwie Magali Verron?

Piroz wygładził spokojnie dwoma palcami siwy kosmyk.

– Wydałoby mi się to dość logiczne, panie Salaoui. Mężczyzna, który udusił Magali Verron, jest prawdopodobnie tym, który ją zgwałcił.

Wybuchnąłem. „Etoile-de-Noël” kołysała się przed moimi nieruchomymi oczami.

– Do cholery! Chciałem ratować tę dziewczynę! Nie dopuścić, żeby spadła, a pan mnie oskarża, że ją...

Nie miałem siły, by dokończyć. Zmroził mnie uśmiech Piroza. Oblediał mnie jeszcze silniejszy strach.

*Nie powiedział mi wszystkiego.*

Wyplułem kolejne pytanie.

– Ma pan na myśli wyniki testu DNA? Tak?

– Nie... Jeszcze trochę za wcześnie, może dziś wieczorem...

– Ale ma pan przypuszczenia?

– Tak. Oszacowania, inaczej mówiąc. Nie są dobre. Niedobre dla pana.

*Kurwa mać!*

Siedziałem na krześle elektrycznym, które właśnie wysłało mi dwa tysiące woltów; przeszły mi przez całe ciało. Moja sperma w waginie Magali Verron... To właśnie ten drań Piroz dał do zrozumienia.

Spokój żandarma kontrastował z burzą, która szalała w mojej czaszce.

– Chyba domyśla się pan, jakie będą następne wydarzenia, panie Salaoui. Sędzia śledczy podpisał dziś rano pańskie wezwanie do sądu. Będziemy mieli do załatwienia kilka formalności. Znaleźć panu szybko adwokata, na przykład.

Pozwolił mi przez chwilę nabrać powietrza, żeby następnie tym mocniej

mnie przydusić.

– Ale muszę panu jeszcze powiedzieć, panie Salaoui, że zanim się tym zajmimy, chciałbym trochę z panem porozmawiać. – Po raz pierwszy jego ręce zdradziły lekkie wahanie. – Porozmawiać o czym innym niż sprawa Verron. O podwójnej zbrodni, na Morgane Avril i Myrtille Camus. Dziesięć lat temu. Pamięta pan, panie Salaoui?

*Czy ja pamiętam?*

Odniosłem nagle wrażenie, że Piroz posuwa się po śliskim terenie, na granicy tego, na co zezwoliłby sędzia śledczy. Wyprostowałem się na krześle.

– A więc o to chodzi, kapitanie? Trzy zabite dziewczyny. Zaczynacie od oskarżenia mnie o zabicie pierwszej, potem z rozpędu zwała się na mnie dwie inne zbrodnie, w których sprawie policja od dziesięciu lat drepcze w miejscu.

Piroz lekko zmarszczył brwi, niezbyt przejęty tym, co powiedziałem.

– Pewnie prowadził pan własne śledztwo, panie Salaoui. Być może zauważył pan kilka podobnych okoliczności w życiu Morgane Avril i Magali Verron. Zdumiewające, co? To nawet za słabe słowo, nie uważa pan? Ma pan rację, drepczemy w miejscu... Ale jednego przynajmniej jesteśmy pewni, te trzy zbrodnie coś łączy!

Nie śmiałem już niczego twierdzić. Już tylko czekałem jak pies złapany we wnyki. Gotowy kąsać tych, którzy by się znaleźli w moim zasięgu.

– Wyjaśnianie okoliczności to pana robota, nie moja.

– Rzeczywiście.

Piroz znowu zagłębił się w teczce z dokumentami, tym razem w beżowej.

– Zadam panu ważne pytanie, panie Salaoui. Bardzo proste i bardzo ważne dla pana. Czy dziesięć lat temu używał pan jeszcze obu nóg? W pana aktach nie jest to, że tak powiem, oczywiste.

Od razu zrozumiałem, o co chodzi, Piroz nie musiał mi wyjaśniać. Podejrzany numer jeden w sprawie Avril–Camus, nieznajomy, który nosił szalik Burberry, a może trzy miesiące później czapkę adidas, mógł z grubsza odpowiadać mojemu rysopisowi.

Brunet, wzrost przeciętny, wysportowany, cera opalona.

Tylko że nie kulał...

Tylko że nic by mnie nie zmusiło, żeby powiedzieć Pirozowi prawdę.

Przynajmniej na ten temat.

– Nie, kapitanie. Urodziłem się z tym... No, znaczy, prawie. Wyjaśnię panu, nie miałem szczęścia, wróżka, która się pochyliła nad moją kołyską, miała wadę wymowy, przejęczyła się.

Piroz popatrzył na mnie nieufnie. On mi napędzał strachu swoimi oskarżeniami, no to ja brałem teraz odwet. Z góry się cieszyłem, że zobaczę, jak mu oczy wychodzą na wierzch.

– Ta zołza wróżka przyłożyła mi swoją czarodziejską różdżkę do czoła, wyszeptała magiczną formułkę, abrakadabra, coś w tym rodzaju, potem powiedziała, słowo daję, kapitanie: „Niechaj ze wszystkich chłopców na świecie ten dzidzius będzie najbardziej niedoskonały”.

Konsternacja na twarzy Piroza.

– Po prostu przejęzyczenie, kapitanie. Idiotyczne, prawda?

W moim umęczonym mózgu musowały pęcherzyki, które wybuchały niczym sztuczne ognie. Miałem takie wrażenie, jakbym dobywał szabli przeciw czołgowi.

Piroz zrobił się czerwony jak cegła.

– To nie jest zabawa, Salaoui. Cholera... Staram się panu pomóc.

Skorzystałem ze swojej przewagi.

– Albo mnie usidlić! Niepełnosprawny. Arab. Kawaler. Który pracuje u czubków. Idealny kozioł ofiarny, prawda? Od dziesięciu lat policja szuka takiego...

Piroz położył oba łokcie na biurku. Powtórzyłem stanowczo.

– Nie dotknąłem tej dziewczyny, kapitanie. Odciski na jej szyi nie są moje. Sperma nie jest moja. Poszukajcie innego frajera!

Żandarm uciekł na chwilę gdzieś poza przedni maszt „Etoile-de-Noël”, po czym podjął najspokojniej jak mógł:

– To nie jest dobra strategia, Salaoui. Brak jednej nogi nie uratuje pana w oczach sędziów...

*Kretyn! Jaka jest dobra strategia?*

Na próżno mój umysł mnożył hipotezy, szukał wszelkich drzwi wyjściowych, przecież było tylko jedno możliwe wytłumaczenie.

Machinacje policji.

Fabrykowali sobie winnego, którego potrzebowali. Nieszczęsnego faceta, który przypadkiem znajdował się pewnego ranka na klifie w nieodpowiednim momencie.

Mnie.

W następnej chwili druga półkula mojego mózgu podpowiedziała mi, że jestem na posterunku żandarmerii w Fécamp, a nie w Korei Północnej ani w Afryce Południowej... Nie fabrykuje się fałszywych dowodów, żeby usidlić niewinnego. Nie tutaj. Nie we Francji...

– Mam prawo do adwokata.

– Oczywiście, Salaoui. Nie wolno wzywać obywatela na przesłuchanie, zanim wysłucha głównych oskarżycieli w obecności adwokata.

Powróciły mi jakieś niewyraźne wspomnienia seriali podpatrywanych na zapadniętej kanapie w naszym mieszkaniu w La Courneuve. Navarro i spółka, tego rodzaju usypiające rzeczy, które oglądała moja matka i przed którymi ja też przesiadywałem, żeby nie wracać do odrabiania lekcji w swoim pokoju.

Sprawa Avril–Camus datowała się sprzed prawie dziesięciu lat. Dziesięć lat, to powinno chyba odpowiadać okresowi przedawnienia morderstwa. Po głowie chodziła mi szalona myśl.

A jeśli jestem ich ostatnią szansą?

Za kilka dni sprawa Avril–Camus zostanie umorzona.

A jeżeli zanim się opuści zasłonę, gliniarze postanowili usidlić pierwszego lepszego?

– Zna pan jakiegoś adwokata, Salaoui?

Nie odpowiedziałem. Teraz we wszystko wątpiłem. Zaskakiwał mnie drugi szczegół, na który do tej pory nie zwracałem uwagi. Wciąż wspomnienie z kultowych seriali mojej matki.

– Czy nie powinno być dwóch żandarmów, jak się kogoś przesłuchuje?

– Nie, panie Salaoui... Nie do zwykłego przepytывania.

Piroz wstał, rozdrażniony.

– Coś panu wyznam, mam trzech innych ludzi, którzy pracują nad zagadką śmierci Magali Verron, którzy drążą wszelkie inne tropy, którzy poszukują wszystkich facetów spotkanych przez nią w ostatnich dniach. Którzy potwierdzają również wszystkie te zbieżności upodobań i edukacji Magali Verron i Morgane Avril, te niezwykle podobieństwa, bo my z nich nic nie rozumiemy. Miał pan szczęście, panie Salaoui, że trafił pan na mnie. Chociaż wszystko, absolutnie wszystko świadczy przeciwko panu, ja wciąż szukam gdzie indziej. Trzeba wierzyć, że nie jestem całkiem przekonany o pana winie na podstawie tych parszywych dokumentów, więc niech pan wszystkiego nie psuje.

Piroz wygłosił tę ostatnią tyradę z jakąś dziwną afektacją. Kazanie obrońcy uciśnionych. Tak jakby tylko on mógł odwrócić zagrażające mi przeznaczenie.

Pułapka? Jeszcze jedna pułapka? Piroz był przebiegły.

Nachylił się do mnie, jego długie włosy opadły mu na szyję i otoczyły podbródek jak przyprawiona broda, która się odkleja.

– Ostatni raz, Salaoui, to bardzo ważne. Czy dziesięć lat temu chodził pan na obu nogach?

Piroz interpretował zapewne moje długie milczenie jako czas refleksji, ale moja decyzja była już podjęta.

Nie wierzyłem mu.

Byłem winny.

Według niego. Według innych gliniarzy. Mieli zgromadzone wszystkie poszlaki, dowody, fakty, świadków.

Cóż było warte moje jedno słowo wobec muru pewników?

Nic.

Nie wiedziałem, kim oni są, ale mnie osaczyli.

Nie miałem już wyboru, musiałem przejść przez sieć, którą na mnie

zastawiali.

Teraz. Bez względu na konsekwencje.

Ruch trwał nie dłużej niż sekundę. Pochyliłem się do przodu, tylko tyle, żeby moje dłonie chwyciły mahoniowy cokół makiety „Etoile-de-Noël” i za jednym zamachem odwróciłem się z podniesionymi rękami, by roztrzaskać deskę na czaszce kapitana żandarmerii.

Piroz nie miał czasu na choćby cień reakcji. Zwalił się ciężko. Jego ręce próbowały chwycić się pustki, kiedy już nie zdołał się utrzymać na nogach. Tylko oczy się trzymały. Przerażone.

Ich wyniosła pewność siebie przerodziła się w rozpaczliwą panikę.

Strużka krwi spływała z ust, które błagały mnie.

– Salaoui, nie...

*Nie co?*

Co najbardziej bał się stracić?

Swoją makietę? Swoją zdobyczą? Życie?

Spróbował się podnieść, położył obie dłonie na posadzce z płytek. Ogłuszony. Szkarłatne krople perliły się na jego czole i skapywały po włosach.

Po raz ostatni spojrzałem na „Etoile-de-Noël”, na cieniutkie olinowanie przyklejone z zegarmistrzowską precyzją, koła ratunkowe i bandery delikatnie pomalowane, na malutkich marynarzy rozstawionych precyzyjnie na pokładzie, po czym cisnąłem wszystko w kark Piroza.

Znowu upadł na podłogę. Nokaut.

Stałem nieruchomo przez kilka sekund, przekonany, że zaraz pojawi się w gabinecie dziesięciu żandarmów zaalarmowanych hałasem.

Cisza. Drzwi zamknięte.

Można by pomyśleć, że są przyzwyczajeni do tego, że ktoś się z kimś naparza w ich murach.

Szybko oceniłem sytuację. Jak z tego teraz wybrnąć, jak się wydostać? Wyjść przez okno? Pędem przez korytarz aż do recepcji? Pociągnąć Piroza za kołnierz, wbić mu nóż do papieru w tętnicę szyjną i uciec, ciągnąc go za sobą?

Żałosne!

Moją jedyną szansą było wyjść tak, jak wszedłem. Jakby nigdy nic. Trochę zmartwiony. Posłać porozumiewawczy uśmiech gliniarze z recepcji.

Najciszej jak mogłem oderwałem pas materiału koloru jabłkowego od stopy, która jakoby osłaniała pokój przed rzadko się pokazującym w Fécamp słońcem, po czym w niecałą minutę zakneblowałem i związałem Piroza tym kawałkiem zasłony.

Oddychał, ale się nie ruszał. Oczy miał zamknięte, posklejane krwią, rzęsy razem z włosami. Jeszcze kilka sekund zabrało mi schwywanie w przelocie zielonej teczki.

Magali Verron.

Zawahałem się, czy nie wziąć innych. Na biurku kapitana piętrzył się cały stos dokumentów, ale nie miałem czasu ich wybierać. Ani czasu, by je zapakować.

Ostatnim ruchem wsunąłem do zielonej teczki luźną kartkę, która wystawała ze stosu, tę, która mnie zaintrygowała poprzedniego dnia.

Tabelka narysowana na białej kartce.

Osiem cyfr w czterech polach.

2/2

3/0

0/3

1/1

Jeszcze jedna tajemnica?

Ta poczeka...

\*

Wyszedłem.

Pierwszy gliniarz mnie minął; drugi wynurzył się z prawej strony i lekko się o mnie otarł; dwaj inni podeszli w moją stronę na końcu korytarza, z rewolwerami za pasem, utkwili we mnie wzrok, odsunęli się.

Przeszedłem między nimi, nie odwracając się.

Byłem już w holu wejściowym.

– Przeżył pan? – zapytała mnie żartobliwie ładna żandarmka z recepcji.

Miałem prawie wyrzuty sumienia, że odwzajemniłem jej uśmiech. Koledzy obwiniają ją, że żartowała sobie z uciekającym gwałcicielem, nic nie podejrzewając, i nikogo nie zaalarmowała. Czy ośmieli się powiedzieć, że był raczej sympatyczny? Że nie miał, naprawdę nie miał wyglądu zabójcy? Że może się mylą?

Przez chwilę pomyślałem, że ciężar machinacji przeprowadzanych przez gliniarzy przeciwko mnie kontrastuje z łatwością, z jaką się wydostałem z posterunku.

Nie miałem co narzekać.

Gdy tylko zszedłem po schodach, uderzył mnie w twarz nasycony jodem wiatr.

Byłem wolny.

Jak długo jeszcze?

Szybkim krokiem oddaliłem się od posterunku i skierowałem się do portu.

Ile czasu minie, zanim Piroz wszystkich zaalarmuje?

Pomyślałem przelotnie o pięciu kierunkach mojej gwiazdy. Zostać jednonogim bohaterem Ultra-Trail du Mont Blanc, kochać się z kobietą moich marzeń, mieć dziecko, być opłakiwanym, spłacić dług...

Źle pomyślane...

Wymykam się glinom tylko na kilka godzin; w najlepszym razie na kilka dni. Nie można wracać na noc do La Sirène czy w ogółw zbliżać się do Yport.

Czego się spodziewałem?

Że sam udowodnię swoją niewinność? Że mgła tajemnic rozproszy się jak zły sen? Że gliny znajdą innego winnego? Prawdziwego zabójcę?

Zostawiłem za sobą nadmorską aleję. Pustą. Zimno nie zachęcało nielicznych spacerowiczów do przekraczania betonowego falochronu. Kamyki na plaży połknęły mnie, nikt mnie nie zauważył.

Nikt mnie nie usłyszał.

Jestem niewinny! – wyłem w myśli.

Jestem niewinny!

Woda podchodziła łagodnie, więc idąc szybko, mogłem się oddalić na wystarczającą odległość, zanim całkowicie zaleje równię pływową. Między Fécamp a Yport, wzdłuż prawie dziesięciu kilometrów wybrzeża istniało tylko jedno dojście do morza, Grainval, i dziesiątki tablic obwieszczających, że surowo zabrania się spacerowania pod klifami.

Miejscowi gliniarze od dawna przestali się bawić w chowanego z przemytnikami na ścieżce celników. Nikt tu po mnie nie przyjdzie, między morzem a kredową ścianą.

Otoczaki obracały się pod moimi stopami. Fécamp było już tylko linią szarych i niewyraźnych budynków. Trzymając mocno zieloną teczkę, myślałem jeszcze o Pirozie, o jego oskarżeniach.

Dręczyło mnie jedno pytanie.

Czy uderzając go, uciekając, rozdarłem w samą porę pajęczynę, którą snuto wokół mnie?

Czy też zszedłem jeszcze jeden stopień niżej w stronę tej przepaści, która mnie pochłaniała?

## **II**

### **Aresztowanie**



*Rosny-sous-Bois, 22 lipca 2014 roku*  
*Jednostka Żandarmerii ds. Identyfikacji Ofiar Katastrof (UGIVC), Instytut*  
*Badań Kryminalnych Żandarmerii Państwowej (IRCGN).*

*Od. P. Gérarda Calmette, dyrektora UGIVC,*  
*z przeznaczeniem dla P. porucznika Bertranda Donnadiu, Żandarmeria*  
*Państwowa, Brygada Terytorialna Okręgu Etretat, departament Seine-Maritime*  
Szanowny Panie!

W odpowiedzi na Pański list z 13 lipca 2014 roku w sprawie znalezienia 12 lipca 2014 roku trzech szkieletów na plaży w Yport w departamencie Seine-Maritime zawiadamiam, że nasze służby z najwyższą starannością zajęły się tą niepokojącą sprawą.

Mimo że do dnia dzisiejszego żadna z tych trzech osób nie została zidentyfikowana, pierwsze ekspertyzy potwierdzają kilka niezbitych faktów.

Przede wszystkim możemy z całą pewnością stwierdzić, że kości należą do trzech dorosłych mężczyzn, w wieku między dwadzieścia a trzydzieści lat w chwili zgonu.

Dalsze badania nie ujawniły żadnych śladów ciosów na trzech czaszkach ani też na innych częściach szkieletów, co zdaje się wykluczać hipotezę, że śmierć nastąpiła w wyniku zewnętrznego uderzenia, na przykład od zawalenia się ścian skalnych jamy, w której mężczyźni przebywali. Hipoteza o śmierci gwałtowej czy nienaturalnej pozostaje jednak głównym tropem, którym podążamy, wzięwszy pod uwagę okoliczności odkrycia tych ciał. Dodatkowe badania chemiczne pozwolą w szczególności wykluczyć lub potwierdzić ewentualność otrucia.

Oznaczenie daty zgonu tych trzech osób jest jednym z najbardziej kłopotliwych punktów tego śledztwa. Jak to jest w zwyczaju, w trakcie procedury identyfikacji przydzieliliśmy każdemu z trzech szkieletów tymczasowy identyfikator, który posłuży tylko na czas śledztwa. W tym przypadku są to trzy imiona, których porządek alfabetyczny odpowiada chronologii ich śmierci.

Bo istotnie – i jest to sprawa szczególnie trudna do wyjaśnienia – zgon tych trzech osób nastąpił w trzech różnych terminach, co wyklucza wszelki rodzaj śmierci, którą można by zakwalifikować jako „zbiorowa” czy „jednoczesna”, jak wypadek grupy speleologów, potrójne zabójstwo czy nawet zbiorowe samobójstwo.

Dla ścisłości, pierwszy z tych szkieletów, któremu nadaliśmy imię Albert, zmarł najpóźniej w lecie 2004 roku.

Drugi, Bernard, zmarł kilka miesięcy po Albercie, prawdopodobnie między

jesienią 2004 a zimą 2005 roku.

Trzeci, Clovis, zmarł w 2014 roku na przełomie lutego i marca, a więc około pięciu miesięcy temu. Biorąc pod uwagę kwasowość wapiennych wgłębień z krzemionką, w których przebywały ciała, nie dziwi wcale szybkość rozkładu tego ostatniego ciała.

Na koniec, Panie poruczniku, tak jak sam Pan nadmienił w swoim pierwszym liście, wydaje się trudne oddzielenie procedury identyfikacji tych trzech szkieletów od sprawy zwanej „sprawą zabójcy w czerwonym szaliku”, którego jedną z ofiar, Morgane Avril, znaleziono zabitą w czerwcu 2004 roku niedaleko miejsca, gdzie zostały odkryte te trzy szkielety.

Jednakowoż, i zanim otrzymamy wynik badań dodatkowych, w tym analizy genetycznej kości, nie jesteśmy w stanie określić, jaki bezpośredni związek mógłby łączyć z jednej strony śmierć tych trzech mężczyzn, o których nic nie wiemy, a z drugiej strony, zamordowanie tych młodych dziewczyn.

Zapewniam Pana, Panie poruczniku, że robimy wszystko, co można, aby posuwać śledztwo naprzód. Niemniej jednak nie mogę przed Panem zataić, że z uwagi na zredukowanie stanu naszych sił, wobec nadmiaru zajęć nasze służby muszą się zmagać z innymi, nagłymi przypadkami. Ponieważ zgon Alberta i Bernarda jest już objęty dziesięcioletnim terminem ustawowego przedawnienia, ta sprawa nie jest już uważana, z punktu widzenia przepisów, jako priorytetowa dla naszych służb.

Proszę przyjąć, Panie poruczniku, wyrazy najgłębszego szacunku.

Gérard Calmette, dyrektor UGIVC

## Jak długo jeszcze?

Znaczną część popołudnia czekałem, aż zapadnie noc, ukryty w jednej z niezliczonych jam klifu nieco powyżej wiszącej doliny Vaucottes, przyczepiony jak mule do ścian skalnych, które pozostały odsłonięte przez martwą falę.

Zmoczony.

Między morzem a kredową ścianą wysychał pas kamieni szerokości około metra, nienękany przez fale, ale niektóre z nich, bardziej zuchwałe, zabawiały się i podpływały, by rozbijać się o klif i pokropić, rykoszetem, głupca, który się tam ukrywał. W nagrodę za moje wysiłki litościwy Bóg ofiarował mi najwspanialszy zachód słońca tuż przed tym, jak się wdrapałem w górę czerwieniejącej doliny w kierunku Vaucottes.

Poczekąłem jeszcze trochę, zanim wyszedłem z lasu des Hogues. Dziesięć minut. Przez ten czas ciemność stała się intensywniejsza, a moje wilgotne ubranie stężało, zamieniając się w lodowaty całun.

Wolny, wciąż, ale zlodowaciały.

Szara noc. W półcieniu dolina Vaucottes przybierała wygląd nawiedzonej przez duchy. Trzydzieści domków zagubionych w dżungli sosen, orzechów i dębów wyglądało tak, jakby zostały wzniesione w wyniku konkursu architektów wyklętych. Każda willa rywalizowała z innymi w barokowych pomysłach. Dachy szwajcarskich domków, tyrolskie dzwonnice, angielskie *bow-windows*, mauretańskie fasady. Sprawdziłem, że nie jedzie żaden samochód, i wszedłem pod górę drogą na plażę. La Horsaine, willa promotora pracy Mony, była ukryta za skrzyżowaniem.

*Martin Denain.*

*123, chemin du Couchant.*

„Klucze znajdziesz pod jedną z cegieł w cembrowinie studni – powiedziała mi Mona przez telefon. – Koło hangaru. Ogrodnik, który dogląda posiadłości, przedstawia go, kiedy wychodzi. Czuj się jak u siebie. Przyjadę do ciebie, jak tylko będę mogła”.

Przesłała mi wirtualnego całusa i się rozłączyła. Nie zadała żadnych pytań, zadowolona się oszałamiającym opisem stanu rzeczy, który jej przedstawiłem.

*Gliny mi depczą po piętach.*

*Muszę się zadekować.*

*Musisz mi pomóc.*

Mona była wspaniałą dziewczyną.

Wydostałem żelazny klucz spod cegły, drzwi się otworzyły, schroniłem się w murach willi la Horsaine.

*Czuj się jak u siebie...*

Najpierw prysznic, bardzo gorący. Potem zebrać myśli. Opowiedzieć wszystko Monie, jak tylko tu przyjedzie...

Zanim znalazłem łazienkę, błądziłem w labiryncie korytarzy, malutkich, ale niezliczonych pomieszczeń, pokoi, schodów na trzech piętrach i półpiętrach. Martin Denain, promotor Mony, chyba nieczęsto przyjeżdżał do swojej letniej rezydencji. Nie żeby dom był zaniedbany, wprost przeciwnie. Ogrodnik kosił trawę i przycinał fachowo krzaki róż, kobieta do sprzątanía pewnie była fantastycznie opłacana, bo przecież musiała likwidować całe połączenia pajączków czy pucować witraże, które zdobiły wszystkie okna na ostatnim piętrze.

Willa czysta... i pusta.

Uderzył mnie ten kontrast, kiedy skręcałem się przed olbrzymim lustrem w złotej ramie i usiłowałem sięgnąć mokre dzinsy. Moja proteza szczęknęła o niebieskie fajansowe kafle z Delft. Miałem wrażenie, że echo niesło się w tysiącu jeden pomieszczeń pustej willi, budząc cienie i zjawy.

Lecząca woda zagłuszyła odgłosy straszego dworu. Stałem na jednej nodze pod prysznicem.

Ablucje różowego flaminga! To wyrażenie z pewnością spodobałoby się Monie.

Z zamkniętymi powiekami przebiegałem w myśli wystrój la Horsaine. Martin Denain wypchał słomą swój dom, to były właściwe słowa. Wypchany słomą. Jakby po to, żeby go zastać w niezmienionym stanie po długich miesiącach nieobecności.

Pozorowane życie!

Kwiaty na kominku i na szafkach nocnych. Sztuczne.

Kosz owoców na stole w kuchni. Wspaniale podrobionych.

W korytarzu półki, na których piętrzyły się w nieładzie kieszonkowe wydania książek, pisma ilustrowane i gry towarzyskie, zapomniane, leżące tu, jak się zdawało, od wieków.

Kiedy ciepła woda spływała po moim nagim ciele, naszała mnie taka refleksja, że ten wystrój dworu, w którym straszy, wydaje się dziwny, prawie nierealny, jakby wydobyty prosto z wyobraźni powieściopisarza.

Tak samo zresztą jak osobowość Mony...

Uczona z Narodowego Ośrodka Badań Naukowych, która zjawiała się znikąd.

Żywiółowa. Ładna. Oryginalna i bezwstydna.

Jakby wyszła z głowy pisarza... albo z mojej, głowy kawalera poszukującego miłości.

Podstawiłem policzek pod wodę.

Nie, po przemyśleniu druga hipoteza nie miała sensu! Mona była pełna wdzięku, ale gdyby mi zaproponowano, żebym sporządził portret kobiety idealnej, to jednak nie jej portret bym narysował.

I jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pod ciepłym deszczem zatańczyła mi przed oczami rozmyta twarz Magali Verron.

*Czuj się jak u siebie.*

Przymocowałem protezę i wciągnąłem na siebie peniuar wiszący na haku. Calvin Klein. Wahłem się, czy zadzwonić do Mony. Musiałem być ostrożny, gliniarze na pewno skojarzyli ją ze mną. Wiedziałem, że nie wyda im mojej kryjówki, ale mogą coś podejrzewać, śledzić ją...

Odpędzałem te myśli. Zagłębiłem się znowu w ciąg pustych pokoi, próbowałem nie myśleć o tym, że nie mam żadnej strategii poza ucieczką do przodu. Najdrobniejszego załóżka pomysłu na udowodnienie swojej niewinności, poza zyskiwaniem na czasie.

Po półgodzinie zacząłem się orientować w barokowym labiryncie. Wyjawszy piwnice, zapewne równie ogromne jak sama willa, odwiedziłem już każde pomieszczenie. W salonie na etażerze z kutego żelaza stały połyskujące butelki.

*Czuj się jak u siebie.*

Poczęstowałem się calvadosem. Boulard. Etykietka mówiła *hors d'âge*.

Tak jak dom.

Ledwo pociągnąłem łyk, poczułem ogień w gardle. Mój kaszel obijał się o ściany, rozlegał w ciszy, potem się oddalił, przechodząc w czkawkę, w stronę pięt, jak bojaźliwy wystukujący słowa duch, którego ktoś wystraszył. Na próżno szukałem w pamięci, cofając się aż do wczesnego dzieciństwa w la Courneuve i do kolejnych apartamentów w wieżowcach T0 i T5, w których mieszkałem, w miarę jak rodzina się powiększała, ale nigdy w życiu nie przekroczyłem progu tak ogromnej chałupy.

To napawało raczej strachem.

Postanowiłem poczekać na Monę w pokoju, który ochrzciłem „orle gniazdo”: była to najwyżej położona sypialnia w tej willi, urządzona w małej wieżyczce, która sterczała kilka metrów nad dachem i kominem. Patrząc z zewnątrz, wziąłem tę kiczowatą dzwonnice za kaprys architekta, taki snobistyczny erzac baszty. Myliłem się! W okrągłym pokoju orlego gniazda z każdego wąskiego okna o wyglądzie romantycznej strzelnicy rozciągał się zdumiewający widok na dolinę Vaucottes.

Latarnia morska!

Martin Denain zainstalował w niej swój gabinet. Niska biblioteczka, trzysta sześćdziesiąt stopni, otaczająca dwa wolterowskie fotele i dębowy stół wyłożony grubym purpurowym welurem.

Długo tam czekałem, między niebem a morzem, chyba ponad godzinę.

Powieki zaczynały mi się zamykać, kiedy obie ręce Mony dotknęły moich pleców.

Nie słyszałem, jak wchodziła ani jak się wspinała po schodach.

Czarodziejka.

Nosiła gwiazdę swojej różdżki na sercu.

– Dziękuję – rzuciłem, zanim ją pocałowałem.

Długi pocałunek.

Przez moment staliśmy, patrząc na księżyc i jego podrygującego bliźniaka, który topił się w kanale La Manche.

– Opowiadaj – powiedziała w końcu.

Niczego przed nią nie zataiłem. Oskarżenia Piroza. Moja ucieczka. Moje przekonanie. Jestem ofiarą policyjnych machinacji. Mona wysłuchała mnie, ani razu mi nie przerywając, po czym wypowiedziała trzy słowa, jedyne trzy słowa, które chciałem usłyszeć.

– Ja ci wierzę.

Znowu ją pocałowałem. Rozpuściłem jej złociste włosy i pozwoliłem im spłynąć między moimi palcami.

– Dlaczego? Dlaczego robisz dla mnie to wszystko?

Jej dłoń wtargnęła między otwarte poły mojego peniaru.

– Bo ja wiem? Zapach nieznanego? Przesadne zamiłowanie do nadzwyczajnych historii? Głębokie przekonanie, że nie skrzywdziłbyś muchy...

– Muchy nie. Ale gliniarza?

Wybuchnęła śmiechem.

– Jeśli ci powiem, żebyś zadzwonił do adwokata i jutro rano udał się do żandarmów, to zrobisz tak?

Wziąłem Monę w ramiona.

– Nie! Nie chcę wpaść w ich pułapkę. Sam chcę zrozumieć.

– Co zrozumieć?

– Wszystko! Musi być jakieś logiczne wyjście. Jakiś klucz otwiera drzwi wyjściowe tego cholernego lodowego pałacu.

Podczas gdy Mona wygrzebywała skarby z kuchennych zapasów – foie gras, kaczka w galarecie i czerwony bergerac – ja otworzyłem teczkę „Magali Verron” zgarniętą z biurka Piroza.

Kląłem w duchu, bo teczka nie zawierała żadnego elementu, którego bym już nie znał. Jej szczegółowe CV, które potwierdzało informacje zebrane w internecie, jej dzieciństwo w Kanadzie, potem w Val-de-Marne, różne szkoły, do których uczęszczała, jej praca w Bayer-France. Druga połowa dossier dotyczyła gwałtu i jej zgonu. Kompleksowe raporty medyczne wymieniały każdą z jej kontuzji, grupę krwi, DNA, szczegóły uduszenia... „które spowodowało śmierć”, jak precyzował raport.

Mylili się, do cholery! Może o kilka minut, ale się mylili.

Żałowałem, że nie poświęciłem więcej czasu na przeszukanie dossier na biurku Piroza, żeby wygrzebać elementy spraw Camus i Avril, wskazówki inne niż te, które jakaś dobrze usposobiona dusza przesyłała mi w kopercie.

Znaleźć również wiadomości o tej serii cyfr, o tym równaniu, którym interesował się Piroz.

2/2

3/0

0/3

1/1

– Do stołu! – krzyknęła Mona z komunikatywną energią, która na krótką chwilę rozproszyła rój pytań kłębiących mi się w głowie.

Zapasy promotora pracy doktorskiej dorównywały menu w La Sirène. Mona zadowolona się postawieniem na stole kostki foie gras i podgrzaniem w słoiku kaczki w galarecie.

– Za zdrowie Martina! – rzuciła, podnosząc swój kieliszek bergeraca. – P@nshee płaci mu równowartość trzech podróży dookoła świata rocznie. Trzeba mu pomóc opróżnić trochę ten dom.

Stuknąłem się z nią kieliszkiem. Ze smutnym uśmiechem. Nie miałem do tego serca.

– Co zrobisz? – zapytała nagle Mona.

– Nie wiem...

– Szkoda.

Posmarowała foie gras rozmiękły sucharek, który odkryła w celofanowym opakowaniu w głębi szafki.

– Szkoda. Oni na pewno cię w końcu dorwą. Wtedy wszystko stracisz. Wszystko, co mnie w tobie uwiodło. – Jej palec musnął gwiazdę, którą nosiła przypiętą do bluzki. – Ten genialny pomysł przypisania pięciu marzeń do swojego życia. To... to co zrobisz z tymi marzeniami?

– Nie mam wyboru, Mona.

Długą chwilę popatrzyła na mnie w milczeniu, nie próbując już więcej mnie przekonywać. Tak jak się ustępuje upartemu dzieciakowi. W momencie kiedy wstawiała, żeby wziąć stojący za sobą garnek, w pokoju rozległ się dźwięk mojego telefonu komórkowego.

*Numer nieznany.*

Odebrałem.

– Salaoui?

To był głos Piroza!

– Salaoui, niech się pan nie wyłącza. Niech się pan nie wygłupia. Niech się pan podda, do cholery! Będzie pan miał prawo do adwokata. Będzie pan miał dostęp do akt. Będzie pan mógł się bronić.

Postanowiłem posłuchać jeszcze z piętnaście sekund, nic nie odpowiadając. Ten drań na pewno starał się mnie zlokalizować.

– Salaoui, okropnie mnie pan pokaleczył, ale załatwimy to później. Skontaktowałem się z Instytutem Saint-Antoine, ze wszystkimi pana kolegami, również fachowcami, psychoterapeutami. Nie jest pan sam! Możemy panu pomóc. Niech pan nie marnuje swojego...

Dwadzieścia pięć sekund.

Rozłączyłem się, wyłączyłem telefon, ale ręka wciąż mi drżała. Mona położyła delikatnie swoją rękę na mojej. Mówiła jeszcze łagodniej, jakby starała się mnie obłaskawić.

– Ten gliniarz w gruncie rzeczy mówi ci to samo co ja, tylko swoimi słowami.

*Poddać się.*

Byłoby to takie łatwe.

– Chcą mnie zrobić w te morderstwa, Mona. Słyszałaś, jak mówił o tych psycholach, zrobią ze mnie wariata...

Ścisnęła jeszcze mocniej moją rękę. Mówiłem dalej.

– Moje odciski nie mogą się znajdować na ciele tej dziewczyny! Nie dotknąłem jej. Gliny kłamią. Ściemniają coś. Dlaczego nikt nic nie wie o śmierci Magali Verron?

– Ja wiem, Jamal. André Jozwiak też wie i na pewno rozpowszechnił tę wiadomość wśród wszystkich mieszkańców Yport, którzy odwiedzają jego knajpę.

– Żadna dzisiejsza gazeta o tym nie pisała.

– Napiszą jutro... Jamal, po co gliniarze mieliby ryzykować, fabrykując fałszywe tropy?

– Nie mam pojęcia, Mona. Ale jak chcesz się pobawić w zgadywanki, to mam całe skrzynie pytań! Dlaczego ktoś się zabawia, przysyłając mi te koperty, w których opowiada o każdym szczególe sprawy Avril–Camus? Dlaczego Magali Verron popełniła samobójstwo po tym, jak skopiowała życie Morgane Avril? Dlaczego na mojej drodze znalazł się ten czerwony kaszmirowy szalik, niczym latarnia, której nie sposób ominąć?

Mona odsunęła od siebie ledwo napoczęty blok foie gras.

– Okay, wygrałeś. Poddaję się.

Nierdzewnymi szczypcami pochwyciła oba udka kaczki w galarecie. Czerwień karminowa. Skojarzyły mi się z dwiema nóżkami wyrwanymi z ciała noworodka, które lekarz sądowy przechowuje w słoiku. Nie musiałem nawet robić



żadnego gestu, żeby Mona zauważyła moje obrzydzenie. Położyła mi rękę na ramieniu.

– Wiem tylko tyle, że nie jesteś mordercą! To mi nawet nie przeszło przez myśl. Ale ktoś, on, tak myśli...

Gotowane mięso przyprawiało mnie o mdłości.

– Dlaczego ja, do cholery!

Mona spokojnie się zastanawiała. Przez chwilę patrzyłem z rozczuleniem na jej twarz ryjówki, zastygła w największym skupieniu, na jej ruszający się nosek, na rzęsy, które trzepotały, na siekacze, które przygryzały dolną wargę.

– Dlaczego ty... Dobrze pytanie, Jamal. Czy przyjeżdżałeś już do Yport? Wcześniej, przed tym tygodniem?

– Nie...

Jej zęby puściły wargę, gotowe teraz mnie gryźć.

– Powiedz mi prawdę, Jamal! Nie jestem gliną. Jeśli chcesz, żebym ci pomogła, to przestań grać.

– Nie, mówię ci. Ale... ale mało brakowało.

– Cholera, Jamal, mów jasno.

– To było jakieś dziesięć lat temu. Czatowałem w necie z jedną dziewczyną, co mi się podobała, namówiłem ją na weekend nad morzem, wyglądało, że ma chęć na Etretat, ale to było dla mnie za drogie, więc zarezerwowałem w okolicy Aiguille. Tutaj, w Yport.

– No i co?

– No i jak tylko zobaczyła, że jej uroczy książę ma tylko jedną nogę, łajdaczka odwołała nasz miesiąc miodowy.

– Nie powiedziałaś jej?

– Nie. Zapomniałem ustawić kamerę pod biurkiem...

– Okay. I nigdy nie postawiłeś nogi w Yport?

– Nawet tej jednej!

Mona wybuchnęła śmiechem. Nalała nam po kieliszku bergeraca.

– Przepraszam. Dodamy twoją niedoszłą randkę w Yport do listy koincydencji! A w tym tygodniu co cię tu przyniosło? Nie ma innych miejsc na świecie, gdzie można się przygotować do tego spaceru kulawych po lodowcach?

– Kilka miesięcy temu odpowiadałem na ankietę przez telefon. Coś o turystyce w Normandii. Na zakończenie było losowanie. Wygrałem tydzień w hotelu w Yport. Z połową utrzymania dziennie i z największymi różnicami wysokości w całym basenie paryskim jako terenem gier... Rozumiesz, dlaczego nie wahałem się długo, żeby się tu zakopać.

– Rozumiem.

Mona opróżniła kieliszek, podeszła do okna, potem spojrzała w górę na wieżyczkę, której cienia domyślano się na dachu.

– Będziemy musieli być rozsądni, Jamal, nie będę mogła tu spać. Gliniarze szybko skojarzą cię i mnie. Jutro rano zjawią się w La Sirène z rekwizycją sądową.

Podszedłem do niej. Położyłem rękę na jej talii.

– Mamy czas do jutra rana, prawda?

Jej spojrzenie padło na ciemne owłosienie mojego torsu, które odcinało się na jasnym puchu rozpiętego peniuaru.

– Nie tutaj – szepnęła, spoglądając na orle gniazdo. – Na górze...

## Zapach nieznanego?

Mona chciała wziąć prysznic, zanim przysłała do mnie do okrągłego pokoju, który górował nad willą. Usłyszałem jej kroki na schodach. Ona też opatulila się w peniuar Calvina Kleina. Koloru rubinowego.

Dała mi całusa w usta, przez chwilę podziwiała panoramę, uśpioną dolinę podmywaną przez ślepe fale, potem pobiegła i z jednej z półek okrągłej biblioteki wyjęła jakąś starą książkę. Jednym pełnym gracji skokiem wdrapała się na biurko z purpurową skórą.

– Maurice Leblanc! – oznajmiła, pokazując poźółkły tom. – Ojciec Arsène’a Lupina. Pierwsze swoje powieści napisał tutaj, w Vaucottes. A w jednej z nowel umieścił akcję w tej właśnie dolinie...

Zupełnie mnie nie obchodziło to, co opowiadała.

Chciałem zapomnieć o sprawie Verron–Avril–Camus.

Chciałem zapomnieć ścigających mnie gliniarzy.

Chciałem zapomnieć wszystko z wyjątkiem białego ciała Mony w rubinowym peniuarze.

Podniosła kolano na biurku, żeby gąbczasty materiał, ściśnięty w talii bawełnianym paskiem, nieco się rozchylił.

– Posłuchaj, Jamal, ta nowela Maurice’a Leblanca cię zainteresuje. To historia biedaka, który przechodzi koło jednego z dworów w Vaucottes. Nazywa się Linan, ładne imię, nie sądzisz? Wchodzi, żeby buchnąć coś, bo nie ma na wyżywienie swoich chorych dzieci. Ale brak mu szczęścia, kilka minut wcześniej kasztelan strzelił sobie w głowę w salonie. Samobójstwo!

Zbliżyłem się do niej. Rozchyliłem powoli poły peniuaru, żeby uwolnić alabastrowe piersi.

– I co dalej? – wyszeptałem.

Prztyczek. Peniuar opadł łagodnie po jej nagiej skórze aż do talii. Mona była teraz czerwonym owocem, który obrano ze skóry, żeby lepiej smakował. Pozwoliła moim dłoniom przebiec po swojej piersi. Głos jej się trochę zmienił, ale nie straciła wątku.

– Linan robi za dużo hałasu, wpada w panikę, przewraca coś, zjawia się służący i zastaje go tuż obok ciała swojego pana... Domyślasz się dalszego ciągu. Aresztowanie. Proces. Wszyscy myślą, że ten biedak Linan zabił kasztelana, nikt nie wierzy w jego opowieść o samobójstwie.

Moje ręce igrały teraz niżej, na jej brzuchu, i zatrzymały się na rubinowym

pasku zawiązanym pod pępkiem. Szepnąłem jej do ucha.

– I jak się to kończy?

Dreszcz przebiegł jej po karku. Podniosła książkę na wysokość piersi.

– Hmm... Chcesz, żebym ci przeczytała ostatnie linijki? Słuchaj, bo to pouczające, zachwycisz się. „Sprawiedliwość zadzwoniła któregoś ranka. – Niech pan się przygotowuje na śmierć, Linan. – Umyto go. Związano. Dawał sobą manipulować jak łagodne zwierzę. Trzeba go było zanieść na szafot. Zęby mu szczękały. Bełkotał. – Nie zabiłem... Nie zabiłem”.

Pod naciskiem moich palców pasek od peniuaru się zsunął. Poły czerwonej bawełnianej materii otworzyły się jak róża przy pierwszym promieniu słońca.

– *Szafot* – szepnęła Mona. – Nowela opublikowana w „Gil Blas” szóstego lutego tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Jeden z pierwszych pamfletów przeciw karze śmierci!

Położyła książkę i siedziała wyprostowana na biurku. Przypominała mi panią Concetti, nauczycielkę angielskiego, która siedząc w tej pozycji, rozpaliała całą naszą klasę, ostatnią klasę gimnazjum. Tylko że Mona była mniej ubrana.

Moje ręce zsunęły się na jej nagie biodra.

*Samobójstwo? Niewinny. Pozorne morderstwo, którym go obarczają.*

*Dziękuję, Mona. Wiadomość otrzymana.*

– A ty chciałaś, żebym się poddał glinom?

Oparłem się na biurku. Podczas gdy ja przyklejałem wargi do jej szyi, za sprawą magii jej stopa rozwiązała pasek od mojego peniuaru. Nie zadowolona się tym wyczynem, jej palce u nogi ruszyły na rekonesans pod odchyłone fałdy kremowej bawełny.

Nagle położyła obie dłonie na purpurowym welurze biurka, bardzo płasko, i wygięła się. Jej piersi wzniosły się ku niebu. Dwa bliźniacze szczyty zrodzone z tej samej erupcji. Przyłgnałem do nich obiema rękami, podczas gdy mój język schodził po zjeżdżalni jej brzucha, niekończący się ślizg, który mnie upajał, aż dotarłem do strzyżonego i wilgotnego trawnika.

Mona spała na welurowym biurku zwinięta w kłębek jak dziecko. W chwili gdy zapadała w sen, poprosiła, żebym obiecał, że ją obudzę przed świtem, żeby mogła uciec do swojego pokoju w La Sirène.

Ładny mały wampirek... Zmysłowy i przedsiębiorczy.

Nie mogłem się powstrzymać, by się nie zastanowić, co najbardziej podniecało Monę. Kochać się z mężczyzną uciekającym przed policją, oskarżonym o gwałt i morderstwo, czy oddawać się temu mężczyźnie na biurku swojego promotora, z rozgorączkowanym ciałem, dokładnie w tym miejscu, w którym zapewne napisał główną część swojej książki?

Chyba jedno i drugie.

Nie chciało mi się spać. Kręciłem się w kółko po pokoju, w sensie

dosłownym i w przenośnym. Od kilku godzin moje spojrzenie gubiło się między gwiazdami, które zapalił odpływ, nagim ciałem Mony i setkami książek, które mnie otaczały.

Stare kieszonkowe wydania stały obok olbrzymich albumów z fotografiami, grubych naukowych podręczników i dziesiątków pudeł z archiwami. Przeczytałem machinalnie napisy na nich.

1978–1983–1990–1998–2004.

2004?

Rok zamordowania Morgane Avril i Myrtille Camus.

Podszedłem i otworzyłem pudło. Spodziewałem się, że znajdę w nim skrypty, wykłady, prace studentów, fotokopie artykułów naukowych.

Nic z tych rzeczy!

Przygryzłem wargę, żeby nie krzyknąć.

*Profesor Martin Denain, specjalista w dziedzinie chemii molekularnej, zabawiał się wycinaniem wszystkich artykułów z „Courrier cauchois”, które opisywały sprawę Morgane Avril.*

Rozgorączkowany, postawiłem pudło na najbliższym krześle i złapałem na chybił trafił kilka kartek. Wszystkie pożółkłe artykuły opowiadały tę samą historię, tę, którą czytałem w dokumentach, które mi dostarczał jakiś nieznajomy.

Nic nowego, znałem już większość artykułów.

Nic nowego... z jednym wyjątkiem.

Dlaczego ten profesor, który nigdy nie bywał w Yport, kolekcjonował te gazety?

Wahałem się, czy obudzić Monę, żeby ją o to zapytać.

Później.

Znowu pochyliłem się nad pudłem, miałem całą resztę nocy na czytanie tych artykułów, żeby wyłowić szczegół, który mi umknął, a z którego mogłaby trysnąć iskierka, ten upragniony klucz, który by wszystko wyjaśnił.

Ale byłem naiwny...

Przeleciałem już z dziesięć artykułów, kiedy trafiłem na podwójną kolorową stronę.

*Sprawa Avril.*

*Numer specjalny „Courrier cauchois”.*

*Wydanie z czwartku 17 czerwca 2004 roku.*

*„O tobie, Morgane” – tytuł długiego artykułu.*

Niczego nie podejrzewałem.

Nie od razu trafiłem na wielkie zdjęcie tej dziewczyny, uśmiechniętej, w orientalnym stroju, zapewne podczas przedstawienia raqs sharqi.

Po chwili nagle przestałem czytać, zastygłem z otwartymi ustami, wymachując rękami. Pierwszy raz oglądałem twarz Morgane Avril. Żaden

z artykułów, które mi przysłano pocztą, nie zawierał jej fotografii. Albo też ktoś się postarał ją wyciąć. Teraz rozumiałem dlaczego.

Zawyłem jak wariat.

Okrągły pokój wokół mnie zawirował jak rakieta, która startuje.

– Cholera! To nie może być ona!

Nie wierzyłem własnym oczom, ponownie spojrzałem na artykuł.

Fotografia na całą stronę w gazecie z 2004 roku to nie była podobizna Morgane Avril...

To była Magali Verron! Dziewczyna urodzona dziesięć lat później, ta, która się rzuciła z klifu na moich oczach. Wczoraj.

\*

Mona obudziła się i natychmiast wstała. Zarzuciła peniuar, nawet nie przewiązując go paskiem, i zaniepokojona podeszła do mnie.

– Jakiś koszmar senny?

Cały roztrzęsiony podałem jej tę podwójną stronę.

– Do diabła. Popatrz na to zdjęcie, Mona.

Przeczytała tytuł, *O tobie, Morgane*, potem skupiła się na zdjęciu.

– Niewiarygodnie piękna była – wyszeptała uczone.

– Cholera... Mona, tylko nie myśl, że zwariowałem...

– Nie, bo co?

Położyłem rękę na jej ustach, żeby usunąć z nich ironiczny uśmiech.

– Ta dziewczyna na zdjęciu. Ta, którą w tej starej gazecie nazywają Morgane Avril. To ona popełniła samobójstwo. To jest... Magali Verron.

Mona popatrzyła na mnie długo, tak jakby usiłowała rozwiązać w myśli skomplikowane równanie, oszacować wszystkie parametry przed sformułowaniem hipotezy. Przytrzymała odruchowo obie poły peniuaru, które zaraz z powrotem opadły.

– Są do siebie podobne, Jamal.

– Nie, Mona! To nie jest zwyczajne podobieństwo. To jest... Cholera, to ona!

– Przecież widziałeś Magali tylko kilka sekund...

– Może. Ale jej twarz wryła mi się w pamięć, możesz to zrozumieć, co? Każda najmniejsza częśćka jej twarzy...

– Mówisz tak, jakbyś był w niej zakochany.

Mona rzuciła mi to spokojnym głosem. Trochę cynicznym. Woląłem nie odpowiadać i odwrócić się do niej plecami, żeby przeszukać resztę pudła. W miarę jak przeglądałem artykuły, wyjmowałem inne zdjęcia Morgane Avril, en face, z profilu, pokazujące tylko jej twarz albo całą sylwetkę.

To była ona! Choć mogło się to wydawać śmieszne, to była Magali, nie

miałem wątpliwości, nie mogłem się mylić.

Mona wydawała się teraz rozdrażniona tą moją obsesją. Zapięła peniuar pod samą szyję, przycisnęła dłonie do brzegu biurka i spojrzała na mnie jak na tępego studenta.

– O Boże, Jamal, pomyśl przez sekundę. Są w tej sprawie cholerne strefy cienia, tu się zgadzamy, ale są co najmniej dwa absolutne pewniki. Pierwszy, że Morgane Avril zmarła piątego czerwca dwa tysiące czwartego roku. Wszystkie ogólnokrajowe media się o tym rozpisywały, wszyscy francuscy gliniarze pracowali wiele miesięcy nad tą sprawą. Drugi pewnik to to, że Magali Verron zmarła dziewiętnastego lutego dwa tysiące czternastego, wczoraj, jesteś tego naocznym świadkiem. Co do reszty, chętnie porozmawiam, jak chcesz, w absolutnej tajemnicy, ale te dwa zgony to są aksjomaty...

– Jakie?

– Aksjomaty! Fakty, które można uważać za pewne i na których można się opierać, by pchać naprzód rozumowanie.

– Mów dalej! Jakie jest to twoje rozumowanie?

Mona oglądała z uwagą zdjęcie Morgane Avril wycięte z „L’Eclairneur brayon”.

– No więc, wiemy, że Magali Verron usiłowała się upodobnić do Morgane Avril. Po dziesięciu latach. Te same szkoły, te same zamiłowania, taka sama praca... Taka sama śmierć. Jakiś obłądny mimetyzm. W gruncie rzeczy nic dziwnego, że starała się też upodobnić do niej fizycznie.

– To nie tylko podobieństwo, Mona! To ona!

– A więc coś więcej niż podobieństwo? To chcesz powiedzieć?

Mona była w swoim żywiole. Zaczynałem rozumieć, co ją czyniło doskonałym naukowcem: potrafiła znaleźć wiarygodne wytłumaczenie każdego paradoksu.

– Nawet nie znając się, Magali i Morgane mogą mieć jakiś związek pokrewieństwa! Mówiłeś mi przecież, że Morgane urodziła się z in vitro w Belgii? Magali mogła po dziesięciu latach mieć tego samego ojca biologicznego. Odkrywa zdjęcie Morgane, na przykład kiedy ją pokazywano w telewizji po zamordowaniu. Zastanawia się nad tym podobieństwem, rozpytuje, dowiaduje się, że mają tego samego ojca, doznaje szoku...

– Do tego stopnia, że symuluje gwałt, uduszenie, potem rzucenie się z klifu...

– Czemu nie? Zastanawiam się, Jamal. Zastanawiam się tak jak ty, szukam racjonalnych wyjaśnień.

– W tej historii nie ma niczego racjonalnego...

W pokoju zapanowało ciężkie milczenie. Byliśmy jak dwoje strażników latarni morskiej, których sztorm odciął od reszty świata.

Powtórzyłem:

– Niczego racjonalnego. Dlaczego na przykład twój promotor, który nigdy tu nie przyjeżdża, zajął się kolekcjonowaniem wycinków z lokalnej gazety?

– W dwa tysiące czwartym roku pisał habilitację, kierując badaniami, kilkusetstronicową pracę, obowiązkowy etap, żeby zostać profesorem uniwersytetu. Otrzymał delegację na wyjazd. Rok bez wykładów. Spędził tutaj kilka miesięcy, rozmawiając tylko z otoczkami, z mikroskopem i przetwarzając swój tekst. Może mu się przykrzyło. Pewnie zaczął się pasjonować tą sprawą, która się rozgrywała kilka kilometrów od miejsca jego badań. Tak jak wszyscy miejscowi.

*Tak jak wszyscy miejscowi.*

Po raz kolejny Mona miała na wszystko odpowiedź!

Odnosiłem wrażenie, jakby mi recytowała dobrze wyuczoną lekcję.

– Dziwne, co? Za każdym razem kiedy jakiś naukowiec przyjeżdża zbierać otoczki w Yport, jakaś dziewczyna się zabija!

Pożałowałem swojej repliki, jeszcze zanim ją wypowiedziałem do końca. Mona nawet się nie pofatygowała, by zareagować. Potargała sobie włosy, odłożyła na półkę książkę Maurice'a Leblanca, po czym machinalnie owinęła się peniuarem.

Spokojna. Naturalna.

– Ubiorę się, Jamal. Jest już trzecia. Muszę wracać do La Sirène. Gliny na pewno będą mnie przepytwać o wczorajszy wieczór, naszą kolację we dwoje, wspólny pokój, późne wstawanie. Będę musiała im opowiedzieć, że byłeś tylko chłopakiem na jeden wieczór, że uznałam cię trochę za paranoika z tymi twoimi wariackimi historiami. I że nie, nie mam zielonego pojęcia, gdzie się możesz podziewać.

– Ufam ci, Mona. Jesteś bardzo zdolna, jeśli chodzi o opowiadanie historii.

Nie znalazłem niczego, co bym mógł jeszcze powiedzieć. Moja szalona wyobraźnia, ta, która ją oczarowała, ulotniła się. Patrzyłem na Monę, jak schodziła po schodach.

Odwróciła się do mnie ostatni raz.

– Jeszcze tylko szczegół techniczny, Jamal. Nasza ekipa badawcza zbiera kamyki w Yport co roku, i to odkąd istnieje nasza pracownia, czyli dokładnie od dwudziestu trzech lat.

Zniknęła. Zostawiając mnie samego jako strażnika latarni.

Brała mnie za wariata. Jakże mogło być inaczej?

Obserwowałem przez okno, jak Mona manewruje swoim fiatem 500 na zwirowej alei i znika za pierwszym zakosem drogi.

*Posłuchać jej? Zostawić? Zadzwoić do gliniarzy? Poczekać, aż po mnie przyjdą?*

Jeszcze nie!



Nie straciłem jeszcze wszystkich swoich kart, zanim złożę broń. Nie byłem jedynym świadkiem. Christian Le Medef i stara Denise też oglądali zimną twarz Magali Verron, będą mogli ją porównać z twarzą Morgane Avril.

Podarłem całą stronę „Courrier couchois” z 2004 roku, na której pokazano fotografię Morgane Avril.

Żadna logika nie mogła zachwiać mojego przekonania.

To nie było zwyczajne podobieństwo.

**Koszmar?**

Było trochę po czwartej rano, kiedy wyruszyłem w drogę z latarką w rękę. Maszerowałem dwa kilometry aż do Yport wzdłuż wybrzeża, u podnóża klifu.

W ogóle nie spałem. Jutro będę miał czas. Cały dzień, ukryty w jednej z piwnic mojego nawiedzanego dworu. Chyba że gliniarze będą chytry i odkryją moją kryjówkę. Chyba że Mona wcześniej na mnie doniesie.

W świetle latarki kredowa ściana przybierała wygląd muru otaczającego twierdzę, muru nie do przebycia i ciągnącego się bez końca.

Yport spało. W odbiciu niebieskich neonów kasyna, które elektryzowały noc, szukałem wzrokiem fiata Mony pośród dziesięciu samochodów zaparkowanych na nadbrzeżnym parkingu. Nie znalazłem. Mona zostawiła go pewnie na jednej z pobliskich ulic.

Wszystkie pastelowe okiennice pokoiw La Sirène były pozamykane.

Mój.

Ten, w którym spała Mona. Sama.

Jakaś niewidzialna ręka ścisnęła mi serce. Zmusiłem się, żeby pójść po ciemnym falochronie, nie pozwalając więcej swojemu umysłowi się błąkać. Nie powinienem był już tracić czasu. Ostatnie dwieście metrów do przebycia mogło się okazać najbardziej ryzykowne, z pustej ulicy uśpionego miasteczka mogło wychynąć wszelkie niebezpieczeństwo. Gliniarze pewnie wyznaczili cenę za moją głowę czy coś w tym rodzaju, zaapelowali o donosy, obiecali dobrą nagrodę dla tego, kto im dostarczy kulawego gwałciela. Nigdy nie czułem się tak bezbronny. Nie ma mowy, żebym się tutaj rozpląnął w labiryncie klatek schodowych czy podziemnych parkingów, które łączyły różne wieżowce osiedla 4000.

Dwieście metrów bez żadnej osłony aż do domu Christiana Le Medefa.

Szedłem po cichu, nie zakłócając snu mieszkańców Yport posępnym stuk, stuk, stuk w stylu Longa Johna Silvera wracającego na Hispaniolę. Z czasem nauczyłem się stawiać protezę lewej nogi kilka milimetrów od asfaltu.

Podskoczyłem, słysząc jakiś hałas.

Za sobą.

Przyspieszyłem, po czym raptownie stanąłem.

Hałas wciąż było słyhać, miarowy. Nasilał się. Zbliżał.

Przycupnąłem w cieniu bramy agencji YportImmo, serce waliło mi sto na godzinę.

W zimnej ulicy dyszał chrapliwy oddech. Dreptanie po chodniku stało się

jeszcze szybsze. Długie, ciągnące się w nieskończoność sekundy, po czym cień przyskoczył do mnie.

Stary pies wyglądał na równie zaskoczonego jak ja tym nocnym spotkaniem.

Przyłożyłem palec do ust, żeby mu przykazać, by nie robił już żadnego hałasu. Usiadł posłusznie, ale natychmiast wstał, kiedy ja poszedłem dalej ulicą, zostawiając mi tylko kilka metrów przewagi.

Jego żółte oczy z tyłu za mną podobne były do dwóch latarni morskich, które już nie świeciły. Biedny, szary nocny pies siedł na trzech łapach. Żadnej drewnianej, aluminiowej czy węglowej łapy, żeby mu ulżyć, tylko sztywny włochaty kikut zgięty pod kątem prostym. Może siedł za mną krok w krok po prostu z zazdrości?

Zatrzymałem się przed domem Le Medefa. Natychmiast dostrzegłem promienie światła, które wydostawały się spod zamkniętych okiennic pokoju na piętrze.

Mój świadek nie spał! Założyłbym się, że cierpi na bezsenność i depresję.

Pies usiadł na chodniku naprzeciwko, żeby na mnie zaczekać.

Pchnąłem barierę, następnie zapukałem do drzwi.

Żadnego odzewu.

Przekręciłem klamkę, przekonany, że nie ustąpi i że będę musiał wymyślić jakiś sposób, by zawiadomić Christiana Le Medefa o swojej wizycie, nie alarmując całej dzielnicy.

Niepotrzebnie!

Drzwi się otworzyły, tak jakby Le Medef na mnie czekał. Wsunąłem jedną stopę do domu i rzuciłem po cichu, prawie szeptem:

– Christian? Christian Le Medef.

Nie miałem ochoty, żeby ten paranoik do mnie strzelał.

– Le Medef? Tu Salaoui...

Żadnej odpowiedzi. Światło na piętrze oświetlało górną część schodów. Może ten smutas nafaszerował się środkami nasennymi?

*Atarax...*

Wchodząc na górę, zmuszałem się, żeby wystukiwać kroki na każdym stopniu. Balustrada poruszyła się przy dotknięciu mojej spoconej dłoni, była źle zamontowana, pomyślałem nawet, że może odpaść. Czyż Christianowi Le Medef nie płacono, żeby dbał o ten dom?

Moja stopa zagłębiła się w mokiet na podeście.

– Christian?

Nadal żadnej reakcji.

Pchnąłem ostrożnie drzwi do pokoju, spodziewając się, że zastanę tam Le Medefa zwalonego na łóżko. Naszprycowanego albo pijanego.

Moje oczy trafiły w pustkę.

W pokoju nie było nikogo. Łóżko nieskazitelnie pościelone. Na szafce nocnej obok zapalanej lampy leżała książka. Trochę ubrań, piżama, podkoszulek, beżowy sweter, wszystko poukładane.

Pokój starego kawalera!

Przystanąłem, żeby pomyśleć w ciszy. Rozproszył mnie jakiś ledwie słyszalny chrzęst. Zszedłem na dół, skacząc po kilka stopni.

Pokój starego kawalera, powtórzyłem w myśli. Ale starego kawalera, który wcześniej wstaje! Najwidoczniej Le Medef był już na nogach. Szum, który słyszałem, to był odgłos źle nastawionego tranzystora! Le Medef zapewne jadł śniadanie. Poszedłem po biało-czarnej posadzce. Na parterze, nie licząc korytarza, było tylko jedno pomieszczenie, kuchnia połączona z niedużą salką.

Na środku stół. Krzesło.

Stałem na progu w drzwiach, milczący i nieruchomy.

*Cholera, co się mogło stać?*

Na stole stał talerz. Kawalek zbyt przypieczonogo mięsa pływał w morzu makaronu. Przed talerzem kieliszek czerwonego wina napełniony do połowy. Butelka prawie pusta. Nóż, widelec, serwetka w kratkę na brzegu stołu. Pół bagietki.

Ani śladu Le Medefa.

– Christian? – zawołałem jeszcze raz.

„France Bleu, u kresu nocy” – odpowiedział mi ściszony tranzystor, po czym puścił piosenkę *Mon vieux* w wykonaniu Daniela Guicharda. Krzyknąłem głośniej, na wypadek gdyby Christian był w klozecie albo pod prysznicem.

Bez nadziei.

Le Medef nie spał u siebie tej nocy.

Nawet nie dokończył wczorajszej kolacji.

Mój mózg buzował.

*Cholera, co się mogło stać?*

W ciągu następnych minut przeszukiwałem każdy zakątek domu rybaka. Zaledwie sześćdziesiąt metrów kwadratowych, nie trwało to długo, a jedyna pewna rzecz była taka, że Le Medef tam się nie ukrywał. Ani jego trup...

Nic. Tylko trochę osobistych rzeczy bezrobotnego, ubrania, książki, laptop, do którego nie znałem hasła, prawie pełna lodówka, miejscowe gazety, cały stos, lekarstwa, antydepresanty, i nic, nie ma Ataraxa, Anafranila.

Tak jakby Le Medef musiał stąd gwałtownie uciekać!

*Kiedy?*

Nie przejmując się absolutnie, że zostawię odciski palców, pomacałem chleb leżący na stole. Miękki.

Przerzuciłem popiół w kominku. Letni.

Le Medef zniknął stąd prawdopodobnie niecałe dziewięć godzin temu,

zapewne w porze kolacji. Nastąpiło to mniej więcej w chwili, kiedy Mona przyjechała do mnie do Vaucottes. Rzuciłem nowe okrężne spojrzenie na salę. Przypominała mi mieszkanie wujka Youssefa. Miałem siedem lat, kiedy wszedłem do niego z moją matką. Trzy godziny wcześniej umarł na atak serca i mama musiała wziąć papiery potrzebne do pogrzebu. Stała tam jeszcze miska z zimną zupą, leżała do połowy zjedzona kromka chleba, a pod krzesłem znajdowały się jego pantofle.

\*

Czy Christian Le Medef umarł?

Czy go zabito? Porwano? Zmuszono do ucieczki?

Dlaczego?

Jego ostatnie słowa wypowiedziane wczoraj przed sklepem z gazetami dźwięczały mi w głowie.

*Będę dalej szperał, żeby się dowiedzieć więcej o tej Magali Verron.*

*To nie jest normalne, ta omerta.*

Czy znalazł coś?

Myślał o spisku, o machinacjach.

Milczenie gazet.

Milczenie żandarmów.

Czy gliniarze zatrzymali Christiana Le Medefa, żeby trzymał język za zębami?

„Żaloszne!” – podpowiadał mi głosik rozsądku. We Francji policja nie przychodzi po obywateli wieczorem, nie dając im nawet czasu na dokończenie posiłku.

Spojrzałem na zegarek. 4.35. Dałem sobie jeszcze dziesięć minut na przeszukanie domu przed wyruszeniem w drogę powrotną do Vaucottes. Zanim Yport się obudzi. Pootwierałem szuflady, wkładałem rękę pod meble, pozdejmowałem książki z półek, ubrania z wieszaków. Nic.

Z wyjątkiem jednego szczegółu.

Biała złożona kartka w książce telefonicznej, na której ktoś, zapewne Le Medef, nagryzmołił ciąg cyfr w czterech polach.

2/2

3/0

0/3

1/1

Palce mi drżały, gdy zamykałem żółte strony książki. Czy Le Medef był na tym samym tropie co Piroz? Czy z tego powodu go wyeliminowano?

Krople potu ściekały mi po rękach aż do dłoni i zalewały każdy przedmiot, którego dotykałem.

Uchwyty, klamki, wyłączniki...

Litry DNA, które pozwolą zwalić na mnie zniknięcie Christiana Le Medefa, jak tylko sąsiedzi zaalarmują.

Rzuciłem okiem przez okiennice. Ulica nadal była pusta, tylko pod latarnią siedział trzynogi pies. Złożyłem kartkę z ośmioma cyframi, wsadziłem ją do kieszeni i wyszedłem.

**Czy znaleźli coś?**

Spałem do dziesiątej rano. Obudziła mnie wiadomość od Mony.

*Gliny w La Sirène.*

*Szukają cię. Nic nie powiedziałam.*

*Chcą cię żywego, chyba. Uff!*

*Uważaj na siebie.*

*Bonnie*

Przez długą chwilę tkwiłem bez ruchu. Smakowałem. Promienie słoneczne zawieszono nad doliną Vaucottes przenikały przez szyby, żeby ozłocić lnianą pościel. Wpakowałem pod plecy ogromną puchową pierzynę i wystukałem odpowiedź:

*Nie dorwaj mnie!*

*Tajemnica nr 123: Christian Le Medef, zwany Atarax,  
świadek nr 2 samobójstwa Magali Verron, zniknął wczoraj wieczorem.*

*Zasadzka!*

*Bądź ostrożna.*

*Clyde*

\*

Przez kilka minut czekałem na odpowiedź Mony. Nie przyszła.

Wstać. Umyć się. Ubrać. Zjeść śniadanie. Uspokoić się.

Mona chyba umyślnie ograniczała nasze kontakty. Miała rację. Gliniarze już ją poznali, mogli podejrzewać. Pilnować.

Koło jedenastej, opróżniwszy pudełko herbatników Lotus, które maczałem w kawie, zszedłem do piwnicy, jedyne miejsce w domu Martina Denaina, którego jeszcze nie zwiedziłem.

Dalszy ciąg planu bitwy pozostawał w mojej głowie dość niejasny. Ukrywać się w tej willi przez cały dzień i używać dostępnych mi środków komunikowania się z nadzieją na znalezienie tropu. Internet. Telefon. Tak jak ten facet z filmu Hitchcocka, który prowadzi śledztwo, nie wychodząc z domu, bo ma nogę w gipsie.

Sądząc po grubej warstwie kurzu, od miesięcy nikt nie postawił nogi w piwnicy profesora uniwersytetu. Ślady moich niesymetrycznych kroków odbiły się na szarym betonie, łatwiejsze do zidentyfikowania, niż gdybym szedł po śniegu. Kiedy zapaliła się goła żarówka wisząca na końcu kabla elektrycznego,

w pomieszczeniu rozeszła się woń grillowanego owada.

Była tu niezła graciarnia, sprzęty przeznaczone do użytku tylko w słoneczne weekendy. Rowery, wielki parasol, szezlongi, grill, meble ogrodowe, siatka do badmintonu, piłki, rakiety.

Pod ścianami stały stosy pudeł.

Miałem cały dzień przed sobą, nie oparłem się pokusie, oderwałem brązową taśmę klejącą od pierwszego pudła. Zawierało z dziesięć albumów ze zdjęciami.

Przejrzałem je spokojnie, nie spiesząc się, mogło się wydawać, że każdy album odpowiada jednemu epizodowi sitcomu.

*Denainowie, sezon 1.*

Profesor uniwersytetu pozuje przed Aiguille w Etretat w latach osiemdziesiątych, sądząc z pomarańczowego renault 5 zaparkowanego z tyłu, trzyma za rękę uśmiechniętą żonę, ładną, smukłą blondynkę z potarganą fryzurą. Na zdjęciach przesuwano się jego życie, sfilmowane pod celofanem. Martin na plaży. Martin majsterkuje. Martin na rybach.

Drugi album. Denain, trochę starszy, pozuje przed Aiguille w Etretat już po roku 2000, sądząc z audi A4 zaparkowanego z tyłu, trzyma za rękę żonę, dość tęgą blondynkę z krótkimi włosami, z poważną miną. Martin na desce. Martin gra w golfa. Martin gra w tenisa z synem, chłopcem o ciemnych włosach, chyba w moim wieku, którego widać na dalszych zdjęciach coraz starszego podczas kolejnych pobytów w letnim domu rodzinnym.

Grzebałem dalej, oglądając już wrywkowo, aż znalazłem to, czego szukałem: fotografię Mony. Były dwie pośród setek innych.

Na pierwszej Martin Denain zbierał kamyki z Moną. Na drugim naukowiec pozował z Moną przed Aiguille w Etretat. Ich ręce się nie stykały, ale Mona była ładniejsza niż kiedykolwiek.

Profesor Denain był szczęściarzem.

W tym samym momencie, jakby za sprawą telepatii, zadzwonił telefon. Odpowiedź Bonnie!

*Nie licz na Le Medefa, chłopaku.*

*Postaw wszystko na świadka nr 3. Starą Denise.*

*Bo inaczej od razu kaftan bezpieczeństwa!*

\*

Uśmiechnąłem się, potem wymacałem w kieszeni zniszczoną podwójną stronę „Courrier cauchois”. Mona miała rację. Le Medef nie wchodzi w grę, jedynie Denise może zaświadczyć, że twarz Magali Verron jest identyczna z twarzą Morgane Avril. Jedynie Denise może udowodnić, że nie jestem kompletnie rąbnięty... tylko że wiedziałem, jak ona ma na imię i ile ma lat, ale nic więcej.

*Denise. Siedemdziesiąt lat.*



Egzemplarz równie rzadko spotykany jak jakaś pięćdziesięcioletnia Natalia czy trzydziestoletnia Stefania.

Nie będę przecież dzwonił do wszystkich Denise z kantonu figurujących w książce telefonicznej. Ani nie będę prosił o jej adres Piroza...

Wystukałem nerwowo krótką odpowiedź. Dwa zwyczajne słowa w formie SOS.

*Denise... jaka?*

Tak jakby Mona mogła to wiedzieć. Le Medef mówił mi, że nie widział już więcej Denise w Yport. Mogła, bardzo prawdopodobne, mieszkać w jakiejś innej miejscowości.

Kontynuowałem poszukiwania w piwnicy.

Na jednej z najwyższych półek zauważyłem małe czerwone pudełko. Udało mi się odczytać zatarte w połowie litery:

*Winchester AM Munition.*

Pudełko z nabojami!

Nie ma amunicji bez broni... Najwyraźniej profesor Denain musiał ukrywać gdzieś w piwnicy rewolwer, pewnie przed dziećmi.

Szukałem dobry kwadrans, zanim znalazłem to, czego szukałem, kiedy otworzyłem jedną z ostatnich szuflad komody, do której dostęp był prawie niemożliwy, bo zastawiona była drabiną i stołem do pingponga. Najpierw zdjąłem stosy zwalonych tu ubrań. Markowe łachy, rzucone jak szmaty. Bo wyszły z mody? Za małe? Zapomniane? Znoszone rękawiczki Vuitton. Różowa koszula polo Eden Park. Chłopięcy T-shirt Armani. Bawełniany krawat w pasy firmy Burberry.

Wypuściłem kawałek tkaniny z rąk, starając się myśleć, że wszyscy faceci posiadający trochę forsy mają chyba w swoich garderobach tego typu akcesoria ubraniowe. Nie wyobrażałem sobie mimo wszystko, że za sprawą nowego cudownego zbiegu okoliczności przeszukuję właśnie piwnice zabójcy w czerwonym szaliku... czyli Martina Denaina, profesora chemii molekularnej.

Rewolwer był ukryty pod ubraniami.

King Cobra, jak głosił napis białymi literami na czarnym metalu. Nowy. Tak przynajmniej przypuszczałem, bo przecież pierwszy raz trzymałem w ręce uchwyt broni palnej.

Kiedy mój palec testował czułość spustu, w piwnicy rozległ się dźwięk esemesa.

*Spytaj psa!*

Musiałem pomyśleć kilka sekund, zanim zrozumiałem wiadomość od Mony.

Pies? Jaki pies?

Najpierw wyobraziłem sobie, że ta wiadomość ma dwojakie znaczenie, po chwili przypomniałem sobie o Arnoldzie, małym shih tzu Denise.

Czwarty świadek?

Mona się wygłupia!

Kiedy się zastanawiałem nad jakąś dowcipną odpowiedzią w rodzaju „Gdybyś miała trochę czasu na plaży, zapytaj też mewę śmieszkę”, mój palec nagle znieruchomiał nad klawiaturą telefonu.

Oczywista odpowiedź eksplodowała mi w głowie.

Mona wcale się nie wygłupiała!

Jej rada była tak przejrzysta, że bardziej nie można. *Spytaj psa!* Przy odrobinie tupetu i wielkim szczęściu może to zadziałać.

Wybiegłem z piwnicy po kilka stopni, nie zdążyłem nawet posprzątać tego bałaganu, który po sobie zostawiłem. Jest chyba w tym domu książka telefoniczna, chodziłem, szukając jej, otwierając szuflady wszystkich mebli.

Pisk opon w ogrodzie przed willą zatrzymał mój ostatni gest, tak jakby jakaś żelazna ręka przekłuła moje myśli.

*Gliny!*

Odruchowo przycupnąłem pod oknem.

Usłyszałem wyraźnie odgłos otwieranych drzwi samochodu. Kroków po żwirze... Nie dam się tak głupio zgarnąć tutaj. Podniosłem się ostrożnie i rzuciłem okiem przez szybę.

Samochód stał zaparkowany przed drzwiami rezydencji. Facet szedł naprzód z miną pewną siebie.

Nawet jeśli się to wydawało całkiem po prostu niemożliwe, nawet gliniarzom się to nie udało:

*On mnie znalazł.*

Zapalił spokojnie papierosa, po czym ruszył, nie wahając się ani sekundy.

Listonosz podszedł do skrzynki na listy, wrzucił do niej dużą brązową kopertę, następnie wsiadł do żółtego kangoo i ruszył w swój obchód.

**Dwojakie znaczenie?***Jamal Salaoui**U Martina Denaina**La Horsaine**123, chemin du Couchant**Vaucottes**76111 Vattetot-sur-Mer*

Drżąc, przeczytałem jeszcze raz adres.

*Jamal Salaoui**U Martina Denaina*

Pisane ręcznie linijki tańczyły mi przed oczami.

*Kto mógł wiedzieć, że się tutaj ukrywam?*

Nikt! Nikt oprócz tej, która mi użyczyła tej kryjówki.

Jedynej osoby, która mi pomogła uciec przed glinami.

Jedynej osoby na świecie, która zgodziła się mi uwierzyć.

*Mona.*

Czy od początku odgrywała przede mną komedię, od chwili naszego spotkania w żandarmerii?

Popatrzyłem jeszcze przez okno na dolinę, moje spojrzenie zeszło na plażę. Jaki związek mogła mieć zbieraczka kamieni ze śmiercią Magali Verron? Ze śmiercią Morgane Avril i Myrtille Camus? To było zupełnie bez sensu. Tylko Mona mogła wysłać ten list, ale wysyłając mi go tutaj, do domu swojego promotora, niechybnie się oskarżała.

Kolejny raz nie chciałem rozumieć. Ciekawość przeważyła, domyślałem się, że ta koperta zawiera dalsze szczegóły sprawy Avril–Camus, szczegóły, o których internet i prasa nie mówiły.

Usiadłem w najwygodniejszym fotelu w salonie, stojącym przed wygasłym kominkiem. Ręce wciąż mi drżały, kiedy rozdzierały kopertę.

Zawierała tylko dwie kartki.

*Protokół z zeznania Frédérica Saint-Michela.**Dowody rzeczowe. MC-47, MC-48, MC-49, MC-50.*

\*\*\*

*Sprawa Myrtille Camus – poniedziałek 30 sierpnia 2004 roku*

Ellen Nilsson poprosiła komendanta Bastineta, żeby pozwolił jej samodzielnie odebrać zeznanie Frédérica Saint-Michela, narzeczonego Myrtille Camus. Komendant przychylił się łaskawie do prośby psychokryminolożki. Ugiął się pod ciężarem wszystkich dossier, ponagleniami sędziego Paula-Hugo Lagarde'a, domagającego się wyników, nękanego wojną rozpętaną przez Carmen, która wraz ze swoim adwokatem nie przyjmowała do wiadomości, że policja robi co może, aby odnaleźć zabójcę jej córki. I na dodatek Bastinet żył w ciągłym lęku, że zaraz odkryją nowego trupa zgwałconej dziewczyny.

Podczas zaimprovizowanej porannej odprawy przed automatem z napojami Bastinet zauważył, że jego zmarszczki i wory pod oczami kontrastują z gładkim czołem i delikatnymi kośćmi policzkowymi psycholożki. „Pięć tysięcy euro!” – szydził łagodnie jego zastępca Béranger. Standardowa taryfa liftingu twarzy i szyi.

Dla Bastineta było to nie do pojęcia!

Jak dziewczyna, która tak się troszczy o własną aparycję, może wykonywać zawód polegający na tym, by się troszczyć o intymne sprawy innych?

– Panie Saint-Michel – zapytała psychokryminolożka – czy to jest list od Myrtille?

– Tak. To ostatni, który od niej dostałem. Wysłała go z obozu, kilka dni przed śmiercią.

Frédéric Saint-Michel stał obok Aliny Masson. Potwierdziła ruchem głowy. Wojownicza energia najlepszej przyjaciółki Myrtille Camus kontrastowała z melancholią, która mąciła spojrzenie Saint-Michela.

– Nie pisywaliście esemesów? – pytała dalej Ellen.

– Tak, też. Ale...

Frédéricowi Saint-Michelowi wciąż z trudem szło opowiadanie o niedoszej żonie. Jego palce torturowały w kieszeni paczkę papierosów, a spojrzeniem błagał niemal o pozwolenie zapalenia w komisariacie.

Alina Masson przysłała mu w sukurs.

– Myrtille była romantyczką. Lubiła listy. Znaczy listy na papierze. Lubiła pisać. Na obozie zdarzało się, że kończyliśmy zebrania po północy, a ona miała jeszcze siłę pisać w swoim namiocie przy świetle latarki.

Każda cecha charakteru Myrtille, która wylatywała z ust jej najlepszej przyjaciółki, była jak strzała wbita we wspomnienia Saint-Michela. Przygryzł zgaszonego papierosa między wargami i dwiema rękami złapał się za głowę. Ellen obserwowała go tak, jak entomolog obserwuje muchę, która uderza o szkło w odwróconej szklance. Mimo obietnicy komendant Bastinet nie mógł się powstrzymać, by się nie wtrącić.

– Może nam pan przeczyta ten list!

Ellen zmarszczyła tyle, ile mogła, swoje wygładzone czoło, po czym złagodziła uspokajającym głosem słowa swojego szefa.

– Panie Saint-Michel, wiem, że to intymny list, poemat, jak nam pan powiedział. Są to zapewne ostatnie słowa, jakie Myrtille napisała, zanim odebrano jej życie. Ale może znajdziemy w nich jakąś wskazówkę...

Frédéric Saint-Michel, zanim odpowiedział, zgniótł papierosa w dłoni.

– Mieliśmy wziąć ślub.

Nie na temat.

Psychokryminolożka zatrzepotała długimi rzęsami. Zbyt długimi. Sztucznymi.

– Wiem, Frédéric. Chcielibyśmy usłyszeć, co panu napisała.

Saint-Michel podniósł do oczu kartkę, którą wyjął z kieszeni. Cięższa niż stos książek. Jego wargi się poruszyły, ale żaden głos się z nich nie dobył.

Ellen Nilsson położyła pod biurkiem palce z polakierowanymi karminowymi paznokciami, pod kolor amarantowej sukienki, na kolanach komendanta. Najpierw się zdziwił, ale zrozumiał, że po prostu oczekuje od niego trochę cierpliwości.

Przysunęła w stronę świadka nadgarstek ukryty w tunelu bransoletek.

– To nic, Frédéric. Niech nam pan da ten list.

Kartka powędrowała na biurko. Psychokryminolożka przeczytała na głos, wyraźnie.

*Myrtille, 24 sierpnia 2004 roku, Isigny-sur-Mer, 2.25 rano*

*Najdroższy*

*Ukradnę iglice czasu,*

*by bieg jego skory powstrzymać*

*Wykradnę światłu dnia kule,*

*by nie mogło wstać z łóżka nocy*

*Wykradnę wiosnie żonkile,*

*by nie mogły omdleć i zgasnąć*

*Wykradnę z oprzędu liszkę,*

*by nie mogła się wyrwać z uwięzi*

*Wprawię w świat mocne kraty,*

*by nie mógł nas nigdy rozdzielić*

*Oblekę bogactwo nasze w łachmany,*

*by nas nie mogło podkupić*

*Zadam śmierć każdej innej,*

*by Cię nie mogła miłować*

*Wyproszę szczęście rodzinne,*

*by życie nie mogło nas znudzić*

*Zbuduję wokół nas twierdzę*

*i mężnie będę jej bronić[6]*

*M20*

Alina Masson zwinęła chusteczkę papierową, żeby wytrzeć kąciki oczu.

Frédéric Saint-Michel wziął w zęby nowego papierosa i z pustym spojrzeniem przygryzł go tak, że wyłobił bruzdę między filtrem a tytoniem.

– To cudowny wiersz – powiedziała Ellen.

Nie był to często używany komplement, tak myślała. Myrtille miała talent. Talent, stłamszony jak zapisana kartka papieru, którą zgniata się w kulę, zanim się ją wrzuci do kosza na śmieci.

Ellen rozumiała lepiej reakcje tych, którzy żyli napromieniowani charyzmą Myrtille, między gniewem a rozpaczą. Zaprosiła Charles'a i Louise Camus, żeby uczestniczyli w składaniu zeznań, ale rodzice Myrtille grzecznie odmówili. Nie mieli już ochoty dzielić pamięci o córce z policjantami czy sędziami. Myrtille została pochowana w Elbeuf na cmentarzu Saint-Etienne, lubili pomedytować tam codziennie rano. Sami. Opowiadając bez końca śledczym najdrobniejsze szczegóły z życia Myrtille, mieli wrażenie, że rozrzucają wspomnienia o niej tak, jakby rozrzucali jej prochy.

Bastinet nic więcej nie dodał. Zawiedziony. Nie żeby pozostał nieczuły na te przejmujące rymy, ale nie widział w tym wierszu nic, co mogłoby mu pomóc zidentyfikować zabójcę, nawet czytając w kółko każdy z wersów. Przejechał palcem po kartce.

– Co to jest ten podpis M2O?

– *Mariage, 2 octobre*, ślub 2 października – wyjaśnił Saint-Michel. – Zarezerwowaliśmy tę datę na ceremonię ślubną. Kościół w Orival, merostwo w Elbeuf. MJC, młodzieżowy dom kultury na wino, toasty. Cyrk-teatr na posiłek i wesele.

Odgryzł kawałek papierosa i wypluł peta na dłoń. Alina położyła wilgotny kleenex na stole.

– Czy ten wiersz naprawdę może wam pomóc?

Bastinet podtrzymał wątpliwość niewyraźnym ruchem głowy, przecież mu nie palnie, że stracił czas, że jedynym prawdziwym drogowskazem był niebieski notes Moleskine, ten, który Myrtille regularnie zapisywała, który mógł zawierać jakiś maleńki szczegół na temat dni i godzin poprzedzających gwałt. Notes, który zgarnął zabójca.

Bastinet wstał. Popatrzył na Frédérica Saint-Michela i stwierdził, że ma wredną mordę. Nic wspólnego z Chichinem gitarzystą, o którym marzyły instruktorki z jego domu kultury. A wśród nich Myrtille.

Ślub 2 października.

Jakieś obsesyjne akordy tłukły mu się po głowie.

*Powiedz tak, Freddy.*

Co za głupota!

Pchając drzwi do gabinetu, Bastinet wyjaśnił, że ma inne pilne sprawy, więc żeby Ellen sama dokończyła rozmowę, że ma do niej całkowite zaufanie.

Niech dalej rozmawiają o poezji, pomyślał, o niestosownym seksownym ubiorze Myrtille Camus w dniu dramatu, o dacie ślubu i o odwołaniu wesela z tortem. Wiedział, że współczucie do niczego nie służy w rozwiązywaniu takiej sprawy. Po co interesować się ofiarą, jak nie dla spokoju sumienia. Każde śledztwo powinno się skupiać na zabójcy. Podczas przesłuchania trwającego niecałe dwadzieścia minut przekazano mu trzy nowe telefony, w których dzwoniący twierdzili, że rozpoznali nieznajomego w czapce adidasa, który kręcił się koło Myrtille Camus przed jej śmiercią. Od początku tygodnia było już kilkadziesiąt takich telefonów. Trzeba będzie sprawdzić każde zeznanie, dla zasady, chociaż Bastinet był przekonany, że gwałcieciel nie da się tak łatwo złapać.

\*

Trzy godziny później zadzwonił do niego brygadier żandarmerii w Valognes. Bastinet negocjował właśnie wywieszenie we wszystkich biurach turystycznych departamentu portretu pamięciowego nieznajomego w biało-niebieskiej czapce oraz portretu, prawie bliźniaczego, nieznajomego w czerwonym szaliku Burberry. Domniemany zabójca mieszkał w letnim domu swoich rodziców, trzeba więc było trafić do stref turystycznych, ale merostwa kręciły nosem.

„Niech pan wiesz wszędzie, komendancie, ale nie turystom pod nosem”.

Turyści? We wrześniu?

– Léo?

– Tak.

– Tu Larochele, brygada Valognes.

– Tak.

Brygadier długo milczał. No, rusz się, kretynie, pomyślał Bastinet.

Larochele nie mógł się powstrzymać, by nie zaznaczyć choć minimalnie swojego triumfu. W następnej sekundzie przygwoździł Bastineta do krzesła.

– Złapaliśmy go!

– Kogo?

– Tego waszego faceta w czapce adidasa. Tego, co się kręcił koło małej Camus. Schwytaliśmy go w Morsalines. Możesz mi wierzyć, mamy go. Mam też nawet jego nazwisko i adres!

6 Przełożyła Natalia Krasicka.

**Jego nazwisko i adres?**

Przeczytałem wiersz, raz i drugi.

Wzruszony. Wzburzony.

Jeszcze raz zastanawiałem się, jaki istnieje związek między sprawą Myrtille Camus... a mną!

Co ma znaczyć ta obfitość szczegółów? W jaki sposób śledztwo w sprawie drugiej zbrodni popełnionej przez zabójcę w czerwonym szaliku może mi pomóc rozwikłać pierwsze zabójstwo, Morgane Avril? A w konsekwencji zagadkę samobójstwa Magali Verron sprzed dwóch dni? I wyjść z impasu, w którym się znalazłem?

Niemniej jednak w danej chwili nie miałem się co spieszyć z poznaniem dalszego ciągu tej historii, nazwiska tego faceta zidentyfikowanego przez gliny z Valognes, podejrzanego numer jeden w sprawie morderstwa Myrtille Camus, bo przecież ktoś postara się mi to przesłać. To należy do jego planu.

Podniosłem się, chodziłem po salonie, skupiając się na każdym wersie. Lakierowany parkiet skrzypiał pod moimi nogami jak obsesyjne dzwonicie w grze telewizyjnej. Od chwili gdy przeczytałem ten protokół, dręczyło mnie jakieś przeczucie.

A jeśli ta przesyłka nie jest pułapką? A jeśli wprost przeciwnie, ktoś mi przesyła te listy, żebym znalazł rozwiązanie? Żebym po dziesięciu latach odkrył w tej masie szczegółów to, co gliniarze przegapili. Tożsamość podwójnego mordercy.

Wiersz był jedną z części tego puzzla. Jedną więcej.

Znowu podszedłem do okna. Na zewnątrz facet pod krawatem szedł w stronę plaży z przyklejonym do ucha telefonem, raz po raz oglądając się za siebie.

Pozbierałem w myśli pytania, chaotycznie, bezładnie. Prawie dziesięć.

*Dlaczego ktoś mi powierza te koperty? Czy ja mam jakieś specjalne predyspozycje do tego, żeby rozwikłać tę sprawę, o której dwa dni temu jeszcze nic nie wiedziałem?*

*Kto poza Moną mógł wiedzieć, że ukryłem się w letnim domu Martina Denaina?*

*Gdzie się podział Christian Le Medef? Porwano go? Zabito?*

*Co znaczą te cztery pola i osiem cyfr, którymi interesowali się Le Medef i Piroz?*

Na ulicy jakaś blondynka schodziła w dół obarczona dwojgiem dzieci,



rowerkiem na czterech kółkach i hulajnogą.

Nie miałem wprawdzie nawet załączka odpowiedzi na cztery pierwsze kwestie, byłem jednak przekonany, że są logiczne, sensowne. Niemające nic wspólnego z sześcioma następnymi, które były zwariowane, jedne bardziej od drugich.

*Jak gliniarze mogli znaleźć moje odciski na ciele Magali Verron, skoro jej w ogóle nie dotknąłem?*

*Jak ona mogła owinąć ten czerwony szalik wokół szyi, spadając z klifu?*

*Dlaczego prasa nic nie pisała o śmierci Magali Verron?*

*Jak wytłumaczyć te nierealne zbiegi okoliczności między Magali Verron a Morgane Avril. Narodziny, zamięłowania, szkoły... i identyczne twarze!*

*Czy to możliwe, tak jak byłem o tym przekonany, że Morgane Avril nie umarła dziesięć lat temu, natomiast wszystkie gazety we Francji pisały o jej zamordowaniu?*

I pytanie pomocnicze.

*Czy jest do pomyślenia, żeby jeden jedyny parametr mógł rozwiązać całość tego równania z dziesięcioma niewiadomymi?*

Rzuciłem jeszcze nieufnie okiem na zewnątrz. Ostatni wagon z rodziną na wycieczce, nastolatek powłóczący nogami po asfalcie, odcięty od świata, ze słuchawkami od MP3 tak dużymi jak nauszники.

Byłem pewny tylko jednej rzeczy, nie rozwiązę tej zagadki sam, wyłącznie siłą swoich szarych komórek, tak jak w tych starych filmach, gdzie brzuchaty śledczy znajduje rozwiązanie intrygi, nie ruszając się nawet z fotela.

Miałem potrzebę działania i pierwsza operacja polegała na odnalezieniu tożsamości trzeciego świadka.

*Denise.*

Mona miała rację! Wystarczy zapytać o adres jej psa...

W ciągu kolejnych minut splądrowałem salon Martina Denaina, aż spod stosu starych gazet wygrzebałem książkę telefoniczną. Przekartkowałem starannie żółte strony. W promieniu dwudziestu kilometrów były tylko trzy kliniki weterynaryjne. Zacząłem od najbliższej, kliniki Abbatiale w Fécamp. Telefon odebrała sekretarka o kocim głosie.

– Przepraszam bardzo – zamiauczałem ja z kolei. – Telefonuję w imieniu mojej babci Denise w sprawie jej psa Arnolda.

– Arnold – powtórzyła dziewczyna słodkim głosem. – Proszę poczekać...

Zasiadła do klawiatury. Wystukiwała szybciej niż jej cień.

– Arnold, shih tzu, jednaście lat. To on?

O mało nie zawyłem z radości!

– Tak! No... jak by to powiedzieć? Moja babcia trochę traci głowę. Zapomina o wizytach, o szczepieniach. Więc ja ją zastępuję w sprawie Arnolda, jak

zresztą we wszystkim.

– Rozumiem, proszę poczekać, zaraz sprawdzę.

Znowu usłyszałem trzaski klawiatury, po czym wrócił słodki, cukierkowy głos.

– Sześć miesięcy temu wysłaliśmy do pana babci przypomnienie. Arnold powinien przyjść do nas przed czerwcem na szczepienie przeciwko piroplazmozie.

– Tak myślałem! Babcia zapomniała. Mogłaby pani ponownie wysłać mi ten list?

– Na pana adres czy na jej?

– Raczej na adres babci. Co tydzień do niej chodzę.

Sekretarka była zachwycona tą ostatnią uwagą. Jej głos zrobił się teraz słodki jak lizak.

– Wyślę to panu dzisiaj...

Zrobiłem krótką przerwę. Ostrożnie dozowana chwila wahania. Po czym, zanim zdążyła odłożyć słuchawkę, złapałem ją w locie.

– Chwileczkę! Jaki adres dała pani babcia? Bo pomyślałem, że ten poprzedni list mógł do niej nie dotrzeć, kilka miesięcy temu musieliśmy ją przeprowadzić do jednopoziomowego domu.

Krótkie milczenie, bez żadnego wystukiwania. Domyślałem się, że kręciła kółkiem myszy.

– Denise Joubain. Ancienne Gare, route des Ifs, Tourville-les-Ifs. Czy to aktualny?

– Jak najbardziej, droga pani.

*Droga pani.*

Parsknęła śmiechem z podziękowaniem, skorzystałem z tego, żeby się rozłączyć.

W następnej minucie mapa w skali 1:25 000 leżała rozłożona na stole w salonie. Wioska Ifs była położona sześć kilometrów od Yport, pośród pól. Przez dłuższą chwilę zaznaczałem markerem tereny leśne, zadrzewione stoki, odosobnione ścieżki, aby wytyczyć trasę, którą mógłbym się udać do Denise Joubain, minimalizując prawdopodobieństwo spotkania świadka mogącego mnie zdemaskować na policji. Sześć kilometrów to dużo dla kulawego, który pędzi przez lasy i pola, żeby nie dać się namierzyć.

Byłem świadomy tego, że ryzykuję, starając się spotkać z tą staruszką. Ale czy to nie mniejsze ryzyko niż siedzieć cały dzień w tym dworze?

Dysponowałem ostatnim atutem.

Denise i Arnold.

I liczyłem, że teraz nim zagram.

## Ona trochę traci głowę?

Kilka kilometrów szedłem wzdłuż nieużywanych, opuszczonych torów kolejowych. Dawna linia z Fécamp, która kiedyś łączyła się z pociągiem Rouen–Hawr, nie przetrwała schyłku turystyki na wybrzeżu normandzkim. Została po niej tylko długa blizna na bagnistych polach. Głęboka na dobre dziesięć metrów. Częściowo zagarnięta przez drzewa orzechowe, dęby i wiązy.

Rytm mojego biegu zmniejszał się przy podkładach kolejowych, które od zimnej mżawki robiły się śliskie. Aż do Tourville nie spotkałem nikogo z wyjątkiem kilku mew, które mnie szpiegowały pod niebem, i siedzącego nieruchomo na pniu platana myszołowa, który wydawał się czekać tu od czasów belle époque na przejazd nowego pociągu.

Wspiałem się po skarpie na wysokość wioski Ifs i znalazłem się pod adresem, gdzie miała jakoby mieszkać Denise Joubain.

Dawny dworzec! Prywatny dom, niebieski jak kwiaty lnu, ściany otynkowane aż po łupkowy dach, dwa kominy z pomarańczowymi czapami i monumentalny zegar. Czas się na nim zatrzymał któregoś odległego dnia na godzinie 7.34. Nikt nie uznał za stosowne zdjąć z fasady fajansowej tabliczki „Stacja kolejowa” i można było prawie wyobrazić sobie, jak otwierają się dębowe drzwi na tłum elegantek w sukniach z krynoliną, na wąsatych bankierów w słomkowych kapeluszach, na małych paryżan przebranych za marynarzy.

Czekały na nich pociągi.

Z dziesięć wagonów i trzy lokomotywy stały tu i ówdzie na opuszczonym torowisku. Przedział Orient-Expressu, wagon pulmanowski, lokomotywa Pacific Chapelon. Nowiutki, jakby jeździły wczoraj.

Sceneria wydała mi się surrealistyczna, mimo że wytyczając sobie trasę, dowiedziałem się, że stowarzyszenie byłych kolejarzy ulokowało swoją kwaterę główną tuż obok dawnego dworca i zajmowało się tam renowacją zardzewiałych wagonów, żeby towarzystwa kolejowe ze wszystkich stron świata mogły im ofiarować drugą młodość.

Mżawka się nasilała. To zapewne tłumaczyło, dlaczego nikt dzisiaj nie majstrował przy wagonach. Podszedłem do drzwi, nie zdoławszy pozbyć się głębokiego przekonania, że znowu nic nie będzie tak, jak przewidziałem.

Że starej Denise nie będzie w domu.

Że jej też kazano milczeć.

Że...

Za oknem dało się słyszeć skowytanie Arnolda, po czym pojawił się jego czarny nosek w otoczcze koronkowej firanki. Przez dobre dwie minuty, zanim Denise Joubain mi otworzyła, rozhisteryzowany piesek zaślinał szybę.

Denise wytrzeszczyła oczy, mierząc mnie od stóp do głów, tak jakbym w tej swojej fioletowej wiatrówce Wind Wall był jakimś czasoprzestrzennym przybyszem z przyszłego wieku.

– Słucham pana?

Nie poznała mnie. A przecież specjalnie włożyłem to samo ubranie, które miałem na sobie, kiedy ją spotkałem dwa dni temu.

– Jamal. Jamal Salaoui. Pamięta pani? Plaża w Yport. Magali Verron, dziewczyna, która popełniła samobójstwo?

Szukając w najgłębszych zakamarkach pamięci, Denise zaprosiła mnie do środka, nie stawiając mi dalszych pytań. Arnold patrzył na mnie nieufnie przez dłuższą chwilę, po czym poszedł się położyć na zielonej poduszce dobranej do jego sweterka koloru kwitnącej lipy.

Duże pomieszczenie, które służyło za przedpokój, jadalnię i salon, miało ładny wystrój, widoczne belki, normandzkie szafy i komody, koronki, suszone kwiaty, ale uwagę przyciągały głównie wiszące na ścianach fotografie. Dziesiątki zdjęć pociągów uchwyconych w najpiękniejszych krajobrazach świata. Rozległe ośnieżone stopy, przerażająco strome stoki w Andach, ciągnące się bez końca zapory wchodzące w morze.

– Mój mąż był kolejarzem – wyjaśniła Denise. – Jacques umarł przeszło dziewięć lat temu.

Odwróciła się w stronę plakatu z Orient-Expressem przecinającym lagunę w Wenecji.

– Korzystaliśmy z tego oboje...

Wyjąłem z kieszeni podartą podwójną stronę z „Le Courrier cauchois”, tę z czwartku 17 czerwca 2004 roku.

– Ja też, pani Denise, chciałbym pani pokazać zdjęcie.

Podetknąłem jej pod nos portret Morgane Avril, zasłaniając starannie tytuł i datę artykułu *O tobie, Morgane*. Nawet jeśli starsza pani traciła nieco pamięć, nie mogła przecież zapomnieć twarzy Magali Verron po jej samobójstwie na plaży przed dwoma dniami. Ta sama twarz co w gazecie.

– Poznaje ją pani?

Denise przeprosiła, zostawiła mnie samego na kilka sekund, żeby pójść po okulary do swojego pokoju, pierwszego po prawej. Patrząc, jak się oddala, pomyślałem, że wydaje mi się mniej sprawna niż na plaży w Yport po tym samobójstwie. Jakby w ciągu dwóch dni postarzała się o dwa lata. W końcu obejrzała zdjęcie.

– Tak... to ta dziewczyna, która się zabiła, a najpierw została zgwałcona.

Powstrzymałem się, żeby nie objąć i nie ucałować Denise. Tak jak przewidziałem, ona też wzięła zdjęcie Morgane Avril za zdjęcie Magali Verron. Nie zwariowałem. Nie wymyśliłem tego nierealnego podobieństwa! Czy starsza pani może stać się sprzymierzeńcem?

Rozłożyłem podwójną stronę „Courrier cauchois”.

– Niech pani spojrzy na datę, Denise, niech pani spojrzy na numer dziennika. Poprawiła okulary, jakby ostrość widzenia zależała od tego milimetra na nosie.

– Czwartek siedemnastego czerwca dwa tysiące czwartego roku? Mój Boże... Ta potworna historia wydawała mi się tak niedawna...

Śledziłem na przeciwległej ścianie linię kolejową Shinkansen wciśniętą między drapacze chmur w jakimś japońskim mieście, może to była Osaka.

– Dwa dni temu? – podpowiedziałem.

Denise zatrzęsała się od krystalicznego śmiechu. Usiadła powoli na drewnianym, wyplatany słomą krześle. Arnold w trzech podskokach znalazł się na jej kolanach. Odpowiedziała z odrobiną ironii w głosie.

– Wiem, że tracę trochę poczucie czasu. Ale dwa dni to chyba jednak przesada, prawda? Jak się dobrze zastanowić, to ten dziennik ma rację, Jacques jeszcze żył, kiedy wydarzyła się ta historia. Opuścił mnie w dwa tysiące piątym roku...

Podniosła pomarszczoną dłoń, dając mi znak, żebym usiadł. Wciąż mnie nie zapytała, kim jestem ani dlaczego zadaję jej te pytania. Wziąłem drugie krzesło, drewno i słoma, i zasiadłem naprzeciw niej. Arnold mnie obwąchał, tak jakby poważnie rozważał zmianę kolan.

Podniecenie wzrastało, z wielkim trudem starałem się powstrzymać jego zewnętrzne objawy.

Denise pamiętała zamordowanie Morgane Avril!

W gruncie rzeczy było to logiczne, przecież ona zawsze tu mieszkała. Nie wydawało się jednak, żeby dostrzegła związek między dwiema dziewczynami zmarłymi w odstępnie dziesięciu lat.

– Ma pani rację! – potwierdziłem. – To jest fotografia Morgane Avril, młodej dziewczyny zgwałconej i zamordowanej w Yport w dwa tysiące czwartym roku. Ale ja przyszedłem, żeby pomówić z panią o innej dziewczynie, Magali, tej, która się zabiła przedwczoraj, skacząc z klifu.

Jej drżąca ręka zanurzyła się w długą sierść Arnolda. Popatrzyła na mnie tak, jakby nie za dobrze rozumiała to, co jej powiedziałem, zawahała się, czy nie poprosić, żebym powtórzył, i wymamrotała powoli kilka słów.

– Byłam tam, kiedy znaleziono ciało.

*Oczywiście, Denise. Ja też. Oboje tam byliśmy. Wszyscy troje, z Le Medefem.* Zamknęła oczy. Miałem nawet wrażenie, że przysnęła. Zaczęła mówić

powoli, jakby mi opowiadała swój sen.

– Chodziłam po plaży. Było chyba bardzo wcześnie, ale niespecjalnie zimno.  
– Jej ręka pogładziła brzuch piaska, który aż zamruczał z rozkoszy. – Arnold był wtedy malutki...

W głowie zapaliło mi się światełko ostrzegawcze.

*Arnold? Malutki?*

– To był trochę szalony dzień w Yport – ciągnęła Denise. – Młodzi tańczyli wokół kasyna. Było dużo muzyki, przez całą noc, muzyki rockowej. Ja też lubiłam tańczyć rocka, jak byłam w ich wieku, no, trochę innego, nie takiego, jakiego grali tamtego wieczoru. To dziwne zresztą, nie sądzi pan, że młodzi zmienili muzykę, a zostawili tę samą nazwę? Wszyscy wyglądali na szczęśliwych. Oczywiście przed tą tragedią. Zanim znaleziono ciało tej biednej dziewczyny u podnóża klifu.

Naszła mnie nagle ochota, żeby złapać tę zwiniętą włochatą kulę leżącą na kolanach Denise i podrzucić ją aż do sufitu, żeby wywołać u tej starej wstrząs elektryczny. Żeby się skupiła na wspomnieniach sprzed dwóch dni, a nie na tych sprzed dziesięciu lat. Żeby potwierdziła moją wersję, na przykład. Że w żadnym momencie nie dotknąłem ciała Magali Verron.

Podniosłem głos. Arnold postawił uszy.

– Pani Joubain, nie przyszedłem tu po to, żeby mi pani mówiła o Morgane Avril, lecz o tym, co się wydarzyło, kiedy się spotkaliśmy w środę, dwa dni temu. Niech pani sobie przypomni spacer z Arnoldem po plaży w Yport.

Twarz Denise rozjaśnił uśmiech. Zdawało mi się nawet, że zobaczyłem, jak Arnold zaczął merdać ogonem na słowo „spacer”.

– O, Boże, to prawda, spacerowałam... Arnold też. Ale to było tak dawno. Wie pan, teraz nie wychodzę już często. Od lat moje nogi nie niosą mnie już daleko. Łapy Arnolda też...

Czułem w swoim zrujnowanym mózgu, jak tracę resztki wytrzymałości.

*Co ta stara wariatka opowiada?*

*Tak dawno... Nogi już jej nie niosą...*

*Jeszcze przedwczoraj chodziła po plaży w Yport ze swoim shih tzu na smyczy!*

Denise mówiła dalej, jakby nie potrafiła zatrzymać fali nostalgii.

– Jestem jak te opuszczone pociągi w polu. Jak ta przerdzewiała linia kolejowa. Siedzę tu, czekam i wspominam. Od czasu do czasu przyjeżdża po mnie taksówka, żeby mnie zawieźć do lekarza albo Arnolda do weterynarza. Nawet zakupy robi mi kobieta z pomocy społecznej i przynosi do domu.

Dostałem zawrotu głowy, wpatrywałem się w ramy na ścianach. Pociągi wirowały tam jak na stacji rozrządowej, gdzie zwrotnice ustawia szaleniec. Denise podążyła za kierunkiem mojego spojrzenia.

– Tyle podróżowałam. Jacques i ja objechaliśmy kilka razy świat. Nic nie

płaciliśmy. On był genialnym mechanikiem... Pamiętam, w marcu sześćdziesiątego drugiego roku magistrala Bajkał–Amur zablokowana, pogrążona w śniegu tuż za Tajszetem i...

Przerwałem jej stanowczo. Arnold postawił uszy i postraszył mnie, szczerząc zęby wielkości pestek melona.

– Spotkałem panią w żandarmerii przedwczoraj... Wychodziła pani z gabinetu kapitana Piroza.

– To pan jest policjantem? – bąknęła Denise.

– Nie... Nie. Przeciwnie.

Natychmiast pożałowałem tego „przeciwnie”. Narażając się na ugryzienie przez Arnolda, położyłem rękę na kolanach Denise.

– Boi się pani? Kazano pani zapomnieć o przedwczorajszym wypadku? Nikomu o nim nie mówić? Zwłaszcza dziennikarzom?

Denise zerwała się jednym susem. Arnold, piszcząc, zsunął się po jej nogach.

– Pan jest dziennikarzem? Tak? Wraca pan grzebać w tej starej historii?

Teraz ja z kolei wstałem. Jej pomarszczona twarz sięgała do mojej szyi. Prawie krzyknąłem.

– Czekaliśmy razem na plaży przeszło kwadrans na przyjazd żandarmów. Nakryła pani ciało tej dziewczyny moją wiatrówką. Ta dziewczyna miała na szyi czerwony szalik...

Denise zrobiła kilka kroków do tyłu. Na wieszaku koło wejścia wisiała szara nieprzemakalna kurtka, słomkowy kapelusz i jedwabna beżowa apaszka. Nasze spojrzenia były przez chwilę utkwione w tym kawałku materiału, potem się spotkały.

W oczach Denise wyczytałem strach.

Moje ręce spoczęły na jej ramionach, a mój głos stawał się łagodniejszy.

– Nie chcę pani zrobić nic złego. Nie chcę pani ponaglać. Chcę tyl...

Początkowo nie zrozumiałem jej gestu. Położyła tylko prawą dłoń na lewym nadgarstku ruchem, który wydawał się naturalny.

W sali rozległo się przeraźliwe bip, bip i jednocześnie na jej prawym nadgarstku migotało czerwone światelko zegarka.

*Tego, co brałem za zegarek...*

Denise, jak wiele starszych osób żyjących samotnie, nosiła bransoletkę alarmową, połączoną zapewne z telefonem jej lekarza domowego albo z pogotowiem.

*Cholera...*

Za kilka minut zjawi się tu pomoc, jeśli ona nie wyłączy tego przyrządu.

Telefon zadzwonił po sekundzie. Zrobiła krok do przodu, żeby odebrać, ale przytrzymałem ją za rękaw. Kiedy włączyła się sekretarka automatyczna, w pokoju rozległ się zaniepokojony głos.

– Pani Joubain? Tu doktor Charrier. Czy coś się stało? Niech pani odpowie, pani Joubain, coś się stało?

*Ten doktor gotów wszcząć alarm.*

Powinienem stąd zwać...

Spróbowałem szczęścia. Po raz ostatni.

– Denise, błagam panią, niech pani spojrzy na mnie. Poznaje mnie pani, na pewno!

Jej oczy przeszły mnie, jakbym był tylko półprzezroczystą zjawą i jakby interesowały ją jedynie drzwi, przed którymi stałem. Po chwili, zapewne uspokojona niechybnym przybyciem karetki, odpowiedziała mi spokojniejszym głosem.

– Tak, poznaję pana. Był pan koło mnie na plaży...

Jeszcze zanim zdążyłem podelektować się tą ostatnią nadzieją, stara kobieta wzięła mnie za rękę.

– Pan też był młodszy. W przeciwieństwie do innych chłopców pan nie tańczył. A mógł pan. Miał pan wtedy obie nogi... Pan...

Nie byłem w stanie słuchać ani jednego słowa więcej. Wypadłem na zewnątrz, zostawiając otwarte drzwi. Ostatni obraz, jaki zachowałem w pamięci z dawnego dworca, to był Arnold biegnący trzy metry przez parking, potem szekający, jakby chciał mi powiedzieć, żebym się nigdy więcej tu nie pokazywał.

Popędziłem po skarpie między dwoma wagonami ustawionymi na sięgaczu i pobiegłem po opuszczonym torowisku. Ciągnęło się w nieskończoność, jak niekończący się zamek błyskawiczny, którym jakiś olbrzym zamknął tajemnice ukryte pod ziemią.

– Halo, Mona?

Po raz pierwszy postanowiłem skłamać. Przynajmniej nie mówić wszystkiego. Nie wyjawiać jej, że stara Denise Joubain nie potrafiła sobie przypomnieć wypadku sprzed dwóch dni... doskonale pamiętała natomiast zamordowanie Morgane Avril przed dziesięciu laty.

Że mieszła wszystko, również dzień, w którym mnie poznała.

Że brała mnie za kogo innego.

Że po prostu zwariowała.

Telefon dzwonił w pustkę. Podkłady kolejowe defilowały mi pod nogami jak szczeble niekończącej się drabiny prowadzącej do piekła. Za sto metrów miałem opuścić rów ochronny nieczynnej linii kolejowej i zapuścić się na zadrzewione skarpy między ogrodzeniami nędznych domostw Pays de Caux. Mżawka przerodziła się w zimną mgłę, która mroziła mi skórę, ale za to zasłaniała moją sylwetkę, tak że gdyby jakiś spacerowicz odważył się w taką pogodę przechadzać po okolicy, dostrzegłby tylko jakiś nieokreślony kształt.

Byłem sam.



Christian Le Medef zniknął. Denise Joubain zidiociała.

Byłem jedynym świadkiem zgonu Magali Verron.

Ścisnąłem nerwowo komórkę w ręce.

Jedyny świadek poza gliniarzami. Pirozem, jego zastępcą i wszystkimi żandarmami z brygady z Fécamp, którzy pochylali się nad tym trupem.

*Połączenie niezrealizowane. Spróbować ponownie.*

Nacisnąłem zielony guzik mojego iPhone'a.

– Halo, Mona?

Odebrała.

– No jak? Odnalazłeś starą?

– Nie. Znaczy tak, ale to skomplikowana sprawa...

– Opowiedz!

– Później, Mona.

Zatrzymałem się pod orzechem. Z gałęzi spływały grube zimne krople i rozбивały się na syntetycznym materiale mojej wiatrówki.

– Mogę pożyczyć twój samochód?

Przez kilka chwil po drugiej stronie słyszałem tylko szum unoszonych przez morze kamyków, wreszcie Mona podjęła wesołym głosem:

– Żeby pojechać oddać się w ręce gliniarzy?

– Nie, Mona. Żeby pojechać do Neufchâtel.

– Co?

– Do Neufchâtel-en-Bray. Carmen Avril, matka Morgane, ma tam wciąż swój zajazd, Dos-d'Ane. To co najmniej godzina drogi. Muszę sprawdzić wszystkie szczegóły, Mona... Potrzebne mi dowody, chcę, żebyś...

– Okay, chłopie. Nie fatyguj się. Bierz moją furę, jak chcesz. Stoi spokojnie zaparkowana przed kasynem...

Nie zdążyłem nawet ubrać w słowa swojej ogromnej wdzięczności, jaką żywiłem do Mony.

– Przed kasynem? Cholera! Nie mogę się zbliżyć do plaży w Yport w dzień. Nawet w taką pogodę, zgarną mnie...

Mona westchnęła niczym matka, która nie ma innego wyjścia, jak dogodzić kaprysowi swojego dzieciaka.

– Przynudzasz, Jamal! Zostawię fiata u wylotu z Yport, za kempingiem miejskim, koło kortów tenisowych. Kluczyk od stacyjki będzie w środku. A drzwi i bagażnik nie zamykają się od dawna.

– Dziękuję, Mona. Zobaczysz, udowodnię ci, że postawiłaś na dobrego...

– Zamknij się! I spadaj, zanim się rozmyślę...

Wsadzając telefon do kieszeni, pomyślałem o listonoszu, o brązowej kopercie z moim nazwiskiem przysłanej na adres Martina Denaina. Adres, który znała tylko Mona, Mona, której się nie przyznałem, że żaden świadek nie był

w stanie potwierdzić mojej wersji...

*Które z nas dwojga zdradzało to drugie?*

Poszedłem dalej zamarznąłą ścieżką. Na płaskowyżu mgła gęstniała. Nie mogłem już dostrzec wyraźnie rzędów topoli rosnących wzdłuż pól ze słupami wysokiego napięcia idącymi prosto do elektrowni jądrowych.

Moje jedno zeznanie przeciw zeznaniom wszystkich innych.

Kto by mi mógł teraz uwierzyć?

Nikt...

*Nikt oprócz was?*

W tym punkcie bez powrotu w otchłani szaleństwa, czy jesteście nadal skłonni wierzyć we wszystko, co twierdzę od początku?

*Niczego nie wymyślam. Wszystko się dobrze skończy.*

Czy jesteście jeszcze gotowi postawić na mnie?

Jestem przy zdrowych zmysłach. Nikogo nie zgwałciłem ani nie zabiłem.

I udowodnię to.

Fiat 500 pędził sto trzydzieści kilometrów na godzinę po autostradzie A13. Moja noga miażdżyła pedał gazu przez jakieś dwadzieścia kilometrów, żeby nie stracić prędkości na długim odcinku w kierunku kraju de Bray. Niepotrzebny regulator szybkości, silnik dawał z siebie maksimum.

Upewniałem się regularnie, czy nikt za mną nie jedzie. Jedyne dla zasady, bo autostrada była pusta, wyjąwszy nieliczne wyprzedzane na wzniesieniach ciężarówki, które w moim lusterku wstecznym zmniejszały się, po czym znikaly. Większy ruch był po drugiej stronie. Angielskie jednoosobowe jechały na południe, przestrzegając skrupulatnie dozwolonej prędkości, z nartami i zamykanymi bagażnikami na dachach. Nie było pewności, czy dotrą w góry, zanim śnieg stopnieje. Zacinający co chwila deszcz poruszał wycieraczką, która piszczała, bardziej rozmazując niż wycierając rozproszone krople.

Monotonny płaskowyż regionu Caux nagle się zmienił. Ogromne bagniste pola zwężyły się, otoczone coraz ciasniej pejzażem żywopłotów. Autostrada, po długim odcinku pod górę, zaczęła gwałtownie zjeżdżać w pustkę, aby następnie odbić z powrotem w górę po przeciwległym zboczu. Po raz pierwszy odkrywałem wielką dziurę w regionie Bray, ten rodzaj szerokiej gliniastej doliny wydrążonej w kredowym płaskowyżu. Prawie natychmiast skręciłem w prawo, w kierunku Neufchâtel-en-Bray.

Nowe domy wyrosły przy przecięciu dróg tak jak grzyby wokół pnia. Autostrada była darmowa, do Rouen pięćdziesiąt kilometrów. Najwyraźniej duże przedmieście willowe sięgało aż dotąd, zagarniając tereny wiejskie.

Termometr fiata wskazywał temperaturę 3°C. W samym środku dnia spodziewałem się, że wjadę do miasta widma, gdzie jacyś nieliczni starcy będą się zmagać z zimnem i śliskim chodnikiem między dwoma sklepami.

Gdy tylko przekroczyłem most do Arques, anarchia wozów zaparkowanych na dwóch pasach zmusiła mnie prawie, żebym się poddał.

*Co oni wszyscy tu robią?*

Chwilę potem do tego labiryntu samochodów wbiegła zgraja dzieciaków w kolorowych czapkach.

Godzina 16.30. Cholera, koniec lekcji!

Skręciłem na pierwszym skrzyżowaniu, żeby uniknąć tłumu. Poblądziwszy najpierw w labiryncie jednokierunkowych i ślepych ulic, zaparkowałem w pustym zaułku. Włożyłem na głowę czapkę Nike'a, obciągnąłem w dół nogawki spodni,

żeby zakryć protezę, i wysiadłem z fiata 500. Chodnik pokryty był roztopionym brudnym śniegiem, w którym moja sztywna stopa odciskała cienką bruzdę.

Wkroczyłem do pierwszego sklepu z zapoconymi szybami.

Zakładałem, że Piroz nie zaalarmował wszystkich posterunków żandarmerii w departamencie i że gliny nie wywiesiły jeszcze mojego portretu we wszystkich wystawach sklepowych regionu.

Sprzedawca nowalijek. Facet zajęty był przytrzymywaniem swoich jabłek, żeby nie traciły równowagi na pochylonej płaszczyźnie.

Warzywa i owoce bio, głosił afisz w widocznym miejscu nad kasą.

– Słucham pana.

– Szukam zajazdu. Dos-d’Ane. Czy nadal prowadzi go Carmen Avril?

Handlarz się wyprostował. Był prawie łysy, została mu tylko kępka włosów stercząca jak czub ananasa.

– Co pan od niej chce?

Spróbowałem rozładować jego nieufność wymuszonym uśmiechem.

– Nie będę kłamał. Jestem dziennikarzem, przygotowujemy reportaż o zamordowaniu jej córki Morgane.

Czub Ananasa zmierzył mnie od stóp do głów, tak jak robili zapewne jego klienci, wybierając dojrzały owoc. Brakowało jeszcze, żeby mi pomacał nogę.

– Nie sądzę, by miała ochotę, żeby jej dzisiaj zawracać tym głowę. To stara sprawa.

– Sprzed dziesięciu lat – uściśliłem. – Chcielibyśmy wznowić śledztwo kilka miesięcy przed przedawnieniem.

Nie pofatygował się, żeby mi odpowiedzieć, i odwrócił się w stronę piramidy czerwonych owoców. W środku zimy ten kretyn sprzedawał truskawki bio, maliny bio, czereśnie bio...

Usłyszałem z tyłu za sobą odgłos kroków i aż podskoczyłem. Czerwona na twarzy dziewczyna niosła na rękach trzy skrzynki czerwonej, białej i zielonej kapusty. Potrąciła mnie bezceremonialnie, ciężko dysząc.

– Carmen się zgodzi. Nie żeby nosiła w sercu żurnalistów, ale nawet po tylu latach przecież będzie chciała posłuchać wszystkiego, co by mogło pomóc przyskrzynieć tego drania, który zabił jej córkę.

Czub Ananasa wzruszył ramionami i zamruczał pod nosem w swoim kącie.

– Znowu będą opowiadać, że tu mieszkają zbrojeńcy.

Handlarka wprawnym ruchem ustawiła ukośnie trzy skrzynki.

– Znajdzie pan Dos-d’Ane kilometr nad Neufchâtel, po drodze do Foucarmont. Na prawo zobaczy pan tablicę „Zajazdy Francji”.

W chwili gdy wychodziłem ze sklepu, dodała, jakby mi grożąc:

– Tylko niech się pan nie zabawia i jej nie zagaduje.

Przede mną drogą, która prowadziła do samochodu, szły dzieciaki. Stały

po jezdni, żeby uniknąć dziur w chodniku zamienionym teraz w zamrożone kałuże. Nie dostrzegłem ani jednej osoby, która by im towarzyszyła, tak jakby rodzice przychodzili po swoje dzieci tylko w ładną pogodę.

Dla mnie lepiej. Mniej świadków.

Chuchnąłem na zamrożone palce i otworzyłem drzwi fiata.

Ręka mi znieruchomiała na metalowej klamce, jakby przyklejona przez mróz.

Na fotelu pasażera leżała brązowa koperta.

*Dla Jamala Salaoui.*

To cholerne pismo, już mi znane.

Natychmiast pomyślałem o Monie. Tylko ona wiedziała, że jadę do Neufchâtel... ale to przecież było fizycznie niemożliwe, żeby się tu znalazła! Skąd by wzięła drugi samochód? W jaki sposób mogłaby dotrzeć do Bray przede mną, skoro ja całą drogę jechałem na pełnym gazie? W jaki sposób mogłaby jechać za mną, skoro przez pół drogi miałem oczy utkwione w lusterko wsteczne?

Dlaczego miała grać w tę sadystyczną grę?

Wsiadłem do fiata. Włączyłem stacyjkę i przyłożyłem palce pod ciepły nawiew, żeby je ogrzać.

Kto mógł wiedzieć, że tutaj zaparkowałem?

*Nikt.*

Kto mógł wsunąć kopertę na fotel?

*Ktokolwiek. Drzwi samochodu się nie zamykały...*

Czekałem długie minuty, nastawiając nawiew na maksimum i kierując go na twarz, aż podmuch gorącego powietrza zaczął mnie parzyć. Potem otworzyłem kopertę.

\* \* \*

### *Sprawa Myrtille Camus – piątek 8 października 2004 roku*

Komendant Léo Bastinet trzeci raz czytał każdy szczegół z faksu brygadiera Larochelle'a.

Nieznajomy w czapce adidasa, podejrzany numer jeden w sprawie morderstwa Myrtille Camus, nazywał się Olivier Roy.

Miał dwadzieścia jeden lat, mieszkał w Morsalines u rodziców, którzy mieli sklep z gazetami w Valognes. Pracował i kształcił się w Caen w dziedzinie kulturoznawstwa.

Brygadier Larochelle nie przyczynił się wcale do zidentyfikowania chłopaka, którego portret pamięciowy wisiał we wszystkich posterunkach żandarmerii regionu: jego rodzice, Monique i Gildas Roy stawili się 7 października 2004 roku w brygadzie w Valognes, żeby zgłosić zaginięcie syna. Nie ulegało wątpliwości,

Olivier był tym facetem, którego poszukiwała policja. Obozował w Isigny-sur-Mer, żeglował koło wysp Saint-Marcouf, opalał się na plaży w Grandcamp-Maisy dokładnie wtedy, kiedy przebywała tam Myrtille Camus.

Jego rodzice wyjaśnili, że zabicie Myrtille Camus dotknęło Oliviera osobiście, ale nie bardzo rozumieli dlaczego. Na wiadomość o śmierci dziewczyny zamknął się na wiele godzin w swoim pokoju i wychodził tylko na długie samotne spacerki. 6 października 2004 roku po południu wyruszył na północ bulwarem des Dunes, w kierunku Saint-Vaast-la-Hougue. Nigdy nie wrócił.

\* \* \*

Komendant Bastinet dokładnie przez trzydzieści siedem godzin sądził, że ma winnego. Milczenie Oliviera Roy mogło być interpretowane jako chęć wymknięcia się policji, jego przygnębienie jako wyrzuty sumienia, jego ucieczka jako przyznanie się.

Następnego dnia koło osiemnastej całe oskarżenie runęło jak domek z kart.

DNA Oliviera Roy to nie było DNA gwałciciela!

Godzinę później spadła jak grom druga informacja: Olivier Roy nie mógł zamordować Morgane Avril ani nawet być tym nieznanym w czerwonym szaliku widzianym przez uczestników festiwalu Riff on Cliff. Weekend 5 czerwca 2004 roku spędził on wraz z trzema innymi kumplami z tego samego roku studiów na festiwalu sztuki ulicy w Biarritz, dziewięćset kilometrów od Yport.

Pojawienie się – zniknięcie Oliviera Roy powaliło dossier Bastineta. Rozwieszono jeszcze na kilka tygodni listy gończe. Pozrywano niezbyt wyraźne portrety pamięciowe i zastąpiono je fotografią Oliviera Roy. Bez przekonania.

Po co z takim zapalem starać się odnaleźć faceta, który w najlepszym razie jest tylko świadkiem?

Sędzia Paul-Hugo Lagarde zastanawiał się publicznie nad metodami Bastineta, zanim zaczął zabiegać w sądzie kasacyjnym, żeby go wycofano z tej zabagnionej sprawy, która niszczy jego karierę. Lokalne gazety puściły sprawę w niepamięć. Kronikarze sądowi rzucili się teraz na historię robotnika z Mondeville, który wraz z żoną i czwórką dzieci popełnił samobójstwo w garażu przez zatrucie tlenkiem węgla.

Psychokryminolożka Ellen Nilsson coraz rzadziej jeździła pociągiem na trasie Paryż–Caen, potem już w ogóle przestała jeździć, a gliniarze z SRDJ, którzy zakładali się o to, jaka część jej ciała zostanie w najbliższym czasie odmłodzona za sprawą magii noża chirurgicznego, w końcu się poddali i wycofali swoje stawki.

Wszyscy, którzy dzień i noc pracowali nad tym śledztwem w tygodniach po zamordowaniu Myrtille Camus, obawiali się tylko jednej rzeczy. To właśnie ta obawa, ten wyścig z czasem kazały im się trzymać, biegać. Ta sama adrenalina. I posuwali się już do tego, że oczekiwali, iż kolejny gwałt doprowadzi do

wznowienia sprawy. Próżne oczekiwanie.

Zabójca w czerwonym szaliku przeszedł na emeryturę...

Carmen Avril spotkała się z Léo Bastinetem w SRPJ w Caen 12 października 2004 roku, kilka dni po tym jak porzucono trop Oliviera Roy. Położyła na biurku komendanta ciężkie dossier, *Podwójny nieznajomy*, które streściła w kilku stanowczych zdaniach.

Aby zidentyfikować zabójcę Morgane i Myrtille, należy podążać jednym jedynym tropem: szukać tego, który mógł się znajdować zarówno w Yport 5 czerwca 2004 roku, jak i w Isigny-sur-Mer 26 sierpnia 2004 roku. Prawdopodobieństwo, że taka osoba może być niewinna, było prawie żadne, tym bardziej że nie zgłosiła się spontanicznie na policję.

Bastinet przytaknął ruchem głowy i zmęczonym gestem otworzył dossier. Zawierało niekończące się listingi, serie adresów, numery telefonów, wydruki z ekranu. Poszukiwanie jednego faceta, myślał komendant, na wybrzeżu normandzkim najpierw, w pewną wiosenną sobotę, a następnie w czwartek pod koniec lata, wymagało sprawdzenia nazwisk wszystkich turystów, którzy wynajmowali miejsca na kempingu, pokoje w hotelu, w zajazdach. Tych, którzy gościli u przyjaciół lub u rodziny. Tych, którzy pojechali do Normandii na jeden dzień, ale zapłacili za autostradę kartą bankową, zjedli obiad w restauracji, kupili pamiątkę w sklepie. Tych, którzy zostawili wizytówkę, czek, a nawet tylko swoją twarz na fotografii.

Komendant zamknął delikatnie dossier i podniósł podkrążone oczy na Carmen.

– Pani Avril, będę szczerzy. Stan liczebny ludzi przydzielonych do sprawy Avril–Camus od miesiąca został podzielony przez dziesięć. Z pięćdziesięciu śledczych zostało nas pięciu. Za kilka tygodni, jeśli nie znajdzie jakkolwiek nowy fakt, już żaden policjant nie będzie mógł się poświęcać wyłącznie tej sprawie.

Carmen Avril nawet nie mrugnęła. Bastinet powtórzył twardo:

– Oficjalnie od ostatniego tygodnia ta sprawa nie powinna zajmować więcej niż dziesięć procent mojego czasu pracy.

Przesunął w jej stronę dossier *Podwójny nieznajomy*, nie pofatygował się nawet, żeby ocenić znaczenie takiej benedyktyńskiej pracy.

– Nie odstępujemy od śledztwa. Jest w stanie czuwania. Dysponujemy materiałem genetycznym gwałciciela, wiemy, że ponownie dopuścił się przestępstwa. Trzeba czekać...

Bastinet był przekonany, że Carmen zaripostuje. W gruncie rzeczy zasłużył na to.

*Czekać na co? Żeby zgwałcił kolejną dziewczynę?*

Zawiódł się.

Carmen poruszyła się, nawet na niego nie spoglądając, wcisnęła dossier pod

pachę i trzasnęła drzwiami, wrzeszcząc tak, żeby ją słyszało całe piętro:

– Damy sobie radę bez was, cholera!

Już w czerwcu 2004 roku, kilka dni po zamordowaniu Morgane, Carmen Avril stworzyła zespół. Jego członkami zostali wszyscy, którzy znali Morgane bliżej czy dalej, prawie pięćset osób, ale bardzo szybko jedynie dziesiątka najbliższych okazała się wystarczająco aktywna, a zwłaszcza wystarczająco hojna, by pomóc zapłacić honoraria adwokatom prowadzącym tę sprawę.

Jeszcze tego samego wieczoru, kiedy znaleziono zwłoki Myrtille Camus, Carmen zaprosiła Charles'a i Louise, by przyłączyli się do zespołu. Następnego dnia zawiązali stowarzyszenie Czerwona Nić. Pierwszy paragraf jego statutu złożonego u prefekta sprowadzał się do trzech słów.

*Nigdy nie zapomnieć.*

Prezesem stowarzyszenia został Charles Camus, jego spokój i zdolności dyplomatyczne wydawały się bardziej przydatne i skuteczne w negocjacjach z policją i organami sprawiedliwości niż porywczosć Carmen Avril, która zadowolona była funkcją wiceprzewodniczącej. Z wielkim żalem. Carmen w ogóle miała zawsze trudności z mężczyznami. Szczególnie z ich autorytetem. Océane, siostra Morgane, zajęła się sekretariatem, a Alinę Masson, najlepszą przyjaciółkę Myrtille, wyznaczono na skarbniczkę. Hipoteza „podwójnego nieznanego” zbliżyła obie rodziny w ciągu tygodni po drugim morderstwie, ale kiedy stało się jasne, że nikt im nie pomoże w doprowadzeniu do końca poszukiwań, grupa się podzieliła.

„Damy sobie radę bez was, cholera”, cisnęła matka Morgane komendantowi Bastinetowi prosto w twarz.

Carmen Avril myślała o krucjacie, zemście, karze.

Charles Camus myślał o prawdzie, sprawiedliwości, a nawet o wybaczeniu.

Wątki consensus w łonie stowarzyszenia Czerwona Nić rozpadł się w ciągu roku 2005. Carmen odpowiedziała przychylnie na propozycję dziennikarza France 2, który pragnął zrealizować odcinek magazynu *Wprowadzić oskarżonego* o sprawę podwójnego morderstwa z czerwonym szalikiem. Charles postawił stanowcze weto, ale matka Morgane argumentowała, że przybędzie im potencjalnych świadków, których ten program może poruszyć, nie mówiąc już nawet o negocjacjach finansowych w sprawie praw do publikowania obrazu, które pozwoliłyby spłacić adwokatów i śledczych. Cały klan Avrilów stanął za nią, Louise Camus milczała, Alina Masson i Frédéric Saint-Michel początkowo wahali się, czy dezawuować Charles'a, potem jednak opowiedzieli się za Carmen.

Emisja programu była zaplanowana na 24 marca 2005 roku o godzinie 22.30.

Tak jak inni członkowie Czerwonej Nici Carmen obejrzała dziewięćdziesiąt minut filmu na prywatnym pokazie przedpremierowym w studiu La Plaine-Saint-Denis. Wyliczono w nim ciąg wydarzeń i przebieg śledztwa,



przeplatając nadmorskie rekonstrukcje pełne bezwstydnymi fotografiami ofiar z pełnymi litości zeznaniami sąsiadów. Nie wnosząc niczego nowego, żadnego wyjaśnienia sprawy.

Twarze w pierwszym rzędzie sali projekcyjnej zastygły w bezruchu.

Czyste podglądactwo! Podwójny gwałt, na Morgane i Myrtille, został sfilmowany wyłącznie po to, by przebić *Les experts* czy *NCIS* pokazywane przez inne kanały. Carmen Avril chciała zakazać nadawania tego reportażu, ale France 2 się tym nie przejęła. Emisja miała 18,6 procent oglądalności, co było trochę poniżej przeciętnej. Kanał nie wpłacił ani centyma stowarzyszeniu Czerwona Nić, nie mówiąc o pośmiertnym wynagrodzeniu dwóch głównych aktorek.

Kilka dni później Charles i Louise Camus ogłosili swoje pragnienie zdystansowania się od grupy. Charles tłumaczył się problemami ze zdrowiem, co przyjęto jako wymówkę dyplomatyczną.

Ostatni raz odezwali się do Carmen Avril w przeddzień dramatu.

Dwudziestego siódmego grudnia 2007 roku.

**Na co czekać?**

**Żeby zgwałcił kolejną dziewczynę?**

Włożyłem kartki do koperty i wsunąłem wszystko do kieszeni w drzwiach fiata 500.

I tak w niecały rok po podwójnym morderstwie dwie sprawy, Morgane Avril i Myrtille Camus, stały się już tylko jedną sprawą.

Sprawą umorzoną!

Ruszając fiatem, uśmiechnąłem się z lekka. Te ostatnie informacje miały mi się przydać.

Natychmiast.

Carmen Avril przyjmie mnie z otwartymi ramionami, mam jej zaanonsować, że morderca jej córki po dziesięciu latach wyszedł z kryjówki.

Kilka minut później parkowałem samochód jakieś sto metrów od tablicy „Zajazdy Francji”. Po nasypie szła kobieta, uginając się pod ciężarem trzech tornistrów. Prowadziła troje dzieci w kierunku nowiutkich domków zbudowanych jakby za karę na wzniesieniach Neufchâtel.

– Szukam Carmen Avril.

Obładowana matka zasapała się.

– Zejdzie pan aleją. Na pewno pan znajdzie. O, widzi pan, to ona na tarasie swojego zajazdu.

Pokazała mi niebieską sylwetkę między gałęziami młodziutkich drzew i niczym lokomotywa pociągnęła za rękę pierwsze dziecko, żeby dwoje pozostałych jak wagony ruszyły za nimi.

Poszedłem aleją.

Zajazd Dos-d’Ane rozciągał się na pięćdziesięciu metrach. Zimowa szarość harmonizowała z obrobionymi kamieniami budynków, ale nie ulegało wątpliwości, że na wiosnę surowe mury znikają za ogromnymi krzewami hortensji albo za ukwieconymi gałęziami wielkiej gołej jabłoni na środku podwórza.

Na tarasie dość korpulentna kobieta uzbrojona w młotek usiłowała zawzięcie wyprostować rurę przyśrubowaną do czegoś, co, jak się domyślałem, było starą prasą do owoców. Piękny okaz królujący w tym ogrodzie, godny muzeum sztuki i tradycji normandzkiej.

Carmen uderzała z siłą, energią i precyzją.

Od tyłu można ją było wziąć za mężczyznę.

Nagle młotek zawisł w powietrzu. Carmen odwróciła się instynktownie, tak

jakby wyczuła moją obecność.

– Słucham pana?

– Pani Avril?

– Tak.

Rytm mojego serca przyspieszył, kiedy wypowiadałem najbardziej naturalnie jak mogłem tyradę, którą dziesięć razy powtarzałem sobie w myśli od chwili wyruszenia z Yport.

– Jestem kapitan Lopez. Komisariat w Fécamp. Chciałbym z panią porozmawiać.

Zmierzyła mnie od stóp do głów. Wydawało się, że jej wargi pali jedno pytanie: „To w policji zatrudniają kaleki?”, ale się powstrzymała.

– Co pan ode mnie chce?

– Powiem wprost, pani Avril. To sprawa morderstwa pani córki, Morgane. Jest... jest coś nowego.

Młotek wypadł na płytki tarasu, Carmen nie zdołała go złapać. Jej czerwona i przywiedła twarz, jak jabłko zapomniane na dnie koszyka, jeszcze się pomarszczyła, podczas gdy ja poczułem przypływ ulgi.

Piroz nie skontaktował się z nią!

Wydawało się to trochę dziwne, zważywszy na sumę zbieżności między Magali Verron a Morgane Avril, ale to ja podejmowałem ryzyko spotkania z Carmen Avril.

– Coś nowego?

– Nic konkretnego, pani Avril, nie chciałbym dawać pani złudnych nadziei. Ale w ciągu ostatnich dni w Yport nastąpiła seria niepokojących wydarzeń. Mogę wejść?

Wnętrze chałupy dorównywało urodą ogrodowi krajobrazowemu. Małe cudo, uroczy zajazd. Belki na wierzchu. Szeroki komin z cegieł i piaskowca, w którym można by upiec cielaka. Zręcznie odrobione i wykorzystane sprzęty gospodarskie, koło od wozu jako stół w salonie i kloce do skór jako masywne taborety. Pastelowe barwy, obrazy ze scenami życia na wsi, trochę szkła i żelaza, odrobina nowoczesności. Po prostu wiejski klejnot idealny na wypady dla paryżan. Zajazd Carmen Avril chyba zawsze był pełny!

Carmen zaproponowała, żebym usiadł na kanapie, która pachniała końską skórą. Przez moment zastanawiałem się, jak ta samotna kobieta zdołała przeprowadzić takie prace renowacyjne.

Następnie wszystko jej opowiedziałem.

Samobójstwo Magali Verron, gwałt, który je poprzedził, kaszmirowy szalik Burberry znaleziony na jej szyi. Zapominając tylko dodać jeden szczegół, że Magali spotkała na klifie joggera. Mnie...

Carmen Avril słuchała tego wszystkiego, oniemiała, prawie kwadrans.

– Ten drań wrócił – szepnęła przez zęby.

Nie dając jej odetchnąć, wyjąłem z plecaka dossier „Magali Verron” skradzione z biurka Piroza. Niebiesko-biało-czerwone nagłówki i oficjalne pieczęcie nadawały wiarygodność surrealistycznym informacjom, którymi miałem dobić Carmen.

– Trzeba, żeby mnie pani posłuchała, nie przerywając, pani Avril. Dopiero jak skończę, poproszę panią o wyjaśnienie. Jeśli w ogóle będzie pani w stanie...

Kiwnęła głową. Podniecona. Wynurzył się zabójca jej córki, była gotowa wysłuchać wszystkiego. Nabrałem głęboko powietrza i wyrecytowałem to, czego się dowiedziałem o Magali Verron.

Urodzona 10 maja 1993 roku w Neufchâtel w Kanadzie. Do szkoły chodziła w regionie paryskim, kolejno: do szkoły podstawowej im. Claude’a Moneta, do gimnazjum im. Alberta Schweitzera, do liceum im. Georges’a Brassensa, a następnie podjęła studia medyczne. Tancerka raqs sharqi. Fanka rocka progresywnego z lat siedemdziesiątych.

Podniecenie Carmen przeszło w osłupienie.

Jaki sens mógł mieć ten ciąg punktów wspólnych z życiem jej córki? Nawet dzień i miejsce urodzenia, te same nazwy szkół, do których chodziły, te same zamiłowania.

*Czyste szaleństwo.*

Szefowa Dos-d’Ane wstała, nic nie mówiąc, jedynie leciutkie zachwianie równowagi w jej chodzie świadczyło o wzburzeniu. Zrobiła trzy kroki w stronę wnęki kuchennej i wróciła, niosąc tacę ze standardowym zestawem do przyjmowania gości. Miejscowe herbatniki, szklanki, karafka wody, oranżada i zimne mleko. Taca podrygiwała w jej drżących rękach. Pozbyła się jej, stawiając na niskim stole, po czym odpowiedziała mi niepewnym głosem.

– Kapitanie, jak by to powiedzieć, wszystko, co mi pan opowiada, wydaje mi się, powiedzmy, nieprawdopodobne. Wyjątkowo nieprawdopodobne. Kim jest ta dziewczyna? Ta... Magali Verron.

Nalałem sobie szklankę mleka, zanim wbiłem kolejny gwóźdź.

– Nie wszystko jeszcze pani powiedziałem, pani Avril. Magali Verron była podobna do pani córki. Podobieństwo więcej niż niepokojące...

Wahałem się, czy przywołać in vitro jej córki i hipotezę, że Morgane i Magali mogłyby być siostrami przyrodnimi od strony ojca. Carmen uprzedziła mnie, jakby czytała w moich myślach.

– Podobieństwo, kapitanie Lopez? To śmieszne. Morgane nie miała młodszej siostry! A tym bardziej młodszej o dziesięć lat kuzynki. Nikogo nie miała poza mną i swoją siostrą Océane.

Potrząsałem głową, tak jakbym się zastanawiał nad innymi możliwymi wyjaśnieniami. W rzeczywistości zyskiwałem na czasie. Żeby wyciągnąć Carmen

z wody, musiałem delikatnie utrzymać haczyk na powierzchni. Przekartkowałem ponownie dossier Magali Verron aż do strony opisującej jej materiał genetyczny.

– Pani Avril, przejdę do tego, co mnie tu sprowadza. Wiemy, że przechowuje pani wszystkie archiwa waszego stowarzyszenia Czerwona Nić. Chciałbym przeprowadzić wraz z panią weryfikację.

Carmen powinna na pewno połknąć przynętę. Jeżeli wszystko, co o niej czytałem, jest prawdą, będzie gotowa pójść każdym tropem mogącym zaprowadzić ją do zabójcy córki. Nawet najbardziej szalonym, niedorzecznym.

Chwyciłem od niechcienia herbatnika, po czym wyciągnąłem w jej stronę kartkę.

– Chciałem porównać materiał genetyczny Magali Verron z materiałem Morgane.

Struna natychmiast się napięła. Ton Carmen stał się bardziej suchy. Przez dziesięć lat nauczyła się mieć na baczności przed gliniarzami.

– Nie zachowaliście dossier mojej córki w swoich własnych archiwach?

Przetworzyłem dane. Błyskawicznie.

– Tak. Tak, oczywiście. Ale otwarcie dossier wymaga wszczęcia bardzo długiej procedury, zgody sędziego śledczego, mnóstwa zezwoleń. Pomyślałem, że szybciej będzie, jak przyjadę do pani.

Dziwnie na mnie spojrzała. Nie byłem pewny, czy mi uwierzyła, ale może brała moje usprawiedliwienie za dodatkowy dowód niekompetencji policji.

– Pracuje pan z kapitanem Pirozem? – rzuciła nagle.

Przeżuwałem odważnie herbatnika. Miód i migdały. Trochę kleisty. Podczas podróży do Neufchâtel próbowałem przygotować sobie odpowiedzi na wszystkie możliwe pytania, ale tego, co za głupota, nie przewidziałem.

Przeżulem i połknąłem, zwlekając chwilę, by złagodzić zaskoczenie.

– Tak, oczywiście. To on mnie przysłał.

Na jej zmęczonej twarzy dwa różowe policzki przeszły w karmin. Po raz pierwszy Carmen Avril zdawała się odprężona.

– Okay, niech pan pójdzie ze mną do gabinetu. Piroz jest jedynym uczciwym gliniarzem w Normandii.

Uchyliłem się od zasygnalizowania jej, że nie podzielam tej opinii. Przeszliśmy przez coś w rodzaju westybulu.

– Niech pan tu na mnie zaczeka – powiedziała szefowa Dos-d’Ane.

Posadziła mnie w pokoju i przeszła do drugiego, zapewne tego, w którym przechowywała wszystkie informacje o sprawie Avril–Camus. Podczas jej nieobecności obejrzałem dokładnie gabinet. Był to najwyraźniej nieużywany pokój dziecinny, który Carmen przerobiła. Tapetę ozdabiały fotografie z motywami samolotów i balonów. Zdjęcia małej Morgane. Morgane bawiąca się w doktora. Morgane bawiąca się w kowboja. Morgane bawiąca się w strażaka.

Co dziwne, nie trafiłem na żadną fotografię jej siostry Océane.

Carmen wróciła z pudłem archiwaliów i postawiła je na blacie opartym na dwóch drewnianych kozłach.

– Zostawiam pana z tymi papierami, za minutę będę z powrotem.

Znowu zniknęła w sąsiednim pokoju, a ja rzuciłem się do pudła. Przekartkowałem gorączkowo kilka pojedynczych stron, po czym zatrzymałem się na fotokopii dokumentu żandarmerii z Fécamp.

*Materiały genetyczne Morgane Avril ustalone w poniedziałek 7 czerwca 2004 roku. Regionalny Wydział Identyfikacji Sądowej. Rouen.*

Położyłem obok inną kartkę. Sposób prezentacji i wielkość czcionki użyte przez Regionalny Wydział Identyfikacji Sądowej zmieniły się od 2004 roku, ale logo, nagłówki i pieczęcie pozostały takie same.

*Materiały genetyczne Magali Verron ustalone 20 lutego 2014 roku. Regionalny Wydział Identyfikacji Sądowej. Rouen.*

Pierwsza informacja wskazywała grupę krwi. Morgane tak jak Magali miała grupę B plus. Nie najpopularniejszą, jak pamiętałem z wykładów biologii medycznej w Instytucie Saint-Antoine. Mniej niż dziesięć procent ludności Francji.

Jeszcze jedna zbieżność.

Dreszcze mi przebiegały po karku. Moje oczy powędrowały w stronę figur tworzących kod genetyczny obu dziewczyn.

Zatrzymałem się na dwóch wykresach opatrzonych długimi seriami liter i cyfr.

*TH01 chr 11 6/9. D2 25/29. D18 16/18*

*TH01 chr 11 6/9. D2 25/29. D18 16/15*

Nie miałem o tym pojęcia. Jakieś genotypy homozygotyczne i heterozygotyczne, z których nic nie rozumiałem. Pamiętałem jednak, że naukowo rzecz biorąc, niemożliwą jest rzeczą, by dwie różne osoby posiadały te same znaczniki i częstotliwości. Cyfry tańczyły mi przed oczami.

*VWA chr 12 14/17 TPOX chr 15 9/12 FGA 21/23*

*VWA chr 12 14/17 TPOX chr 15 9/12 FGA 21/23*

Zielone i niebieskie krzywe przypominały encefalogramy z dokładnością do jednej dziesiątej milimetra. Na próżno tropiłem dalej najmniejszą różnicę między dwoma histogramami, już zrozumiałem...

*Genetyczne profile Magali i Morgane były identyczne!*

Obserwowałem wciąż machinalnie linie czubka mojego palca wskazującego jak szalony uczony czytający w nieskończoność wzór, który zaprzecza prawom wszechświata.

*D7 9/10. D16, 11/13, CSF1PO chr, 14/17*

*D7 9/10. D16, 11/13, CSF1PO chr, 14/17*

To, co odczytywałem, było niemożliwe.

Dwie osoby, urodzone w odstępie dziesięciu lat, nie mogą mieć tego samego kodu genetycznego!

*Magali.*

*Morgane.*

Czy wobec tego one obie nie były jedną i tą samą osobą?

Jakkolwiek ta oczywistość mogła się wydać szalona, od początku byłem o tym przekonany. Morgane Avril nie umarła dziesięć lat temu. To ona ze mną rozmawiała w środę rano koło schronu, zanim się rzuciła z klifu. Zresztą im bardziej myślałem o tym zdumiewającym podobieństwie między Morgane Avril a tą dziewczyną, która na moich oczach popełniła samobójstwo, Magali Verron, tym bardziej musiałem przyznać, że w gruncie rzeczy wydała mi się ona trochę starsza niż ta Morgane z fotografii z 2004 roku. Ta sama twarz, te same rysy, ale jakby postarzałe o kilka lat, może dziesięć.

Dochodziliśmy do tej samej konkluzji, jeszcze bardziej oczywistej: Morgane Avril żyła przed dwoma dniami!

*Częstotliwość allelu D3, 0,0789. Częstotliwość genotypu D3, 0,013*

*Częstotliwość allelu D3, 0,0789. Częstotliwość genotypu D3, 0,013*

Pomyślałem znowu o ogromnej maszynie sądowej uruchomionej dla rozwiązania sprawy Avril. Policjanci, sędziowie, świadkowie, dziennikarze, setki artykułów w gazetach. Jak Morgane mogła zwieść wszystkich? Przeżyć? I znowu, to nie miało żadnego sensu...

Niepewnym krokiem poszedłem w stronę sąsiedniego pokoju, żeby powiedzieć to Carmen.

Jej córka Morgane, żywa.

*Jeszcze dwa dni temu.*

Zanim umarła po raz drugi...

Szefowa Dos-d'Ane nie usłyszała, jak wchodziłem. Była odwrócona plecami i rozmawiała przez telefon, zakrywając usta i aparat lewą ręką.

– Mówię panu, że jest u mnie pański kolega – szeptała. – O, Boże, Piroz, co to za historia z tym sobowtórem mojej córki, co niby się zabił przedwczoraj w Yport?

Poczułem skurcze mięśni.

*Carmen Avril rozmawiała z glinami!*

Ta zołza nie wierzyła mi i chciała sprawdzić to, co jej opowiadałem. Mówiła mi przecież, że do Piroza ma zaufanie...

*Cholera!*

Plułem sobie w brodę, że nie byłem bardziej czujny. Zrobiłem krok naprzód w stronę bazy telefonu bezprzewodowego, żeby nacisnąć guzik głośnika.

W pokoju rozległ się histeryczny głos kapitana Piroza.

– Niech go pani zatrzyma, pani Avril. Niech go pani przytrzyma, na Boga,

zaraz będziemy!

Klik.

Mój kciuk przerwał połączenie. I od razu, za jednym zamachem prawie bezmyślnie wyciągnąłem z kieszeni rewolwer King Cobra wypożyczony od promotora Mony i wycelowałem go w Carmen.

– Kim pan jest? – zawyła.

Co odpowiedzieć?

Czy podstawić jej pod nos linie kodu DNA, żeby mi wreszcie uwierzyła?

Uziemić ją tutaj i zwać biegiem. Znowu uciekać.

Dokąd?

Czy istnieje jeszcze jakieś miejsce, dokąd mógłbym uciec przed tą pajęczyną? Czy nie byłoby prościej odłożyć rewolwer i poczekać na Piroza na kanapie w salonie?

Carmen odchyliła się lekko, z napiętymi mięśniami jak niedźwiedzica, która zaraz wyskoczy ze swojej groty. Ściany wokół drżały, trudno mi było utrzymać prosto lufę king cobry. Pokój, w którym przebywaliśmy, był drugim pokojem dziecięcym zamienionym w skład rzeczy. Na ścianach wisały inne zdjęcia.

Trzyletnia Morgane na plecach matki wieszająca girlandy bożonarodzeniowe.

Sześćoletnia Morgane na traktorze.

Siedmioletnia Morgane wspinająca się na jabłoń w ogrodzie.

Carmen zrobiła nieznaczny ruch do przodu. Lufa king cobry opadła kilka milimetrów w dół, a moje spojrzenie utkwione w fotografię schodziło na inną gałąź jabłoni.

Wszystko eksplodowało jednocześnie, tak jakby jakieś cudowne przyspieszenie pchnęło wszystkie moje myśli w tym samym kierunku, żeby je rozbić o moje pewniki. I żeby się rozprysły na tysiące kawałków.

Zrozumiałem. Wszystko.

Wiedziałem, kim była Magali Verron...

Ściskając mocno kolbę king cobry, długo nie potrafiłem powstrzymać szaleńczego śmiechu...



**Kim pan jest?**

Dwie siedmioletnie dziewczynki huštały się na gałęziach jabłoni.

Morgane i jej siostra Océane.

Takie same czerwone czapki, takie same zielone płaszczyki z futrzanymi kapturkami, takie same ciepłe botki, takie same wełniane szaliki na szyi.

Ten sam wiek. Te same twarze.

Bliźniaczki!

Wycierając sobie kąciaki oczu zmoczonych łzami wywołanymi nerwowym śmiechem, podniosłem kolbę king cobry w stronę Carmen, żeby ją ostrzec, aby niczego nie próbowała.

Morgane miała siostrę bliźniaczkę!

Żaden dokument z brązowych kopert nie zawierał tego detalu. W śledztwie wspomniano o Océane, siostrze Morgane, znane było jej zeznanie podczas festiwalu Riff on Cliff, ale nigdy nie podawano jej wieku. Jakoś w ogóle nie zwróciłem na to uwagi.

*Wszystko było jasne.*

Zapomniano mi podać tej informacji, żeby lepiej mnie usidlić.

Końcem rewolweru dałem znać Carmen, żeby wyszła z pokoju.

Teraz już kilka części puzzla układało mi się w głowie. Morgane faktycznie nie żyła, zgwałcona i zamordowana 5 czerwca 2004 roku. Dziesięć lat później jej siostra bliźniaczka Océane rzuciła się z klifu w Yport. To właśnie jej rozpaczliwe spojrzenie napotkałem koło schronu. Océane nie mogła zapewne pogodzić się ze śmiercią siostry. Toteż wymyśliła i odgrywała tę postać Magali Verron. Ta sama data urodzenia, te same upodobania, te same szkoły... A nawet to samo DNA!

Popchnąłem Carmen w stronę biura. Lewą ręką zgarnąłem ze stołu obie analizy genetyczne.

Jakim sposobem Océane mogła zmylić policję? Jakim sposobem udało jej się wmówić wszystkim, że jej wirtualny sobowtór, Magali Verron, urodził się dziesięć lat później w Kanadzie, że mieszkała tam przez pierwsze siedem lat życia?

Mój wzrok spoczął na analizie Regionalnego Wydziału Identyfikacji Sądowej, przesunął się na pieczęć żandarmerii narodowej.

Chyba że Piroz specjalnie dostarczył mi fałszywych informacji.

Końcem lufy wskazałem jedną z fotografii na ścianie. Tę, na której sześciolatnia dziewczynka była przebrana za kowboja.

– To ona? – zapytałem Carmen. – To jest Océane, pani druga córka?

– Tak. One były nierozłączne. Océane była niedoszłym chłopcem, Morgane małą księżniczką, ale nikt nigdy nie mógł się między nie wcisnąć, nawet ja. Kiedy Morgane została zamordowana, myślałam, że Océane tego nie przeżyje.

– Jednak dziesięć lat przeżyła – wtrąciłem. – To ona, Océane, prawda, rzuciła się z klifu dwa dni temu?

Wymawiając te słowa, zdawałem sobie sprawę, że coś tu nie gra. Carmen Avril obserwowała mnie nieufnie, ale w jej postawie nie dostrzegałem ani smutku, ani gniewu. Niczego, co by pozwalało myśleć, że straciła właśnie drugą córkę w okolicznościach podobnych do tych sprzed dziesięciu lat.

Odwróciła głowę w stronę zegara wiszącego nad drzwiami.

– Czy ja wyglądam na matkę pogrążoną w żałobie?

Przypomniały mi się słowa Piroza, które wrzeszczał w telefon.

*Niech go pani zatrzyma, na Boga, już jedziemy.*

Powinienem zwiewać stąd jak najszybciej. Tymczasem usłyszałem, jak odpowiadam spokojnie, cedząc słowa, żeby każdemu z nich nadać znaczenie.

– To była pani córka, pani Avril. To była Océane. Widziałem, jak skoczyła. Widziałem... widziałem jej zwłoki.

Szefowa Dos-d’Ane uśmiechnęła się do mnie. Zupełnie nieporuszona.

– Kiedy?

– W środę. Dwa dni temu. Bardzo wcześnie rano...

– Trudno mi będzie uwierzyć w pańską bajeczkę, panie... panie Lopez.

Podeszła bliżej, lufa king cobry odchyliła się na wysokość jej pępka.

– Océane dzwoniła do mnie dzisiaj koło południa, niecałe pięć godzin temu.

Zainkasowałem cios.

Carmen blefowała! Ta kobieta jest jak beton! Kłamie, żeby Piroz zdążył przyjechać. Wszyscy chcieli zwalić na mnie śmierć trzech dziewczyn.

– Okay, wierzę pani – powiedziałem w końcu. – Pani córka Océane żyje, nie rzuciła się z klifu w Yport przedwczoraj. Ale w takim razie chcę z nią porozmawiać.

– Nie ma mowy!

– Daleko mieszka?

Carmen rzuciła mi pogardliwe spojrzenie.

– Niebezpieczny z pana człowiek! Chory umysłowo.

Nie mogłem zwlekać. Piroz albo gliniarze z Neufchâtel, których pewnie zawiadomił, zaraz się tu stawia.

– Jeszcze bardziej, niż pani myśli, pani Avril. Proszę za mną, porozmawiamy gdzie indziej.

Przez kilka chwil oceniała moją determinację, po czym ruszyła posłusznie, nie protestując. Weszła do ogrodu i z nonszalancją stąpała po żwirze, który zgrzytał pod jej nogami. Cień jabłoni, jej ogromny szkielet, padał na zmarzniętą trawę.

Wydawało mi się nieustannie, że słyszę syrenę żandarmów, która wdziera się w ciszę, że widzę wyłaniające się bolidy, które znikają w alei prowadzącej do zajazdu.

Nikogo. Droga z Foucarmont była pusta. Carmen Avril usiadła na fotelu pasażera w fiacie 500, wciąż pod dyskretnym nadzorem rewolweru.

Stwierdziłem, że jest zadziwiająco zgodna.

– Proszę nie próbować ucieczki – warknąłem jednak w chwili, gdy brałem kluczyk od stacyjki.

– Niech się pan nie obawia. Nie wiem, kim pan jest, ale tak czy inaczej ma pan związek ze śmiercią Morgane. Ze śmiercią tej dziewczyny też, tej dziewczyny zgwałconej i uduszonej przedwczoraj.

– Może zgwałconej. Nie uduszonej.

Spojrzała na mnie jak dzieciak przyłapany na kłamstwie.

– Uduszonej! Piroz zdążył mi to przekazać przez telefon. Ta Magali Verron nie popełniła samobójstwa, jak mi pan opowiadał, została zamordowana. Nie puszczę pana, panie Lopez, od dziesięciu lat czekam na tę chwilę...

*Jaką chwilę?*

Nie zdążyłem poprosić Carmen, żeby powiedziała coś dokładniej, sama się tego podjęła, rzucając mi wyzywające spojrzenie.

– W której zabójca mojej córki i małej Myrtille Camus znowu uderzy.

Wytrzymałem wzrokowe zmagania, oko w oko.

– Piroz prowadzi wstrętą grę. Nie wiem, co pani naopowiadał, ale wyraźnie szuka kozła ofiarnego. Niestety, pani kumpel gliనిarz będzie musiał jeszcze się nabiegać trochę, zanim mu poderżnie gardło.

Carmen wzruszyła ramionami, tak jakby moje argumenty nie miały żadnego znaczenia. Nieważne, zrozumiałem już, że będzie potulna, dopóki się nie dowie, jaką dokładnie rolę odgrywałem w tej historii. Ewentualna śmierć liczyła się dla niej zapewne mniej niż poszukiwanie prawdy.

– Czy mogę wiedzieć, dokąd mnie pan wiezie?

Ruszyłem bez słowa. Jechaliśmy dwa kilometry do wylotu z Neufchâtel, następnie skręciłem w połą drogę. „Avenue verte, wejście nr 11” – głosiła drewniana tablica. Zaparkowałem pod lipą zaraz za pierwszym zakrętem. Wyłączyłem stacyjkę i ponownie wycelowałem king cobrę w moją pasażerkę.

– Proszę mi dać telefon. Szybko.

– Dlaczego?

Powtórzyłem. Kiedy się pochyliłem, żeby wziąć jej torebkę i wyciągnąć z niej samsunga galaxy, Carmen nie wykonała najmniejszego gestu, ani żeby mi pomóc, ani żeby się sprzeciwić.

Mój palec prześlizgnął się po dotykowym ekranie.

Kontakty.

OCÉANE.

Kliknąłem dwa razy, żeby się z nią połączyć.

Pokazało się zdjęcie Océane. Pełny ekran. Wyładowanie elektryczne!

To była ona. Absolutna pewność.

Magali Verron i Océane Avril tworzyły jedną i tę samą osobę.

Na zdjęciu w telefonie uśmiechała się pod bawełnianym niebem w pozie prawie identycznej z tą, którą przyjęła sekundę przed skokiem z klifu, z włosami, które rozwiewał wiatr od morza, z oczami jak migdały, w pełnym słońcu, jak wyzwanie rzucone światu.

Tuż przed tym, jak się rozbiła na kamieniach na plaży. Dziewczyna, której numer telefonu właśnie wybierałem, przedwczoraj się zabiła.

Po pierwszym sygnale odezwał się głos. Odległy szept, ledwo słyszalny.

– Mamo? Mam konsultacje. Zadzwoń za dziesięć minut.

Odczekałem kilka chwil w milczeniu, zanim zrozumiałem, że już się rozłączyła.

Carmen triumfowała na siedzeniu pasażera.

– To co, zadowolony pan teraz, panie Lopez? Usłyszał pan głos Océane. Nie trafił pan na pocztę głosową ducha? Nie wybrał pan sygnału wywoławczego raję?

Samsung ślizgał się w moich spoconych dłoniach. Nie zastanawiałem się więcej. Działalem na rozkaz mózgu bliskiego implozji. Nie miałem przecież żadnego dowodu na to, że dziewczyną, która odebrała telefon, była Océane Avril! Pod palcami przededefilowała mi lista kontaktów. Zatrzymałem się kilka liter dalej.

PRACA – OCÉANE.

Podwójne kliknięcie.

Tym razem trzy sygnały, zanim ktoś odebrał: wesoły kobiecy głos, głośny, artykułujący każde słowo.

– Gabinet lekarski Marquis, słucham.

Odsapnąłem kilka sekund i zacząłem improwizować.

– Dzień dobry! Strasznie mi trudno was znaleźć. Za kwadrans mam wizytę w klinice. Czy mogę prosić o pomoc, jak mam jechać?

– Nie ma sprawy, jest pan w Neufchâtel?

– Prawie...

Carmen przewracała oczami, spanikowana, podczas gdy sekretarka objaśniała mi, którą drogą jechać.

Zawrócić w kierunku centrum, w prawo do głównej ulicy, jeszcze raz w prawo przed kościołem. Po krótkim przebudzeniu na koniec lekcji w szkołach Neufchâtel wydawało się znów pogrążone w zimnej i lepkiej wilgoci.

Ani śladu gliniarzy.

Plac du Marquis był prawie pusty. Zaparkowałem dokładnie naprzeciwko gabinetu lekarskiego.

Mimo grożenia rewolwerem Carmen zawahała się, czy wysiąść z fiata. Po raz pierwszy w jej spojrzeniu wyczytałem strach. Ścisnąłem w ręce king cobrę, bełkocząc jakieś słowa, które brzmiały jak usprawiedliwianie się.

– Nikogo nie zabiłem, Carmen. Chcę po prostu znać prawdę. Tak jak pani.

Szefowa zajazdu chlusnęła mi odpowiedź.

– Ona nie będzie tą, której się pan spodziewa, Lopez. Océane pracuje za tymi drzwiami. To nie ona, nie ta dziewczyna, której pan szuka, ta Magali Verron, której nie mógł pan uratować.

Carmen odpięła pas bezpieczeństwa, zrezygnowana, i dodała:

– Ani ona, ani inna z moich córek. Zapewniam pana, nie mam trojaczków...

Przez chwilę myślałem o tej ewentualności.

Trojaczki, czworaczki, pięćioraczki.

Młode dziewczyny, sklonowane, które miałyby skakać jedna po drugiej z klifu. Co dziesięć lat jedna. Śmieszne! Godne bardzo złego kryminału.

Upewniłem się, że parking jest pusty, i wysiadłem z fiata, ukrywając starannie dłoń i rewolwer pod brudną szmatą wygrzebaną ze schowka samochodu. Dla spieszącego się przechodnia mogło to przypominać prowizoryczny bandaż.

Stopień. Pchnąłem oszklone drzwi i przepuściłem Carmen, żeby weszła pierwsza. Moje oczy wlepiły się w cztery złote prostokąty z wygrawerowanymi nazwiskami i tytułami lekarzy przyjmujących w gabinecie. Zatrzymały się na trzecim.

*Océane Avril*

*ginekolog położnik*

Moja sztywna noga poślizgnęła się na stopniu. Utrzymałem równowagę, opierając się o otynkowaną ścianę, nie wypuściwszy broni ukrytej pod tkaniną.

Nie! – wył jakiś głos w mojej głowie. Dziewczyna, która odebrała telefon, nie mogła być siostrą bliźniaczką Morgane. Ta siostra bliźniaczka spadła z wysokości stu dwudziestu metrów na moich oczach. Opierałem się, niczym na dwóch kulach, na dwóch aksjomatach wysuniętych przez Monę wczoraj wieczorem. Istniały tylko dwa pewniki.

*Morgane Avril umarła dziesięć lat temu.*

*Magali Verron umarła dwa dni temu.*

Ich cudowne podobieństwo łącznie z identycznym materiałem genetycznym można by tłumaczyć tylko tym, że były bliźniaczkami!

Wszedłem do kliniki i gestem, który mógł się wydawać przyjazny, położyłem swoją obandażowaną rękę na biodrze Carmen. Dziewczyna w białym fartuchu uśmiechnęła się do nas zza kontuaru recepcji, po czym zwróciła się bezpośrednio do Carmen.

– Dzień dobry, pani Avril. Jeśli pani chce się zobaczyć z Océane, to ona ma

teraz wizytę. Chyba nie potrwa to długo.

Spojrzała na drzwi po mojej prawej stronie.

*Doktor Avril.*

Niewiele myśląc, odsunąłem Carmen i pchnąłem drzwi.

Wlepiły się we mnie cztery pary oczu.

Siedząca kobieta, trzymająca drżącymi dłońmi okrągły brzuch.

Mężczyzna stojący koło niej z ręką na jej ramieniu, a drugą w pogotowiu, gotową pobić tego, co by się do niej zbliżył.

Dwuletnie dziecko w kącie pokoju, bawiące się na czworakach klockami lego wyjętymi ze skrzyni z zabawkami.

Océane Avril za biurkiem.

– Słucham?

Doktor położnik patrzyła na mnie, nie rozumiejąc mojego wtargnięcia.

Zalała mnie ogromna fala ciepła.

To była ona... To była Magali Verron.

To samo melancholijne spojrzenie.

Ta sama delikatna gracia.

Ta sama doskonałość wszystkich rysów twarzy, tak jakby malarz narysował kontury na podstawie moich najskrytszych emocji... Dziewczyna moich marzeń, jak bym mógł się pomylić?

Ta, do której wyciągnąłem rękę koło schronu...

Ta, przy której zwłokach czuwałem na plaży przez długie minuty, zanim przyjechali żandarmi z Fécamp.

Ona była teraz na wprost mnie. Żywa, wyjaśniała młodej parze, jak wydać na świat dziecko...

Ręka jakoś głupio mi opadła. Szmata poleciała na podłogę jak martwa meduza, odsłaniając king cobrę.

Kobieta w ciąży zawyła, wprawiając w płacz synka. Wieża z klocków lego runęła. Dziecko przeszło na drugi koniec pokoju, rzuciło się i przywarło do ojca. Z zaciśniętymi ustami. Z zaciśniętymi piąstkami.

– Proszę stąd wyjść! – rozkazała Océane.

Carmen Avril stała między drzwiami a korytarzem, żeby mi odciąć możliwość odwrotu. Z czterech ścian wpatrywały się we mnie nagie niemowlaki o różnych kolorach skóry, oburzone, jakby miały zaraz zacisnąć na mnie ogromny wielorasowy łańcuch.

Musiałem uciekać. Myśleć potem.

Odwróciłem się gwałtownie i z całych sił popchnąłem Carmen. Upadła ciężko do tyłu, przewracając dwa krzesła w korytarzu. Machałem przed sobą rewolwerem, na chybił trafił, wywołując dalsze krzyki, zwłaszcza dziewczyny w białym fartuchu, z recepcji.

Oszklone drzwi pofrunęły.

Stopień.

W następnej sekundzie siedziałem już za kierownicą fiata 500. Po kolejnej sekundzie samochód wycofał się z pustego parkingu, wykręcał, przeskakiwał nad rynsztokiem, nawet nie próbując zwolnić.

Odetchnąłem wreszcie i zmusiłem się, żeby unieść nogę, jechać powoli przynajmniej do wylotu z Neufchâtel-en-Bray. W górnej części drogi z Foucarmont zdawało mi się, że zauważyłem niebieskawą otoczkę świetlną policyjnego koguta mniej więcej pod napisem „Zajazdy Francji”.

Zwolniłem jeszcze trochę...

Gliniarze u Carmen!

Potrzebowali zapewne jeszcze trochę czasu, żeby dostać mój rysopis, markę mojego samochodu i może jego tablicę rejestracyjną, jeśli Carmen była dobrą obserwatorką.

Fiat przejechał przez most na Arques. „49 km na godzinę”, zamigotał świetlny smiley.

Powinienem zniknąć. Carmen pewnie już wezwała policję. Jeśli mnie nie namierzyli w Neufchâtel, na pewno będą czekać, żeby mnie dorwać na autostradzie.

Skręciłem w prawo w kierunku Mesnières-en-Bray. Nie było innego wyjścia, niż zniknąć na wiejskich drogach.

Miałem szczęście.

Gliniarze nie mogli uruchomić przecież dla mnie planu Krogulec. Nie znałem procedur, ale wydawało mi się, że taka formuła jest niezwykle rzadka, w każdym razie o wiele rzadsza niż odrażające zdarzenia i kawalkada ich uciekających sprawców. Jeśli nie zjadę z dróg departamentalnych, jeśli doczekam nocy, przy zachowaniu odrobiny ostrożności mógłbym dotrzeć do Vaucottes...

*Potem...*

Włączyłem światła. Droga na wprost mnie się zwężała. W półmroku biała linia pośrodku szosy stała się nagle dla mnie jedynym znakiem orientacyjnym. Nić Ariadny, która dzieliła drogę na dwie równe części. Mój wzrok skupiał się na tej linii, zahipnotyzowany, tak jakbym od patrzenia na nią mógł podzielić swój rozum na dwie szczelne komory.

Pierwsza się sprzeciwiała. Wszystko wymyśliłem. Żadna dziewczyna nie popełniła samobójstwa dwa dni temu. Jeśli w ogóle ta dziewczyna istniała, to zmarła od uduszenia moimi własnymi rękami. Jej twarz nie była twarzą Océane Avril, pomyliłem ją z twarzą z innego morderstwa, sprzed dziesięciu lat, kiedy ofiarą była jej siostra. Może nawet udusiłem również Morgane. Jestem wariat, zabijam, zapominam, mieszają mi się moje ofiary, nie pamiętam też o Myrtille Camus, ale jeżeli zamordowałem Morgane Avril, to również zgwałciłem i zabiłem

tę trzecią dziewczynę.

Biała wstążka w surowym świetle świateł samochodu rozwijała się powoli aż do zakrętu.

Rozumiałem teraz tych wszystkich niewinnych ludzi przyznających się glinom do zbrodni, których nie popełnili, po nocach spędzonych w komisariatach, po godzinach argumentów, hipotez i dowodów rzucanych przez oskarżycieli. Bo ci niewinni w końcu zaczynają wierzyć w prawdę wypowiedaną przez innych i powątpiewać we własne pewniki, te, których się trzymali, wchodząc do gabinetu sędziego.

Ostry zakręt.

Alabastrowa nić zmieniała się w spinkę do włosów.

Nie! – zagrzmiął głos w mojej głowie.

*Nie!*

Druga komora mojego rozumu jeszcze stawiała opór. Istnieje jakiś klucz, jakieś logiczne wytłumaczenie.

Jest tu, blisko.

Wystarczy się uspokoić, pomyśleć. Przejrzeć wszystkie elementy i połączyć je inaczej.

Wystarczy spojrzeć z góry, cofnąć się. Odrzucić pozory.

Porozmawiać z kimś, kto by zechciał mi uwierzyć.

Z Moną?



**Porozmawiać z kimś, kto by zechciał mi uwierzyć?**

– Czy gliny mają opis mojego wozu?

Mona wyła do telefonu.

Reflektory fiata oślepiły chłopaka wybiegającego właśnie na drogę z piłką pod pachą, tuż przed tablicą „Carville-Pot-de-Fer”.

Przygniotłem hamulec. Nade mną, obok chłopca, kłula w oczy plansza: „Zwolnijcie, pomyślcie o naszych dzieciach”. Tekturowy małolat patrzył na mnie obojętnie, jak przejeżdżam w zwolnionym tempie.

Carville-Pot-de-Fer spało.

Już prawie godzinę przeskakiwałem z jednego miasteczka do drugiego, jadąc na skróty bagnistymi drogami wytyczonymi w formie okopów w płaskowyżu Pays de Caux.

Przykleiłem niemal komórkę do warg.

– Nie jestem pewny, Mona. Carmen Avril może nie namierzyła tablicy rejestracyjnej.

– No wiesz? Przecież ona dziesięć lat czeka na mordercę córki! Cholera, Jamal, gliny od razu skojarzą to ze mną, jak tylko ona im powie o fiacie 500.

Brat bliźniak chłopca z piłką zmniejszał się w moim lusterku. Carville-Pot-de-Fer było już tylko skuloną w sobie zmarzniętą osadą. Powinienem był powiedzieć Monie, żeby przestała się przejmować, żeby opowiedziała glinom, że ukradłem jej samochód, że drzwi się nie zamykają, że...

– Spotkajmy się w Vaucottes – mruknąłem do telefonu.

– A jak mam to zrobić? Pamiętasz? Jedziesz teraz moim samochodem.

Zawahałem się, czy nie zaproponować jej miejsca spotkania koło Yport. Zbyt ryzykowne! Posunąłem się jeszcze dalej.

– Na piechotę. Do Vaucottes masz tylko dwa kilometry.

Przez chwilę myślałem, że Mona rzuci mi telefonem w nos.

Przedemną wyłonił się ogromny oświetlony dwór dominujący nad doliną Durdent.

– Dwa kilosy! I jeszcze wspinaczka na szczyt i zejście, dzieciaku! Ja nie mam bionicznej nogi!

Deszcz zaczął padać około dwudziestej pierwszej. Zimny i gęsty. Wyobrażałem sobie, że trochę dalej od morza pewnie zamienia się w śnieg. W dolinie Vaucottes spływał po asfaltowym zboczu, tworząc naprędce potok górski, który wylewał się na otoczaki. Moja matka powiedziałaaby, że to *oned*,

łożysko rzeki. Czy w miejscowym języku istniał synonim tego?

Wypatrywałem Mony przez okno. Kilka razy kusiło mnie, żeby wyjść, wsiąść do samochodu ukrytego w ogrodzie Martina Denaina i wyjechać jej naprzeciw. Ale Mona na pewno poszła nadbrzeżną ścieżką... Po co podejmować dodatkowe ryzyko? Żeby uspokoić swoje nieczyste sumienie?

Dwadzieścia minut później wiązka świetlna, nieśmiała i drżąca, przebiła się przez ulewę. Ciemna sylwetka posuwała się do przodu, zmagając się z wiatrem i kroplami deszczu. Znowu się zawahałem, czy nie wyskoczyć, otworzyć drzwi, krzyknąć pośród nocnej ciszy „Dzięki Bogu, dotarłaś!”.

*Tylko czy to Mona wchodziła do ogrodu?*

Poznałem ją dopiero wtedy, kiedy otworzyła gwałtownie dębowe drzwi. Zauważyłem, że po raz pierwszy od wczoraj Mona nie ma przypiętej koło serca mojej gwiazdy szeryfa. Logicznie rzecz biorąc, najpierw powinna mi nawymyślać. Potem może mnie wysłucha.

Mona patrzyła na mnie dłuższą chwilę. Była ładna, rude włosy przyklejały się do mokrej twarzy, wyglądała jak leśne zwierzątko, które uciekło przed burzą, żeby znaleźć schronienie w domu na polanie. Bojaźliwe. Które trzeba przytulić do serca, żeby je ogrzać. Potem na jej twarzy ukazał się czarujący uśmiech.

– Chyba nikt mnie nie śledził!

Zamknęła drzwi za ulewną nocą.

– Wezmę prysznic, Jamal. Piekielnie gorący prysznic.

Pół godziny później zeszła na dół. Zdjęła całe zmoczone ubranie i wciągnęła na gołe ciało szeroki wełniany sweter, który sięgał jej do połowy uda i zsuwał się z prawego ramienia. Rude błyszczące włosy miała zaczesane do tyłu, co sprawiało, że czoło wydawało się większe. Usiadła na kanapie, obciągnęła sweter na uda, które przyciskała do piersi, i spojrzała na mnie pytająco.

– No to opowiadaj.

Opowiedziałem wszystko.

O przejażdżce do Neufchâtel, żeby odnaleźć Carmen Avril. O moich podstępach, żeby ją skłonić, by wydobyła dossier sądowe Morgane. O identycznym materiale genetycznym. O zdjęciach sióstr bliźniaczek. O tym, jak jechaliśmy do gabinetu lekarskiego. O spotkaniu twarzą w twarz z Océane Avril. Żywą...

– Czy jest taka piękna jak w twoim wspomnieniu?

Pytanie mnie zaskoczyło. Nie odpowiedziałem. Niezupełnie.

– To była ona. Chociaż wiem, że to niemożliwe, to jednak była ona. Ta dziewczyna, która kazała się nazywać Magali Verron. Ta, której podałem szalik na klifie, zanim skoczyła w dół.

Mona nie pytała więcej. Poprosiła, żebym jej zrobił herbatę. Pod zlewem u Denaina znalazłem torebki twiningsa. Kiedy wróciłem do pokoju, siedziała, obejmując obie nogi, z podbródkiem na kolanach. Przywodziła na myśl małego

jeża zwiniętego w kulę.

- Wciąż nie masz zamiaru oddać się w ręce policji?
- Usiłują mnie usidlić, Mona.
- Okay, okay, nie będziemy znowu zaczynać tej rozmowy...
- Dzięki, że przyszedłeś.
- Nie ma za co. Dzięki za adrenalinę.

W kuchni zagwizdał czajnik. Nie ruszyłem się.

– Co teraz zrobisz? – spytała.

– Myślałem o tym podczas drogi. Daję sobie jeszcze noc. Tylko jedną noc!

Trzeba rozpatrzyć wszystko od początku, poszukać rozwiązania, sposobu na dopasowanie wszystkich części. Jeśli do jutra nie znajdę, zadzwonię do Piroza i się poddam.

Mona popatrzyła na miedziane wahadło, które poruszało się jak taktomierz w pudle normandzkiego zegara.

Godzina 21.40.

– Jedną noc? Bingo! Jeśli wyrwę trzy godziny, żeby się trochę przespać, i chociaż godzinę na miłość, to nie zostanie nam dużo czasu...

Zerwała się jednym susem. Wełniany blezer XXL rozchyłał się aż do jej białych piersi. Postawiła gołe stopy na brązowym parkiecie.

– Od czego zaczynamy?

Odpowiedziałem bez wahania.

– Magali Verron! Przez dziesięć lat gliny rozpracowywały sprawę Avril–Camus i najwyraźniej niewiele znalazły. To ta Magali Verron jest kluczem do wszystkiego.

Rozłożyłem na stole oba dossier, dossier Morgane Avril pożyczone od jej matki i dossier Magali Verron ukradzione z biurka Piroza.

– Okay – powiedziała Mona. – Włączę internet. Może wczoraj przepuściłeś jakieś informacje o niej.

Podeszła i przywarła do mnie. Pachniała jabłkowym żelem pod prysznic. Moje ręce ześlizgnęły się na jej nagie uda, jej ciepłe pośladki, na wąską wciętą talię pod grubą wełną. Stała na palcach, a ja przyciskałem do jej brzucha swój usztywniony seks. Wełniany sweter stał się już tylko jedwabnym kokonem otaczającym jej ciało. I w tej chwili wydał mi się wystarczająco szeroki, żebym ja z kolei się rozebrał i żebyśmy się w nim zmieścili we dwoje. Mona złożyła na moich wargach długi pocałunek, po czym delikatnie mnie odepchnęła.

– Do roboty, dzieciaku.

Usiadła przed komputerem Martina Denaina. Rozłożyłem na stole z dziesięć kartek, tych z brązowych kopert, które dostałem w ciągu dwóch dni.

Skupienie.

Byliśmy oboje jak dwójka rozgorączkowanych studentów powtarzających

materiał na ostatnią chwilę przed końcowym egzaminem. Miedziane wahadło wybijało godziny, dobitnie odliczało czas, jakby uderzało o deski, żeby się wydostać ze swojej dębowej trumny.

Ciszę rozdarł krzyk Mony.

– Kpisz sobie ze mnie?

Podszedłem do niej, zaskoczony. Gdy się nad nią pochylałem, moje spojrzenie oscyloowało między ekranem Della a jej piersiami w rozchyłonym pulowerze.

– Wczoraj – ciągnęła Mona z pochyloną głową – na placu zabaw w Yport odtworzyłeś mi życie Magali Verron z serwisów społecznościowych w internecie. Facebook. Copains d'avant. Twitter. LinkedIn. Dailymotion. Pamiętasz? Dwie kolumny, jedna o Morgane, jedna o Magali. Pink Floyd i inni, jej ulubione zespoły, jej namiętność do raqs sharqi, jej szkoła w Kanadzie, potem gimnazjum i liceum w regionie paryskim, które mają tych samych patronów co budy w Neufchâtel-en-Bray. Ta sama data urodzenia, ten sam dzień, to samo miejsce, w odstępnie dziesięciu lat... Słowem, cała seria tych kompletnie zwariowanych zbieżności.

– No tak, i co, co znalazłaś?

Mona podniosła na mnie przepraszający wzrok. Tak jak się mówi o śmierci jednego z rodziców sześciolletniemu dziecku.

– Nic, Jamal. W internecie nic nie ma. Próbowałam wszystkich wyszukiwarek, nie ma śladu Magali Verron. Tak jakby nigdy nie istniała.

**Tak jakby nigdy nie istniała?**

Moje palce biegały po klawiaturze komputera jak palce szalonego pianisty. Pamiętałem doskonale wejścia, które mi pozwoliły wygrzebać informacje o Magali Verron. Strony dostępne po trzech kliknięciach, na których miliony młodych dorosłych prezentowało swoje życie.

Nic.

W sieci nie było już ani śladu tej dziewczyny.

Odwróciłem się do Mony.

– Ktoś usunął wszystkie informacje...

Głos mi drżał, Mona nic nie odpowiedziała, uznałem za stosowne dodać:

– Każdy to może zrobić. Usunąć strony z portali internetowych. To nowy dowód... – Zaczerpnąłem powietrza. – Nowy dowód, że chcą mnie zrobić.

Mona wstała. Obciągnęła sweter do dołu, do połowy uda, ale wełna uciekała w górę, odsłaniając skórę, po której przebiegały dreszcze.

– A może ty wymyśliłeś tę dziewczynę?

Popatrzyłem na Monę, nic nie odpowiadając. Chodziła po pokoju boso, nie mogąc ani na sekundę się zatrzymać.

– O, Boże, Jamal, co wiadomo o Magali Verron? Jedyne to, co ty mi opowiadasz! Mówisz, że czytałeś o jej życiu w necie, ale nie ma żadnego dotyczącego jej linku. Opisałeś mi jej twarz, ale jest to twarz innej dziewczyny, dziewczyny zabitej dziesięć lat temu albo jej żyjącej bliźniaczki. Mówisz, że ta dziewczyna rzuciła się z klifu zgwałcona, uduszona, ale dziennikarze nie pisnęli o tym ani słowa. Żaden inny świadek nie może potwierdzić. Twój Christian Le Medef zniknął. Denise Joubain twierdzi, że od miesiący nie wychodziła z domu... Rozumiesz, Jamal? Jest jedno rozwiązanie, które wszystko tłumaczy. Prosty i oczywisty klucz.

Nawet nie odwróciłem głowy w jej stronę. W dalszym ciągu wpisywałem na chybił trafił słowa na ekranie komputera, w nadziei, że znajdę dowód, jeden jedyny. Magali Verron jest tu, gdzieś ukryta...

Mona zatrzymała się raptownie. Podciągnęła kołnierz swetra na prawym odsłoniętym ramieniu.

– Magali Verron nie istnieje, Jamal! Wszystko zmyśliłeś. Nie było samobójstwa trzy dni temu. Wymyśliłeś tę scenę! Wymyśliłeś twarz tej dziewczyny. Wymyśliłeś jej życie. Wymyśliłeś tych świadków.

Wstałem pospiesznie. Pomachałem Monie przed nosem dokumentami

skradzionymi z biurka Piroza.

Zielona teczka.

*Magali Verron* napisane czarnym mazakiem ręką Piroza.

– A gliny, które mnie ścigają? Wymyśliłem również ich cholerne oskarżenia? Gliniarze byli dziś rano u ciebie w La Sirène, tak?

Odpowiedziała mi z cierpliwością nauczycielki.

– Zgadza się. Gliny cię szukają. Byli u mnie dwie minuty, pytali, czy cię znam, czy wiem, gdzie jesteś, ale w ogóle nie mówili mi o Magali Verron. Ani nawet o historii z popełnionym przedwczoraj gwałtem.

Trzymałem jej dossier przed oczami.

– Do diabła, Mona! A te raporty medyczne? A te zdjęcia rozrzuconych kończyn Magali Verron, a te analizy genetyczne z pieczęcią żandarmerii? Czyżbym był tak postrzelony, że sam je sfabrykowałem?

Po raz pierwszy wydawało się, że zaczyna wątpić.

– Nie wiem. Widzę jednak, że jeżeli wszystko wymyśliłeś, to to wszystko tłumaczy. Prawie wszystko... A poza tym, co najważniejsze, to by była dobra wiadomość, co?

*Dobra wiadomość?*

Spojrzałem jej w twarz, zdumiony.

– Pomyśl, Jamal. Nie ma zwłok Magali Verron, to znaczy, że nie było gwałtu. Nie ma oskarżenia o morderstwo. Gliny nie mają nic na ciebie! Jesteś tylko troszkę paranoikiem, może nawet nieco przesadziłeś, żeby mnie...

Nie doceniłem jej świetnego humoru.

– Psiakrew, Mona, a po cholerę byłem w żandarmerii tego dnia, kiedy się spotkaliśmy koło automatu?

– Nie mam pojęcia. Może zostałeś wezwany jako świadek w innej sprawie...

Zamilkła na chwilę. Tylko zegar ścienny nie wstrzymał oddechu.

Nagle zrozumiałem.

Zobaczyłem wyraźnie ukryte oblicze wstawionej przez Monę części puzzla.

Nie przypadkiem wymyśliłem tę Magali Verron. Jej twarz, jej zgwałcenie, czerwony szalik na jej szyi, klify w Yport.

Zobaczyłem jeszcze raz scenę, którą już kiedyś przeżyłem!

To właśnie miała na myśli Mona. Gliny z Fécamp wezwały mnie jako świadka sprawy sprzed dziesięciu lat: zbrodni popełnionej na Morgane Avril. Pomieszało mi się. Wplotłem przeszłość w złudną teraźniejszość.

*Zwariowałem...*

Uczepiłem się ostatnich nierówności terenu przed ostatecznym upadkiem w przepaść.

– A te koperty? – zapytałem Mony, wskazując dokumenty leżące na stole. – Sam je sobie przysłałem?

Podeszła i położyła mi rękę na ramieniu.

– Nie, Jamal. Nie. Ale może komuś zależy, żebyś pamiętał o tej sprawie Avril–Camus? To by tłumaczyło...

Odepchnąłem jej rękę i wybuchnąłem.

– Żebyś pamiętał o czym? Nigdy wcześniej nie słyszałem o tej sprawie, dopiero w tym tygodniu!

Mona wsadziła rękę pod sweter. Pożałowałem swojej reakcji. Nie wiedziałem już, czego się trzymać. Winny czy niewinny? Zbierało mi się na płacz. Zalać się łzami jak dziecko.

– Ja... ja nie mam nic wspólnego z tą historią, Mona. Chcą mnie zrobić, zwalić na mnie winę. Zrobić ze mnie wariata. Jeśli mnie zostawisz samego, to im się uda...

Mona odwróciła wzrok i ostatni raz spojrzała na zegar.

22.10.

– Jedna noc, Jamal! Daję ci jedną noc na to, żebyś mnie przekonał. Jak tylko słońce pokaże się nad klifami, udasz się do gliniarzy.

– A przedtem mogę wybrać plan bitwy?

– No, mów.

– Oprócz Piroza i gliniarzy tylko dwie osoby mogą potwierdzić, że nie wymyśliłem samobójstwa Magali Verron. Christian Le Medef i Denise Joubain.

– Już ich przecież przepytywałeś.

– Tak, ale Le Medef wszystko potwierdził, zanim zniknął. Albo zanim go gdzieś zamknięto. A Denise Joubain umierała ze strachu. Pojedziemy do nich razem, sama się przekonasz.

– W środku nocy?

– Tak.

– A gliny? Możesz przecież wpaść na nich w Yport.

– Gliny mnie ścigają? Czy ty nie cierpisz trochę na paranoję?

Mona się roześmiała. Jej wargi musnęły moje.

– Czy ty nie miałaś mi zrobić herbaty?

Patrzyłem, jak się oddala do kuchni. Krzyknąłem:

– Czy pozwolisz mi zadzwonić do przyjaciela w sprawie mojej obrony?

– Słucham?

– Jest jeszcze inny trop, którego nie zbadałem, to ten zestaw znaleziony u Piroza i u Le Medefa. W internecie nie da się znaleźć niczego, co by się z tym wiązało. Mam takiego kumpla w Instytucie Saint-Antoine, który jest chodzącą encyklopedią. Ibou. Nigdy nie wiadomo...

– Słusznie, dzwoń do uczonego przyjaciela, doktorzy chemii doświadczalnej to neptki!

Ibou odebrał prawie natychmiast. Uciałem od razu jego słowotok na temat

mojego treningu do North Face, na temat prognozy pogody i ostatnich plotek z Instytutu.

– Masz chwilę, Ibou? Nie ma nic do wygrania, ale możesz zapobiec, żebym dużo stracił...

Opisałem mu tabelkę, wymieniłem cyfry, przekonany, że chodzi tu o jakiś kod nie do rozszyfrowania.

2/2

3/0

0/3

1/1

W słuchawce rozległ się głośny śmiech Ibou.

– To łatwizna, chłopie. Wszyscy to znają! Jest to kwadrant dylematu więźnia.

– Co?

– Dylemat więźnia! To rodzaj twierdzenia wywodzącego się z teorii gier.

Włączyłem tryb głośnomówiący, żeby Mona też słyszała.

– Teoretyczna zasada jest prosta. Wyobraź sobie, że dwóch podejrzanych, na przykład o napad z bronią, zostało aresztowanych przez policję i są przesłuchiwani osobno. Każdy więzień, jeśli nie chce się przyznać, ma do wyboru dwie postawy: milczeć albo wydać współnika. Jeśli go zdradzi, korzysta z odroczenia kary, a jego kumpel wprost przeciwnie, dostaje maksimum. Ale problem w tym, że więzień nie wie, co zrobi drugi...

– Nic nie rozumiem, Ibou. Co to za teoria w tej twojej historii?

– Już ci mówię. Wyobraź sobie, że wyrażamy to w cyfrach, które pokazują liczbę lat więzienia na przykład. Jest to słynny kwadrant. Jeśli obaj więźniowie milczą, wątpliwość przemawia na ich korzyść i każdy obrywa tylko rok więzienia. Jeśli donoszą na siebie nawzajem, obaj inkasują po dwa lata więzienia.

– Po co więc rozmawiać z glinami?

– Dlatego, że aby to twierdzenie się sprawdzało, trzeba, żeby interes indywidualny przynosił więcej niż współpraca. Jeśli jeden z dwóch więźniów donosi na drugiego, a sam nie jest zdradzany, zostaje uniewinniony, a drugi zgarnia wszystko, trzy lata paki za kumpla, a tamten zero. Jest wolny.

– Cholera, Ibou. Naprawdę płaci się naukowcom, żeby wymyślali takie rzeczy?

– Tak! Jest zwłaszcza taki Amerykanin. Robert Axelrod. Zorganizował konkurs, żeby znaleźć równanie, które pozwalałoby wygrać najwięcej w grze



w dylemat więźnia.

– Bo można w to grać?

– Tak. W dwie osoby. W dziesięć. W sto. Zasada jest najprostsza w świecie: zdradzasz albo współpracujesz. Dokonujesz wyboru w sekrecie, potem porównujesz wybór innych graczy i liczysz punkty.

– No i co dalej? Jaka jest ta magiczna formuła?

– Według Axelroda sprowadza się do trzech słów. Współpraca–Wzajemność–Wybaczenie. Mówiąc jaśniej, proponujesz najpierw drugiemu graczowi współpracę. Jeśli cię olewa, zdradzając, w następnym ruchu odpowiadasz, też go zdradzając. Potem znowu proponujesz współpracę. Według Axelroda jest to złota zasada, która powinna wpływać na wszelkie zachowania między istotami ludzkimi.

– Też coś!

Nie widziałem żadnego związku między tą kretyńską teorią a sprawą Avril–Camus i samobójstwem Magali Verron. Dlaczego Piroz i Le Medef napisali na kartce cyfry tego twierdzenia?

Zastanawiałem się nad tym przez kilka sekund.

– Powiedz, czy się mylę, Ibou, ale to rozwiązanie Axelroda funkcjonuje tylko wtedy, gdy gracze grają jeden przeciw drugiemu. Podsumowując, zasada polega na tym, żeby nie dać się oszukać dwa razy z rzędu. Ale jeżeli się gra tylko raz, definitywnie dobrym rozwiązaniem jest wzbudzić zaufanie faceta, z którym grasz, potem go zdradzić, no nie?

– Wszystko zrozumiałeś, chłopie!

Rozłączyłem się, nie czując, żebym posunął się naprzód. Dylemat więźnia najwyraźniej nie inspirował też Mony. Może wymyśliłem również te nabazgrane cyfry...

Włożyła paczkę herbatników do plastikowej torebki, wyjęła termos i włączyła ekspres do kawy.

– Pewnie nie spałeś więcej niż dwie godziny od wczoraj. Popilnuj kawy, idę się przebrać.

W tym momencie zacząłem się zastanawiać, gdzie ona znajdzie w tym domu suche kobiece ciuchy, ale nie dała mi czasu, żebym dłużej nad tym medytował. Obciągnęła nerwowo sweter.

– Muszę wiedzieć, Jamal. To ważne... – Znowu pociągnęła wełnę, aż się wydłużyły oczka. – Czy dziesięć lat temu miałeś jeszcze... – Szary sweter stał się już tylko siatką na jej gołym ciele. – Miałeś jeszcze obie nogi?

*To samo pytanie, które zadał Piroz w żandarmerii.*

Zmierzyłem ją wzrokiem. Cynicznym. Lodowatym.

– Czy miałem obie nogi? O to chcesz mnie zapytać, Mona? No, dalej, dokończ swoją myśl. Czy dziesięć lat temu mogłem tańczyć? Wspinać się na klif?

Biegać za dziewczyną? Poderwać ją, zgwałcić, udusić, o to chcesz mnie zapytać, Mona?

– Nie to mam na myśli, Jamal.

– Kulawego w tej okolicy od razu by namierzono.

– Musisz mi to powiedzieć, potrzebuję tego – powtórzyła Mona.

Podciągnąłem delikatnie nogawkę, żeby odsłonić żelazny drąg, który łączył moje kolano ze stopą z włókna węglowego.

– Przeszedłem przez szklaną ścianę centrum handlowego Beaugrenelle w piętnastym arrondissement. Uprawialiśmy parkour z dziesięcioma kumplami z La Courneuve. Nagle nerw strzałkowy głęboki został przecięty.

Mona otworzyła usta jak ryba wisząca nad wodą. Byłem szybszy.

– Stało się to w maju dwa tysiące drugiego roku, dwanaście lat temu.

Mona nie odpowiedziała. Puściła sweter, który odzyskał swój normalny moherowy kształt.

– Wyglupiasz się?

– Może, uwielbiam wymyślać historie.

Mona wołała sama prowadzić. Ubrała się w dżinsy Kaporal, top mode, ale za duże na nią. Zapewne pożyczone z garderoby syna Martina Denaina, i włożyła zielony sweter pod wilgotną jeszcze kurtkę.

Wciąż żadnej gwiazdy przypiętej do serca...

Deszcz ustał, ale na termometrze rtęć spadła poniżej zera. Zanim Mona ruszyła samochodem, położyłem palce na jej dłoni.

– Jeżeli źle pójdzie...

Otworzyłem schowek. Moja ręka trafiła na kolbę king cobry. Pomyślałem, że Mona zacznie wyć.

Przeciwnie!

Obrzuciła mnie takim spojrzeniem, jakbym był ostatnim idiotą.

– To jest rewolwer Martina Denaina? To broń obronna, Jamal! Strzela tylko kulami gumowymi albo ślepymi nabojami. Martin nie trzymałby nigdy w domu czegoś, co by mogło kogoś zabić.

Czy uspokoiło mnie, czy przeraziło to objawienie Mony?

Nie zdążyłem pomyśleć, bo moje palce trafiły w następnym momencie na pergaminową powierzchnię, w chwili kiedy odkładałem broń. Papierowa koperta.

*Brązowa koperta.*

Na niej moje nazwisko.

Dwie godziny temu, kiedy zaparkowałem fiata na końcu alei, nie było jej w schowku. Włożyłem tam ostrożnie king cobrę. Czy można było sobie wyobrazić, że jakiś nieznajomy wchodzi bezszelestnie do ogrodu pod osłoną nocy i ulewy?

Jakiś nieznajomy... albo po prostu Mona?

Zdecydowany, że poproszę ją o wyjaśnienie, podniosłem na nią wzrok...

i zrozumiałem, że ona myśli o tym samym.

Według niej byłem jedyną osobą, która mogła wsunąć tę kopertę do samochodu.

Jedyną, która wiedziała, że otworzę schowek, żeby wziąć z niego rewolwer...

Mona wciąż na mnie patrzyła. Przypomniałem sobie słowa Ibou. Dylemat więźnia.

Ta cholerna gra...

Dwóch współników. Wybór, w tajemnicy.

Zdradzić czy zaufać.

W końcu rozdarłem kopertę.

*Dziennik Aliny Masson – grudzień 2004 roku*

Jak daleko sięgam pamięcią, Myrtille zawsze tu była.

Mieszkałam przy ulicy Puchot w mieszkaniu na szóstym piętrze z widokiem na Sekwanę, most Guynemera i drogę holowników po drugiej stronie, dokąd nigdy nie chodziliśmy się bawić.

Myrtille mieszkała w pasażu Tabouelle, w małym miejskim domu z niedużym ogrodem. Ulica naprzeciwko.

Zawsze nazywałam ją Mimy.

Ja byłam Lina.

*Mimy–Lina.*

Dwie nierozłączne.

Obliczyłyśmy, że pierwszy raz spotkałyśmy się w szpitalu des Feugrais w 1983 roku. Ja wyszłam z oddziału położniczego 17 grudnia, a Mimy urodziła się tam 15 grudnia. Ale jej mama, Louise, lubiła nam opowiadać, że naprawdę zaprzyjaźniłyśmy się w wieku trzynastu miesięcy w parku du Puchot na placu zabaw, kiedy zjeżdżałyśmy jedna za drugą na zjeżdżalni. Odkąd Mimy już nie ma, często oglądam te wspólne stare fotografie, na których widać nas w rękawiczkach, szalikach i czapkach.

Potem spotkałyśmy się w tej samej grupie w przedszkolu. To normalne. Często chodziłam do Mimy bawić się z nią i z jej małym pocieszonym pieskiem Buffo. Dopiero dużo później dowiedziałam się, że Charles nazwał go tak z powodu słynnego klauna. Znęcałyśmy się nad nim, brałyśmy go na spacer w wózku, zakładałyśmy mu śliniaczek, dawałyśmy różne rzeczy do jedzenia.

Mimy nigdy nie przychodziła do mnie. Było mi trochę wstyd. A poza tym nie miałam psa.

Byłyśmy jak bliźniaczki, tak o nas mówiono w szkole podstawowej im. Alphonse’a Daudeta. Chociaż fizycznie nie byłyśmy do siebie podobne.

Louise i Charles dużo pracowali. Zwłaszcza w środy, soboty i podczas wakacji. Louise miała swoją szkołę tańca, Charles oprowadzał grupy po muzeum. Czasem włączyłyśmy się po ulicach Elbeuf, najczęściej chodziłyśmy do babci Mimy, Jeanine.

Mieszkała przy drodze des Roches w Orival w domu wykutym w klifie Sekwany z grotami w ogrodzie, gdzie nie wolno nam było chodzić z powodu

osuwania się skał. Jeanine nas śmieszyła, nie słuchałyśmy się jej za bardzo. Przezywałyśmy ją babcia Ninja. Bo to Jeanine, ale w slangu *verlan*, Mimy to wymyśliła. Bardzo lubiła gry słów.

Czasem zabierałyśmy do niej Buffa. Trzymałyśmy go na smyczy, idąc bulwarem de la Plage. Ten bulwar podobno nadal tak się nazywa. Ale na brzegu Sekwany nie ma już dzisiaj plaży.

Gdy skończyłyśmy osiem lat, pojechałyśmy razem na naszą pierwszą kolonię do Bois-Plage-en-Ré, wśród sosen. Frédéric był już instruktorem i Mimy uważała, że jest bardzo przystojny z tymi długimi włosami, gitarą i muskularnymi ramionami, które ją podrzucały nad głowę. Ośrodkiem kierowali Louise i Charles. Inne dzieciaki, które przyjeżdżały ze wszystkich dzielnic Elbeuf, dokuczały Mimy. Ona była ulubienicą, córką dyrektorostwa, może jedyną, której oboje rodzice mieli pracę.

Zawsze trzymałyśmy się z Mimy razem.

Mimy–Lina, na zawsze.

Na kolonii leśnej, jak ją nazywaliśmy, Mimy często płakała i nie chciała nic mówić rodzicom. Spaliśmy wszyscy razem w wielkiej sypialni. W nocy Mimy czasami robiła siusiu w łóżku. Mówiła żartobliwie, że kolonia dlatego się nazywa Drap d’Or, Złota Pościel, z powodu zasikanej pościeli. Pomagałam jej. Czekaliśmy, aż będziemy same w sypialni, i zamieniałyśmy materace. Pożyczałam jej swój, a kiedy któryś z naszych dwóch materaców już za bardzo było czuć moczem, zamieniałyśmy go na materac dyżurnego instruktora z korytarza.

Nikt się nigdy nie dowiedział.

Nasz sekret.

Zabiłaby mnie, gdybym go komuś zdradziła. Nigdy nic nie powiedziałam. To ona umarła.

Po gimnazjum spotykałyśmy się na zajęciach młodzieżowego domu kultury. Oczywiście, żeby spotkać też Freda. Mimy chodziła na taniec i zajęcia teatralne. Ja tylko na cyrkowe. Byłam dość dobra we wszystkich numerach ekwilibrystycznych, na beczce, na kuli, na rolla bolla. Mimy natomiast to zupełnie co innego, doskonała harmonia, wdzięk. Od czasu do czasu Louise otwierała tylko dla nas cyrk-teatr i chodziłyśmy po okrągłej scenie, marząc. Raz zdjęłyśmy w szatni stary afisz z trapezistą w obcisłym surducie, który przechodził przez płonącą obręcz. Nazywał się Rustam Trifon, przyjechał z Mołdawii. Był piękny jak Bóg, blondyn ze stalowymi oczami. Pożyczałyśmy sobie plakat co tydzień. Szalałyśmy na punkcie Rustama Trifona, naszego idola. To było jednak co innego niż Filip Nikolic z 2Be3. Śpiewałyśmy na całe gardło *What’s up* z repertuaru 4 Non Blondes, marząc o wyjeździe na drogi Transnistrii... To tam mieszkał Rustam.

Na pierwszą kolonię w Bois-Plage-en-Ré jako instruktorki pojechałyśmy w 2001 roku. Frédéric był dyrektorem i Mimy wciąż uważała, że jest piękny,

z włosami ostrzyżonymi bardzo krótko i z ukulele. Były tam wciąż te same dzieciaki z dzielnic Elbeuf albo ich kuzyni, ich młodsi bracia, może już ich dzieci. Obie z Mimy zaśmiewaliśmy się jak wariatki, kiedy kazałyśmy im wstawać w nocy na siusię i sprawdzałyśmy, czy ich materace i piżamy są suche.

Za wypłatę zafundowałyśmy sobie w następnym roku festiwal Vieilles Charrues i obejrzałyśmy tam Blues Brothers. Z bliska, prawie mogłyśmy ich dotknąć. Podrywałyśmy bretońskich wolontariuszy. Do schrupania! Któregoś wieczoru Mimy umówiła się z tym, który według niej był najmilszy ze wszystkich, z tym, który zajmował się sprząaniem sraczy.

Taka była Mimy.

Kiedy wróciłyśmy po dwóch tygodniach spędzonych w departamencie Finistère, Buffo nie żył. Odszedł w dniu świętej Anny. Po południu, kiedy było bardzo gorąco, po prostu położył się i zasnął w krzakach róży. Charles pochował go tam, wykopał pod nim dół, nawet go nie ruszył stamtąd. Od tego czasu, za każdym razem kiedy przychodziłam do Charles'a i Louise, na zaułek Tabouelle, nie mogłam patrzeć na te kwiaty, nie myśląc o Buffo.

Zdaje się, że byłby zadowolony, gdyby się wcielił w różę.

W roku 2003 po raz pierwszy kolonia przeniosła się z wyspy Ré do Normandii z powodu zmniejszonych subwencji. Zaczęto też przyjmować więcej nastolatków. Pewnego wrześniowego wieczoru Mimy znalazła małego szczeniaka na tyłach McDonalda w Caudebec-lès-Elbeuf. Nazwała go Ronald, trochę głupie imię dla psa, ale to było pierwsze imię klauna, jakie jej przyszło do głowy. Przyniosła go na rękach do Charles'a i Louise. Był to też sposób, żeby dać do zrozumienia rodzicom, że teraz mniej będzie bywać w domu. Na kolonii była często z Frédérikiem. Sprawa stała się właściwie oczywista, chociaż on był od niej starszy dziewiętnaście lat.

Prawdę mówiąc, wszyscy się tego spodziewali. Uważano nawet, że trochę się guzdrali, zanim na siebie trafili. Na wiosnę Mimy zapytała mnie, czy chcę być świadkiem na jej ślubie. Spieszyła się. Ślub miał się odbyć 2 października w Orival w kościele nad Sekwaną wbudowanym w skałę, tak solidną jak jej miłość, mówiła. Mimy była bardziej romantyczna niż ja, była również lepszą katoliczką, biała suknia, poezja, piękny książę, to bardziej w jej stylu.

Powiedziałam, że tak. Powiedziałam też, że przedtem dam jej wycisk. Że wymyślę najbardziej wariackie plany pogrzebienia jej panińskiego życia. Tak naprawdę obmyśliłam plan, żebyśmy po obozie w Isigny wyjechały we dwie na tydzień na drugi koniec Europy z plecakami, autostopem, może aż do Transnistrii...

Mimy opuściła mnie 26 sierpnia 2004 roku.

Nie powiedziawszy nawet do widzenia.

Miała dzień wolny, poszła drogą do Grandes Carrières, nie dalej, osiemset

metrów od bazy w Isigny.

Jako jedna z pierwszych w towarzystwie dwóch żandarmów zobaczyłam jej siną szyję, nagie ciało pod rozdartą sukienką, szeroko otwarte oczy zwrócone do nieba.

To ja zawiadomiłam Charles'a i Louise. A oni zawiadomili Frédéric'a.

Przypominałam sobie każdą minutę życia, zanim do nich zadzwoniłam w popłochu, park du Puchot z placem zabaw, Buffo, cyrk, Rustam Trifon, grotty babci Ninji...

Nie mogłam sobie wyobrazić, że będę musiała znosić całe życie bez Mimy.

Chcieliśmy, Charles, Louise, Frédéric i ja, poznać prawdę.

Tymczasem nigdy się to jakoś nie kleiło z Carmen Avril i tym stowarzyszeniem przeciw zapomnieniu, Czerwona Nić. Była to jednak okazja, by rozmawiać długo i często z Océane, siostrą Morgane. Byłyśmy prawie w tym samym wieku. Obydwie straciłyśmy najdroższą na świecie istotę.

Zamordowaną przez tego samego osobnika.

Bliźniaczki w bólu.

Jednak się nie rozumiałyśmy. Nie do końca. Océane, tak jak jej matka, ziała nienawiścią. Océane marzyła o tym, by znaleźć mordercę siostry, żeby go zabić własnymi rękami. Ja natomiast byłabym chyba skłonna odwiedzać go codziennie w więzieniu, żeby mu opowiadać wszystkie szczegóły z życia Mimy, żeby zrozumiał, kim ona była, żeby pożałował swojego czynu, żeby ją pokochał, żeby błagał o przebaczenie.

Kiedy Charles i Louise zrozumieli już, że nigdy nie odkryjemy prawdy o śmierci ich jedynaczki, zidentyfikowano podejrzanego numer jeden, Oliviera Roy.

Potem go uniewinniono.

Komendant Léo Bastinet prawie się z tym nie krył. Sprawa umorzona... chyba że coś nieprzewidzianego. W roku 2005 Charles i Louise wystąpili ze stowarzyszenia Czerwona Nić. To był ich osobisty wybór. Nalegali bardzo, żebyśmy, Frédéric i ja, nadal się w to angażowali.

*Nigdy nie zapomnieć.*

Nie zrozumieliśmy więc dlaczego...

Louise wytrzymała do grudnia 2007 roku, do inauguracji cyrku-teatru w Elbeuf po prawie dziesięciu latach remontu. Charles i Louise zaprosili z tej okazji kilku znanych artystów zagranicznych.

Był też Rustam Trifon. Miał pięćdziesiąt trzy lata. Plakat z nim wisiał jeszcze nad łóżkiem Mimy. Zgodził się pojechać na impasse Tabouelle, wszedł do jej pokoju, wspinał się po schodach z gracją anioła. Potem poprosiłam go, żeby zerwał różę w ogrodzie i poszedł położyć ją na grobie Mimy na cmentarzu Saint-Etienne. Wyglądał na wzruszonego.

To była piękna i smutna chwila.

Wieczorem siedzieliśmy wszyscy troje na arenie, Charles, Louise i ja. Patrzając na ogromną kurtynę z purpurowego weluru z rzędami światełek, powiedziałam tylko:

– Mimy byłaby zachwycona.

Charles i Louise nic nie odpowiedzieli. Może myśleli o tym, że Mimy widzi to wszystko z góry. I słyszy. Przeżywa te same emocje. A może nie. Od śmierci Mimy trochę stracili się z oczu z Bogiem.

I tak się rozstaliśmy.

Pożałowałam zaraz, że nie powiedziałam im o swoich wątpliwościach.

Następnego dnia Charles i Louise pojechali na wyspę Ré. Lokale kolonii w Bois-Plage-en-Ré prawie dziesięć lat temu zostały sprzedane i zrobiono tam kemping. Jeszcze jeden. Taki luksusowy, z basenem i kortami tenisowymi, gdzie nigdy żaden dzieciak z Elbeuf nie będzie mógł pojechać. Około 18.50, tuż przed zamknięciem, weszli na samą górę latarni morskiej Baleines. Pięćdziesiąt siedem metrów. Dwieście pięćdziesiąt siedem stopni. Zimny wiatr dał od Atlantyku, byli sami.

Trzymając się za ręce, przesadzili betonową balustradę i rzucili się w pustkę.

\*

Od tej pory często odwiedzałam babcię Ninję na drodze des Roches. Była jedyną żyjącą osobą mojej prawdziwej rodziny. Dużo rozmawiałyśmy. W końcu wyznałam jej, co mi leży na sercu. Pocieszyła mnie. Dobrze zrobiłam, że nie powiedziałam nic Charles'owi i Louise. Lepiej, że odeszli przekonani, że Mimy została zamordowana przez przypadek. Że nie można było oskarżać nikogo innego poza fatalizmem. Ale dała mi też do zrozumienia, że ta wątpliwość będzie mnie drażnić, nękać. Że trzeba, żebym się jej pozbyła.

– Jak, Jeanine? Jak?

– Opowiadając wszystko policjantom, kochanie. Nawet jeśli to będzie rozdrapywanie najgłębszych ran.

Pomyślałam wtedy o tym wierszu Mimy.

O ostatnich wersach.

*Zbuduję wokół nas twierdzę*

*I mężnie będę jej bronić*

M20

Mimy nigdy by nie mogła tego napisać.

Tak mi jej brakowało.



**Rozdrapywanie najgłębszych ran?**

Mona zgasiła światło w samochodzie i odwróciła się do mnie.

– No więc?

Brązowa koperta spadła mi pod nogi. Trudno było połączyć to wszystko, co przeczytałem, z morderstwem Morgane Avril, samobójstwem Magali Verron, ale ten związek na pewno istniał.

Wystarczyło to rozwikłać... Powrócił mi obraz czerwonego szalika zbyt mocno owiniętego wokół szyi.

Mona zauważyła w kącie mojego oka błyszczącą łzę.

– Wzruszające?

– Bardzo.

– À propos Morgane czy Myrtille?

– Myrtille. Raczej Mimy... Bardzo ładna deklaracja miłości.

Spojrzenie Mony skrzyło się dziwnie. Zawahała się, po czym jednym palcem wytarła mi delikatnie powiekę.

– Dziękuję – powiedziała.

– Za co?

Nie odpowiedziała i włączyła wsteczny bieg, żeby wyjechać samochodem z ogrodu.

\*

23.10.

Mona zaparkowała na placu Jean-Paul-Laurens, dokładnie naprzeciwko domu Christiana Le Medefa. Żadnego gliniarza na horyzoncie. Zanim przeszedłem przez parking, włożyłem jednak kaptur swojej kurtki Wind Wall North Face. Zatrzymałem się przed domem rybaka.

– Wczoraj nie było zamknięte na klucz.

Przekręciłem klamkę. Drzwi się otworzyły.

– Odważny ten twój świadek – zażartowała Mona.

Odczekałem, aż weszliśmy oboje, i krzyknąłem:

– Christian? Christian Le Medef?

Żadnej odpowiedzi, tak jak się spodziewałem. Atarax, były inżynier od energii jądrowej, nie wrócił do domu.

Uciekł?

Porwany?

Zamordowany?

Mona szła za mną ciemnym korytarzem, prawie rozbawiona.

Zatrzymałem się gwałtownie. Zlodowaciały, tak jakby temperatura w pomieszczeniu nagle spadła.

Schody przed nami tonęły w całkowitej ciemności.

– Żadnego światła – wyszeptałem.

– Logiczne, nie?

– Nie! Wczoraj na piętrze w pokoju Le Medefa świeciła się lampka nocna.

– Zgasiłeś ją przed wyjściem.

Potrząsnąłem głową. Byłem pewny, że niczego nie dotykałem. Końcem palców zapaliłem latarkę w moim iPhone. Snop światła oświetlił schody.

Nic. Żadnego odgłosu. Żadnych oznak życia. Dokładnie tak, jak podczas mojej wizyty poprzedniej nocy.

Z wyjątkiem tej zgaszonej lampki nocnej.

Wszedłem jakieś dziesięć stopni, żeby oświetlić podest na piętrze, stanąłem i ponownie zawołałem:

– Le Medef?

Nikogo.

Znowu się myliłem. Wczoraj wieczorem przycisnąłem wyłącznik tej cholernej lampki, żeby ją zgasić, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

– Chodź, zobacz, czy zwariowałem! – rzuciłem nagle do Mony, schodząc po schodach. – Idziemy do salonu.

Przepuściła mnie na korytarz, nasze ciała się musnęły. Flesz mojego telefonu komórkowego omiatał ściany, oświetlając zawilgotniałą odklejającą się tapetę, szare kontakty elektryczne, pokryte pleśnią boazerie. Poprzedniego wieczoru, zaprzątnięty myślą o zniknięciu Christiana Le Medefa, nie zauważyłem, do jakiego stopnia dom rybaka, którym miał się opiekować, wydawał się bliski stanu zapuszczenia.

Zniżyłem latarkę, żeby oświetlić biało-czarną posadzkę z płytek. Ciszę zakłócały jedynie nasze kroki.

Cisza...

Nowe wyładowanie zelektryzowało moje ciało. Szaleństwo znowu krążyło w pobliżu.

Nie słyszałem już żadnych szmerów. Ktoś wyłączył tranzystor!

Wyszeptałem w półmroku.

– Wczoraj radio było włączone.

Mona mi nie odpowiedziała. Czułem tylko na plecach jej oddech. Po kręgosłupie przebiegały mi dreszcze. Co odkryję w tym salonie? Stanąłem w drzwiach.

– Christian?

Żałosne. Co ja sobie wyobrażam? Że porywacze przyprowadzili go w ciągu dnia, żeby dokończył swoje tagliatelle?

Oczywiście żadnej odpowiedzi. Nawet sygnału radia France Bleu.

Kto mógł tu przyjść po mojej wizycie? Po kiego diabła? Żeby położyć trupa Le Medefa?

Mój flesz omiół salon w kierunku stołu na środku, potem krzesło, mikrofalę, telewizor, odbiornik radiowy... Kilka razy. Coraz szybszymi kręgami, po chwili prawie histerycznymi.

Gonitwa oświetlacza, który zwariował.

Potem nagle, wbrew wszelkiej ostrożności, nacisnąłem wyłącznik. W pomieszczeniu rozbłysło białe światło gołej żarówki, drażniąc nasze powieki. Osłoniłem oczy, nie mogąc uwierzyć w to, co widzę.

*Pomieszczenie było puste.*

Kompletnie puste.

Ani krzesła, ani stołu, ani butelki, ani talerza czy szklanki, ani programu telewizyjnego, ani nawet radia. Ani nawet żadnego mebla.

Od wczoraj salon i kuchnia zostały całkowicie opróżnione.

Mój telefon stał się nagle potwornie ciężki. Głowa mi latała. Mona weszła do środka. Cichutkie echo towarzyszyło jej krokom.

– Le Medef tu mieszkał?

– Tak.

Przewyciężyłem zawrót głowy i wskazałem dokładnie jedno po drugim miejsca, w których stały meble. Przejechałem palcami po ścianach, po podłodze. Ślady kurzu albo ich brak wskazywały wyraźnie, że przedmioty zostały wyniesione dopiero co. Że wszystko zostało wyniesione w pośpiechu.

– Wszystko opróżnili – powiedziałem.

– Kto taki?

– Nie mam pojęcia, Mona. Ale to nie takie trudne. Stół, krzesło, trochę sprzętu AGD. To się zmieści do furgonetki...

Mona nic nie odpowiedziała. Snułem dalej swoje wyjaśnienia.

– Najpierw usuwa się kłopotliwego świadka. Potem wszystkie inne dowody...

– Spisek... Są niesamowicie zorganizowani, Jamal. W głosie Mony pobrzmiwała krztyna ironii.

Odwróciłem się do niej i złapałem ją za ramiona.

– Do cholery, Mona! Myślisz, że mógłbym wszystko wymyślić? Każdy szczegół? Kieliszek wina, talerz tagliatelle, ściszone radio? Myślisz, że do tego stopnia zwariowałem?

Moje zbyt głośne słowa odbiły się od gołych ścian. Mona stanęła na środku, dokładnie tam, gdzie znajdowało się krzesło Le Medefa. W przeddzień.

– Przestańmy zadawać sobie tego rodzaju pytania, Jamal. Będziemy się trzymać programu. Twojej obietnicy, pamiętasz? Tej nocy fundujemy sobie ostatnią niespodziewaną wizytę u twoich dwóch świadków. U Christiana Le Medefa i Denise Joubain. Następnie udajesz się do glin.

Nie zaprotestowałem. Nie miałem już siły.

Przebywaliśmy jeszcze kilka minut w domu, wreszcie Mona wzięła mnie za rękę i wyprowadziła. Jak tylko stanęliśmy na ulicy, w domu naprzeciwko otworzyły się drzwi. Na jezdnię padło słabe światło. Odruchowo ukryłem się w ciemności. Facet, który wychodził, mógł dostrzec tylko sylwetkę Mony.

– Chłodno, co?

Kulejący cień przemknął między jej nogami. Rozpoznałem psa na trzech łapach z wczorajszego wieczoru. Jego pan zapalał papierosa i trwało to całą wieczność, a przez ten czas korzystał ze światełka zapalniczki, by przyjrzeć się twarzy Mony.

– Nie każdej nocy widzi się na ulicy taką ładną dziewczynę jak pani.

Pies o trzech łapach pokuśtykał w moją stronę. Mona odruchowo przywołała go mlaśnieciem języka i schyliła się, żeby go pogłaskać. Sąsiad zdaje się docenił ten gest.

– Od dawna pan tu mieszka? – zapytała badaczka.

– Noo. Już będzie dziesięć lat...

Zaciągnął się.

– Co pani robiła w tym domu?

Ten drań widział światło!

– Zwiedzałam – odpowiedziała Mona naturalnym głosem.

Wszedłem jeszcze głębiej w noc, uważając, by podnosić lewą nogę kilka centymetrów nad chodnikiem.

– O tej porze?

Wydawał się zdziwiony. Gestem, który mnie samego zaskoczył, ścisnąłem odruchowo kolbę king cobry w kieszeni. Facet wypuścił trochę dymu, po czym wzruszył ramionami.

– Można pomyśleć, że są gotowi na wszystko, żeby sprzedać...

– Żeby sprzedać? – powtórzyła Mona.

– Tak. Od sześciu miesięcy szukają nabywcy. No, przecież Yport to nie Deauville, co? Tu jest kilkadziesiąt takich domów na sprzedaż...

Nogi mi drżały. Zachowałem równowagę, opierając rękę na kamieniu, na zimnym ziarnistym piaskowcu. Mona odgrywała pierwszą naiwną.

– I od sześciu miesięcy dom stoi pusty?

– Tak. Przychodzą tylko klienci, żeby obejrzeć. Ale raczej rzadko. A już o tej porze...

Wypluł niedopałek i uśmiechnął się do Mony, wyobrażając sobie, choć nie

bardzo w to wierząc, że byłaby czarującą sąsiadką, po czym zawołał psa. Drzwi się za nim zatrzęsły.

Odczekałem, potem w ciemności poszedłem w stronę fiata. Za moimi plecami rozległ się głos Mony.

– Zadowolony?

Zmusiłem się, żeby wysunąć najbardziej nieprawdopodobne argumenty.

– Pusty dom! Idealny, żeby mnie złapać w pułapkę. Urządza się i likwiduje wystrój spokojnie, bez żadnych przeszkód.

Mona zamigłała reflektorami fiata.

– To Le Medef był w zмовie? Myślałam, że był twoim sprzymierzeńcem? To on ci wskazał dom, w którym mieszka, no nie?

– Może mi nie ufał. Mówił o spisku, o omercie. Może się bał! Może też...

Mona podała mi kluczyki.

– Okay, let's go, Jamal. Ostatni etap. Masz, będziesz prowadził, to ty znasz drogę do Denise.

Ani słowa więcej.

A mogła przecież rzucić mi tysiąc argumentów, żeby wykazać, że scena zniknięcia Christiana Le Medefa mi się przyśniła. No i porwanie wszystkich jego mebli. Że sąsiad był z tych, co to zauważą ciężarówkę do przeprowadzki zaparkowaną przed jego drzwiami na przykład. Że w gruncie rzeczy jedynym świadkiem, jakiego miałem między wczorajszą nocą a dzisiejszą, był pies o trzech łapach.

Zapaliłem silnik fiata.

Tablica rozdzielcza pokazywała godzinę, zielone świetlne cyfry.

23.32.

– Denise Joubain dostanie ataku serca o tej godzinie...

– Albo ja – odpowiedziała Mona. – Jaka następna niespodzianka w programie? Denise z gardłem podejrzanym przez wariatów? Jej duch, który robi nam herbatę?

*Duch Denise Joubain...*

W ciszy panującej w aucie przypomniałem sobie słowa starszej pani. Twierdziła, że od lat nie wychodzi z domu. Mnie jednak poznała, spotkała mnie, ale to było dziesięć lat temu, na plaży w Yport, tego ranka, kiedy zamordowano Morgane Avril. Moja ostatnia nadzieja opierała się na świadectwie zramolałej staruszki, której szaleństwa miały się jeszcze bardziej przyczynić do przekonania mnie o własnej amnezji.

Mona siedziała na fotelu pasażera, zapaliła światło i przeglądała dossier Morgane Avril i Magali Verron skradzione Carmen Avril i Pirozowi. W skupieniu. Nagle odniosłem wrażenie, że coś ją zaniepokoiło. Jej wzrok bez przerwy przeskakiwał z jednego dossier na drugie.

Zwolniłem przy wejściu na długą prawą linię, która prowadziła na dawny dworzec w Tourville-lès-Ifs.

– Znalazłaś coś?

Obrzuciła mnie dziwnym spojrzeniem.

*Oczywistość.*

*Znalazła coś. Coś, co ją wzburzyło.*

– Nie. No, może.

– Co?

– Potem. Po starej.

– Dlaczego?

Mona gwałtownie podniosła głos.

– Po starej, do cholery.

**Znalazłaś coś?**

Reflektory fiata oświetliły najpierw wagon Orient-Expressu, potem lokomotywę Pacific Chapelon i w końcu fasadę dawnego dworca, którego zegar wskazywał wciąż godzinę 7.34.

Gdy tylko wyłączyłem silnik, dworzec, pociągi i parking zniknęły w ciemnej nocy. Posuwaliśmy się przy świetle latarek. Nasze obie wiązki świetlne omiały niebieskie ściany pańskiego domu.

– Budzimy Denise? – spytała Mona.

Zanim odpowiedziałem, nacisnąłem klamkę. Tym razem zamknięte. Wioska Ifs składała się z kilku domków, których sylwetki rysowały się z odległości pięćdziesięciu metrów.

– Przecież obudzimy całą dzielnicę, jeśli zaczniemy pukać.

Nie zastanawiając się dłużej, zrobiłem trzy kroki w stronę okna. Okiennice nie były zamknięte. Schwyciłem kamień wielkości jajka i walnąłem nim mocno w szybę, tę najbliższą klamki. Dziesięć centymetrów na dziesięć. Mała kaskada zbitego szkła zamigotała w ciszy. Nie zachowując jakichkolwiek dodatkowych środków ostrożności, otworzyłem okno od środka.

Na dłoni perliło mi się kilka kropli krwi. Łagodne skaleczenia. Mona patrzyła na mnie, nic nie mówiąc.

– Zrobimy Denise niespodziankę – zażartowałem.

Ale nie było mi do śmiechu.

Po co się włamywać? Żeby walczyć z oczywistościami, które mi serwowano? Czego się spodziewałem? Że zastanę u Denise Joubain armię spiskowców zajmujących się przygotowywaniem nowego wystroju, ustawianiem ścian nowego pokoju złudzeń?

Weszliśmy przez okno.

*Arnold*, pomyślałem natychmiast.

Arnold nas zwęszy!

Dziwna rzecz, shih tzu się nie pojawił. Usiłowałem odtworzyć w pamięci rozkład pomieszczeń byłego dworca. Sypialnia Denise mieściła się po przeciwnej stronie na ukos.

Moja lampka oświetlała ściany.

Odczułem ogromną ulgę. Zrobiło mi się przyjemnie ciepło, prawie gorąco. Fotografie pociągów przemierzających świat były na swoich miejscach! Orient-Express mknął po lagunie w Wenecji, shinkansen wjeżdżał do swojego

japońskiego miasta. Moja latarka w dalszym ciągu prowadziła oględziny, przemykając po wystających belkach, normandzkiej szafie, po suszonych kwiatach w wazonie, krzesłach wyplatanych słomą.

Każdy szczegół był identyczny z moimi wspomnieniami! A więc kilka neuronów w moim mózgu jeszcze się ze sobą łączyło. Pierwszy raz od dawna mogłem polegać na swojej pamięci. Ta obłądna rozmowa z Denise jednak mi się nie przyśniła.

Wahałem się między tym, czy zawołać Denise Joubain, tak jak wołałem Christiana Le Medefa, czy zaskoczyć ją w łóżku, żeby spowodować wstrząs elektryczny, potrząsnąć nią, zanieść pod prysznic, torturować, aż zmieni swoją wersję i przypomni sobie plażę w Yport w środę, Piroza i zwłoki Magali Verron.

Doszliśmy do sypialni. Kiedy pchnąłem drzwi, mój trampek przyśrubowany do protezy lewej stopy nadepnął jakiś miękki przedmiot leżący na podłodze.

Ciszę rozdarł surrealistyczny pisk. Hałasująca plastikowa zabawka. Żyrafa czy jakiś inny słodziak niemowlaka.

Prawie natychmiast w sypialni Denise Joubain zapaliła się lampa. Siatkówki moich oczu eksplodowały. Ścisnąłem rewolwer w kieszeni. Nie pozwolić, żeby stara krzyczała. Nie dać jej czasu tym razem, żeby zaalarmowała gliny. Nie pozwolić...

*Ściany sypialni starej kobiety pokryte były tapetą Hello Kitty.*

Nad moją głową zwiślały przyczepione na nitce u sufitu małe laleczki-czarodziejki. Inne chochliki wspinały się po zasłonach. Pełno było olbrzymich pluszaków. Psy, króliki i słonie. Inne wróżki czarodziejki huśtały się nad turkusowym łóżkiem. Z głębi pokoju wpatrywało się we mnie dwoje oślepionych oczu. Oczu sześciolatniego dziecka.

Z mojej prawej strony rozległ się krzyk, od którego zakręciło mi się w głowie. Dochodził z drugiego łóżka, mniejszego, z różowymi prętami.

Wynurzyła się z niego głowa trzyletniej dziewczynki. Przerażonej. Mała wyła bez przerwy, nawet bez tchu, nie troszcząc się o czerwień, która zabarwiała jej policzki, czoło, szyję.

– Cholera, Jamal...

Mona wydawała się niezdolna do wymówienia innego słowa. Tak jakby do tej pory akceptowała z pełną wyrozumiałością moje obłądne poczynania, ale tym razem przekraczałem czerwoną linię.

Odwróciłem się na pięcie, usiłując przybrać taką pozycję, która by uspokoiła dziewczynkę.

Na próżno.

Teraz z kolei wybuchnął chłopczyk, darł się głośniejszym niż siostra, kuląc swoje chude ciało w piżamie z piratami.



– Czego tu chcecie? – zagrzemiał jakiś głos za naszymi plecami.

Za nami stało dwoje dorosłych. Kobieta w koszuli nocnej, rozczochna, blada, oniemiała z przerażenia. Mężczyzna z nagim torsem, koło czterdziestki, wymachujący kuchennym nożem, który trzymał w prawej ręce.

Drżącej...

Wilgotna dłoń Mony spoczęła na moim ramieniu w chwili, gdy ja wymierzyłem king cobrę w oboje rodziców.

Zwykły odruch.

W sypialni koncert dziecięcych krzyków przybrał na sile. Matka, niczym wilczyca, wydawała się czyhać na najmniejszą chwilę naszej nieuwagi, żeby rzucić się na tych dwoje obcych, którzy jej bronią dostępu do dzieci.

Głos Mony stał się błagalny.

– Jamal, nie.

Ścisnąłem kolbę rewolweru.

– Co wy tu robicie? – zapytałem ja z kolei.

– Co?

Ojciec rodziny, choć zaskoczony, wytrzymał moje spojrzenie. Nie dawał po sobie poznać choćby cienia strachu.

Powtórzyłem:

– Co wy tu robicie?

Wydawało się, że nie rozumie sensu mojego pytania, ale jednak odpowiedział.

– Wynajęliśmy zajazd na tydzień...

Mona ciężko westchnęła i pociągnęła mnie za rękaw.

– Dobrze, Jamal. Tym razem pękamy...

Nie ruszyłem się. King cobra był tylko rewolwerem do obrony, nieszkodliwym, niegroźnym, ale mężczyzna z nożem tego nie wiedział.

– A wczoraj? – zapytałem. – Byliście tu wczesnym popołudniem?

– Nie – odparł ojciec rodziny. – Przez cały dzień zwiedzaliśmy plaże lądowania w Normandii, ale...

W miarę moich pytań jego głos nabierał pewności siebie. Może myślał, że ma do czynienia z gliniarzami o osobowości borderline...

Mona znowu pociągnęła moją rękę.

– Chodź. Straszysz mnie.

Poszedłem za nią powoli, cały czas celując w rodziców. Matka rzuciła się do małej, która za sprawą jakiejś magii zamilkła. Ojciec nie spuszczał z nas oczu, z wyciągniętym w naszą stronę nożem.

Ręka Mony schwyciła moją, ścisnęła ją, żebym szybciej wyszedł. Nie tracąc równowagi. Bibeloty dawnego dworca kłębiły się w mojej głowie. Pociągi na ścianach, krzesła ze słomą, wróżki na suficie.

Psiakrew, nie mogłem przecież wymyślić wszystkich tych szczegółów! Doskonale pamiętałem te fotografie, te meble, każde miejsce każdego przedmiotu w tym pomieszczeniu.

Kiedy już przeszliśmy przez drzwi dawnego dworca, Mona zmusiła mnie do biegu. Przypomniałem sobie, jak kilka godzin wcześniej Arnold biegł za mną aż na parking, tak jakby zawsze tu mieszkał i bronił zajadle swojego terytorium. Pod ścianą stały dwa rowerki dziecięce, jeden bez kółek, drugi z kółkami. Kilka metrów dalej zaparkowane było audi z rejestracją 75.

Tym razem prowadziła Mona, nie odzywając się słowem. Tylko ja mówiłem, jakbym chciał przekonać sam siebie. Strzelając argumentami gwałtownie, aż do ostatniego naboju.

– Ten dawny dworzec jest wiejskim zajazdem, dobrze. Ta rodzina wynajęła go na tydzień, okay, ale wczoraj przez cały dzień ich nie było. Wystarczająco długo, żeby pochować zabawki dzieciaków w sypialni. Żeby Denise mogła się zainstalować w tym domu. Odegrać przede mną tę komedię. Opowiedzieć mi historię swojego męża kolejarza. I twierdzić, że nie przypomina sobie samobójstwa Magali Verron.

Mona nic nie odpowiedziała. Nie ujechaliśmy trzystu metrów, kiedy skręciła gwałtownie na prawo i zatrzymała samochód na obszernym pustym parkingu przed długim cementowym budynkiem.

*Magazyn Bénédicte*, głosiły duże czerwone litery. Miejsce wydawało się opuszczone.

Mona wyłączyła stacyjkę.

– Koniec podróży, Jamal. Pojechałam tak daleko, jak mogłam.

– Posłuchaj, Mona...

W głowie miałem wciąż fotografie pociągów i terenów, przez które jechały. Magistrala Bajkał–Amur zakopana w śniegu, zbocza Andów i falochrony wchodzące w morze. Widziałem te obrazy wczoraj! W dawnym dworcu w Ifs.

– Nie, Jamal, koniec z tym. Denise Joubain nigdy nie mieszkała na tym dworcu. Tak jak Christian Le Medef nie mieszkał w domu na placu Jean-Paul-Laurens. Nigdy z nimi nie rozmawiałeś, nigdy nie widzieli tej dziewczyny skaczącej z klifu. Ani oni, ani nikt inny. Ani żaden dziennikarz. Ani żaden glina. Bo ta Magali Verron nigdy nie istniała, Jamal. Wymyśliłeś ją. Nie wiem dlaczego, ale stworzyłeś tę dziewczynę we wszystkich szczegółach. Ma to pewnie związek z Morgane Avril, skoro nadałeś tamtej jej twarz. Może też z zamordowaniem Myrtille Camus. To na pewno dlatego gliniarze chcą cię odnaleźć, ale jedna rzecz jest pewna, Jamal, i to jest raczej dobra wiadomość. – Nabrała powietrza, zanim mnie dobiła. – Gliniarze nie mogą ci imputować morderstwa i gwałtu Magali Verron: ta dziewczyna nie istnieje!

Schwyciłem dossier żandarmerii, które ukradłem u Piroza.

MAGALI VERRON, napisane dużymi drukowanymi literami.

– Nie mogłem jej wymyśl...

Zniecierpliwionym gestem Mona dała mi znać, żebym zamilkł.

– Już przed chwilą o tym rozmawialiśmy. Ja się wywiązałam z mojej części umowy, Jamal. Teraz twoja kolej, żebyś wypełnił swoją część. Jak tylko wzejdzie słońce, pójdziesz do gliniarzy, oddasz się w ich ręce.

Nie chciałem ustępować.

– Cholera, Mona, oni tylko na to czekają! Okay, na razie bijemy głową w mur, ale są jeszcze inne strefy cienia do zbadania, nie uważasz? No, na przykład ta historia z dylematem więźnia. Również te przesyłki! Nie jestem przecież aż tak chory, żeby wozic te koperty w schowku, a godzinę później o nich zapominać.

Czułe spojrzenie Mony przywiodło mi na myśl spojrzenia psychologów z Instytutu Saint-Antoine, kiedy z profesjonalną cierpliwością słuchali niesamowitych wyjaśnień nastolatków przyłapanych na kłamstwie.

Do diabła! Nie ustępowałem.

– Wytłumaczenie znajduje się w tych listach! Coś, czego nikt nie zauważył, Mona. Na co tylko ja mógłbym znaleźć...

Z czułością przejechała mi ręką po włosach. Gestem bardziej matczynym niż zakochanej dziewczyny.

– Zapomnij, Jamal. Zapomnij o terażniejszości. Zapomnij o wszystkim, co się działo przez ostatnie trzy dni. Przywidziało ci się. – Jej palec wskazujący trafił w moje czoło. – Przywidziało ci się, bo prawda jest w twojej głowie gdzieś bardzo daleko, głęboko ukryta. Musisz poszukać w niej tego, co się działo dziesięć lat temu, a nie tego, co się działo w tym tygodniu.

Schwyciłem, nie myśląc, jej nadgarstek, i ścisnąłem mocno, za mocno, po czym odrzuciłem go na jej kolana jak martwą gałąź.

Głos mi zlodowaciał.

– A więc ty też.

– Ty też co?

– Ty też odgrywasz tę gierkę. Doprowadzić mnie do szaleństwa, żeby zwalić na mnie winę. Insynuować mi morderstwo tych dwóch dziewczyn dziesięć lat temu. Taki jest cel, prawda? Żebym pękł? Żebym się przyznał?

Nagle pomyślałem znowu o kopertach w schowku fiata 500, o listonoszu, który przyniósł przesyłkę do Vaucottes, o tych ukartowanych z góry zagraniach, tak jakby można było uprzedzać każdy mój najmniejszy ruch. Tylko Mona mogła to wszystko zorganizować! Była najważniejszym elementem tego spisku.

– Zostaw mnie teraz, Mona. Będę szukał dalej, sam.

Jej ręka próbowała znowu położyć się na mojej. Odepchnąłem ją.

– Nie mam już zaufania, Mona. Nikomu już nie ufam.

Zdałem sobie sprawę, że jestem wstrętnym draniem.

*Może...*

Mona podejmowała dla mnie niesłychane ryzyko.

*Albo nie.*

Wątpić znaczyło podjąć ryzyko. Ryzyko, na jakie ja nie mógłbym już sobie pozwolić. Miałem wstać, zostawić fiata i zniknąć w ciemnościach nocy. Mona otworzyła drzwi.

– Weź samochód, Jamal. Tobie będzie bardziej potrzebny niż mnie...

Spojrzenie badaczki przemieściło się po raz ostatni z dossier Magali Verron na dossier Morgane Avril. Przypomniałem sobie, że odkryła w nich coś, zanim zatrzymaliśmy się przed dawnym dworcem, coś, co ją trochę bardziej utwierdzało w tym, że plotłem androny.

*Potem. Po starej* – powiedziała wtedy.

Za późno, by ją zapytać.

Wysiadła, potem pochyliła się w moją stronę. Jej twarz, oświetlona przez latarnię stojącą kilka metrów dalej, wydłużała się. Nie przypominała już okrągłej i radosnej ryjówki, raczej zaszczute zwierzę, małego nieostrożnego gryzonia, który nie zauważył, że przyszła zima. Po policzkach płynęły jej łzy.

– Jest coś jeszcze, Jamal. Uważam nawet, że to istota problemu. W twoim puzzlu trzeba dodać ważny element, fakt, który rzuca się w oczy, a którego nie jesteś świadomy.

Łzy popłynęły ze zdwojoną siłą.

*Ważny fakt, który ja zlekceważyłem?*

Zanim w ogóle mój mózg zdążył dojść sensu tych niedomówień, Mona wyjaśniła.

Trafiając w samo serce.

– Zakochałeś się w tej dziewczynie, Jamal! W tej Morgane Avril. W tej twarzy, którą mi tak długo opisywałeś. Tak szlachetnej, tak czystej, tak smutnej. W tej twarzy, którą, jak ci się wydawało, spotkałeś znowu trzy dni temu na klifie. Poważna i zrozpaczona, pamiętasz. Zanim ci się wymknęła i ulotniła się w pustce. Roisz coś sobie o trupie, kochany! O ładnym trupku zmarłym i pochowanym dziesięć lat temu. Przykro mi, nie jestem wystarczająco silna. Nie mogę być zazdrosna o ducha.

– Ta dziewczyna istnieje, Mona.

Rzuciła mi uśmiech, nie odpowiedziała, podeszła do fiata. Przez dłuższą chwilę obserwowała prostą pustą drogę, po czym wyjęła coś z kurtki.

Złoty błysk w ciemności.

– Zwracam ci ją – powiedziała Mona.

Położyła delikatnie na masce samochodu gwiazdę szeryfa.

Nie byłem w stanie wymówić słowa.

– Życzę szczęścia – szepnęła przez otwarte drzwi.

*Gwiazda szeryfa. Pięć moich wyznaczników...*

Pięć kierunków mojej gwiazdy, tak jak reszta, zostało wyeliminowanych przez burzliwe wydarzenia ostatnich dni. Dziwna rzecz, przedefilowały mi w głowie teraz, kiedy Mona się oddalała, połknięta przez ciemności parkingu. *Zostać. Kochać. Mieć. Być. Spłacić.*

Błądząc myślami gdzie indziej, nie od razu zauważyłem, że Mona zawraca. Potem, kiedy podeszła znowu do fiata, pomyślałem, że wróci do mnie, pocałuje mnie, przytuli się i przeprosi.

Ale ona zdjęła tylko z szyby wycieraczkę.

*Co ona odgrywała, do cholery?*

Powoli, jednym palcem napisała coś na zakurzonej przedniej szybie. Dwanaście liter.

M A G A L I V E R R O N

Jej palec zaczął następnie zmywać jedną literę, tylko jedną, żeby natychmiast napisać ją kilka centymetrów niżej.

Najpierw M.

Potem O.

Potem R.

Potem G.

Potem wszystkie inne.

Kiedy każda z dwunastu liter została zmazana, potem napisana w innej linijce, trochę niżej, ale w innej kolejności, w kurzu szkła szyby ukazało się nowe imię.

M O R G A N E A V R I L

Mona pochyliła się znowu do drzwi fiata 500.

– Jedna i ta sama kobieta, Jamal. Zmarła i jej duch...

Na końcu drogi wytrysnęły dwa reflektory, potem, prawie natychmiast, ostre światło koguta wdarło się w noc niebieskim zawirowaniem.

## Zmarła i jej duch?

Boxer żandarmerii zjechał gwałtownie ze swojej trasy, żeby wbić się w nasyp i zakończyć jazdę kilka metrów od fiata 500.

Z zapalonymi reflektorami. Dwa słońca atakujące z bliska, podczas gdy wokół walcowało elektryczne niebieskie niebo.

Przez chwilę zastanawiałem się, jak żandarmi mogli nas tak łatwo znaleźć. Tylko chwilę.

*Ale ze mnie kretyn!*

Przecież od razu po naszym odjeździe rodzice z zajazdu w dawnym dworcu zadzwonili do gliniarzy, facet uzbrojony w spluwę włamał się do nich i stał w pokoju dzieci.

Arab. Kulawy. Podenerwowany.

I kawaleria przypuściła szturm.

Z furgonetki wyłoniły się dwa cienie, rozpoznałem ciężką sylwetkę Piroza i drugą, długą i pochyloną, jego zastępcy.

Głos kapitana rozległ się w nocy:

– Salaoui, koniec zabawy. Wyjdź z wozu, z rękami do góry.

Piroz i jego zastępca trzymali spluwy. Postąpili metr naprzód. Reflektory świecące im w plecy powiększały ich cienie w nieskończoność. Mona się odsunęła, aż przywarła do maski fiata, jakby przestraszona ich nieproporcjonalnie długimi uzbrojonymi rękami.

Piroz znowu zagrzmiął:

– Pani Salinas, proszę się nie ruszać.

Siedziałem zeszytywniały w samochodzie, niezdolny do podjęcia jakiegokolwiek decyzji. Czułem ciężar king cobry w kieszeni. Śmiechu warta broń strzelająca gumowymi kulami.

– Wychodź, Salaoui! Już!

Otworzyłem drzwi. Spokojnie. Odczuwałem to, co zapewne odczuwa się przed śmiercią, intensywną rezygnację, ale też podstępne ostatnie podniecenie... Wiedzieć wreszcie, co się tam kryje. Wyjaśnienie wielkiej tajemnicy.

Kim byłem?

Zboczeńcem dotkniętym amnezją czy schwytanym w pułapkę kozłem ofiarnym?

– Wychodź, Salaoui!

Moje spojrzenie objęło parking magazynu Bénédictine. Noc zasłaniała asfalt

niecałe dziesięć metrów ode mnie.

– Bez wygłupów – warknął jeszcze Piroz – wcale nie mam ochoty do was strzelać.

Powinienem był rzucić się biegiem i zniknąć w ciemności, po prostu popędzić przed siebie. Czy gliny ośmieliłyby się otworzyć ogień?

– Rób, co ci mówią – błagała Mona.

Wstając, przykleiłem lewą rękę do samochodu w cieniu karoserii. Czułem ciepło Mony z odległości niecałego metra, jej wystraszony oddech. W jednej sekundzie podjąłem decyzję.

Najgorszą z możliwych.

Próbować szczęścia. Aż do końca.

Odruch wróbla, tak jak robi każdy dzieciak z przedmieścia na widok uniformu. *Odfrunąć!*

Z niesłychaną powolnością podniosłem prawą rękę, podczas gdy lewa ręka, ukryta przy drzwiach, przeszukiwała kieszeń mojej kurtki Wind Wall.

I wszystko odbyło się już bardzo szybko.

Podniosłem jednym ruchem lewą rękę, z dłonią kurczowo zaciśniętą na king cobra wycelowanym w gwiazdy, żeby Piroz został zaskoczony przez dwie sprzeczne ze sobą informacje.

Podane jednocześnie.

Jestem uzbrojony. Poddaję się.

Liczyłem, że skorzystam z tego minimalnego wahania, żeby skoczyć w noc, popędzić na wschód, pokonać najpierw trzydzieści metrów parkingu, a następnie kilometry równinnych pól. Setki godzin treningów miały mi posłużyć do ratowania życia.

Detonacja rozległa się bez uprzedzenia.

Piroz strzelił do mnie. Z bliska.

Żadnego bólu.

Piroz i jego zastępca opuścili broń równocześnie, niemi z przerażenia.

Powolnym ruchem, jak na filmie w zwolnionym tempie, Mona zachwiała się i przylgnęła do mnie.

King Cobra tańczył w mojej pięści frenetycznie, podczas gdy ciało Mony podrygiwało przy moim ramieniu. Z jej piersi tryskała krew, zalewając zielony sweter... Druga szkarłatna struga płynęła z jej warg.

Serce mi waliło tak, że o mało nie pękło.

Gniew. Strach. Nienawiść.

Mona traciła oddech. Z jej gardła wydostawały się nieme słowa, tajemnice szeptane do uszu aniołów. Oczy się lekko zamglily, jakby odkrywały jakiś pejzaż, którego nikt nigdy nie oglądał, potem w jednej chwili znieruchomiały.

Na wieki.

Ciało Mony osunęło się po mnie i upadło twarzą do asfaltu prawie bezgłośnie, z elegancją małej baletnicy, która umiera na scenie.

Moje trzęsące się dłonie usiłowały zatrzymać pęd king cobry. W półmroku gliny nie mogły dostrzec marki rewolweru, z którego do nich celowałem. Spróbowałem szczęścia.

Lufa spluwy skierowana prosto w gębę Piroza!

Obszedłem powoli fiata, żeby usiąść na miejscu kierowcy. Obaj gliniarze, wymachując rękami, nie ruszyli się ani o krok, jakby przygniecenii ciężarem swojego wyczynu.

Serce przeszywała mi pewność.

Gliniarze nie dawali mi żadnej szansy! Strzelili, żeby mnie zabić. Mona znalazła się na linii strzału. Umarła, bo mi nie uwierzyła.

Od początku miałem rację.

Gliniarze usiłowali mnie osaczyć. Za wszelką cenę.

Rzuciłem ostatnie spojrzenie na ładną ryjówkę leżącą na asfalcie, po czym z całą siłą mojego bólu nacisnąłem pedał gazu.

W ciszy rozdzwonił się metaliczny dźwięk. Na masce fiata zalśnił złocisty kurz.

Dostałem skrętu kiszek. Gaz do dechy.

Gwiazda szeryfa przez krótką chwilę leżała bez ruchu, potem poleciała na parking. W filmach bohaterka nosi ją na sercu, kula odbija się rykoszetem. Nie umiera...

W filmach.

Fiat podskoczył. Usłyszałem, jak prawa przednia opona najechała na żelazną połączaną odznakę kupioną przez moją mamę za pięć franków. To było w innym życiu. W tym życiu, które mama dla mnie wymarzyła, w którym to ja miałem aresztować złych ludzi.

Magazyny Bénédictine ciągnęły się w nieskończoność. Nagle skręciłem między dwoma żywopłotami, żeby wjechać na drogę departamentalną. Ciemną i pustą.

Na drogę do piekła. Chyba nie spotkam tam Mony.

Może ducha Morgane Avril...



**W innym życiu?**

Jeszcze kilka chwil jechałem leśną drogą, potem zatrzymałem fiata 500. Przekręcając kluczyk w stacyjce, miałem takie wrażenie, jakbym wyłączał cały świat wokół siebie, jakbym jednym ruchem odcinał wszelką cywilizowaną formę życia. Reflektory, wskaźniki świetlne na tablicy rozdzielczej, ale również gwiazdy i księżyc, niewidoczne za kopułą drzew. Czarna noc.

Długo tak siedziałem w kompletnych ciemnościach.

Trochę później otworzyłem drzwi, nachyliłem się i zwymiotowałem na trawiasty kobierzec i na oponę samochodu Mony. Potem znowu przykleiłem kark i plecy do fotela kierowcy. Przez długie minuty w ogóle się nie ruszyłem. Po policzkach płynęły mi łzy, nie wykonałem najmniejszego ruchu, żeby je wytrzeć. Spływały aż na wargi i mieszały się z cierpkimi woniami w gardle. Przez moment wyobraziłem sobie, że wizje powstałe w moim szalonym mózgu mogłyby zostać wydalone w ten sposób, odrzucone przez żółć jako wydzielina gruczołów łzowych. Również wydalone wraz z krwią, gdybym sobie przeciął żyłę.

Woń i smak stawały się nieznośne. Moja ręka wyciągnęła się, żeby zapalić światło.

Pokazało się dwanaście liter, jakby wrytych w brudnej przedniej szybie.

M O R G A N E A V R I L

Widziałem znowu sylwetkę Mony wypisującej te litery palcem, jej zmęczony uśmiech, jej ostatnie słowa, gdy kładła moją gwiazdę na masce samochodu.

*Życzę szczęścia.*

Co ma wspólnego z nami szczęście, Mona?

Lekka mgła unosiła się w podszyciu leśnym, tak jakby z ziemi wychodził dym. Termometr fiata wskazywał minus dwa stopnie.

Wkrótce dwanaście liter też zniknęło w mlecznych oparach.

Złudzenie.

Musiałem pogodzić się z oczywistością. Magali Verron nigdy nie istniała. Ani nic, co mogło mieć związek z jej śmiercią.

Ani świadkowie, ani szalik, ani gwałt, ani morderstwo przez uduszenie.

Anagram. Duch. Przywidzenie, ułuda.

Przeskakiwałem od jednej myśli do drugiej jak po kamieniach nad wodospadem.

Jeśli nic nie było prawdziwe, dlaczego Piroz od trzech dni mnie ścigał? Do

tego stopnia, że nie zawahał się, żeby mnie sprzątnąć?

Inny kamień. Ten się ruszał. Niepewna równowaga.

Jeśli nic nie było prawdziwe z samobójstwa Magali Verron, to kiedy zobaczyłem Piroza po raz pierwszy? Nie rano na plaży w Yport w towarzystwie jego zastępcy. Czy spotkałem go po raz pierwszy na posterunku żandarmerii w Fécamp tego dnia, kiedy poznałem Monę? Czyli że gliny wezwały mnie z zupełnie innego powodu. W innej sprawie. I wtedy wymyśliłem tę bajeczkę.

Jeszcze jeden skok. Inny kamień. Drugi brzeg był daleko, jak okiem sięgnąć.

Coś się nie zgadzało! Żandarmeria nie strzela do podejrzanego! Przynajmniej bez uprzedzenia. Nie z bliska. Nie żeby zabić. Podniosłem king cobrę do nieba. Ani przez moment nie groziłem Pirozowi. On jednak wystrzelił, żeby mi uniemożliwić ucieczkę. Wolał mnie raczej powalić, niż pozwolić mi zbiec. Dlaczego?

Bo był przekonany, że jestem gwałcicielem Morgane Avril i Myrtille Camus, podwójnym mordercą, tym, którego policja poszukuje od dziesięciu lat? Bo o ile ja wszystko zapomniałem, to oni zgromadzili wystarczające dowody, by nie mieć żadnych wątpliwości?

Moje palce dotknęły lodowatej przedniej szyby. Dwanaście niewidocznych liter naigrawało się ze mnie, nie chciały zniknąć.

W Instytucie Saint-Antoine dziesiątki razy słyszałem, jak psycholodzy o tym mówili. Że dzieci zaprzeczały okrucieństwu, którego ofiarami padały. Nie, ich rodzice nie byli gwałcicielami. Nie, nie doświadczały molestowania. Tak, chcą wrócić do nich do domu. Te dzieciaki tworzyły sobie inne życie, bardziej znośne. Przynajmniej w swojej głowie.

Mgła otulała teraz fiata, co sprawiało wrażenie, że frunie on w ciszy pośród chmur.

Czy tak się zestarzałem? Tkając stopniowo wokół siebie zasłonę? Tylko że ja nie byłem dzieckiem gwałconym. Nie byłem ofiarą z traumą.

Byłem potworem.

Zabiłem te dziewczyny dziesięć lat temu.

Byłem odpowiedzialny, jako jedyny, za śmierć Mony.

\*

Wyszedłem do lasu. Przeszywający mróz był jak imadło blokujące mi pierś. Nie przejmowałem się tym. Pod nogami trzaskały zamrożone kałuże. Szedłem kilka metrów chwiejnym korkiem. Na pierwszym grubiej oblodzonym miejscu straciłem równowagę. Moje ręce uczepliły się pnia najbliższego drzewa, wiązu, którego kora pokaleczyła mi dłonie do krwi.

W tym momencie zupełnie bezrozumnie zawyłem w ciszy:

*Nie!!!*

Kilka liści zadrżało dziesięć metrów przede mną. Królik, ptak, jakieś

obudzone spłoszone zwierzę. Czy leśne zwierzęta mają koszmarne sny? Czy tylko boją się nocy?

Nagle zapragnąłem przepędzić cały las. Wybuchnąłem po raz drugi:

*Nie!!!*

Przeciągałem swój krzyk całą wieczność, nie oddychając, aż zaczęły mi pękać bębunki. Ostatnia bariera w moim mózgu nie chciała ustąpić.

*Nie* – powtórzyłem znowu.

Tym razem prawie szeptem.

*Nie.*

Nie pamiętałem o zabiciu Morgane Avril i Myrtille Camus. Nie pamiętałem o tym z prostego powodu.

Byłem niewinny!

Magali Verron na moich oczach rzuciła się w przepaść trzy dni temu. Pilnowałem jej zwłok na plaży w towarzystwie Christiana Le Medefa i Denise Joubain. Istniał jakiś klucz do wyjaśnienia wszystkiego, był gdzieś blisko, w zasięgu ręki. Jakiś szczegół, który trzeba rozszyfrować, jak na przykład ten dylemat więźnia czy ten ostatni wiersz Myrtille Camus wysłany do narzeczonego, ten podpis, M2O.

\*

Wytarłem o dzinsy krople krwi, które perliły mi się na dłoniach. W ustach czułem wstrętą mieszaninę zółci i łez, mdliło mnie. Nie mogłem się pogрузić, zdychać tu na mrozie, czekać, aż gliny przyjdą zgarnąć faceta nękanego wyrzutami sumienia. Jak zwierzę u kresu sił, które się dobija bez dłuższego zastanowienia. Przypomniałem sobie o ostatniej krzątaninie Mony u Martina Denaina, w Vaucottes. Kawa i ciasteczka.

Podszedłem do bagażnika fiata, znowu robiąc w myśli przegląd zajęć z trzech ostatnich dni.

Wszystkie te wydarzenia nie mogły następować po sobie przypadkowo, na pewno miały jakąś spójność, kierowała nimi jakaś logika...

Wilgoć, która się osadzała na samochodzie, zamieniała się już w cienką warstwę lodu.

...ale logika, której nie sposób określić w ogniu działań, łącząc ze sobą etapy, tak jak czytelnik łączy rozdziały powieści kryminalnej. Powiniennem wznieść się ponad, popatrzyć z wysokości, przeanalizować sprawę, sam. Zatrzymać się, pospać.

Albo wypić litr kawy.

Otworzyłem bagażnik.

Przeniknął mnie mróz, unieruchamiając przy oszronionym fiacie, zgrabiałego z zimna. Jak szklany posąg.

Obok termosu i paczki herbatników leżała brązowa koperta.

Z moim nazwiskiem.

Kto jak nie duch mógł ją tu położyć?

Kto poza mną?

Zjadłem spokojnie ciasteczka Lotus wyciągnięte z zapasów Martina Denaina, wypilem dwa kubki gorącej, mocnej kawy bez cukru.

Potem otworzyłem kopertę.

*Sprawa Avril–Camus – wiosna 2007*

Śledztwo w sprawie Avril–Camus zostało oficjalnie wycofane z SRPJ w Caen 9 czerwca 2007 roku. Komendant Léo Bastinet już prawie od roku nie dostarczył żadnego nowego faktu i nikt nie otworzył ani jednej z trzech tysięcy stron dossier postępowania karnego. Sędzia Paul-Hugo Lagarde zaproponował, za zgodą Léo Bastineta, aby powierzyć prowadzenie sprawy Avril–Camus, aż do przedawnienia, brygadzie z Fécamp.

Żandarmi z Fécamp jako pierwsi wszczęli dochodzenie, uczestniczyli w każdym przeszukaniu, a kapitan Grima, odsunięty od sprawy przy drugim zabójstwie, mógłby uznać za drobny osobisty rewanż to, że śledztwo wraca do niego po latach, kiedy to ogromne środki, którymi dysponowała SRPJ, do niczego nie posłużyły.

Kapitan Grima zgodził się i w piątek 15 czerwca 2007 roku przekazano dossier podwójnego śledztwa z Caen do Fécamp. Nazajutrz przyjął pierwszą wizytę Carmen Avril. Przyszła do niego znowu kilka dni później, a potem odwiedzała go prawie co tydzień przez całe lato. Grima zrozumiał wtedy, że sędzia Lagarde nie tylko wcisnął mu dossier śledztwa, które utknęło w martwym punkcie, ale też pozbył się natrętnej nudziary, która od lat nęka wymiar sprawiedliwości i policję.

*Nigdy nie zapomnieć.*

Czas ani trochę nie osłabił determinacji prezeski stowarzyszenia Czerwona Nić, która teraz, od czasu samobójstwa Charles’a i Louise Camus, zarządzała nim sama.

Trzy lata później Grima dostał przeniesienie do żandarmerii w Saint-Florent, małym korsykańskim porcie wciśniętym między Cap Corse a pustynię Agriates, znużony zapewne atakami fal w betonowy falochron Fécamp i zapewne również atakami Carmen Avril. Kapitan żandarmerii i gospodyni zajazdu Dos-d’Ane nigdy się nie zrozumieli ani nie pojednali od czasu tego nigdy niewyjaśnionego tropu chłopaka w szaliku Burberry. Grima, zanim ostatecznie opuścił klify ze schronami, żeby zamieszkać wśród klifów najeżonych genueńskimi wieżami, powierzył klucze tej sprawy najstarszemu żandarmowi z posterunku, najwierniejszemu z wiernych. Już nazajutrz po morderstwie zajął się on koordynowaniem przesłuchań świadków, którzy natknęli się na nieznanego w czerwonym szaliku. Sonia Thurau, dziewczyna z szatni, Mickey, bramkarz w dyskotecce, Vincent Carré, student

chemii.

Kapitan Piroz.

Metodyczny. Tego Carmen Avril lubiła. Piroz natychmiast zgodził się z jej hipotezą podwójnego nieznanego. Nie przerażała go perspektywa, że będzie musiał utworzyć dwie serie po kilka tysięcy osób, jedną dla mieszkańców Yport, drugą dla mieszkańców Isigny, a jedynym celem miałyby być znalezienie jakiejś wspólnej nazwy dla obu list. Wprost przeciwnie... Piroz odznaczał się uporem, który graniczył z obsesją. Stary kawaler. Bez dzieci i siostrzeńców. Bez talentu i zamiłowania do piłki, powieści kryminalnych czy domina, spędzał wieczory na roztrząsaniu sprawy, tak jak inni budują makiety pałacu Bénédicte z zapalek.

Na nic...

Piroz nie zbliżył się bardziej do tożsamości zabójcy niż kapitan Grima, komendant Bastinet czy psychokryminolożka Ellen Nilsson.

Od śmierci Louise i Charles'a Camus Carmen Avril utrzymywała przy życiu stowarzyszenie Czerwona Nić, choć nie miało ono już innej racji bytu, niż kultywować pamięć czczoną co roku podczas żałobnego walnego zgromadzenia. Okazja, by utworzyć nowy zarząd w miejsce zarządu widma.

*Carmen Avril, matka Morgane Avril, prezeska*

*Frédéric Saint-Michel, narzeczony Myrtille Camus, wiceprezes*

*Océane Avril, siostra Morgane Avril, sekretarz*

*Jeanine Dubois, babka Myrtille Camus, zastępczyni sekretarza*

*Alina Masson, najlepsza przyjaciółka Myrtille Camus, skarbniczka*

Rzadko odbywające się zebrania stowarzyszenia stanowiły okazję dla Aliny, by zbliżyć się z Océane. Obie straciły siostrę bliźniaczkę, prawdziwą albo od serca. Pozbawione połowy siebie. Rozumiały się, mimo że Océane odziedziczyła po matce i na pewno po gwałcie swojej siostry trwała nienawiść do mężczyzn, którą z trudem powściągała podczas ich długich nocnych rozmów. Po raz pierwszy Alina otworzyła się, ośmieliła się wypowiedzieć wątpliwości nękające ją od lat. Océane słuchała jej, nie powiedziała nikomu, nawet matce, potem poradziła Alinie, żeby skontaktowała się znowu z policjantami, którzy prowadzili śledztwo w sprawie zamordowania Myrtille. Raczej z Ellen Nilsson niż z Bastinetem. Psychokryminolożka zna równie dobrze całe dossier jak komendant, ale będzie bardziej zdatna do tego, żeby zrozumieć. Może.

Ellen Nilsson nie zgodziła się na rozmowę z Aliną Masson. Dossier Avril-Camus było zamknięte od czterech lat, twierdziła, że ma inne, pilniejsze sprawy do zbadania.

Dziesięć telefonów do niej niczego nie zmieniło.

Trzeba było przejść przez Piroza, który sam wywarł presję na sędziego Lagarde, żeby psychokryminolożka zgodziła się wreszcie przyjąć kapitana żandarmerii i najlepszą przyjaciółkę Myrtille Camus w swoim gabinecie w Paryżu

przy ulicy d'Aubigné w czwartym arrondissement. Piroz zrzędził w brudnym, śmierdzącym metrze, o mało się nie przewrócił na placu Concorde, wściekał się jeszcze, wpychając swój brzuch do małej windy z kutego żelaza, która wjeżdżała do gabinetu Nilsson na czwarte piętro, od południa, z widokiem na Sekwanę.

Alina natomiast milczała.

Kiedy Ellen sama osobiście otworzyła ciężkie dębowe drzwi, ubrana w suknię Ralph Lauren z dekoltem aż do całkiem nowych piersi, Alina o mało się nie wycofała.

*Zdatna do tego, by zrozumieć?*

Wielkie ciało Piroza, najwyraźniej będącego pod wrażeniem modnych opływowych linii byłej płaszczki, stało jak przyśrubowane do parkietu podestu, wzbraniając jej jakikolwiek odwrót.

Weszli. Skórzane fotele. Szklany niski stół. Panoramiczny widok na wyspę Saint-Louis i nieustanny balet *bateaux-mouches*, parowców pasażerskich na Sekwanie. Alina dostała zawrotu głowy. Jak tu się zbliżyć do prawdy, nie kalając pamięci Myrtille?

Ellen rozprostowała swoje zgrabne nogi i zmarszczyła tę zbyt gładką twarz.

– Chciała się pani ze mną spotkać, pani Masson?

Alina nie miała innego wyjścia jak rzucić się na głęboką wodę.

– Pamięta pani – zdołała wreszcie wykrztusić. – Kiedy spotkałyśmy się po raz pierwszy, w SRPJ w Caen, tuż po śmierci Myrtille, zadała mi pani pytanie. Dziwne pytanie.

– Jakie? – spytała Ellen, która najwyraźniej nie przejrzała ponownie dossier.

– To było ponad sześć lat temu.

– Pani... zastanawiała się pani, dlaczego Myrtille była tak seksownie ubrana w dniu, w którym została zgwałcona... Krótka błękitna sukienka w kwiaty hibiskusa. Bielizna pod kolor, fiołkowo-różowa. A nie zwyczajne ubranie instruktorki na obozie młodzieży.

– To możliwe. Analizowaliśmy tyle hipotez...

– O czym pani wtedy myślała? – nalegała Alina.

Ellen zgodziła się zrobić wysiłek i poszukać w pamięci, po czym odpowiedziała znużona.

– O niczym konkretnie. Jeśli dobrze pamiętam, Bastinet uważał, że trzeba się interesować potencjalnymi winowajcami, a nie ofiarami. W zasadzie miał rację, Myrtille Camus tak jak Morgane Avril były ofiarami wybranymi przypadkowo.

Piroz ziewnął.

– Bo, wie pani – ciągnęła Alina – przez te wszystkie lata dużo myślałam o tym pani spostrzeżeniu. Prawdę mówiąc, nigdy nie przestałam o tym myśleć. Miała pani rację, Myrtille zazwyczaj tak się nie ubierała.

– Ale Myrtille zginęła w dniu wolnym od pracy! Z tego co pamiętam,

prowadziłyście obóz Drap d'Or w Isigny, to właśnie mi pani wtedy odpowiedziała.

– Nawet w dzień wolny od pracy Myrtille by się tak nie ubrała.

Twarz Ellen zmarszczyła się jeszcze bardziej.

– Co dokładnie chce pani powiedzieć, pani Masson? Że Myrtille nie została zamordowana przez jakiegoś włóczęgę? Że знаła swojego gwałciciela. Że... że się z nim umówiła na randkę, o to chodzi?

Alina się zawahała. Na ścianie, w szklanej ramie wisiała ogromna fotografia nagiej klęczącej kobiety, z twarzą zasłoniętą kaskadą blond włosów.

Ellen?

Wszystko na to wskazywało.

– Tak – wyrzuciła w końcu z siebie Alina. – Myrtille miała spotkanie. Z mężczyzną. Zapewne z mordercą.

– Czy ona nie była zaręczona z tym facetem, co grał na gitarze?

Twarz Aliny się zaróżowiła. Przez wszystkie te lata milczała z jednego powodu. Żeby chronić Myrtille. Nie rzucać cienia na jej obraz, jaki zachowali w pamięci jej bliscy. Doskonała. Wierna. Zakochana.

– Tak...

– Chichin, jakoś tak?

– Chichin to był jego pseudonim. On się nazywa Frédéric Saint-Michel.

Po raz pierwszy psychokryminolożka pochyliła się nad dossier leżącym przed nią na niskim stoliku. Przekartkowała kilka stron i podniosła wzrok.

– Myrtille mogła więc paść ofiarą podrywacza, coś takiego? Faceta, który zawrócił jej w głowie? Czy wie pani, pani Masson, że pani przeświadczenie zgadza się dokładnie z pierwotną hipotezą kapitana Grimy. Morgane Avril padła zapewne ofiarą nie żadnego włóczęgi, który by ją zaatakował z nienacka, lecz uwodziciela, który ją usidlił.

Alina potrząsnęła głową, nie dodając nic więcej. Oczywiście ona wiedziała...

– Co w gruncie rzeczy niczego nie zmienia – ciągnęła psychokryminolożka.

– Podrywacz, a nie drapieżca, w jaki sposób przybliży nas to do zidentyfikowania mordercy? Chyba że oczywiście dowiemy się, z kim Myrtille się umówiła. Czy wie pani coś bliżej, pani Masson?

– Nie...

– A może z tym Olivierem Roy, facetem w czapce adidas, który się kręcił koło niej na obozie w Isigny? Z tym, który zniknął kilka miesięcy po morderstwie?

Po raz pierwszy głos zabrał Piroz. Ellen, zaskoczona, odwróciła się do kapitana.

– To niemożliwe! Olivier Roy miał żelazne alibi na wieczór, kiedy zamordowano Morgane Avril. I jego DNA nie zgadza się z DNA gwałciciela...

– Dokładnie – przyznała psychokryminolożka. – To przecież ten, który



położył śledztwo tego biedaka Bastineta. A więc z kim to spotkanie?

– Nie wiem – rzuciła Alina.

W kąciach jej oczu perliły się łzy, wyciągnęła z kieszeni papierową chusteczkę. Ellen przez dłuższą chwilę pochylała się nad dossier. Piroz skorzystał z tego, żeby wykręcić szyję i porównać piersi blondynki wystawionej na ścianie z piersiami, których się domyślał pod niebieską suknią psychokryminolożki. Kiedy się podniosła, Piroz gwałtownie skierował wzrok na *bateaux-mouches*. Jak dzieciak przyłapany na psocie. Spojrzenie Ellen, przeciwnie, powędrowało na fotografię, zatrzymało się na niej jak przed lustrem. Po chwili jednym prztyczkiem strąciła niewidoczny kurz, który się dostał między jej piersi.

– Trzeba przyznać – ciągnęła – że nawet po tych wszystkich latach niektóre szczegóły są ciągle zastanawiające. Na przykład ta sukienka seksy, której Myrtille zazwyczaj nie nosiła. Ten niebieski notatnik Moleskine, którego nigdy nie odnaleziono, a przecież wszyscy twierdzili, że Myrtille notowała w nim swoje najskrytsze myśli, może nawet zapisała tożsamość tego, z którym się umówiła na spotkanie. Ten Olivier Roy, który się ukrywa mimo listów gończych rozwieszonych w całym regionie i który znika potem na zawsze, jak tylko policja zaczyna go dociskać. Również te małe majtki.

Alina podskoczyła.

– Te małe majtki?

Psychokryminolożka odwróciła się kolejno do Piroza, potem do Aliny.

– Szczegół. Oczywiście wie pani o tym. W pochwie Myrtille Camus nie odkryto spermy, ale odkryto ją na jej majtkach odnalezionych w odległości stu metrów, na Kanale, w zatoce des Veys.

Nie, Alina tego nie wiedziała. Wiedział zapewne Piroz, którego uwagę znowu rozpraszała bezwstydną modlitwą dziewczyny za szkłem.

– Jak wyjaśnili to biegli? – nalegała Alina.

– Dość zwyczajnie. Gwałticiel chciał na pewno wyjąć przed szczytowaniem, ale udało mu się to tylko częściowo i wytrysnął na Myrtille, a przynajmniej na jej majtki. Pytanie, które sobie zadaliśmy, było też całkiem proste. Dlaczego chciał wyjąć, jak nie dlatego, że jego sperma mogła go zdemaskować?

– Bo jego DNA – zasugerowała Alina – tak jak DNA wszystkich kryminalistów, było zarejestrowane w krajowej kartotece materiałów genetycznych?

– Chyba że nie było...

Piroz spuścił wzrok i się włączył.

– Może gwałticiel miał nadzieję, że morderstwo Myrtille Camus nie zostanie skojarzone z morderstwem Morgane Avril?

– Mało prawdopodobne – zareplikowała Ellen. – Trudno by było nie dokonać porównania tych dwóch zbrodni, nawet jeśli materiał genetyczny

gwałciciela nie był identyczny. Dwie dziewczyny zgwałcone, uduszone tym samym szalikiem, w tym samym regionie...

Piroz zamruczał pod nosem.

– Mamy do czynienia z nieźrównoważonym facetem...

– Albo – odezwała się Alina zdławionym głosem – jest trzecia hipoteza...

Jeżeli jego DNA mogło go zdemaskować, to znaczy, że znał Myrtille?

Ellen Nilsson odczekała chwilę, zanim odpowiedziała.

– Tak właśnie od razu myśleliśmy. Pobraliśmy materiał genetyczny od ponad tysiąca pięciuset osobników, od rodziny Myrtille, jej przyjaciół, mieszkańców Isigny, Elbeuf, okolic, bez wyjątku. Od wszystkich, którzy mogli się do niej zbliżyć. I na nic!

Alina milczała.

Dlaczego gwałciciel miałby ukrywać swoje DNA, powtarzał jakiś głos w jej głowie, gdyby nie znał Myrtille? Czy znał również Morgane Avril? Wszystko się gmatwało. Podarta sukienka w kwiaty hibiskusa, Olivier Roy, który krążył wokół jej najlepszej przyjaciółki na plaży w Grandcamp-Maisy i na pełnym morzu koło wysp Saint-Marcouf, niebieski notatnik Moleskine, ten wiersz wysłany do Frédérica z obozu, kule, żonkile, łachmany i twierdza, podpisane M2O. *Mariage 2 octobre*, ślub 2 października...

– A pani hipoteza o podwójnym nieznajomym? – zapytała Ellen. – Wiadomo coś więcej?

Alina, pogrążona w myślach, nie odpowiedziała.

– Spokojnie – odezwał się Piroz. – Nie spieszy nam się. Mamy całe życie...

– Niezupełnie – poprawiła Ellen. – Wie pan tak samo jak ja, że po dziesięciu latach bez dokumentu sądowego, to znaczy bez nowego elementu w śledztwie, nastąpi przedawnienie. Gwałciciel wygra...

– No i co? – spytała Alina w windzie.

Przylgnęła do kutego żelaza, żeby uniknąć kontaktu z tłustym ciałem Piroza.

– No więc – powtórzyła. – Co pan o tym myśli?

– To nie ona – odrzekł Piroz.

– Jak to, nie ona?

– To nie ona na fotografii! Ta ładna naga blondynka to nie jest nasza psycholożka. Kpi sobie z nas.

Trochę później w metrze, między Bastille a Saint-Paul, Piroz, popychany przez grupę noszących takie same czapki siedmioletnich dzieciaków, które opanowały wagon, przylgnął do Aliny. Tym razem nie mogła tego uniknąć. Szepnął jej na ucho:

– Widziałem przed chwilą, jak się pani uśmiechała półgębkiem. Nie wierzyć w tezę o podwójnym nieznajomym to ładne, ale jedna rzecz jest pewna: zabójca był w Yport piątego czerwca dwa tysiące czwartego roku, a w Isigny trzy miesiące

później...

Dzieciaki wrzeszczały, Alina musiała podnieść głos.

– Jak tysiące innych osób. Zabójca mógł przybyć każdym sposobem, samochodem czy nawet na piechotę, nikt nie musiał go widzieć ani jak przyjeżdża, ani jak odjeżdża czy odchodzi. Jego nazwisko nie musiało się nigdzie pojawić.

Piroz wzruszył ramionami.

*Louvre.*

Błądził spojrzeniem po plakacie reklamowym Diora. Obnażona sylwetka Charlize Theron przypominała tę, która wisiała u psycholożki.

– Wiem – przyznał Piroz. – Ale dzięki tym poszukiwaniom Carmen i jej córka Océane jeszcze nie zwariowały. Czekać i mieć nadzieję, to tylko im zostało.

*Concorde.*

Dzieciaki w czapkach, pod nadzorem dwóch nauczycielek, zniknęły szybciej niż wyfruwające gołębie. Alina cofnęła się i stanęła w odległości metra od kapitana.

– Czekać na co? – zapytała. – Aż gwałciciel znowu zaatakuje?

Od czasu zamordowania Myrtille upłynęło sześć lat.

– Za późno – odpowiedział Piroz. – On już nie zaatakuje...

*Champs-Elysées-Clemenceau.*

Przedefilowały inne gołe Charlize Theron. Cztery metry na trzy. Dior walił po głowie, Pirozowi się podobało, Alina przygryzała wargi. Czy to tak rodzi się popęd?

– On już nie zaatakuje – stwierdził ponownie Piroz, zaabsorbowany kontemplowaniem kawałka gładkiej skóry powiększonego tysiąc razy.

Alina, instynktownie, myślała inaczej.

## Czy tak się rodzi popęd?

Okolo pierwszej w nocy przejechałem Sekwanę mostem Brotonne. Następnie przemieszczałem się na zmianę drogami krajowymi i departamentalnymi. Nazwy normandzkich miasteczek, które systematycznie okrążałem, migały na tablicach informacyjnych oświetlonych reflektorami fiata. Pont-Audemer. Beuzeville. Pont-l'Évêque.

A w mojej głowie migały na okrągło strony, które dopiero co przeczytałem. Nie opuszczała mnie pewność, że tożsamość zabójcy w czerwonym szaliku zawarta jest w sumie tych szczegółów związanych z morderstwem Myrtille Camus. Że dostarczano mi je nie bez powodu. Że dowody mojej niewinności znajdują się właśnie tu, na wyciągnięcie ręki.

Iluzja? Jeszcze jedna iluzja?

Czy ucieczka aż do Isigny-sur-Mer miała jakikolwiek sens?

Mój telefon zadzwonił na dzień kieszeni trochę przed wjazdem do Troarn. Była prawie druga w nocy.

Oczywiście Piroz...

Nie odebrałem. Piroz odziedziczył sprawę Avril-Camus, postarano się poinformować mnie o tym, powierzając mi tę kopertę. Po wszystkich tych latach ów gliniarz, monotematyczny maniak, wreszcie znalazł swojego winnego.

*Mnie!*

Kilka sekund później krótki sygnał obwieścił, że zostawiono wiadomość. Nie przestając prowadzić, złapałem telefon.

Omal nie wypuściłem kierownicy ze zdziwienia.

Tego nie przewidziałem!

Nie dzwonił do mnie żaden ścigający mnie gliniarz, to była Ophélie. Zrobiło mi się ciepło i przyjemnie. Nastolatka z Instytutu Saint-Antoine przysłała mi fotografię faceta, który wyglądał jak wycięty z żurnala, stalowo-niebieskie spojrzenie, gładka czaszka, rozpięta biała koszula i drapieżny uśmiech.

*Prosto z César's, głosił krótki komentarz pod zdjęciem.*

*20 na 20?*

Zareagowałem uśmiechem. Wystukałem na ślepo odpowiedź, nawet nie zwalniając.

*Za przystojny. Nie daj się zwieść pozorom.*

Niecałą minutę później Ophélie odpowiedziała.

*Drań!*

*A ty, jak tam twoja śliczna ruda?*

Serce mi załomotało.

*Moja śliczna ruda.*

*Mona.*

Natychmiast stanął mi przed oczami obraz jej ciepłego ciała przywierającego do mnie.

Jej ciała owiniętego już zapewne w plastikową płachtę, z tyłu policyjnego wozu, w drodze do kostnicy. Powstrzymałem się od wywalenia telefonu przez okno, od zawycia w ciszy nocnej, od dociśnięcia pedału gazu i wbicia się w pierwszy z brzegu platan. Zadowolilem się wciśnięciem komórki pod udo i skupilem się na drodze: zbliżałem się do Caen i musiałem uważać, by nie wjechać na rokadę.

Fiat 500 dotarł do miasteczka Grandcamp-Maisy tuż przed trzecią nad ranem.

„Omaha Beach – Droga Wolności” – głosiły przez kilka kilometrów tablice zapraszające do pielgrzymek pośród schronów, dziur po pociskach, cmentarzy i muzeów lądowania w Normandii.

„Droga Wolności” – odczytywałem w myśli. Dziwna nazwa dla tej beznadziejnej ucieczki.

Zaparkowałem przed kościołem i rozłożyłem mapę samochodową Normandii. Isigny-sur-Mer położone jest trzy kilometry od plaży w Grandcamp-Maisy, ale ja szukałem innego, konkretnego miejsca, Grandes Carrières, wioski, w której według policyjnych raportów 26 sierpnia 2004 roku znaleziono ciało Myrtille Camus.

Mój palec trafił w to miejsce. Wypiłem kolejną filiżankę kawy, letniej, podnosząc oczy na kościół, jedyny oświetlony budynek w miasteczku.

Dziwny. Nowoczesny. Zburzony oczywiście w czerwcu 1944 roku, potem odbudowany na chybcika: betonowy sześcian z wystającym zamiast dzwonnicy szarym kominem z przebitymi otworami strzelniczymi. Nawet w La Courneuve kościoły wyglądały lepiej!

*Nawet w La Courneuve...*

Nagle zaświtała mi jakaś pewność. Tak jakby ktoś wyświetlił hologram wewnątrz mojego mózgu.

*Widziałem już ten kościół!*

Przez całą drogę powracały mi strzępy wspomnień, ta nazwa miasteczka, Grandcamp-Maisy, ten krajobraz żywopłotów i domów z kamienia w Caen, te łupkowe dachy, to upamiętnianie lądowania aliantów w czerwcu '44 na każdym skrzyżowaniu, ale moja pamięć zdołała je utrzymać w bańce z matowego szkła.

Bańce, którą nagle rozbiła ta dzwonnica.

*Widziałem już ten kościół. Raz. Dawno temu.*

Teraz przypominałem sobie każdy szczegół.

Było lato. Tak jak co roku pracowałem na obozie w Clécy, w Normandzkiej Szwajcarii, koło Falaise, przeszło sto kilometrów od Grandcamp-Maisy. Wspinaczki, kanoe, wycieczki... Dzieci, które przyjeżdżały do ośrodka wypoczynkowego wspólnoty w aglomeracji Plaine Commune, były zawsze te same, dzieciaki z La Courneuve, z Aubervilliers czy z Villetaneuse, w sumie ponad pięćset bachorów wysyłanych do dziesięciu obozów w całej Francji, w tym dwóch w Normandii, jeden w Clécy, ten mój, a drugi nad morzem, tutaj, w Grandcamp-Maisy. Z morzem nie miałem za dużo do czynienia, ale tym razem instruktor z obozu żeglarskiego musiał wziąć dzień wolny. Pogrzeb babci czy coś w tym rodzaju. Pamiętałem tylko, że stawali na głowie, żeby znaleźć zastępcę na jeden dzień. Ponieważ miałem trochę doświadczenia, poproszono mnie, żebym się na to zgodził. Odbyłem więc podróż tam i z powrotem w ciągu tego samego dnia. W Grandcamp-Maisy nie działo się nic specjalnego. Kąpiel w tej cholerniej lodowatej wodzie, flirty małolatów na plaży, przywołanie do porządku kilku małych prowodyrów. To ekspresowe zastępstwo zupełnie wyleciało mi z głowy, od lat. Gdyby nie ten betonowy kościół, nigdy bym sobie o nim nie przypomniał.

Zamknąłem oczy. Ustalenie dokładnej daty mojego przyjazdu tutaj należało do rzeczy niemożliwych. Pogoda była ładna, bo się kąpaliśmy. Raczej koniec lata. Co najmniej dziesięć lat temu.

Palce zacisnęły mi się na mapie samochodowej.

Koniec sierpnia 2004?

Czwartek 26 sierpnia, dokładniej.

W dniu zabójstwa Myrtille Camus?

*Niemożliwe!*

Gliniarze zamknęli tę okolicę, jak tylko znaleźli zwłoki, dziennikarze rzucili się tu natychmiast. Gdybym się znalazł w Grandcamp pod koniec sierpnia 2004 roku, kilka kilometrów od miejsca, w którym została znaleziona zgwałcona i zamordowana dziewczyna, dzieciaki mówiłyby tylko o tym, na pewno bym to pamiętał.

Otworzyłem oczy i obserwowałem na mapie budynki wioski Grandes Carrières. Cztery maleńkie czarne prostokąty.

Tylko że sprawa Camus została podana do publicznej wiadomości dopiero nazajutrz po morderstwie. Gliniarze utrzymywali dwudziestoczerogodzinne embargo, zanim zawiadomili media. Nie zostałem tam na noc, wróciłem do Normandzkiej Szwajcarii na wieczór. Ta sprawa gwałtu mogła wybuchnąć kilka godzin po moim pobycie w Grandcamp, wtedy miałbym to gdzieś, nawet bym o niej nie usłyszał, byłem w Clécy, a tam żyliśmy prawie odcięci od świata, bez gazet i telewizji...

Oświetlony w nocy betonowy kościół drwił ze mnie, natrętny, tak samo

przerazający jak wieże strażnicze obozu koncentracyjnego.

*Czy to możliwe?*

Moje trzęsące się ręce próbowały bezskutecznie poskładać mapę samochodową.

Czy to możliwe, że tego dnia spotkałem Myrtille Camus? Na drodze do Isigny, koło Grandes Carrières? Miałem chyba furgonetkę obozu wspólnoty aglomeracji Plaine Commune, stare renault trafic.

Nerwowym ruchem zgmiotłem mapę i rzuciłem na fotel pasażera.

Czy to możliwe, że się zatrzymałem, że ją zgwałciłem, potem udusiłem, a potem moja pamięć zatarła wszelkie ślady?

Znowu napiłem się kawy, tym razem prosto z termosu, i odpaliłem silnik.

Za Osmanville wjechałem na drogę gospodarstwa rolnego w Carrières. Zostawiłem po prawej stronie wielką budowlę normandzką, belki, glina ze słomą, zamknięte niebieskie okiennice, i popędziłem aż do końca bitą drogą.

Nowa pewność.

*Nigdy tu nie byłem.*

Reflektory fiata 500 oświetliły okolice, przez dobrą chwilę wypatrywałem uważnie najdrobniejszego szczegółu, który mógłbym pamiętać. Jakiegokolwiek oznaki, która by potwierdziła to szaleństwo.

Przyjechałem tu przed dziesięciu laty, porzuciłem w tym miejscu ciało dwudziestoletniej dziewczyny, którą przedtem zabiłem.

Gdzie dokładnie?

Na dnie tego małego białego kamieniołomu wydrążonego w wapiennej skale? W tym zagajniku z orzechami laskowymi? Trochę bardziej na zachód, u stóp małej łupkowej kapliczki otoczonej korzeniami stuletniego cisa? Jeszcze kilka metrów dalej, na jednym z tych pól ogrodzonych żywopłotami? Czy na samym końcu tego krajobrazu wzdłuż kanału de la Vire, który ciągnie się dwa kilometry od Isigny do morza?

W bladej poświacie reflektorów uśpiona wieś przypominała pejzaż Milleta, ale bez dzwonów na Anioł Pański, bez modlitw, bez chłopów wstających o brzasku. Bez świadków, oprócz dziesięciu biało-czarnych krów, które zapewne skubały już tu trawę dziesięć lat wcześniej. Świadkowie niemi i obojętni.

\*

Zaparkowałem pod jedyną latarnią w wiosce, jakieś pięćdziesiąt metrów przed fermą, i wysiadłem z fiata. Spodziewałem się niemal, że jedna z krów odwróci się do mnie, rozpozna mnie i rzuci mi oskarżycielskie spojrzenie.

Wariowałem.

*Niczego nie pamiętałem.*

Poszedłem prosto przed siebie. Było zimno, ale prawie bezwietrznie.

Początkowo nie rozumiałem, dlaczego kieruję się na prawo, w stronę lasu. Przez moment pomyślałem, że prowadzi mnie coś w rodzaju pamięci-widma, że moje nogi i ręce mają odtwarzać gesty, których moja świadomość nie chce przyjąć.

Potem dostrzegłem światełko. Dokładniej, dwa światełka.

Pod orzechem paliły się dwie pochodnie.

Potem pod pochodniami zobaczyłem dywan z płatków kwiatów.

Potem zobaczyłem cień dwóch napisów przybitych do orzecha.

Z tej odległości nie mogłem odczytać ani słowa, podszedłem bliżej.

W dwóch porcelanowych naczyniach, napełnionych zapewne łatwopalnym płynem, w którym zanurzone były dwa knoty, paliły się dwa płomienie. Płatki kwiatów jabłoni wszelkich odcieni różu tworzyły zarys dwóch leżących ciał.

Podniosłem wzrok na pień, wiedziałem już, co przeczytam na dwóch deskach.

*Morgane Avril 1983–2004*

*Myrtille Camus 1983–2004*

Stałem nieruchomo, nie starając się nawet zrozumieć, kto mógł zorganizować tę żałobną scenerię ani od jak dawna palą się te płomienie, ani skąd się wzięły te płatki kwiatów jabłoni w środku zimy.

Ani jaki jest tego sens.

Po prostu stałem nieruchomo.

Odczuwałem okropne zmęczenie, tak jakby moje ręce, uda, noga pozbyły się całej swojej siły. Oparłem się chęci, żeby położyć się na tych kwiatkach, zasnąć, skończyć w ten sposób.

Wszystko było jasne.

*Morgane Avril 1983–2004*

*Myrtille Camus 1983–2004*

Zabiłem te dwie dziewczyny. Mój umysł, osaczony, przymulony przez gliniarzy, eksplodował. Wygadywałem brednie, żeby się chronić. Wymyśliłem samobójstwo, świadków, ucieczkę bez końca. Wciągnąłem w swoje szaleństwo Monę, która kilka godzin temu przypłaciła to życiem. Inni niewinni ludzie umrą, jeżeli w dalszym ciągu będę zaprzeczał oczywistości.

Dwa nazwiska tańczyły przede mną w świetle płomieni.

*Morgane Avril 1983–2004*

*Myrtille Camus 1983–2004*

Nie mogłem oderwać od nich moich rozgorączkowanych oczu. Słaniałem się na nogach. Byłem jakby oparty na dwóch szklanych zapalkach. Będę tu czekał, aż gliniarze przyjadą mnie zgarnąć. Mózg mi drętwiał. Od trzech dni prawie nie spałem, ale to nie tylko zmęczenie wsysało mnie w coś w rodzaju białej wełnistej dziury. To pękał, zawałał się falochron, ostatni. Przybór przelanej krwi mógł zatopić moją świadomość, byłem gotowy.



Wyjąłem z kieszeni king cokrę. Przez długie sekundy trzymałem go przy skroni.

Palce zacisnęły mi się na złodowaciałej kolbie, nie mogłem ich zgiąć bardziej.

Rzuciłem rewolwer na łożo z kwiatów jabłoni.

Zaczekam na osądzenie mnie.

Dowiem się od innych, jakim jestem potworem.

Ledwo dosłyszałem cienie, które zbliżały się za moimi plecami, kilka kroków, i zatrzymały się dziesięć metrów ode mnie. Jeden z cieni przemówił, cichutko, tak jak się szepcze w kościele. Znałem ten głos, słyszałem go kilka godzin temu, ale mój spowolniony umysł nie potrafił go rozpoznać.

– Miały zaledwie po dwadzieścia lat. Były takie piękne.

Głos kobiety. Odwróciłem się. Za mną stała Carmen Avril. Miała na sobie spodnie i czarną kurtkę, na której kolorowym akcentem była cienka czerwona nitka zwisająca z butonierki. W palcach ścisnęła kwiat jabłoni. Powolnym ruchem rzuciła go na jedno kwiatowe łożo, to z prawej strony.

– Morgane miała całe życie przed sobą. Gdyby nie spotkała pana tamtej nocy... Gdyby...

Zamilkła, jakby niezdolna wymówić ani słowa więcej. Po mojej lewej stronie trawę deptały inne kroki, lżejsze. Pod orzechem przesuwiał się wydłużony cień. Również ubrany na czarno, ale krócej. Skórzana kurtka do pasa, pod nią welurowa sukienka. I cienka czerwona nitka przyszyta na sercu.

Océane.

Po policzkach płynęły jej łzy.

– Powinien był pan mnie też zabić tamtego wieczoru – wyszeptała dziewczyna. – Morgane i ja tworzyłyśmy jedno. Dwie siostry. Jedno serce.

Położyła koło płomieni kwiat jabłoni, który trzymała w ręce.

– Tak, Jamal Salaoui, powinien był pan mnie zabić. Nawet najgorsi myśliwi dobijają swoją ofiarę. Zranione zwierzę nigdy nie zapomina.

Machinalnie, bezmyślnie, jak lunatyk, ruszyłem w stronę zagajnika, żeby zniknąć w nocnych ciemnościach. Nogi niosły mnie z trudem, musiałem się przytrzymywać każdego pnia, ale jednak posuwałem się naprzód, tak jak pijak, co się zatacza od stolika do stolika. Carmen i Océane Avril nadal nie poruszyły się. Zauważyłem coś w rodzaju prześwitu na skraju lasu, na polach, które ciągnęły się aż do morza.

Przekroczyłem ostatnią zasłonę z drzew.

Kilkadziesiąt metrów przede mną kobieca sylwetka stojąca nieruchomo na łące patrzyła na estuarium. W prawej ręce trzymała świecznik. Pięć wątych płomieni wyzywających, jakby za sprawą magii, wiatr od morza.

*Ta sylwetka była mi bliska...*

Krew w moich żyłach przestała nagle krążyć.

– Myrtille była moją najlepszą przyjaciółką – usłyszałem łagodny głos.

Słowa uleciały nad żywopłotami w stronę horyzontu. Ciszę przeszyły krzyki mew.

– Myrtille była aniołem. Dlaczego odbierać życie aniołowi, Jamal?

Odwróciła się powoli. Znałem już twarz tej dziewczyny, której wilgotne oczy zadawały mi okropny ból. Cierpienie bez nienawiści, bez pragnienia zemsty. Tylko niezrozumienie wobec absolutnego zła.

– Dlaczego, Jamal? – powtórzyła.

Potem Mona posłała mi smutny uśmiech, który oznaczał, że ona już nic nie może dla mnie zrobić.

Upadłem prosto przed siebie, kolana i dłonie zanurzyły się w błoto. Trwałem tak dłuższą chwilę, czekając, że połknie mnie czerwona glina albo że któraś z tych kobiet przyjdzie mnie dobić.

Océane. Carmen.

Duch Mony.

Wtedy zadzwoniły dzwony kaplicy, żałobne dzwonicie, które trwało kilka sekund. Podniosłem się instynktownie, wykrzywiony, brudny, jakby glina wyschła już na tyle, by usztywnić wszystkie moje członki. Poszedłem w stronę cienia kościółka o łupkowych murach, pięćdziesiąt metrów w lewo.

Dziwne, ale mimo tego ciągu niewytłumaczalnych faktów wiedziałem, że nie śnię. Mój umysł porzucił nadzieję, że obudzę się zlany potem w łóżku w pokoju nr 7 hotelu La Sirène albo że zdrzemnę się za kierownicą fiata 500.

Przeżywałem te wydarzenia w rzeczywistości. Zapewne ostatnie w mojej egzystencji.

Dwa skrzydła drzwi od kaplicy otworzyły się gwałtownie. Wnętrze oświetlały neony i halogeny tak mocne, że mnie oślepiły. Podeszedłem bliżej, obiema rękami zasłaniając oczy. W małej nawie dostrzegłem dwa klęczniki przed ołtarzem ukwieconym zwiędłymi kwiatami. Przybliżyłem się jeszcze trochę i zobaczyłem kilka jasnych dębowych ławek, też pustych, na których leżały czerwone książeczki. Pewnie Biblie albo modlitewniki.

Dzwon zadzwonił jeszcze raz. Rozłożyłem ręce czerwone od gliny.

– Mielśmy się pobrać drugiego października – rozległ się głos w kaplicy. – Wszystko było przygotowane. Charles zasłużył na to, by poprowadzić córkę do ołtarza. A Louise na to, by trzymać na kolanach dziecko, które bym miał z Myrtille. Gdyby cię nie spotkała.

Na bruku rozległ się stukot czyichś kroków. Ślubny męski garnitur odskoczył od drzwi kaplicy. Moje oczy zatrzymały się najpierw na czerwonej nitce w butonierce, potem podniosły się na twarz.

Twierz, którą znałem.

Surowe oblicze Christiana Le Medefa zwróciło się do mnie, po czym powtórzył on wyraźnie pod moim adresem:

– Pani Myrtille Camus-Saint-Michel. Dobrze to brzmiało, prawda?

Kiedy uciekałem, usłyszałem, jak mówi kilka słów, tym razem do siebie.

– Gdybym tam był, żeby ją chronić.

Szedłem prosto przed siebie, w stronę fermy z zamkniętymi okiennicami, domyślałem się, że ten dom stoi na końcu zaułka, za latarnią. Zastukam do drzwi, będę krzyczał, błagał mieszkańców, żeby mi otworzyli, żeby zamknęli za mną drzwi na zasuwę, żeby nie wpuścić zwłaszcza moich duchów.

W obejściu nie było nikogo, nawet koguta, żeby rozpędzić koszmary.

Po chwili zaszczekał pies. Cienkie śmieszne poszczekiwanie pudła, niemające nic wspólnego z brytanem pilnującym gospodarstwa. Potem zapaliło się gdzieś światło i jak strzała wychynęła kudłata kula. Ustawiła się kilka metrów od moich glinianych nóg.

– Arnold... – krzyknąłem.

Brzuch shih tzu przykryty był beżowym sweterkiem w czerwone paski, tym samym, który miał na sobie, kiedy Denise trzymała go na rękach w dniu samobójstwa Magali Verron.

– Arnold... – powtórzyłem.

Piesek nie chciał rozpoznać swojego imienia. Szpiegował mnie z zaczepną miną, pokazując kły, jak tylko robiłem jakiś ruch.

Szukałem rozpaczliwie pomocy, patrząc w stronę zamkniętych okiennic, potem postanowiłem podejść bliżej, wyciągając do shih tzu rękę oblepioną czerwoną gliną. Mięśnie psa zeszywniały, otwarty pysk gotowy był zamknąć się na moim nadgarstku.

– Dostyc, przestań! – zawył jakiś głos na drugim końcu podwórza.

Pies zawahał się chwilę, potem uległ i pomknął w stronę, z której dochodził głos. Po dwóch sekundach wskakiwał już na ręce swojej pani. Denise Joubain wypuściła laskę, którą trzymała w prawej ręce, żeby go przytulić.

Na moment uchwyciłem metaliczne spojrzenie starej właścicielki shih tzu, potem kolejny raz zawróciłem. Pozostał mi tylko jeden kierunek, który mogłem obrać, pójść w stronę kanału, wszystkie inne drogi odwrotu były odcięte przez zjawy.

Czaszka mi eksplodowała, tak jakby każdy z moich neuronów wyciągał się w nieskończoność, żeby następnie nagle się rozbić. Miliony razy równocześnie. Siatka bezpieczeństwa, która się przerywała, wpadała w pustkę, wrywając wszystkie punkty zaczepienia. Ręce, nogi, palce, szyja też mnie opuszczały. Czułem, jak krew spowalnia krążenie, tak jak silnik, który najpierw rzezi, po czym nieubłaganie zwalnia i zatrzymuje się definitywnie.

Musiałem wytrzymać jeszcze kilka sekund.

Odejść jak najdalej. Jak najdalej. Uciec od duchów.

Kiedy przeszedłem za ostatni żywoplot, prawie po omacku, za moimi plecami pojawili się nagle dwaj mężczyźni w niebieskich uniformach.

– Nie ruszaj się, Salaoui.

*Piroz...*

*Oczywiście... tylko jego brakowało na balu żywych trupów.*

Odwrociłem się, z trudem zachowując równowagę.

Dwa reflektory boxera poraziły mnie jak dzikiego królika oślepionego przez myśliwych. Kapitan żandarmerii między cieniem a światłem wycelował w moją stronę rewolwer. Jego zastępca zrobił to samo, jak zwykle bez przekonania. Cofnąłem się trzy kroki, kanał był zaledwie kilka metrów dalej.

– Stop! Stop, Salaoui. Tym razem to koniec uciekania.

Podniosłem odruchowo ręce i cofnąłem się jeszcze metr.

– Nie skończyliśmy rozmowy, Salaoui. Pamiętasz? Dwa dni temu zadałem ci pytanie. Tuż przed tym, zanim mi roztrzaskałeś na głowie makietę „Etoile-de-Noël”.

Patrzyłem w prawo, na światła Isigny majaczące w oddali. Mroczny kanał wypływał z portu i schodził do morza, jak gigantyczny rynsztok pod gołym niebem.

– Ostatni raz, Salaoui. Czy zgwałciłeś i udusiłeś dziesięć lat temu Morgane Avril i Myrtille Camus?

Zamknąłem oczy. Falochron eksplodował w moim mózgu. Napłynęły dziesiątki obrazów, moja ręka pod suknią kobiety atakowała jej łono, jej histeryczne ciało wymykało mi się, rozdzierałem jej suknię, przygważdżałem kobietę do ziemi ciężarem własnego ciała, gniołem jej piersi, zrywałem jej majtki, wyjmowałem swój członek, moje zakrwawione ręce zaciskały czerwony kaszmirowy szalik na białej szyi, mocno, długo, aż ciało ustąpiło. Robiłem to ponownie. Raz, dwa razy. Mona obserwowała mnie z płaczem.

Zrobiłem krok do tyłu, a kiedy zawyłem, z pola odfrunęły trzy kruki i wmieszały się w lecące w oddali mewy.

– Tak, Piroz! Wygrał pan. Zgwałciłem je i udusiłem. Wszystkie trzy...

Moja wola nie decydowała już o czymkolwiek, kiedy się przewrociłem prosto do kanału.

**III**

**Sađ**

*Rosny-sur-Bois, 3 sierpnia 2014 roku*

*Od pana Gérarda Calmette, Jednostka Żandarmerii Identyfikacji Ofiar Katastrof (UGIVC), Instytut Badań Kryminalnych Żandarmerii Narodowej (IRCGN)*

*Do pana porucznika Bertranda Donnadiu, Żandarmeria Narodowa Okręgu Etretat, Seine-Maritime*

Panie poruczniku!

Zwracam się do pana w ślad za moim listem z 22 lipca 2014 roku dotyczącym znalezienia na plaży w Yport, Seine-Maritime, 12 lipca 2014 trzech ludzkich szkieletów.

Zgodnie z umową przystąpiliśmy do pogłębionych badań całości tych szczątków, zwłaszcza ich materiału genetycznego.

Udało nam się, ogólnie biorąc, dość szybko, wyjaśnić pierwszą tajemnicę, a mianowicie przyczynę ich śmierci. Jest ona identyczna dla wszystkich trzech osobników, których, przypominam panu, dla ułatwienia śledztwa ochrzciliśmy Albert, Bernard i Clovis.

Albert, Bernard i Clovis zostali otruci. Ich kości zawierają ślady muskaryny, toksyny występującej w muchomorach, w ilości, która nie pozostawia żadnych wątpliwości co do kryminalnej przyczyny ich śmierci. Przypomnę, że muskaryna jest toksyną, którą trudno wykryć w produktach spożywczych, a która powoduje natychmiastowy paraliż centralnego układu nerwowego, a następnie nieuchronne spowolnienie rytmu serca.

Przypominam też, że ustaliliśmy również z całą pewnością, iż Albert, Bernard i Clovis zmarli w kilkuletnich odstępach czasu. Dokładniej, Albert zmarł w lecie 2004 roku; Bernard między jesienią 2004 roku a zimą 2005; Clovis w 2014 na przełomie lutego i marca. Najbardziej prawdopodobna hipoteza jest więc taka, że zostali zabici przez tę samą osobę, tym samym sposobem w kilkuletnich odstępach czasu. Nic jednak nie pozwala jej potwierdzić i można by równie dobrze postawić hipotezę, że Clovis otruił Alberta i Bernarda, po czym sam zadał sobie śmierć, albo nawet że Bernard zamordował Alberta, a jego następnie zamordował Clovis.

W tej kwestii nie mamy już możliwości, by posunąć się dalej.

Natomiast – i to jest głównym przedmiotem tego listu – zestawienie DNA Alberta, Bernarda, Clovisa z krajową Zautomatyzowaną Kartoteką Materiałów Genetycznych (FNAEG) rzuca nowe światło nie tylko na tożsamość tych trzech osobników, ale też na rozstrzygnięcie starej sprawy podwójnego zabójstwa

Morgane Avril i Myrtille Camus (zwanej sprawą czerwonego szalika), w której miejsce znalezienia tych trzech szkieletów, czyli plaża klifu w Yport, daje do myślenia.

Ściślej rzecz biorąc, zestawienie materiału genetycznego Bernarda i Clovisa z FNAEG nic nie dało. Tożsamość tych dwóch osób nie jest znana służbom policyjnym.

Również materiał genetyczny Alberta nie odpowiada żadnej z kartotek sporządzonych przez FNAEG, ale jednak jego DNA nie jest nam nieznane. To sformułowanie jest eufemizmem, ponieważ można by nawet stwierdzić bez przesady, że jest on jednym z kodów genetycznych najlepiej znanych naszym służbom i to od przeszło dziesięciu lat. W istocie DNA Alberta odpowiada, bez cienia wątpliwości, materiałowi ze spermy znalezionej na zwłokach Morgane Avril i Myrtille Camus. Ponieważ data śmierci Alberta może być szacowana między czerwcem a wrześniem 2004 roku, można z tego wnosić z całą pewnością, że Albert poniósł śmierć kilka dni czy kilka tygodni po drugiej zbrodni. To tłumaczy, dlaczego, mimo tysięcy testów DNA przeprowadzonych na krewnych i mieszkańcach, gwałciiciel nigdy nie został zidentyfikowany przez swój materiał genetyczny, ale też wcale nie pozwala ani poznać jego tożsamości, ani określić powodów jego śmierci.

Ponadto przekazałem te same dane sędziemu Paulowi-Hugo Lagarde'owi, który oceni, czy ta informacja może podważyć, całkowicie lub częściowo, oficjalną tezę na temat tożsamości podwójnego mordercy, który, jak obaj wiemy, został formalnie zdemaskowany w sobotę 22 lutego 2014 roku.

Nie wiem, Panie poruczniku, czy te elementy informacji pozwolą Panu z kolei rzucić więcej światła na tę sprawę. Nasi ludzie w dalszym ciągu pracują nad tą pasjonującą zagadką. Albert, Bernard i Clovis może nie wyjawili wszystkiego, co mieli nam do powiedzenia, toteż przeprowadzamy obecnie pewne dodatkowe badania. Jesteśmy oczywiście gotowi wykonać wszelkie prace badawcze, które Pan uzna za stosowne w świetle tych ostatnich odkryć.

W oczekiwaniu na zakończenie, jak mam nadzieję pomyślne, tego śledztwa, proszę przyjąć, Panie poruczniku, wyrazy najgłębszego szacunku

Gérard Calmette, dyrektor UGIVC

## Nadzieja, że się obudzę?

Przed oczami tańczyło mi światło, światło sztuczne jak to, którym świeci fosforyzująca ryba w głębinach ciemnego oceanu, maleńki błyszczący punkt, który zaczął się powiększać, aż zajął całe moje pole widzenia.

Nie widziałem już nic poza białym kwadratem.

Miał to być chyba rodzaj szkolnej tablicy, na której pisze się markerami ze ścieralnym atramentem albo literami magnetycznymi.

Dostrzegłem mały czerwony karton przyklejony u góry tablicy. Znałem już każde napisane na nim słowo.

*Carmen Avril, matka Morgane Avril, prezeska*

*Frédéric Saint-Michel, narzeczony Myrtille Camus, wiceprezes*

*Océane Avril, siostra Morgane Avril, sekretarz*

*Jeanine Dubois, babka Myrtille Camus, zastępczyni sekretarza*

*Alina Masson, najbliższa przyjaciółka Myrtille Camus, skarbniczka*

Nagle, niczym artysta, który pojawia się na scenie, rozsuwając czarną kurtynę, naprzeciwko mnie ukazała się Carmen Avril. Otworzyła usta i jej głos zabrzmiał w moim mózgu tak, jakby jej myśli zastąpiły moje.

– To nie takie trudne, panie Salaoui, usunąć komuś grunt spod nóg, tak żeby go przyprawić o szaleństwo. Wywrócić w nicość wszystko, czego był pewny. Wystarczy małe stowarzyszenie, najwyżej pięć osób, pod warunkiem, że będą zdeterminowane. Pod warunkiem, że będzie je łączył ten sam cel, absolutny, niewzruszony. *Nigdy nie zapomnieć.*

Zrobiła krok do przodu. Tak przynajmniej mi się zdawało, gdy obserwowałem jej twarz przybierającą nieproporcjonalne rozmiary, jak aktor, który jest blisko kamery. Jej głos też stał się mocniejszy, wybijał mi w czaszce urywane słowa, które zdawały się uderzać to o jedną skroń, to o drugą.

– Mam dwie dobre wiadomości, panie Salaoui, ani pan nie zwariował, ani nie umarł. Ale mam też jedną złą. My, członkowie stowarzyszenia Czerwona Nić, oskarżamy pana o podwójne morderstwo, Morgane Avril i Myrtille Camus.

Równie gwałtownie jak się ukazała, sylwetka Carmen Avril rozplynęła się w ciemności, a na jej miejsce pojawiła się postać starej Denise. Zauważyłem wtedy kolorowe litery magnetyczne ułożone na białej tablicy. Dokładnie trzynaście liter.

D E N I S E J O U B A I N

Denise spojrzała na mnie, w każdym razie spojrzała w moją stronę, ponieważ nie mogłem się ruszyć, nie mogłem nawet powiedzieć, czy jestem tam,



naprzeciwko niej, nie wiedziałem, czy posiadam jeszcze ciało.

Jej głos zazgrzytał.

– Widzisz, chłopcze, nie tylko ja tracę pamięć.

D E N I S E J O U B A I N

Jej pomarszczone ręce poprzesuwały magnetyczne litery na tablicy.

Aż utworzyły inne nazwisko.

J E A N I N E D U B O I S

Głos znowu zadrżał.

– Teraz, chłopcze, wiesz wszystko. Mam tylko nadzieję, że ja z kolei poznam prawdę przed śmiercią. Całą prawdę. Ostatnie słowa, ostatnie tchnienie mojej wnuczki. Przynajmniej to możesz mi ofiarować.

W jednej chwili zniknęła, tak jakby reżyser wyciął scenę podczas montażu. W następnej sekundzie obraz wciąż był, ale litery się zmieniły.

Tym razem szesnaście liter.

C H R I S T I A N L E M E D E F

Przed tablicą ukazał się nagle przygnębiony bezrobotny, jakby wypluty przez noc.

Z niepewnym uśmiechem w kącikach ust.

Nie poruszały się, a jednak słyszałem wyraźnie ochrypły tembr jego głosu palacza wibrujący w mojej głowie, tak jakby on również wkłęcał mi się do mózgu.

– Między facetem pięćdziesięcioletnim, wyczerpanym, zniszczonym, samotnym, a innym, czterdziestoletnim, kochającym się bez pamięci z dwudziestoletnią ukochaną, na kilka miesięcy przed założeniem rodziny, własnej rodziny, jest więcej niż jedna litera różnicy, Salaoui. Jest życie. To, które mi ukradłeś.

Jego długie palce przemieściły litery jego nazwiska.

C H R I S T I A N L E M E D E F

Ułożyły z nich inne nazwisko.

F R E D S A I N T - M I C H E L

– Le Medef – zawibrował złamany głos w mojej głowie. – Śmiało wymyślone, nie? Ochrzcić Le Medef osobę na bezrobociu... To było tak oczywiste, tak kuszące, tak ryzykowne... Uwierzyłeś w to, aż do końca... A przecież wszystko było tu, przed twoimi oczami, ogromne!

I też zniknął.

Byłem tylko czystym duchem, powolnym, spokojnym, jakby przykutym do jakiegoś rozmazanego snu, słabym, skazanym na obserwowanie tej defilady przed tablicą, bez odrobiny siły, żeby choć odwrócić głowę, podnieść ramię czy rękę. Czy jeszcze ją miałem, zagubiony gdzieś w otchłani zgwałconej pamięci?

Wciąż ta tablica.

Inne litery.

MONASALINAS

Mona wyłoniła się znikąd, pewnie z mysiej dziury.

Spuszczony wzrok. Głos słaby, prawie szept, który jednak mieszał się, jakby wzmocniony, z moimi myślami.

– Dziękuję, Jamal. Powiedziałeś mi przed chwilą, że moja historia jest wzruszająca. Chciałabym teraz usłyszeć twoją, prawdziwą, historię, Jamal. Nie wymyśloną. Nie nową ucieczkę.

MONASALINAS

Usunęła pierwszą i ostatnią literę swojego nazwiska, dostawiła dwa S do swojego imienia...

ALINAMASSON

– Nie oszukiwaliśmy, Jamal. Dysponowałeś wszystkimi wskazówkami. Wszystkimi nazwiskami, wszystkimi literami, wszystkimi kluczami. Wystarczyło popatrzeć. Ułożyć je w dobrej kolejności. Ale ty niczego nie widziałeś...

Zniknęła.

Wreszcie skończyłem z duchami, pomyślałem.

Nowy błysk.

Tablica.

Sześć liter.

ARNOLD

Shih tzu spał pod tablicą na ziemi.

Anonimowa ręka przeszła po moim polu widzenia.

Zmieniła tylko kolejność trzech liter.

RONALD

Pies otworzył jedno oko, po czym z powrotem zasnął.

Totalna ciemność.

**Prawdziwa historia?**

Kiedy się obudziłem, była jeszcze noc i moje ciało kołysało się. Przez moment wyobrażałem sobie, że się utopiłem, że moje zwłoki dryfują pośród czarnej wody na dnie oceanu, ale że za sprawą jakiegoś cudu świadomość nie została naruszona. I moja prawa ręka dotknęła dna. Ciepłe. Miękkie. Przyjemne.

Materac.

Leżałem na łóżku.

W dalszym ciągu macałem po omacku. Materac wydawał się przytwierdzony do jakiegoś drewnianego mebla. Próbowałem wstać. Nie mogłem. Lewy nadgarstek miałem unieruchomiony przez kajdanki zawieszony na desce w ścianie. Szarpnąłem spętane ramię, żeby przeszukać ciemności. Ręka trafiła na drewniany sufit niecały metr nad moją głową.

Wszędzie wokół mnie deski.

Trumna?

Deski się ruszały.

Trumna w bagażniku karawanu?

Przeszedł mnie dreszcz. Byłem całkiem nagi w tym łóżku. Poza tym snem, tą rewią duchów przed białą tablicą, ostatnim wspomnieniem było ukąszenie lodowatej wody kanału Isigny w morzu. Moi ratownicy, bo wyciągnięto mnie z wody, zapewne nieprzytomnego, zadbali o skonfiskowanie mi protezy. Jakby kajdanki nie wystarczyły...

Zmieniłem pozycję, przykucnąłem na łóżku. Dłoń musnęła na końcu przegrody grubą tkaninę, wśliznęła się pod nią. Palce dotknęły zimnej szklanej ściany. Okno? Zasłona? Pociągnąłem materiał, słabe światelko wystarczyło mi, żeby zrozumieć.

Woda tryskała w szkle.

Byłem zamknięty w kabinie statku!

Później, ale była jeszcze noc, bo jedynie półksiężyc oświetlał trochę kabinę przez bulaj, zastukano do drzwi.

Mój gość nie poczekał na zaproszenie. Nacisnął wyłącznik i zamknął za sobą drzwi. Oślepił mnie neon na suficie. W białym świetlnym kręgu rozpoznałem kapitana Piroza. Niósł butelkę calvadosu, dwa małe kieliszki do wódki i kartkę papieru zwiniętą w cylinder, związaną czerwoną taśmą.

– Prezent – powiedział Piroz po cichu.

Rozumiałem, nie musiał mi tego mówić, że jego nocna wizyta ma tajny

charakter. Patrzył na mnie bezwstydnie, jak leżę goły na łóżku, potem z obrzydzeniem przeniósł wzrok na mój kikut.

– Co za pomysł, żeby się rzucać do kanału! Psiakrew, my też musieliśmy się zanurzyć, żeby cię wyciągnąć z wody. W La Vire nie było nawet dziesięciu stopni. Wybaczysz nam, że nie zapytaliśmy cię o pozwolenie, żeby położyć cię na golasa. Albo to, albo byś zdechł z wyziębienia...

Skuliłem się na łóżku, ukrywając penis pod obumarłą nogą.

– Trzeba przyznać – ciągnął Piroz – że Alina przesadziła trochę ze stilnoxem w termosie z kawą.

– Alina?

– Tak... Powinieneś pamiętać. Ta ładna ruda, która zgodziła się, żeby ją przeleciał kaleka. Chyba że znasz ją lepiej pod imieniem Mona?

Mona. Alina. Duchy z Grandes Carrières pojawiły się znowu przed moimi oczami. Zamazane. Nieostre. Niewyraźne. Dzwony kaplicy zlewały się z poszczekiwaniami shih tzu. Stilnox w kawie, zapewne. Próbowałem je rozpędzić, żeby się skupić na chwili obecnej.

– Gdzie jestem?

– Przypuszczam, że odgadłeś. Na statku. „Paramé”, holenderski kuter naprawiany z grubsza przez Bretończyków. Jest dopiero piąta rano, zluźowaliśmy cumy i odbiliśmy od Isigny, jak tylko cię wyłowiliśmy.

Zrobił pauzę, postawił butelkę i kieliszki u wezłowania kuszetki, po czym poinformował, nie czekając na moje pytanie:

– Kierunek Saint-Marcouf! Chyba słyszałeś w ostatnich dniach o istnieniu tego nędznego archipelagu, to jedyne wyspy w La Manche od półwyspu Cotentin aż po granicę belgijską. Możesz być spokojny, trasa nie jest bardzo długa, zaledwie siedem kilometrów, ale nie spieszmy się, żeby nie dobić przed świtem.

Bezskutecznie szukałem wokół siebie prześcieradła, żeby się przykryć.

– Co będziemy niby robić na Saint-Marcouf? – odszczeknąłem.

Piroz nalał spokojnie calvadosu do obu kieliszków.

– Myślę, że to będzie coś podobnego do procesu. Przesłuchanie, zeznania, przygotowania procesu, rozprawa. Ale chyba przyspieszą procedurę. Zamierzają zakończyć wszystko w ciągu jednego przyływu.

– Kto, oni?

Kapitan domknął korek uderzeniem dłoni i spojrzał na mnie.

– To ty jeszcze nie zrozumiałeś? Puściliśmy ci przed chwilą krótki montaż wideo, żeby postawić kropki nad i, a również nad innymi literami, w porządku alfabetycznym, słuchawki miałeś wkręcone w uszy, a ekran przyklejony do nosa, ale najwyraźniej byłeś ciągle jeszcze nieprzytomny. Żeby ci to wytłumaczyć możliwie jak najprościej, można powiedzieć, że miałeś do czynienia z aktorami, którzy należą do tej samej trupy, Czerwona Nić, coś ci to mówi? Jedni odgrywali

swoją własną rolę, inni postaci wzięte znikąd, ale wszyscy mieli ten sam cel, chłopcze. Złapać cię w sidła.

*Złapać mnie w sidła?*

Przesunęły mi się w myśli wydarzenia trzech ostatnich dni. Zbiegi okoliczności, rozbieżności, sprzeczne świadectwa...

– Ładny casting, prawda? – napierał Piroz. – Carmen i Océane Avril grały swoje własne role. Logiczne, można było mieć pewność, że będziesz próbował się z nimi spotkać. Mała Alina odziedziczyła postać najtrudniejszą, Momy, dziewczyny niezbyt nieśmiałej, będącej przejazdem w Yport, która według scenariusza miała cię uwodzić, a nawet, w razie potrzeby, spać z tobą... Mogę ci nawet wyjawić, że to był mój pomysł z tą gadką o krzemionce w otoczkach. Rok temu włamano się do willi słynnego profesora chemii molekularnej Martina Denaina w Vaucottes. Interweniowałem tam, polubiliśmy się, zainteresował się wtedy trochę sprawą Morgane Avril. Zostawił mi pęk kluczy, żebym od czasu do czasu popilnował jego letniej rezydencji. To nam pozwoliło dostarczyć ci godną zaufania kryjówkę, nie musieliśmy nawet pytać o pozwolenie tego dzielnego naukowca, który z reguły nie pokazuje się tam w zimie.

Mona nigdy nie była naukowcem.

Mona nie istniała...

Była tylko awatarem wymyślonym od początku do końca, odtwarzanym przez dziewczynę, która cierpliwie nauczyła się swojej roli.

Piroz popatrzył na moje poruszenie ze szczyptą sadyzmu i ciągnął:

– Trzy inne role zakładały mniej intymności. Ten biedny Frédéric Saint-Michel, narzeczony Myrtille Camus, przywdział kostium pierwszego świadka, depresyjnego Christiana Le Medefa. Babka Myrtille, babcia Ninja, grała drugiego świadka, starą Denise Joubain z psem Ronaldem na rękach, którego przygarnęła po śmierci Louise i Charles'a Camus. Muszę ci wyznać, że trudniej było przekonać ostatniego aktora, Gilberta Avrila, brata Carmen, ale przecież ktoś musiał zagrać gliniarza pracującego ze mną. Nie można powiedzieć, żeby ten tuman zrobił to z mocnym przekonaniem.

Gdy tylko Piroz skończył wymieniać obsadę, odpowiedziałem bez namysłu, nie starając się odświeżyć sobie w pamięci tych wielu wyraźnych wskazówek, które przepuściłem.

– Po co ten cały cyrk, do cholery? Po co było to montować dla mnie?

Żandarm podał mi kieliszek calvadosu. Powąchałem go nieufnie.

– Stowarzyszenie Czerwona Nić poświęciło tysiące godzin na zgłębianie tej hipotezy o podwójnym nieznanym, aż wytypowało jedyne go faceta, który był zarówno w sobotę piątego czerwca dwa tysiące czwartego roku w Yport, jak i w czwartek dwudziestego szóstego sierpnia tegoż roku w Isigny-sur-Mer. Ostatecznie, po latach, dokładnie w roku dwa tysiące jedenastym, kiedy zestawili

ze sobą, porównali setki zeznań, z worka niczym szydło wyszło jedno jedyne nazwisko. Twoje, chłopcze! Jamal Salaoui. Wynająłeś pokój w zajeździe La Caique w nocy piątego czerwca i spędziłeś cały dzień w Grandcamp-Maisy na obozie żeglarskim Wspólnoty z Plaine Commune dwudziestego szóstego sierpnia. C.b.d.o., Jamal. Ty jesteś sprawcą...

Odetchnąłem z ulgą. Ogromny ciężar spadł mi z serca.

Cała ta groteskowa inscenizacja wzięła się z nieporozumienia!

W pierwszej chwili zrezygnowałem z wyjaśniania Pirozowi, że nigdy przedtem nie byłem w Yport, dopiero w tym tygodniu, że odwołałem tę rezerwację w zajeździe, bo dziewczyna, z którą chciałem spędzić weekend, wystawiła mnie do wiatru, że z Clécy do Grandcamp ani tam, ani z powrotem nie jechałem przez Isigny i nie słyszałem w ogóle o zabójstwie Myrtille Camus.

– Banda oszołomów! – syknąłem. – I pan, panie Piroz, zgodził się uczestniczyć w tej maskaradzie?

Kapitan wychylił do dna swój calvados, po czym się do mnie uśmiechnął.

– Pomysł całej tej intrygi wyszedł, jak się domyślasz, od Carmen Avril. To ona przekonała wszystkich. Postaw się przez chwilę na ich miejscu. Jesteś jedynym możliwym sprawcą, ale nie ma przeciw tobie żadnych dowodów oprócz tej podwójnej obecności. To nie wystarczy, żeby przekonać sędziego Lagarde'a, by po wszystkich tych latach kiwnął choćby palcem, a możesz mi wierzyć, ja jednak próbowałem. Gorzej, zbliża się fatalna data, dziesięć lat bez żadnej nowej czynności procesowej, a więc definitywne przedawnienie sprawy...

*Postaw się na ich miejscu...*

Piroz nie przyłączał się do nich. Miałem dziwne wrażenie, że kapitan nie podziela przekonania członków stowarzyszenia Czerwona Nić. Ponowiłem pytanie.

– Nie odpowiedział pan, panie Piroz. Od kiedy to żandarmeria państwowa uczestniczy w tego rodzaju szaleństwie, żeby schwytać podejrzanego?

Wysączył na wargi ostatnią kroplę alkoholu.

– Z początku, Jamal, to nie było nic złego. Chodziło po prostu tylko o to, żeby cię sprowadzić z powrotem do Yport i zmiękczyć cię, wydobyć z twojej pamięci pewne wspomnienia. Inszenizacja miała trwać tylko jeden dzień i miała dwa ściśle określone cele, każdy cel przypadał na jedną z twoich wizyt w żandarmerii. Celem pierwszej wizyty było zdobycie twojego materiału genetycznego, twojej spermy, krwi, paznokci i włosów z tyłka. Celem drugiej, następnego dnia, było przyprzeć cię do muru i wydusić z ciebie przyznanie się do obu zbrodni. Na tym miało się wszystko skończyć. Dowody genetyczne i przyznanie się! Nie przewidzieliśmy, ty draniu, że roztrzaskasz mi na gębie makietę „Etoile-de-Noël” i że zwiejesz, i rozpląniesz się w naturze. Od tej chwili zaczęliśmy improwizować, żeby zachować przewagę, to znaczy, mówiąc jaśniej, doprowadzić cię do kompletnego szaleństwa.

Jeżeli oczekiwał, że go przeproszę za tę jego kretyńską makietę, mógł się obejść smakiem. Odstawiłem kieliszek calvadosu przy łóżku.

– Powinieneś wypić, chłopcze – poradził mi Piroz. – Jesteś zziębnięty. Możesz się przekręcić.

– Dobrze, dobrze, przeżyję! Skoro uzyskaliście moją spermę i całą resztę, zdążyliście to wszystko porównać z DNA zabójcy w czerwonym szaliku, prawda?

– Mówiłem to z ironią w głosie. – Przypuszczam, że mnie poinformujecie, że moja sperma zgadza się ze spermą gwałciciela, którego poszukujecie od dziesięciu lat. Powodzenia! Inaczej byłoby wam raczej głupio, co? Zadać sobie tyle trudu na nic.

Piroz spojrział na mnie rozbawionymi oczami.

– Masz rację przynajmniej w jednym punkcie, chłopcze, mam wyniki...

Pomachał mi przed nosem białą kartką owiniętą czerwoną taśmą.

– Ten kawałek papieru zawiera ostatni dowód. Jedna szansa na dwie. Albo karta wyjścia, albo bilet w jedną stronę na dożywocie... Ale trzeba będzie tylko poczekać trochę na odpowiedź.

Odniosłem takie samo wrażenie jak kilka chwil wcześniej. Piroz nie wydawał się już wierzyć w moją winę. Albo też znowu bawił się ze mną w kotka i myszkę.

Nalał sobie kolejny kieliszek calvadosu.

– Najpierw odpowiem ci na pytanie, to poprzednie, dlaczego taki gliniarz jak ja zgodził się uczestniczyć w tej maskaradzie do tego stopnia, że cię wezwał do żandarmerii w Fécamp, choć żaden z jego kolegów nie wiedział, co będziesz tu robił. Po pierwsze, Salaoui, za trzy miesiące przechodzę na emeryturę, więc rozumiesz, blamaż i cała góra, co się będzie czepiać, mam to gdzieś. Prawie by mnie to bawiło. Następnie, już prawie dziesięć lat pracuję nad tą sprawą podwójnego morderstwa i trzeba przyznać, że bez tego idiotycznego pomysłu Carmen, żeby wstrząsnąć tobą, żeby cię docisnąć, abyś się zdradził, nie miałem żadnego elementu, żeby Lagarde zgodził się na oficjalne otwarcie śledztwa i wezwał cię, byś się stawił przed sądem w charakterze świadka.

Pięść mi się zacisnęła.

– Kurde! Wystarczyło mnie zapytać. Kto wam powiedział, że bym się nie zgodził? Nie zgwałciłem tych dziewczyn. Dostarczyłbym wam próbkę z moją krwią albo spermą i wszystko by było załatwione i skończone, nie musielibyście uciekać się do tych głupot. Poza tym przypuszczam, że wyznania wydobyte za pomocą tak pokrętnych środków nie miałyby żadnej wartości dla sędziego.

Piroz popatrzył na mnie tak, jakby był pod wrażeniem mojej bystrości.

– Żadnej prawnej wartości, masz rację, chłopcze. Masz całkowitą rację. Tak naprawdę to zgodziłem się na tę kurewską inscenizację Carmen Avril z zupełnie innego powodu, z powodu, który tylko mnie jest znany. – Podniósł kieliszek. – Ale tak jak w sprawie twoich wyników DNA, musisz troszkę poczekać, żebym ci

powiedział i wytłumaczył, co to za powód. No, na zdrowie!



## Ładny casting, prawda?

Opróżnił drugi kieliszek calvadosu. Niewiele myśląc, schwyciłem swój i zrobiłem to samo. Gorzałka paliła mi podniebienie. Wytarłem lodowate krople, które spływały mi po skroniach, i spróbowałem na głos przeanalizować sprawę.

– A więc, Piroz, podsumowując, trzymaliście mnie pod kontrolą. Mona mnie pilnowała i dostarczała mi brązowe koperty, z których się dowiadywałem, w dawce homeopatycznej, o okolicznościach towarzyszących i decydujących o sprawie Avril–Camus. Frédéric Saint-Michel i babcia Ninja bawili się w chowanego, żeby mi zasiać wątpliwości. Stworzyliście tę postać Magali Verron, wymyśliliście jej tożsamość za pomocą internetu, żeby podobieństwo z Morgane Avril budziło niepokój, żebym mógł nawet pomyśleć, że pomieszałem obie kobiety. Ale...

Moja ręka zacisnęła się nagle na pustym kieliszku. W twarz buchnął mi obraz dziewczyny na plaży w Yport z obrzmiałą buzią, z czerwonym szalikiem na szyi.

– Ale, do diabła, Piroz. Kto się rzucił w przepaść trzy dni temu? Kto umarł tamtego dnia?

– Nikt, Salaoui.

– Cholera, nie będziecie znowu brać mnie za kretyna. Byłem tam! Na moich oczach spadła z klifu.

Piroz odstawił delikatnie kieliszek.

– Widziałeś *Vertigo*, Salaoui, film Hitchcocka?

Potrząsnąłem głową, nie udzielwszy wyraźnej odpowiedzi.

– *Vertigo* to historia prywatnego detektywa, który zostaje zatrudniony do pilnowania żony jednego ze swoich przyjaciół. Ma ona skłonności samobójcze i w końcu zabija się na jego oczach, rzucając się w pustkę z wysokości wieżowca. Przynajmniej on tak myśli. W rzeczywistości było to oszustwo, podstęp ukartowany przez męża. Ten detektyw został wybrany z jednego jedyne powodu: cierpiał na zawroty głowy, nie mógł więc bezpośrednio oglądać nurkowania pięknej pani...

– Co to ma wspólnego ze mną?

– Twoja drewniana noga, głupcze! Z jej powodu nie mogłeś podejść wystarczająco blisko klifu, żeby zobaczyć ciało Magali Verron rozbijające się na otoczkach. Zwłaszcza rano po dywanie zmarzniętej trawy. W gruncie rzeczy cały pokrętny pomysł Carmen wziął się właśnie stąd, skojarzenia, klif w Yport i twoje utykanie...

– Widziałem, jak się rzuciła w przepaść. A potem, zaraz potem, jej zakrwawione ciało na kamieniach...

– Zaraz potem... Bądź dokładny, Salaoui. Dokładnie czterdzieści siedem sekund! Trzeba było pobiec na plażę ulicą Jean-Hélie, zbiec po schodach kasyna, dojść na falochron. Dziesiątki razy to obliczaliśmy, nie mogłeś przebyć tego szybciej. Jak już byłeś na dole, dwoje świadków, w których szczerłość nie mogłeś wątpić, potwierdziło ci, że widziało ciało Magali rozbijające się na plaży.

Popatrzyłem na Piroza, wciąż nie rozumiejąc. On też się pocił. Nie wyglądało, żeby czuł się bardzo pewnie. Miałem wrażenie, że waha się, czy nalać sobie trzeci kieliszek.

– Jeśli nie jestem zupełnym tępakiem, przypuszczam, że to Océane Avril odegrała rolę Magali Verron. Ale wobec tego jeden szczegół mi się wymyka, Piroz, jeden drobnutki szczegół. Skoro to wszystko lipa, to w jaki sposób Océane położyła się tak spokojnie na plaży? Czy wyrosły jej skrzydła?

– Océane to niesamowita baba! Piękna, że można oszaleć. Wysportowana. A zwłaszcza zdeterminowana. Zdecydowana pomścić swoją siostrę bliźniaczkę. Jak tylko plan został sporządzony, to już prawie rok, zaczęła trenować.

Gdy wymieniał zalety Océane, jakieś dziwne ciepło zalało mi okolice brzucha. Dziewczyna moich marzeń, pomyślałem przez moment. Anioł, który umie fruwać.

Zmusiłem się, żeby zaatakować Piroza.

– Trenować co, do cholery!

– Base jumping. Federacja liczy kilkuset członków we Francji i kilka tysięcy na świecie. Krótko mówiąc, base jumping polega na wykonywaniu bardzo krótkich skoków z dużych wysokości. Skraj przepaści. Wieżowiec. Dzwonnica kościoła. Klif. U ciebie na przedmieściu nie bawią się w to?

Nic nie odpowiedziałem, czekałem, nie dowierzając.

– Jeśli chcesz wiedzieć więcej, Salaoui, skoki base jumping wykonuje się z wysokości co najmniej pięćdziesięciu metrów. Klify w Yport wznoszą się prawie sto dwadzieścia metrów nad plażą, widzisz więc, Océane, nawet nie będąc profesjonalistką, nie ryzykowała wiele.

– Widziałem, jak się rzuciła w dół – powtórzyłem. – Trzymając czerwonym szalik. W podartej sukience...

– To dobra strona base jumping. Sport ten uprawia się, używając pilocika, rodzaj małego okrągłego spadochronu złożonego w saszetce zapinanej na rzep. W ich żargonie nazywają to również *tail pocket*, torba przyjmująca kształt pleców, grubości niecałych dziesięciu centymetrów. Bardzo charakterystyczna, prawie niewidoczna pod kurtką czy pod płaszczem.

– Albo pod podartą sukienką? – dodałem zdławionym głosem.

– Trafiłeś, chłopcze! To, co wzięłeś za sukienkę podartą w pośpiechu przez

agresora, wymagało od nas długich godzin pracy. Trzeba było, żeby seksowna sukienka zakrywała tyle, ile trzeba, ekwipunek, który otaczał jej talię i przechodził między udami i ramionami, i oczywiście *tail pocket* na plecach, który miał się otworzyć, jak tylko Océane skoczy i pociągnie swoją suknię w strzępach. Océane jest doskonałą aktorką... i miała wiele argumentów, żeby odwrócić twoją uwagę, prawda?

Nic nie odpowiedziałem gliniarzowi. Niezdolny, by mu wierzyć. Niezdolny, by przyjąć tak zdumiewającą prawdę.

Po tej rozmowie, po zakończeniu całej tej historii, sprawdziłem. Obejrzałem na YouTube setki wideo z base jump. Całą noc siedziałem zafascynowany, śledząc tych szaleńców, którzy się zabawiali w czterech stronach świata, rzucając się w dół z najbardziej nieprawdopodobnych miejsc, z katedr, mostów, anten przekaźnikowych. Surfowałem również po portalach specjalistycznych. Piroz niczego nie wymyślił. *Tail pocket* można kupić przez internet i zajmuje mniej miejsca niż zwyczajna torebka damska założona na plecy.

– Upadek trwa niecałe cztery sekundy – ciągnął Piroz. – Pewnie zauważyłeś, że w wapiennej podstawie klifu wydrążone są dziesiątki wgłębień, wnęk, mniejsze czy większe groty, wystarczające, by ktoś mógł się w nich ukryć. Nawet gruba Carmen! Czterdzieści siedem sekund absolutnie wystarczyło, żeby pomalowała twarz Océane krwawą czerwienią i schowała się z *tail pocketem* w najbliższej wnęce klifu.

Przypomniałem sobie swój oszalały bieg na plażę. Dotarłem do ciała tuż przed Christianem Le Medefem i Denise Joubain. Te leżące zwłoki.

– Océane odgrywała martwą? Cholera, jak ona mogła wytrzymać tyle czasu? Czekaliśmy na was ponad dziesięć minut, zanim dotarliście furgonetką żandarmerii.

Piroz nie mógł się oprzeć. Nalał sobie trzeci kieliszek.

– Pamiętasz, Salaoui? Tamtego ranka było wściekle zimno. A jaki był pierwszy gest Jeanine, znaczy zbzikowanej Denise, wobec ciebie?

Przypomniałem sobie reakcję Denise. Oczywiście. Jak ja mogłem być taki głupi?

Piroz triumfował.

– Poprosiła cię o kurtkę, żeby przykryć twarz i tułów Océane! A zwłaszcza żeby pozwolić jej oddychać spokojnie, podczas gdy ty trząseś się z zimna!

Piroz umoczył wargi w kieliszku, jakby chciał przedłużyć przyjemność picia.

– Jest tylko jeden szczegół, którego nie przewidzieliśmy, to, że wpadłeś na pomysł, żeby rzucić Océane ten czerwony szalik, który starannie umieściliśmy na twojej trasie. Improvizowaliśmy. Océane skoczyła, trzymając go. Carmen wymyśliła, żeby owinać go wokół szyi córki, to dodawało pikanterii całej inscenizacji. To powinno było ci dać do myślenia, co?

– Banda skurwieli!

Piroz wybuchnął śmiechem.

– Cieszę się, że tak dobrze to przyjmujesz!

Podczas gdy on sącył trunek, nie ośmielając się wychylić go jednym haustem, ja wbiłem wzrok w rulon papieru.

*Mój materiał genetyczny porównany z materiałem podwójnego zabójcy.*

Dowód mojej niewinności, a całe to szaleństwo nie ma sensu. Chyba że Piroz sfałszował to badanie, tak jak resztę.

– Zadaliście sobie dużo trudu zupełnie niepotrzebnie – powiedziałem z fanfaronadą. – Z całym szacunkiem, jaki winien jestem cierpieniu tych obłudników ze stowarzyszenia Czerwona Nić, ze specjalnym wyróżnieniem dla tej zdziry Mony czy Aliny, jak sobie chcecie, postawiliście na złego konia. Nie jestem zabójcą. Szkoda... Przekażę pan wiadomość?

Wyciągnąłem rękę, żeby dać znać Pirozowi, że czekam na kluczyk otwierający kajdanki, które przytrzymały mój prawy nadgarstek przy ścianie.

– Zdaje się, że nie zrozumiałeś dobrze, Salaoui. Oni to mają gdzieś, czy jesteś, czy nie jesteś gwałcicielem. Oni po prostu chcą mieć winnego!

Przeszedł mnie dreszcz przez całe nagie ciało od ramion aż do uciętego kolana.

– Cholera. To jakie będzie ich następne szaleństwo?

– Zmusić cię, żebyś się przyznał, najpierw. Potem wykonają na tobie egzekucję. Od dziesięciu lat rozważają tę chwilę. Od dziesięciu lat Carmen marzy o tym, żeby obciąć jaja temu, który jej odebrał kochaną córeczkę. Od dziesięciu lat Océane ostrzy ból, jak sztylet. Od dziesięciu lat Frédéric Saint-Michel się powstrzymuje, jak szybkar, który zaraz wybuchnie. Od dziesięciu lat marzy, żeby olać wszystkie swoje zasady dobrego chrześcijanina i własnoręcznie udusić zabójcę narzeczonej.

– Do diabła, Piroz. Jestem niewinny!

Piroz przybliżył delikatnie swój kieliszek do mojego. Ten kretynek chciał się ze mną stuknąć! Nie zareagowałem. On, nie obrażając się, wychylił kielich, odchyliwszy kark zdecydowanym, szybkim ruchem.

– Wiem – rzucił w końcu.

Wyładowanie elektryczne przeleciało mi po całej skórze.

*On wie?*

*Co on wie?*

*Że nie jestem winny?*

Kapitan żandarmerii odwiązał powoli wstążkę ze zwiniętej w rulon kartki i mi ją podał.

– Prezent, Salaoui. Nie miałbym nic przeciwko temu, żebyś był gwałcicielem. Głupi Arab z jedną nogą, to by uprościło sprawy. Ale muszę uznać

oczywistość, twoje DNA nie odpowiada DNA zabójcy w czerwonym szaliku. Nie jesteś mordercą, chłopcze.

Rozgorączkowany obejrzałem widniejący na kartce niekończący się ciąg liter, po trzy, podobnych do tych, które widziałem w dossier Morgane Avril i Magali Verron. Tym razem Piroz nie miał żadnego powodu, żeby kłamać. Odetchnąłem. Moje spojrzenie powędrowało za bulaj, w bladą noc na morzu.

– Od kiedy pan to wie?

– Od południa. Od siedemnastej mniej więcej...

Wybuchnąłem.

– Po co więc cały ten cyrk, skoro mieliście dowód, że jestem niewinny? Ta kretyńska strzelanina koło dawnego dworca w Ifs? Ta przerażająca inscenizacja w Grandes Carrières w Isigny? Po co ta morska wyprawa na Saint-Marcouf, do cholery?

Piroz zabrał mi kartkę z analizą DNA i z powrotem ją zwinął.

– Powoli, spokojnie, Salaoui. Posmakuj. Siły porządkowe są po twojej stronie. One wiedzą, że jesteś niewinny. Chronią cię. Nie masz już się czego obawiać.

Pociągnąłem swój uwięziony nadgarstek.

– Niech mnie pan uwolni, do cholery...

– Spokojnie, mówię ci. Szczerze mówiąc, ten wynik mnie nie zaskoczył.

Nigdy nie powiem tego przy Carmen Avril, byłaby zdolna wydrapać mi oczy, ale nie wierzyłem w jej hipotezę o podwójnym nieznanym, przynajmniej nigdy nie uwierzyłem, że twoja obecność w Yport i w Isigny wskazywała zdecydowanie na ciebie jako na winnego. Od czasu kiedy pracuję nad tą sprawą, zdążyłem postawić inną hipotezę. Hipotezę bardziej osobistą, jeśli wolisz... Również bardziej złożoną.

– No to już, niech pan opowiada, mamy całą noc.

– I cały przyływ jutro rano, zobaczysz. W skrócie, powiedzmy, że kiedy Carmen Avril próbowała mi sprzedać swój szalony pomysł, żeby cię docisnąć, rozdając role wszystkim członkom stowarzyszenia Czerwona Nić, skorzystałem z okazji.

– Niech pan się nie bawi w długie korowody, Piroz.

Kapitan zakaszłał. Nie wydawał się w najlepszej formie.

– Jeszcze nie zrozumiałeś? No to ci wyjaśnię. Użyłem cię jako przynęty! Wszedłem w ich knowania, żeby odwrócić ich uwagę. Ponieważ...

Piroz znowu kaszlnął. Pomyślałem o zawartości brązowych kopert, o ostatnich postępach śledztwa, o wątpliwościach Mony-Aliny. Myrtille Camus znała swojego gwałciciela. Ona i Morgane Avril stały się ofiarami podrywacza. Umówiły się z nim na randkę...

Podniosłem głos.

– Dlatego że odkrył pan tożsamość prawdziwego winowajcy?

Piroz dał mi znak, żebym nie mówił tak głośno. Ciągnąłem, zaledwie trochę ciszej.

– Znam go? Policja sprawdziła wszystkie materiały genetyczne bliskich Morgane Avril i Myrtille Camus. Niemożliwe, żeby podwójny zabójca był jednym z nich!

Zrobiłem pauzę, potem zadałem inne pytanie.

– A co ma do rzeczy ta historia dylematu więźnia w całym tym cyrku?

Piroz odpowiedział mi zagadkowym uśmiechem.

– Dowiesz się tego za kilka godzin, Salaoui. Wszystko zaplanowane. Wszystko przygotowane. Możesz mi ufać. Proszę cię tylko o jedną przysługę: pogrywaj tak jak oni! Oni cię wystarczająco wkręcali przez ostatnie dni, to chyba możesz odegrać im komedię przez kilka godzin, co? Jutro rano nic im nie mów o naszej rozmowie. Nikt o tym nie wie. Twoja niewinność powinna pozostać w tajemnicy jeszcze kilka godzin. To jedyny sposób, żeby sprawca się zdradził.

– Wkurzacie mnie tymi swoimi kretyńskimi strategiami.

Znowu otworzył butelkę calvadosu i nalał sobie czwarty kieliszek.

– Na zdrowie, Salaoui. Za kilka godzin wszystko będzie skończone. Będziesz czysty jak łąza. Będziesz sobie mógł używać z Alinką, ile tylko zechcesz.

Wziął kieliszek ze stolika, podał mi, ale ja nie kiwnąłem palcem. Piroz wzruszył ramionami.

– Wpadłeś jej w oko, chłopie. Im dłużej się z tobą spotykała, tym mniej wydawała się wierzyć w twoją winę. Posłuchaj uważnie tej rady, Salaoui. Poza mną ona jest jedynym twoim sprzymierzeńcem na tym statku.

*Mona?*

*Moim jedynym sprzymierzeńcem?*

W tym momencie poczułem do tej skrytej myszy najgłębszą pogardę.

Złudzenia. Zdrada. Zawód.

Pomyśleć, że Ophélie dała jej notę 21 na 20 z takim komentarzem:

*Nie puszczaj jej, to kobieta twojego życia.*

Kobieta mojego życia?

Mój jedyny sprzymierzeniec?

Nie wiedziałem jeszcze, jak bardzo Ophélie, podobnie jak Piroz, się myliła.

Kiedy Piroz wyszedł z kabiny statku, zabierając swoją kartkę, butelkę i dwa kieliszki, trochę się chwiejąc, poczułem, jak uderza we mnie fala gorąca, obejmuje mnie, przydusza, tak jakby deski kabiny były w rzeczywistości ścianami sauny. Dziwna rzecz, przypomniałem sobie dzień, w którym zapaliłem pierwszego jointa, sam, w sobotni wieczór, na dachu szkoły Louise-Michel. Tamtego dnia odciąłem za jednym zamachem wszystkie cumy, wszystkie worki z balastem, które mnie przygniatały do ziemi.

Wyrzucone!

Czułem się lekki. Byłem niewinny. Gliniarze mieli na to dowody.  
Pozostało mi już tylko pożegnać się z tą bandą idiotów, przez których o mało  
nie zwariowałem.  
Może oprócz Océane...

**Włącz się do ich gry?**

Obudziły mnie krzyki kormoranów i mew, tak jakby tysiące morskich ptaków umówiło się w sieci, żeby przybyć do Saint-Marcouf na powitanie „Paramé”. Dzień chyba dopiero wstawał. Nieśmiałe słońce pokazywało swoje czerwone oko pośrodku bulaja, podkrążone łzami z piany morskiej.

Drewniane ściany nagle zawibrowały. Krzyki, tym razem ludzi. Zrozumiałem, że cumują „Paramé”. W następnej chwili wyleciały w powietrze drzwi od mojej kabiny. Rozpoznałem Carmen Avril po jej imponującej tuszy. Miała na sobie obszerny woskowany płaszcz.

– Czas wstawać! – krzyknęła.

Spojrzała z obrzydzeniem na moje nagie ciało, popatrzyła chwilę na kikut z lewym kolaniem. Mierzyła wzrokiem potwora. Istotę kaleką i perwersyjną. Rzadko widziałem, żeby ktoś patrzył na moje kalectwo z taką mieszaniną fascynacji i nienawiści...

Zabójca jej ukochanej córki. Którego ona...

Wyciągnąłem się ostentacyjnie ma materacu, rozwierając uda i ukazując penis.

Byłem niewinny! Gliniarze byli po mojej stronie, nie po jej stronie.

– Wciągaj to – wydarła się Carmen, rzucając kulę zwiniętego ubrania na łóżko.

Tym samym ruchem wycelowała we mnie żelazny pręt, który trzymała z tyłu, za plecami. Coś w rodzaju pogrzebaczka, ale dłuższego i grubszego, dobre dwa centymetry średnicy na metr długości.

Cofnąłem się instynktownie w głąb alkowy. Byłem niewinny, ale przytwierdzony do ściany, goły, bezbronny wobec wariatki, która przez dziesięć lat myślała tylko o zemście. Carmen Avril przybliżyła żelazną żerdź i trzymała ją poziomo tuż przy mojej twarzy.

Czas się zatrzymał. Na wieczność.

Wreszcie wypuściła ją na ziemię. Żelazny pręt zawibrował niekończącym się dźwiękiem cymbałów.

– To ci posłuży za kulę.

Nie powiedziała ani słowa więcej, położyła na stoliku mały kluczyk, zapewne od moich kajdanków, i wyszła z kabiny.

Gdy tylko postawiłem nogę na pokładzie „Paramé” ubrany w kauczukowy kombinezon, który mi rzuciła Carmen, Frédéric Saint-Michel minął mnie bez słowa



i zszedł do ładowni. Nie zdążyłem im nawymyślać, wykrzyknąć, jakie to było upokarzające dla mnie, że musiałem wchodzić po schodach na jednej nodze, utrzymywać równowagę na tym statku bez jednej nogi, pomagając sobie tylko metalowym prętem. Frédéric Saint-Michel już wszedł z powrotem, trzymając w ręce kajdanki, i dał mi znak, żebym wyciągnął nadgarstki.

Saint-Michel... Ten drań Atarax! Porządnie się nacierpiął przez te dziesięć lat, kochany Chichin, ulubieniec dziewczyn...

Przypomniałem sobie rady Piroza.

*Wszystko przewidziane.*

*Wszystko przygotowane.*

*Włącz się do ich gry.*

Wypuściłem żelazny drąg i wyciągnąłem ręce. Potem przyskoczyłem do ławy-skrzyni pod barierą i usiadłem na niej.

Dwie skrępowane ręce, jedna noga. Czy oni naprawdę myśleli, że mam zamiar dopłynąć do brzegu?

„Paramé” był przycumowany koło wyspy Large, jednej z dwu wysp archipelagu Saint-Marcouf. Ta wysepka o wymiarach sto pięćdziesiąt metrów na osiemdziesiąt posiadała tylko twierdzę wzniesioną na środku morza. Natychmiast przywiodła mi na myśl *Fort Boyard*, moje pierwsze dziecięce strachy i fantazje, karty, tygrysy, pająki i piersi gwiazdek w wydekoltowanych kostiumach kąpielowych.

Centralna część fortu na Saint-Marcouf, coś w rodzaju Koloseum z bocianim gniazdem na szczycie, była chroniona przez fosy, które otaczały cytadelę, oraz przez grube ceglaste mury prawie w całości pokryte algami albo mchem. Podczas przypływu morze musiało zalewać sporą część muru obronnego. Jedyne falochron, do którego przycumowany był „Paramé”, wydawał się nowszy.

Carmen stanęła przede mną.

– Nie licz za bardzo na ratowników, Salaoui. Kotwiczenie na wyspie Large jest zakazane od lat z powodów bezpieczeństwa. Jedyne stowarzyszenie, które zajmuje się renowacją fortu, ma zezwolenie na przybijanie do brzegu, ale wolontariusze nie pracują w zimie... Tak samo jak żaglowce nie wypływają na La Manche.

Nic nie odpowiedziałem. Na stole ustawionym na pokładzie znajdowały się filiżanki, termos z kawą i ciastka. Frédéric Saint-Michel z kawą i rogalikiem w ręce odwrócił się do mnie.

– Filiżankę kawy? – zapytał ponurym głosem, który nie zawierał ani sympatii, ani antypatii.

Zapewne bez trudu wcielał się w swoją postać, obnosił na twarzy taką samą maskę depresyjną jak Christian Le Medef.

– Nie, dziękuję – odparłem dość głośno, żeby Mona usłyszała. – Ile czasu

będę potrzebował, żeby mówić do niej Alina? – Ostatnia, którą wypilem, niezbyt dobrze mi zrobiła.

Mona nie chwyciła.

Stała przy dziobie statku odwrócona w stronę innej wyspy, Terre. Rude rozpuszczone włosy uderzały gwałtownie w jej twarz czerwoną z zimna, a może nawet z powodu kilku zaschniętych łez wokół opuchniętych powiek. Obok niej, przy lewej burcie, Denise Joubain z jedną ręką na poręczu, drugą trzymała swojego shih tzu. Arnold rozszarpał ciastko z czekoladą tak, jakby się rzucał na żywą zdobycz.

Gilbert Avril stał nade mną, za szybą kabiny pilotażu, zajęty sprawdzaniem nie wiadomo jakiego przyrządu do pomiarów wodnych.

Najmniej przekonany z trupy, pomyślałem. Nawet na trasie siedmiu kilometrów, nawet przycumowany, nawet przy dobrej pogodzie ten facet na pewno znajdzie mnóstwo pretekstów, żeby nie puszczać steru i pozwolić innym robić brudną robotę.

Carmen przeszła koło mnie, naląła sobie kawy do filiżanki, co najmniej po to, żeby sobie ogrzać palce, potem przeszła koło Océane i obdarzyła ją promiennym uśmiechem.

Porozumiewawcze spojrzenia tych, które wygrały po tyłu wysiłkach.

Nagroda. Apoteoza.

Océane trzymała papierosa w palcach, które wystawały z fioletowych mitenek. Włosy zaczesła do tyłu i spięła zapinkami tego samego koloru. Ta fryzura powiększała jej twarz, jej ciemne oczy, nadając dziewczynie elegancję amerykańskiej aktorki. Piękna kobieta na pokładzie transatlantyku wyruszająca z Nowego Jorku na podbój Paryża. W przeciwieństwie do innych nie unikała mojego spojrzenia. Wpatrywała się we mnie, pozwalając tylko od czasu do czasu, żeby wiatr od morza skierował dym z papierosa między nasze twarze.

Lekka tajemnicza zasłona.

Byłem jednoręki, jednonogi, ale jednak czułem się niepokonany.

Niewinny!

Océane mnie sondowała. Interesowała się mną. Zastanawiała się. Okazja w gruncie rzeczy była wspianiała. Bez tej pogardy, bez tego ponurego nieporozumienia nigdy tak wspianiała dziewczyna nie zatrzymałaby na mnie wzroku.

*Wszystko przewidziane.*

*Wszystko przygotowane.*

*Włącz się do ich gry.*

Ten stary pijak jako jedyny nie stał na pokładzie. Pewnie trawił calvados, w oczekiwaniu na wyjęcie z rękawa tej słynnej kontrhipotezy.

Za moimi plecami rozległ się poważny głos Frédérica Saint-Michela.

– Kończymy?

Carmen odstawiła filiżankę z kawą.

– Masz rację, nie traćmy czasu, morze podnosi się już od dwóch godzin.

Nie rozumiałem, jaki to ma związek.

– Alina – rozkazała. – Zamocuj cumy.

Mona zareagowała w sposób mechaniczny, ruszyła powoli ramionami, żeby pociągnąć pomarańczowe boje przymocowane między „Paramé” a falochronem wyspy Large. Denise zabrała Arnolda na czas manewru.

– Która? – zapytała Carmen, mierząc wzrokiem ceglany mur.

– Trzecia od góry – odpowiedział Frédéric Saint-Michel, patrząc w tym samym kierunku.

*Trzecia co?*

Nie widziałem na murze obronnym nic poza lepkiem algami, niektóre zatopione w morzu, inne jeszcze przez kilka minut suche.

– Najmniej zardzewiała – dopowiedziała Carmen, wyciągając palec.

Wskazywała miedzianą obręcz umocowaną w murze przeszło metr nad obecnym poziomem morza, ale pięćdziesiąt centymetrów pod jego maksymalnym poziomem, sądząc po stale wilgotnym mchu. Natychmiast zrozumiałem, dlaczego kazali mi włożyć kauczukowy kombinezon...

Liczyli na to, że mnie przytwierdzą do tej obręczy! I poczekają, aż poziom morza się podniesie.

Strużka potu wtargnęła między moją skórę a kombinezon.

Jaki mieli cel? Skłonić mnie do przyznania się do zbrodni, których nie popełniłem? Wyciągnąć wyznania, a potem oddać mnie w ręce policji? Czy też pójść zgodnie ze swoją logiką aż do końca i zostawić mnie tu, aż wykituję?

Pomyślałem o radach Piroza.

*Wszystko przewidziane. Wszystko przygotowane.*

Modliłem się, żeby kapitan żandarmerii się nie mylił.

Ten gliniarz, który wciąż jeszcze się nie obudził.

Océane jednym prztyczkiem wyrzuciła peta do morza, potem znowu obdarzyła mnie śmiałym spojrzeniem. Nieprzeniknionym...

Carmen podeszła do mnie.

– Zrozumiałeś teraz, Salaoui? Morze podnosi się mniej więcej centymetr na minutę... Będziesz miał trochę więcej niż godzinę, żeby nam opowiedzieć o swoich zbrodniach.

Przełknąłem ślinę.

*Włącz się do ich gry...*

*Okay, Piroz, nie mam wyjścia, ale pośpiesz się.*

– A potem? – zapytałem.

– Naprawdę chcesz, żebym ci wyszczególniła listę ławników? Pod koniec

przesłuchania ława przysięgłych zadecyduje. Przysięgli to zwykli ludzie, lepiej, żebyś był przekonujący.

*Włącz się do ich gry.*

– Jesteście chorzy – chlapanąłem.

Carmen przyjęła to ze stoickim spokojem.

– Idź po Piroza! – krzyknęła do Frédérica. – Będziemy potrzebowali drugiego mężczyzny, żeby wpakować Salaoui do wody, bo Gilbert nie chce sobie brudzić rąk.

Gilbert Avril nie odpowiedział. Chyba nawet nie usłyszał uwagi siostry, zagłuszonej krzykami mew zgromadzonych na dachu kabiny pilotażu.

Frédéric zniknął w ładowni. Mona wciąż zaciskała ręce na linach cumowniczych smaganych przez pianę. Całe zsiniało. Wątle słońce świtu dało się już połknąć pierzastym chmurom. Temperatura na zewnątrz nie przekraczała chyba pięciu stopni. Nie wyobrażałem sobie, jaka jest temperatura wody.

Océane zapaliła drugiego papierosa. Carmen opróżniła drugą filiżankę kawy.

– Co ten kretyn tam robi? – wymamrotała pod adresem Saint-Michela, który wciąż nie wracał.

Wreszcie jego kroki rozległy się na schodach. Twarz wykrzywiało mu zdumienie.

– Piroza nie ma w kabinie – rzucił.

Otworzyła się przede mną ziejąca otchłań. Los igrał ze mną, rzucał mną o ściany. Miałem wrażenie, że te tysiące kormoranów wrzeszczało tu tylko po to, żeby się ze mnie naigrawać.

– Szukałeś gdzie indziej? – nalegała Carmen. – W klozecie? Pod prysznicem?

Frédéric nie ukrywał rozdrażnienia. Przejechał dłonią po nieogolonej brodzie.

– Carmen, do cholery, ta łódź ma trzydzieści metrów. Przecież ci mówię, że w ładowni go nie ma!

Nikt nic nie dodał. Teraz po kolei zeszły Carmen, potem Océane, potem Denise. Przeszukały każdy zakątek „Paramé”.

Bez rezultatu.

Kapitana żandarmerii nie było już na statku.

Czy Piroz za dużo wypił i pijany wypadł za burtę? Czy też z własnej woli wskoczył do lodowatej wody na pokładzie jakiejś nadmuchiwanej łodzi, żeby dotrzeć do lądu i szukać pomocy? Albo po prostu zatkano mu usta, bo za dużo wiedział, bo nie był zbyt ostrożny?

Kiedy Gilbert Avril, poganiany przez Carmen, liczył jedną po drugiej kamizelki ratunkowe na „Paramé”, pomyślałem o słowach Piroza.

*Nikt o tym nie wie. Twoja niewinność musi jeszcze przez kilka godzin*

*pozostać w tajemnicy.*

*Nikt o tym nie wie.*

Gilbert Avril zaklął i wrzucił byle jak kamizelki do skrzyni. Żadnej nie brakowało!

Popatrzyłem z przerażeniem na miedzianą obręcz przytwierdzoną do ceglanego muru. Morze podniosło się już o dobre dziesięć centymetrów.

„Wodę mieliśmy po kolana, a stary pacan kazał pruć naprzód”.

Nie wiadomo, dlaczego ta stara piosenka Graeme Allwrighta, którą śpiewaliśmy na obozie, kiedy byliśmy dziećmi, przemykała mi po głowie.

Obsesyjnie.

Sposób jak każdy inny, żeby uciec gdzieś myślami. Bo woda faktycznie pożerała mnie już do połowy uda. Nie było mi zimno, jeszcze nie, chronił mnie kauczukowy kombinezon. Najbardziej dotkliwe było przywiązanie do obręczy.

Od kilku minut wypróbowałem różne pozycje, używając jednej ręki, potem drugiej, potem obu, żeby nie obciążać stale tego samego ramienia. Wiedziałem, że jak tylko woda się podniesie, jak tylko moje ciało zacznie pływać, będę mniej cierpieć.

Zanim w ogóle przestanę cierpieć.

Gilbert Avril musiał pomóc Carmen i Saint-Michelowi wynieść mnie ze statku, przytwierdzić moje kajdanki do miedzianej obręczy tkwiącej w murze obronnym. Krzywił się, pożyczył od Océane papierosa i prawie natychmiast go wyrzucił, kilka razy wymamrotał przez zęby „Co za idiotyzm”, zanim wrócił na pokład „Paramé”, kiedy już byłem przykuty do tego swojego słupa tortur.

Nie szarpałem się, nie broniłem. Przez moment pomyślałem, żeby im nie ułatwiać sprawy, żeby krzyczeć, zwijać się na pokładzie jak przecięty na dwoje robak, żeby dodać jeszcze upokorzenie do tego wszystkiego, co już wycierpiałem.

Nic by to nie dało.

Ich było sześcioro. Frédéric Saint-Michel i Océane Avril mieli w kieszeni rewolwery, obnosili się z tym tak ostentacyjnie, że bym widział. Ja byłem sam. Skrępowany. Nawet nie musieli mi grozić bronią, wystarczyłoby, żeby mnie wrzucili do zimnej wody, w kajdankach, że bym ich błagał o przywiązanie do czegoś mniejszego, nie w wodzie.

Tak jak przewidziano, z dokładnością szwajcarskiego zegarka, woda podnosiła się centymetr na minutę. Morze było raczej spokojne, co nie przeszkadzało falom rozbijać się gwałtownie o mury fortu na Saint-Marcouf. Morska woda padająca na moją twarz napełniała mi solą oczy i usta, a oczywiście nie miałem żadnej możliwości, żeby je sobie wytrzeć, aby złagodzić podrażnienie. Moje ciało podnosiło się przy każdej silniejszej fali, a następnie wpadało na ścianę miękkich alg. Byłem już tylko człowiekiem-kadłubem wiszącym pośród burzy, kołysanym do nieprzytomności.

Denise stała z Arnoldem na pokładzie „Paramé” wciąż oparta o poręcz. Czterej inni moi oprawcy wspięli się na cytadelę, siedzieli lub stali na świeżo odnowionym murze obronnym, pięć metrów na lewo ode mnie. Ze swojej pozycji dostrzegałem tylko ten ceglany mur, górę centralnej części cytadeli i bocianie gniazdo, które odcinało się na wełnistym niebie.

Moja ostatnia nadzieja...

Kiedy mnie przywiązywano do miedzianej obręczy, przyszło mi do głowy, że Piroz może wcale nie chciał dopłynąć do wybrzeża, może ukrył się na wyspie Large. Czekał na odpowiedni moment, żeby się zjawić, może nawet w towarzystwie eskadry gliniarzy stojących w odkrytej furgonetce.

Z czworga wariatów należących do Czerwonej Nici Mona – nie potrafiłem myśleć o niej, używając imienia Alina – była najdalej ode mnie, siedziała na końcu muru.

Rozmyślnie?

Nogami uderzała nerwowo o mur, tak jakby czas jej się dłużył w nieskończoność. Rozszalałe włosy tańczyły jak wycieraczki przed jej zalanymi łzami oczami. Saint-Michel ukucnął koło niej, ale co trzydzieści sekund wstawał, również nerwowo. Carmen, wyprostowana, absolutnie spokojna, dominowała nad innymi swoją tuszą. Ani razu nie usiadła. Odwracała spojrzenie tylko po to, by je skierować na tarczę swojego zegarka.

– Niecała godzina, Salaoui. Jeśli chcesz, żeby ława przysięgłych zdążyła rozpatrzyć sprawę, zanim ostatecznie się utopisz, radzę ci, żebyś mówił.

Piana buchnęła mi w twarz.

Jedynie Océane wydawała się spokojna. Siedziała po turecku, wiatrówka opadała jej na dzinsy. Wciąż paliła papierosa i patrzyła na mnie bez niechęci ani bez litości. Po prostu z ciekawością dziecka, które obserwuje w ogrodzie, jak jeden owad pożera drugiego, i nie robi nic, żeby go uratować, które dowiaduje się przy tej okazji, że świat jest okrutny.

Nieprawdopodobnie piękna.

– Mówił o czym? – zawyłem między jedną falą a drugą.

Nikt mi nie odpowiedział. Miałem się przyznać sam, nie żeby mi podsuwano odpowiedzi.

Do diabła, gdzie się podziewa ten kretyn Piroz!

Woda podeszła o dodatkowe trzydzieści centymetrów wyżej, przyduszała mi pierś niczym kleszcze.

*Wszystko przewidziane, wszystko przygotowane*, powracał mi w myśli głos kapitana żandarmerii.

Nadal ani śladu po nim.

– Zostało ci niecałe pół godziny – zapowiedziała Carmen.

Czas mijał zbyt szybko. Podrabiana klepsydra. *Fort Boyard*, wersja *snuff*

*movie.*

Splunąłem mieszaniną wody i śliny.

– Okay, wszystko wam powiem!

Zostało mi zbyt mało czasu. Trudno, nie zastosuję się do zaleceń Piroza, pomyślałem, nie mogę już dłużej czekać. Ten gruby gliniarz alkoholik powinien być mówić wyraźniej, zapowiedzieć, kiedy dokładnie przygalopuje kawaleria.

Krzyknąłem, żeby się przebić przez wzburzoną falę.

– Od początku się mylicie. Nie jestem mordercą Morgane i Myrtille! Piroz też o tym wie, wszystko mi powiedział tej nocy.

Potem wymieniłem wszystkie szczegóły, kończąc na kartce z testem DNA, która na pewno leży w kabine Piroza czy gdzie indziej, ale muszą się pospieszyć, do cholery, niech ją odnajdą!

– Idźcie zobaczyć – powiedziała Carmen do Océane i Saint-Michela. Wstali bez szemrania.

Przez ten czas w dalszym ciągu ich przekonywałem. Yport, w którym nigdy moja noga nie stała, mimo pozorów, mimo tej nieszczęsnej rezerwacji w zajeździe. Ten zakątek Normandii, z którego widziałem tylko betonowy kościół w Grandcamp-Maisy w ciągu jednego popołudnia, ale ani Grandes Carrières, ani kanału w Isigny-sur-Mer.

Mona nawet nie odwróciła głowy. Znała już tę wersję. Wyższa niż poprzednie fala uderzyła mnie w twarz, sprowadzając moje ostatnie argumenty do wstrętnego łyku słonej wody, którą wyplułem wraz z żółcią.

Już umierałem. Byłem wykończony.

Nie dodałem nic więcej. Postanowiłem na razie nie mówić nic o podwójnej grze Piroza, jego prawdziwym celu użycia mnie jako przynęty w celu zdemaskowania winnego.

Czy to ktoś na tym statku?

„Było jej aż do pasa”, podśpiewywał Graeme Allwright.

Océane i Frédéric Saint-Michel wyłonili się z ładowni po dziesięciu minutach z pustymi rękami, potrząsając głową.

Nic. Wszystko przeszukali.

Ani śladu analizy DNA. Piroz zniknął i nawet nie pomyślał o zabezpieczeniu jedyne dowodu, który mnie uniewinnił. Ten gliniarz to wstrętny niekompetentny bęcwał!

Oczy mi zaczynały wysiadać, uderzane tysiącami ostrych kryształków.

– Poczekajcie, do cholery! – zawyłem z ustami pełnymi śliny i piany. – Piroz pokazywał mi w nocy tę kartkę. Te analizy wykonała Regionalna Służba Identyfikacji Sądowej z Rouen. Zadzwońcie do nich, cholera! Potwierdzą.

Océane zapaliła kolejnego papierosa i usiadła z powrotem. Obojętna. Saint-Michel zrobił kilka kroków w stronę cytadeli.



– Niech pan nie stara się zyskać na czasie, Salaoui – odpowiedziała tylko tyle Carmen. – Mało go panu zostało.

Może dwadzieścia minut...

Najwyżej.

Woda podchodziła mi pod łopatki. Moja pozycja stawała się bardziej znośna, udawało mi się jako tako wyciągnąć ciało i utrzymać je na powierzchni w chwiejnej równowadze. Mogłem nawet za pomocą amputowanej nogi uprzedzać najbardziej agresywne fale. Tortura wymyślona przez Carmen i jej przyjaciół była straszliwie skuteczna. Każda uncja zyskanego komfortu, sekunda po sekundzie, przybliżała mnie do śmierci.

Horyzont wciąż był rozpaczliwie pusty.

Kilka chmur pękło. Na Saint-Marcouf zaczęła padać drobniutka mżawka. Opatrznościowa!

Z otwartymi szeroko ustami, z wytrzeszczonymi oczami chleptałem słodką wodę, która spływała mi po twarzy. Na pokładzie „Paramé” Denise i wuj Gilbert schronili się w kabinie pilotażu, potem zniknęli z Arnoldem w szklanej zaparowanej klatce.

Carmen założyła tylko na głowę kaptur swojej fioletowej sztormówki. Saint-Michel otworzył czarny parasol, który nie wyglądał na taki, co długo wytrzyma na wietrze, i podszedł do Mony, żeby zaproponować jej ochronę. Nie wykonała żadnego gestu ani podziękowania, ani rozdrażnienia.

Tylko Océane stawiała czoło ulewie.

Krople omiały jej twarz, rozpuszczały tusz na rzęsach i fioletowy makijaż na powiekach, wszystko spływało jej na policzki i na usta. Czyniąc ją jeszcze wspanialszą; jak wschodnia ikona zapomniana na deszczu, której złote i purpurowe kolory rozgadniają się, tworząc cudowny obraz namalowany przez bogów.

Prawie nie odrywałem już od niej wzroku. Właśnie zakochiwałem się w niej jak głupi. Chociaż za kilka minut miałem się utopić, odczuwałem niepowstrzymane pragnienie tej dziewczyny, tej dziewczyny, która zapewne ponad wszystko pragnęła mojej śmierci. Był w tym z pewnością jakiś transfer, który psychologowie z mojego instytutu z radością by przeanalizowali, ucieczka w otchłań, część mojego mózgu, która goniła w piętę.

Złapałem się obręczy, żeby się podciągnąć, wzniesć na kilka chwil ciało nad wodę, po czym wrzasnąłem, by zagłuszyć szum fal, odgłosy mew i deszczu.

– Piroz miał inną teorię! Chciał złapać prawdziwego sprawcę.

Mój tułów wpadł z powrotem do lodowatej wody.

– Nie mnie – zdierałem sobie płuca. – Nie mnie!

Ostatni oddech. Potem wypuściłem całe powietrze, które mi zostało.

– Jedno z was!

Żadnej reakcji. Arnold, którego Denise wypuściła z kabiny, poszcze kiwał,

biegnąc za kormoranem lądującym na pokładzie.

– Bzdury, Salaoui – skomentowała Carmen. – Został panu kwadrans na przyznanie się.

„Miałem jej aż po pierś”, śmiał się Graeme.

„Wszystko przewidziane, wszystko przygotowane”, odpowiadał mu Piroz.

Dranie!

Jaki plan mógł mieć Piroz, co chciał zrobić na tym kamiennym pustkowiu? Dlaczego tutaj, na Saint-Marcouf? Dlatego że Myrtille Camus spędziła tu jeden dzień podczas rejsu żaglówką kilka dni przed śmiercią? Jaki jest związek między tym planem a wątpliwościami Aliny, jej najlepszej przyjaciółki? Myrtille ubrana seksownie w dniu wolnym od pracy, Myrtille, która miała randkę z gwałcicielem, Myrtille, która zapisywała swoje tajemnice w błękitnym notatniku Moleskine, przez nikogo już nigdy niewidzianego.

Myrtille i ten podpis pod wierszem, który niepokoił Alinę. M2O.

A więc ona też wiedziała, że nie jestem zabójcą.

Alina, Mona, miała za zadanie mnie uwieść, a była jedynym moim sprzymierzeńcem, tak twierdził Piroz.

Alina, nieznajoma. Mona, zdrajczyni.

Moje oczy z żalem przeniosły się z Océane na tę, której stanowczo nie potrafiłem nazywać inaczej niż Mona, przygnębioną, pod parasolem Saint-Michela.

Błagałem ją wzrokiem.

*Powiedz im wszystko, Mona. Powiedz im wszystko. Szybko.*

Posłuchała mnie, nie musiałem otwierać ust, zrozumiała mnie bez słowa. Powoli stanęła na nogach. Stanowczym ruchem odsunęła parasol Saint-Michela.

– Dosyć już tego – powiedziała cicho, tak że z trudem ją słyszałem.

Zwróciła się do Carmen.

– Widzicie przecież, że on nic nie powie. Winny czy niewinny, to już nie my będziemy decydować. Wyciągnijmy go stąd i oddajmy policji.

– Oni go wypuszczą – ucieła Carmen. – Bez przyznania się wypuszczą go.

Mona nie ustępowała.

– Postanowiliśmy utworzyć ławę przysięgłych. I to ława przysięgłych powinna decydować. Podejmiemy decyzję razem, zawsze tak robiliśmy.

Woda spadała kaskadą nad moimi plecami.

*Pospieszcie się, do cholery...*

– Okay – zgodziła się Carmen – niech ci, którzy są za tym, żeby wyjąć tego gnoja z wody, podniosą rękę.

Gilbert i Denise nie usłyszeli w kabinie pytania albo udali, że nie słyszą. Océane zadowolona się zapaleniem kolejnego papierosa, nie wykonała żadnego innego ruchu.

Mona długo pytała wzrokiem każdego członka Czerwonej Nici, po czym

podniosła rękę.

– Na Boga – powiedziała. – Są wątpliwości. Wszyscy wiemy, że są wątpliwości. Nie możemy wydać tego chłopca na śmierć tylko dlatego, że nie mamy nikogo innego, żeby się na nim zemścić...

Odwróciła się w stronę Saint-Michela. Cała wieczność.

Trzy centymetry wody więcej, lodowate ostrze podrzynało mi jabłko Adama. Saint-Michel nie podniósł ręki.

– Zgadzą się – ucieła Carmen. – Jeden głos za uratowaniem Salaoui, pięć głosów przeciw. Niestety, Alino...

To koniec, byłem skazany.

„Mieliśmy wodę po szyję” – szydził Graeme Allwright.

Co druga fala rozbijała się na moich ustach. Połykałem dwie z trzech. Kaszlałem. Dławiłem się.

*Wszystko przewidziane* – mówił Piroz. – *Wszystko przygotowane.*

Kretyn!

Test DNA uwalniał mnie od zarzutu, gliniarz wierzył w moją niewinność, tylko że członkowie stowarzyszenia Czerwona Nić mieli to gdzieś. Musieli dokonać na kimś egzekucji, ponieważ wykonano egzekucję na jednym z nich.

Życie za życie.

Cykl śmierci.

Moja szyja znikwała w pianie.

Nagle, w półmgłę usłyszałem szczekanie Arnolda na pokładzie „Paramé”. Głośniejsze, dłuższe niż wtedy, gdy poszczekiwał na mewy.

Wszyscy się odwrócili. Wytrzeszczyłem oczy.

Wprost na kadłub „Paramé” płynęło ciało znoszone przez prądy morskie aż do wyspy Large.

*Piroz.*

Nie wypadł przypadkiem za burtę, bo wypił o kieliszek za dużo, tym bardziej nie wyruszył, by szukać pomocy. Płynął na plecach jak szkarłatna tratwa ze śmiesznym masztem wbitym w serce.

Rękojeść noża.

Zamordowany.

*Wszystko przewidziane, wszystko przygotowane*, twierdził.

Też coś!

Za głośno rozmawialiśmy wczoraj wieczorem w mojej kabinie. Piroz nie był dość ostrożny. Prawdziwy sprawca szpiegował nas, zamknął mu usta.

Kto?

Teraz już to mało ważne. Ważna była jedynie ta pewność.

*Nikt inny nie wiedział.*

Jedyna osoba na świecie będąca w posiadaniu dowodu mojej niewinności

została zmuszona do wiecznego milczenia. Byłem ostatecznie skazany na śmierć.

Wszyscy członkowie Czerwonej Nici z niedowierzaniem wodzili wzrokiem za martwym ciałem Piroza, które dryfowało, wypełnione wodą, jeszcze bardziej korpulentne niż zazwyczaj.

Wszyscy oprócz Océane Avril.

Océane, sama, wydawała się pochłonięta bez reszty innym punktem w odległości kilku metrów od siebie, na ceglany murze, prawie u stóp Mony.

Odwróciłem odruchowo głowę i usiłowałem zrozumieć, co ona widzi.

Początkowo moje oczy, między dwiema falami, niczego nie zdołały dostrzec. Potem nagle wszystko stało się oczywiste.

Wystarczyło popatrzeć w odpowiednie miejsce.

Océane wyglądała na równie zaskoczoną jak ja.

Na brunatnoczerwonych ceglach wyryte były dwie litery i jedna cyfra, prawie zatarte, inicjały, jakie wypisują zakochani, żeby przypieczętować swoją miłość wiecznym stemplem.

M20

**Jedno z was?**

M2O

Wpatrywałem się w cegłę, nie dowierzając.

Obie litery i cyfra odcinały się delikatnymi białymi liniami wyłobionymi w glinianym kamieniu, tak jakby Myrtille Camus wróciła kilka dni wcześniej na Saint-Marcouf, żeby je wyryć albo jakby ktoś inny dbał o nie pieczołowicie od dziesięciu lat.

Strumień wody buchnął mi w twarz. Splunąłem mieszaniną zimnej piany i soli.

W tej nagłej sytuacji mało mnie obchodziło, w jaki sposób to epitafium wychynęło z przeszłości, liczyło się tylko jego znaczenie. Oczywiście. Równie gwałtowne jak podarta zasłona, która nagle odsłania nagą prawdę.

M2O nie oznaczało *mariage 2 octobre*, jak wszyscy sądzili.

M2O miało inny sens, wynikający z niewzruszonej logiki.

*Inicjały, jakie wypisują zakochani*, pomyślałem znowu.

*Myrtille aime Olivier*, Myrtille kocha Oliviera.

*M.M.O[7]*

M2O

Myrtille kochała Oliviera. Oliviera Roy, ładnego chłopaka, który się kręcił koło niej na obozie w Isigny, na morzu koło Saint-Marcouf czy na plaży Grandcamp-Maisy, faceta w biało-niebieskiej czapce adidasa, który zniknął 6 października 2004, poszukiwanego przez wszystkie służby komendanta Bastineta.

Alina myliła się, kiedy składała zeznanie glinom. Olivier Roy nie krążył wokół Myrtille Camus, dlatego że był zboczeńcem czyhającym na potencjalną ofiarę... Nie! Powód był o wiele prostszy: Myrtille i Olivier sypiali ze sobą. Przeżywali letni romans, a Myrtille na kilka miesięcy przed ślubem nie ośmieliła się nic powiedzieć najbliższej przyjaciółce... Alina miała wątpliwości przez wszystkie te lata, ale nigdy nie zdołała spojrzeć prawdzie w oczy.

Moja broda już tonęła w morzu. Ciało się trzęsło z zimna i podniecenia. Adrenalina przyspieszała napływ myśli. W głowie przesuwwały się informacje zarejestrowane w poprzednich dniach. Całe śledztwo komendanta Bastineta i Ellen Nilsson.

M2O

Myrtille kocha Oliviera.

W pamięci zatańczyło mi kilka wersów...  
Wprawię w świat mocne kraty  
By nie mógł nas nigdy rozdzielić  
Wyproszę szczęście rodzinne  
By życie nie mogło nas znudzić  
Zbuduję wokół nas twierdzę  
I mężnie będę jej bronić  
M20

Podpis pod wierszem, który został napisany dla Oliviera Roy, a nie dla Frédérica Saint-Michela...

Rozpaczliwym ruchem wyciągnąłem ramiona, żeby na moment wynurzyć się z wody. Nadałem płuca i wrzasnąłem:

– Tam!

Mojemu okrzykowi towarzyszył wycelowany tam palec Océane.

Wszyscy członkowie stowarzyszenia Czerwona Nić znieruchomieli. Wypełnione wodą ciało kapitana Piroza zatrzymało się przy falochronie fortu Saint-Marcouf, po czym jak uparty balon odbijało się zawzięcie od muru przy każdym przypływie i odpływie fali. Nikt nie raczył na niego spojrzeć.

Nie czekając na dalsze wyjaśnienia, Mona położyła się na brzegu muru i wyciągnęła ręce aż do wygrawerowanego kamienia, metr nad poziomem morza. Cegła nie była umocowana w murze.

Ręka Mony powoli wysunęła kamień z muru, odsłaniając schowek szerokości z dziesięciu centymetrów. Nachyliła się jeszcze bardziej. Jej lewa ręka trafiła po omacku na pustą przestrzeń w murze. W następnej sekundzie wyciągnęła z niej przezroczystą plastikową torebkę.

Woda podchodziła mi do dolnej wargi. Za minutę mogła połknąć mi usta. Kiedy nowa fala zalewała mi twarz, dostrzegłem błękitny prostokąt w celofanie. Oczywiście wiedziałem, co Mona przed chwilą odkryła.

Niespodzianka Piroza?

*Wszystko przygotowane*, twierdził.

Czy on sam przygotował tę inscenizację? Wygrawerował te litery i ukrył tę torebkę?

\*

Mona rozerwała plastik zębami. Przezroczyste strzępy fruwały przez chwilę na wietrze wiejącym od La Manche, podczas gdy jej palce zaciskały się na małym niebieskim notesie.

Notatnik Moleskine. To notes Myrtille, ten, w którym zapisywała swoje najskrytsze emocje.

Dużo później, kiedy będę myślał o każdym szczególe tej sceny, będę podsumowywał okoliczności, zachowanie każdego z członków stowarzyszenia Czerwona Nić, dokładną pozycję zajmowaną przez nich na pokładzie „Paramé” czy na murze fortu wyspy Large i znajdę dla nich logiczne wytłumaczenie. Nieuniknione odreagowanie po długim, bardzo długim czekaniu. Ale w danej chwili mój umysł wykrzykiwał tylko jeden rozkaz:

*Pospiesz się, Mona!*

Woda drażyła mi nozdrza. Kwas mlekowy palił mięśnie pleców. Wyciągnąłem jednak znowu ramiona, żeby wznieść się nad linię wodnicy, z podbródkiem nad wodą. Kiedy ból stał się zbyt silny, odetchnąłem, rozluźniłem się, wstrzymałem oddech i zanurzyłem głowę w morzu. Na długie sekundy, żeby ulżyć mięśniom, zanim znowu je napręzę, by wznieść się z powrotem na powietrze. Ile czasu zdołam tak wytrzymać?

Mona czytała notatnik. Poruszały się tylko jej wargi. Z daleka jej sylwetka odcinała się na tle białego nieba, z fortem nad głową.

– No co, Alino? – rozległo się nagle wycie Denise na pokładzie statku.

Arnold zaszczekał.

Frédéric Saint-Michel zacisnął dłoń w kieszeni kurtki.

Carmen i Océane podeszły bliżej do siebie. Ich dwie kurtki K-Way identycznego koloru tworzyły jedną plastikową fioletową plachtę. Matka i córka jakby nic nie rozumiały z następujących po sobie wydarzeń.

\*

Kolejne zanurzenie. Moja głowa policzyła do trzydziestu.

Wystrzeliłem na powierzchnię.

Mona podniosła oczy znad notesu, wlepiała je we Frédérica Saint-Michela. Jej głos wydał mi się daleki, prawie nierzeczywisty, przefiltrowany przez litry wody morskiej.

– Chciała cię rzucić, Frédéric. Myrtille już cię nie kochała...

– Głupoty! – zawył Saint-Michel.

Carmen postąpiła krok naprzód, ale Océane przytrzymała ją za rękę. Mona znowu opuściła głowę nad moleskine’em. Przewracała nową stronę, trwało to całą wieczność.

*Mona, proszę cię!*

La Manche znowu mnie połknął. Tym razem wytrzymałem dwadzieścia sekund. Potem, zaklinowany na miedzianej obręczy, z unieruchomionymi nadgarstkami, wynurzyłem się jeszcze, łapiąc tlen, tak że o mało nie rozwalilem sobie płuc.

Głos Mony coraz bardziej się oddalał.

– Poznała kogoś innego, Frédéric. Kogoś, kto jej otworzył oczy. Kto dał jej

odwagę, żeby mogła stawić czoło swoim bliskim. Charles'owi i Louise. Mnie. Odwagę, by nie zgodzić się na to, czego wszyscy od niej oczekiwali...

– Bzdury! – zawył Saint-Michel.

Trup Piroza podryfował i pływał teraz dwa metry ode mnie. Popatrzyłem na niego ostatkiem sił. Fala uderzyła mnie prosto w twarz z otwartymi ustami. Myślałem, że wlewa się we mnie ocean. Topiłem się, niezdolny do wypłucia z siebie słowa, i nikt w najmniejszym stopniu nie zwracał na mnie uwagi.

Oczy wszystkich zawisły na wargach Mony.

– To jej ostatnie słowa, Frédéric. Ostatnie słowa, które napisała w tym notesie.

Słowa zawirowały. Moja łydka, jedyny mięsień zdolny jeszcze do oporu, w przystępie rozpaczy zawisła na murze, a palce u nogi szukały pod wodą szczeliny między dwiema cegłami.

Oprzeć się. Zyskać kilka sekund za cenę chwiejnej równowagi, którą może zdmuchnąć najszabsza fala.

Moja stopa uderzyła w pustkę, nie znalazłszy najmniejszego zaczepu.

Nie sposób wyciągnąć głowę z wody.

Zamknąłem powieki, usta, wstrzymałem oddech, na całą wieczność. Kilka centymetrów od powierzchni, niczym w bańce, słyszałem, jak Mona czyta.

– „Dwudziesty piąty sierpnia. Trzecia rano. Jutro przyjeżdża Fred. To mój dzień wolny. Bardzo chciał przyjechać. Nie przyjmuje do wiadomości, że wszystko skończone. Umówiłam się z nim w dyskretnym miejscu, obok farmy w Grandes Carrières koło Isigny. Mam nadzieję, że tym razem zrozumie. Mam nadzieję, że tato, mama i Alina zrozumieją. Mam nadzieję, że nie zawiodę ich wszystkich. Mam nadzieję, że pójdzie to szybko. Nie mogę się doczekać, Olivier, tak bardzo nie mogę się doczekać, żeby się z tobą zobaczyć”.

Otworzyłem oczy. Rozsadzało mi klatkę piersiową. Przez wodę dostrzegłem tylko rozmyte cienie.

Monę, która zrobiła krok w stronę Saint-Michela.

– Byłeś w Isigny, Frédéric? W Grandes Carrières? Tego dnia, w którym Myrtille została zabita?

Zniekształcona sylwetka Saint-Michela pochyliła się, wyciągnęła rękę wycelowaną w moją stronę.

– To ukartowany spisek, do cholery! On jest zabójcą. On!

Zbyt późno pojąłem, że Saint-Michel trzyma w wyciągniętej ręce splotę, że będzie strzelał, do mnie.

Zanurzyłem się, ale moje nadgarstki przykute kajdankami do obręczy przytrzymywały mnie niecałe pięćdziesiąt centymetrów pod wodą.

Idealny cel...

Teraz wszystko potoczyło się bardzo szybko.



– Zdychaj! – zawył Saint-Michel.

Potem usłyszałem krzyk Océane, „Nie!”, potem detonację, przekonany, że kula przeszyje zaraz moje ciało.

Nic.

Jeszcze trzy inne detonacje, po czym natychmiast ciało Frédériciego Saint-Michela zachwiało się i zleciało z muru pięć metrów ode mnie, przy krzykach Océane.

Zrozumiałem, że ona była najszybsza, że strzeliła pierwsza. Potem jeszcze i jeszcze, do mordercy Myrtille Camus. Mordercy jej siostry Morgane.

W następnej sekundzie jakieś nowe uderzenie rozpryskało wodę na powierzchnię.

Mona zanurkowała.

Poczułem, jak jej ciało styka się z moim, jej usta przywierają do moich i całują mnie, by ofiarować mi odroczenie końca o kilka sekund, o kilka dodatkowych łyków powietrza. Wyplęnęła, nabrała powietrza, znowu się zanurzyła w wodzie i znowu mnie pocałowała, podczas gdy jej palce chwyciły się gorączkowo miedzianej obręczy.

Usłyszałem metaliczny brzęk kluczy, po czym w jednej chwili kajdanki się otworzyły.

Byłem wolny! Żywy. Niewinny.

Z wysokości pokładu „Paramé” wuj Gilbert, z nieprzeniknioną twarzą, rzucił nam dwie pomarańczowe boje.

Po stronie wyspy Océane płakała w ramionach Carmen stojącej na murze prosto jak skała i zasłaniającej swoją tuszą połowę fortu.

Mona, cała mokra, w dżinsach Kaporal i zielonym swetrze, przylgnęła do mnie i znowu usiłowała mnie pocałować. Dotknęła wargami tylko skroni pokrytej włosami i algami.

Odwróciłem się. Byłem zimną kłodą dryfującą z dala od kłamstw.

Mona mnie zdradziła.

To nie ona mnie uratowała.

Czepiając się sznurowej drabinki, która zwisała z kadłuba „Paramé”, znowu zwróciłem oczy w stronę Océane.

Ona podniosła twarz i wytrzymała moje spojrzenie.

Było takie samo, jak kilka dni temu na szczycie klifu, zanim rzuciła się w przepaść.

Tęczówki jak przepaście.

U jej stóp, na murze, leżał rewolwer.

Océane właśnie zabiła człowieka, żebym ja mógł żyć.

7 M i *aime* (kocha) czyta się tak samo, em (przyp. tłum.).

## Ukartowany spiszek, do cholery?

Do plaży w Grandcamp-Maisy był jeszcze dobry kilometr, ale dostrzegałem już jasne fasady domów na nabrzeżu, stojących w jednym rzędzie niczym białe zęby w szerokim uśmiechu.

Carmen Avril zatelefonowała do gliniarzy. Czekali na nas w porcie. Zapewniali, że będą tam przed nami, chociaż podróż z Saint-Marcouf trwa tylko kilka minut. Mieli zapewne postawić na nogi wszystkie brygady z okolicy, żeby nas przyjąć. Za nami wyspa Large zniknęła już w porannej mgle. Jedyne latające nad pustym morzem kormorany pozwalały się domyślać, że istnieje jakiś ląd w zasięgu ich skrzydeł.

Siedziałem na skrzyni służącej za ławkę. Nikt nie pomyślał, żeby mi oddać proteżę. Océane popłakiwała, przytulona do mnie. Carmen, wisząca na telefonie, powierzyła mi córkę, nie pozostawiając mi wyboru. Byłem przemoczony. Woda dostała się w końcu pomiędzy kauczukowy kombinezon a moją skórę i zalegała tam, lodowata, chłodzona jeszcze przez wiatr od lądu, który nas smagał w twarz.

Za nic na świecie nie zamieniłbym się na miejsca.

Nie wykonałbym najmniejszego gestu, żeby się schować przed morską bryzą, żeby usunąć lodowate strumienie, które spływały po moim torsie, ramionach, nogach, najmniejszego ruchu, który mógłby zmienić choć o milimetr tę cudowną równowagę.

Twarc Océane na moim ramieniu. Jej ręka wokół mojej talii. Jej ciepłe łyzy na mojej szyi, kilka palących kropli w lodowatym potoku.

Przygnębiona.

Océane nie widziała, jak Gilbert i Carmen Avril po trwających długie minuty wysiłkach wnieśli na pokład „Paramé” zwłoki Piroza i Saint-Michela. Jak Gilbert znosił je do ładowni, sam, bez słowa, trzymając tylko w ustach marlboro.

„Wiedziałem, że to był idiotyczny pomysł”, tylko tyle wycedził pod adresem siostry. Potem wrócił do kabiny pilotażu i spuścił gazy.

Carmen nie odpowiedziała, z uchem i ustami przyklejonymi do telefonu komórkowego, zapewne rozmawiała z gliniarzami. Nie starczyłoby całej tej podróży morskiej, żeby im wyjaśnić, dlaczego holenderski kuter przewozi dwa trupy w ładowni.

Gliniarza i mordercy.

Mona siedziała przy parapecie, koło dziobu. Wpatrywała się w białe niebo, w stronę wieży kościoła w Grandcamp, jedyne masztu na tym wybrzeżu, do

którego można było kierować modlitwą. Z zaczerwienionymi oczami. Denise przywiązała Arnolda przy nogach i gładziła ją po rudych włosach. Mona będzie potrzebowała czasu. Jej najlepsza przyjaciółka została zamordowana przez człowieka, którego znała od dzieciństwa. Chichin. Mężczyznę, którego jej rodzice, Charles i Louise, wybrali, żeby ich córka była szczęśliwa.

Wszyscy zginęli, pogrzebani pod lawiną kłamstw.

Wszyscy oprócz niej.

\*

Płynący statek kołysał Océane. Chyba nigdy nie trzymałem w ramionach niemowlęcia, ale rozumiałem ojców, którzy potrafili nocami nosić dziecko przy piersi. Rozumiałem to niewiarygodne uczucie odpowiedzialności, które nakazywało nic nie robić, czekać, stojąc jak posąg po wieczne czasy. Że wystarczyło być.

Tylko moje myśli biegały. Zanim weszliśmy do portu Grandcamp, błędziły w pustce. Nic nie rozumiałem albo prawie nic, tylko to, że Frédéric Saint-Michel był podwójnym gwałcicielem, zabójcą w czerwonym szaliku, którego gliniarze szukali od dziesięciu lat, że Piroz go rozgryzł i zastawił na niego pułapkę.

Wzdłuż niekończącego się betonowego falochronu oddzielającego plażę w Grandcamp od miasteczka wodziłem wzrokiem za trzema sztafetami gliniarzy, które jechały w kierunku portu. Na pewno podnieceni. Wiszący na ustach Carmen.

Dziesięć lat czekali. Teraz jednak wszystko pójdzie bardzo szybko.

Ani ja, ani oni jeszcze tego nie wiedzieliśmy.

Późnym popołudniem gliniarze mieli zakończyć pierwsze ekspertyzy notesu Moleskine odnalezionego za cegłą na wyspie Saint-Marcouf i potwierdzić bez żadnych wątpliwości, że był on zapisywany przez Myrtille Camus dziesięć lat temu. Inna grupa gliniarzy miała dokładnie zbadać, co Frédéric Saint-Michel robił 26 sierpnia 2004 roku. Pewien urzędnik merostwa Elbeuf przypomniał sobie, że w przeddzień zamordowania jego narzeczonej dyrektor ośrodka wypoczynkowego du Puchot odwołał swoje spotkania z rodzicami, żeby udać się na oględziny przyszłych miejsc rozrywki dla obozowiczów. Zajazdy. Bazy sportów wodnych. Pony Kluby. Nikt wtedy nie sprawdził, nikt nie zwrócił na to uwagi. Chodziło o seryjnego zabójcę. Któż mógł sobie wyobrazić, że Frédéric Saint-Michel w ciągu jednego dnia odbył podróż tam i z powrotem z Elbeuf do Isigny, trzysta sześćdziesiąt kilometrów, żeby zgwałcić i udusić swoją przyszłą narzeczoną?

Późnym wieczorem, przed godziną dwudziestą trzecią, gliniarze z brygady z Elbeuf zaopatrzeni w nakaz sądowy sędziego Lagarde'a mieli przeszukać mieszkanie Frédérica Saint-Michela przy ulicy Sainte-Cécile. Ku swojemu zaskoczeniu mieli tam znaleźć, w szufladzie zamkniętej na klucz, którą w końcu zaatakowali łomem, torebkę Morgane Avril. Mieli wtedy zadzwonić do sędziego,

żeby wykrzyczeć, że oto po raz pierwszy został dowiedziony związek między dwiema sprawami, Avril i Camus.

Koło północy Sandra Fontaine, była instruktorka ośrodka du Puchot, obecnie nauczycielka w Thuit-Simer, nieopodal Elbeuf, do której zadzwonił aspirant Hachani, miała sobie przypomnieć, że mówiła swojemu dyrektorowi o festiwalu Riff on Cliff, a zwłaszcza o jednym zespole, który przyjeżdżał tego wieczoru do Yport. O Histoires d'A., grupie, która wykonywała przeboje zespołu Rita Mitsouko. Sandra Fontaine nie wiedziała, czy jej dyrektor pojechał na festiwal, ale pamiętała dokładnie, że rozmawiała z nim o Riff on Cliff nazajutrz, przy kawie. Zresztą w całym regionie tego dnia wszyscy mówili o festiwalu. Nie o programie muzycznym, ale o dziewczynie, którą znaleziono zgwałconą, uduszoną i zrzuconą z klifu w Yport.

Okolo pierwszej w nocy miała się zebrać grupa trzech policjantów pilotowanych przez komendanta Weissmana z SRPJ z Rouen, by spędzić resztę nocy na sporządzaniu pierwszego raportu. Prawdopodobnie Frédéric Saint-Michel udał się sam na festiwal Riff on Cliff, uległ tam urokowi Morgane Avril, która rozgrzewała tego wieczoru parkiet w Sea View. Zapewne Morgane Avril nie pozostała obojętna na awanse Saint-Michela. Wyszli razem z lokalu. Wszystko musiało następnie wymknąć się spod kontroli. Saint-Michel zgwałcił dziewczynę, potem ją udusił, wrócił do Elbeuf, zachowując tylko jej torebkę, której gliniarze poszukiwali.

Co się stało kilka miesięcy później, kiedy Myrtille Camus, jego narzeczona, umówiła się z nim w Grandes Carrières, żeby mu oznajmić, że chce z nim zerwać? Nowy napad wściekłości? Makiaweliczny drobiazgowo przygotowany plan? Zapewne nigdy się nie dowiemy, ale Frédéric Saint-Michel zastosował ten sam modus operandi co podczas pierwszego morderstwa. Podarta sukienka. Czerwony szalik Burberry użyty do uduszenia ofiary. Odwracał w ten sposób podejrzenia policji. Zabójca był włóczęgą, zbrojeńcem. W żadnym wypadku kimś bliskim jednej z dziewcząt...

Koło trzeciej rano komendant Weissman zrobił przerwę swoim współpracownikom i próbował obudzić komendanta Léo Bastineta, od ponad pięciu lat będącego na emeryturze, niedaleko Ambert, w departamencie Puy-de-Dôme, żeby go poinformować o ostatnich relacjach w sprawie Avril-Camus. Komendant Bastinet odebrał telefon po jakichś dziesięciu sygnałach i natychmiast odłożył słuchawkę, zanim tamten zdążył wypowiedzieć dziesięć słów. Inaczej było w przypadku Ellen Nilsson, do której udało się Weissmanowi dodzwonić w następnych minutach.

I już o szóstej rano psychokryminolożka udzieliła pierwszego wywiadu na antenie iTélé. Rozczochrana, jakby wyskoczyła prosto z łóżka, z twarzą nieumalowaną, piersią opiętą jedwabną przezroczystą bluzką, wyciągniętą

w pośpiechu, oświadczyła dziennikarzowi, który spozierał na jej gołe nogi, że zawsze wiedziała, że Myrtille Camus znała swojego zabójcę, ale niestety, była jedyną osobą, która wierzyła w tę hipotezę.

O godzinie dziesiątej rano telefonistki SRPJ w Rouen przyjęły już pięć nowych zeznań byłych instruktorek Drap d'Or i młodzieżowego domu kultury w Elbeuf. Wszystkie wyjawily, że kiedy piękny Chichin kierował ośrodkami, bardzo go pociągały młode i ładne stażystki BAFA i stworzył sobie niesamowitą grupę fanek, w przedziale wieku od siedemnastu do dwudziestu lat, gotowych latać za nim, a nawet wskoczyć mu pod kołdrę. Kilka dziewczyn wyznało, że uległo awansom gitarzysty i opowiedziało ze szczegółami o metamorfozie uwodziciela, która następowała zaraz po tym, kiedy one się poddawały: ujmujący adorator, jakim był wieczorem, o świcie zmieniał się w bezlitosnego kochanka. Agresywnego. Zblazowanego. Nie udało się natomiast policjantom znaleźć żadnej dziewczyny, która by przeszła przez łóżko Saint-Michela po lecie 2003 roku, kiedy to związał się oficjalnie z Myrtille Camus. Czy to znaczyło, że Saint-Michel spotkał wielką miłość? Taką, której straty nie mógłby znieść?

Gilbert Avril skręcił ostro sterownicą w prawo. „Paramé” wziął kurs w kierunku portu, prosto na betonowe molo, które dominowało nad wąskim wejściem do kanału. Mimo wczesnej porannej pory kilkudziesięciu gapiów już się tłoczyło na falochronie. Mieszkańcy nabrzeża i zapewne handlarze zaalarmowani przez sznur furgonetek żandarmerii.

Rzucali nam zaciekawione spojrzenia, wskazywali w naszą stronę palcami, śmiali się lub szeptali między sobą. Trzaskały gęsto flesze aparatów fotograficznych.

Océane, wciąż skulona w moich ramionach, stała do nich plecami. „Paramé” sunął powoli po spokojnej wodzie. Domyślałem się, że gdy tylko dobijemy do brzegu, rozpęta się burza. Każdy z członków stowarzyszenia Czerwona Nić zostanie przejęty przez gliniarzy.

Przerzucenie do najbliższego posterunku żandarmerii. Przesłuchania każdego z osobna. Zgraja dziennikarzy koczujących przed budynkiem.

Wykorzystałem ostatnie sekundy spokoju, żeby ułożyć sobie w głowie listę wątpliwości, których śmierć Saint-Michela nie rozwiązała.

Kto umieścił dziennik intymny Myrtille Camus na wyspie Saint-Marcouf? Piroz, żeby skonfrontować Frédérica Saint-Michela, tak jak dał to do zrozumienia w ładowni „Paramé”? Ale skoro położył łapę na tak koronnym dowodzie, jak ten dziennik intymny, to dlaczego nie można było oskarżyć bezpośrednio Saint-Michela? Skoro Piroz odgadł prawdziwe znaczenie podpisu M2O, dlaczego zgodził się uczestniczyć w tej szalonej intrydze wymyślonej przez Carmen Avril aż do chwili makabrycznego rozwiązania na wyspie Saint-Marcouf?

*Wszystko przygotowane, twierdził kapitan.*

Co planował Piroz, zanim Saint-Michel go zasztytował? Co miała do całej tej historii teoria dylematu więźnia, do której kapitan przywiązywał takie znaczenie?

Holenderski kuter zmiótł sygnalizację na końcu mola. Facet w marynarskim berecie stojący na balustradzie, uzbrojony w aparat fotograficzny z teleobiektywem, wymachiwał do nas rękami, dając jakieś znaki. *Kretyn!*

Obróciłem się instynktownie, żeby ukryć twarz Océane. Zgraja tłoczyła się na nabrzeżach. Mój mózg znowu szalał.

Océane zabiła kilka minut temu człowieka, Frédéric Saint-Michel był winny, niewątpliwie, nawet jeśli...

Został ostatni szkopuł. W gruncie rzeczy zasadniczy, ten, który tłumaczył, dlaczego w ogóle nie podejrzewano Saint-Michela.

*Jego DNA!*

Tak jak w przypadku wszystkich bliskich Myrtille Camus, gliniarze sprawdzili materiał genetyczny Frédérica Saint-Michela. Oczywiście nie zgadzał się on ze spermą odkrytą na ciałach Morgane i Myrtille. Czy piękny Chichin też padł ofiarą nieprawdopodobnych okoliczności, zawrotnego splotu wydarzeń, które czyniły z niego idealnego winowajcę? Czy też wymyślił on najsprytniejszą ze sztuczek kuglarskich?

Nikt tego jeszcze nie wiedział, ale gliniarze mieli znaleźć rozwiązanie już następnego dnia, koło trzynastej.

Rozwiązanie tyleż proste, co oczywiste...

## Spotkał wielką miłość?

Sześćdziesiąt trzy plastikowe zapieczętowane torby przybyły przed północą do Okręgowego Urzędu Identyfikacji Sądowej w Rouen. Szklanki, butelki, noże, widelce, szczoteczki do zębów, grzebienie, ubrania, buty, okulary, rękawiczki, chusteczki, długopisy, klucze, kapodastry do gitar, słuchawki do MP3...

Gliniarze z brygady z Elbeuf wykonali posłusznie ścisłe rozkazy komendanta Weissmana i zebrali starannie u Frédérica Saint-Michela wszystkie przedmioty, które, jak im się wydawało, mogły kryć w sobie, mniej czy więcej, materiał genetyczny.

O świcie spośród tych gratów wybrano do analizy pierwszy przedmiot: zwyczajny szklany flakon, znaleziony między żelem pod prysznic a szamponem, zawierał bardzo stare pozostałości spermy. Kilka godzin później komputer wypuł kod genetyczny.

Gliniarze przez długie minuty sprawdzali każdą literę, każdą cyfrę, niczym gracze lotto, którzy nie mogą uwierzyć, że trzymają w ręce kupon z trafionymi cyframi. Dziesięć lat czekali, żeby wylosować odpowiedni zestaw...

Po czym podskoczyli z radości.

Sperma z flakonu była tą samą spermą, którą odnaleziono na ciałach Morgan Avril i Myrtille Camus!

Weissman napisał natychmiast ostateczny raport dla sędziego Lagarde'a: Frédéric Saint-Michel postarał się o spermę jakiegoś nieznanego, żeby odwrócić od siebie podejrzania. Ta pewność zamykała sprawę, czyniąc ją jeszcze bardziej odrażającą. Ze zwyczajnego kochanka, zszokowanego nagłą woltą swoich obu kochanek, piękny Chichin stawał się zabójcą sadystą, który z drobiazgową premedytacją przygotował oba morderstwa. Lekarz sądowy, doktor Courade, twierdził wprawdzie, że wydaje mu się to technicznie niemożliwe, żeby sperma znaleziona w pochwie Morgane Avril mogła zostać wprowadzona w sposób sztuczny, ale nikt się nie zatrzymał na tym szczególe. Frédéric Saint-Michel, nawet z trzema kulami w brzuchu, wkraczał do panteonu zabójców makiawelicznych.

„Paramé” wpłynął do portu Grandcamp-Maisy. Wyprzedził z dziesięć barwnych trawlerów, które posuwały się leniwie wzdłuż nabrzeża. Żandarmi ustawieni pośród polistyrenowych promów wydawali się jakby złapani w sieci statków rybackich i zgromadzeni tam w oczekiwaniu na licytację.

Denise rzuciła cumę najbliższemu stojącemu gliniarzowi. „Paramé” staranował żółte boje i przywarł do ceglanego nabrzeża.

– Oni chcą z tobą porozmawiać – szepnęła Carmen na ucho Océane. – Chcą rozmawiać z każdym z nas. Ale z tobą najpierw.

Niepokój w głosie. Telefon ściśnięty w garści.

Wilgotne spojrzenie Océane opuściło spojrzenie matki i znowu zatopiło się we mnie. Fala deszczu, ciepła fala. Oczywiście będzie musiała się tłumaczyć gliniarzom. Zabiła człowieka. Trzy kule w ciało niecałe trzydzieści minut temu.

Żeby się zemścić.

Żeby mnie uratować...

Jej ręka położyła się powoli na moim ramieniu.

– Wybacz mi, Jamal – powiedziała. – Wybacz nam, to był...

– Czekają na ciebie – wtrąciła się Carmen.

Océane wstała. Wydało mi się, że w jej oczach dostrzegłem żal.

– Zdzwonimy się – szepnęła.

*Zdzwonimy się.*

Podczas gdy Carmen i Océane zniknęły z tyłu niebieskiego renault trafic zaparkowanego na wprost „Paramé”, inni żandarmi okrążali pokład kutra. Z dziesięciu. Niektórzy włożyli lateksowe rękawiczki i ochronne przezroczyste czepki. Siedziałem wciąż na ławce-skrzyni zamkniętej na kłódkę i zdawało się, że nikt się mną nie interesuje. Na wprost w moim polu widzenia Mona wciąż oparta o barierę powiedziała coś gliniarzowi, który do niej podszedł.

Za daleko. Nie można było usłyszeć.

Facet kiwnął głową i oddalił się. W następnej sekundzie Mona stanęła przede mną.

– Dzień dobry, Jamal. Od chwili kiedy umarłam koło dworca w Ifs, nie bardzo mieliśmy okazję, żeby porozmawiać.

Jej śmiech zabrzmiał fałszywie. Raczej pusto. Nie można było się spodziewać żadnego odzewu z mojej strony.

Zacisnęła wargi. Wiatr zabawiał się wwiewaniem jej rudych włosów do kaptura K-Waya.

– Przykro mi, Jamal. Nie miałeś nic wspólnego z tą historią. Rąbnęliśmy się. Wszyscy.

Pod moim kombinezonem ciągle spływała zimna woda. Miałem już dość, chciałem z tym skończyć. Złożyć szybko zeznanie gliniarzom, podpisać je i zmyć się stąd.

– Nie uwierzysz – ciągnęła Mona – jak ci powiem, że nie zgadzałam się z nimi. Ale nie miałam wyjścia.

Odwróciłem głowę. Z renault trafic wysiadła Carmen w towarzystwie żandarmki. Bez Océane.

– Ale widzisz, ostatecznie Carmen Avril miała rację. Piroz również. Aby wydobyć prawdę na wierzch, trzeba było pogrzebać w przeszłości.



*Pogrzebać w przeszłości?*

*Wydobyć prawdę na wierzch?*

W ładowni „Paramé” gniły dwa trupy, i zapewne nie były to te, które typowano na początku programu.

Podszedł do nas gliniarz w kepi wciśniętym aż po brwi. Zanim zdążył się odezwać, przechwyciła go Denise, wtryniając mu na ręce Arnolda. Mona najwyraźniej wynegocjowała rozejm. Na czas rozmowy ze mną.

*Czego się spodziewała?*

Nieposłuszny kosmyk podrażnił jej wargi, odgarnęła go jednym skrzywieniem. Nie miała już nic wspólnego z małą wystraszoną ryjówką.

– Bardzo szybko, Jamal, zrozumiałam, że jesteś niewinny...

*Bardzo szybko?*

*Dokładniej, mała...*

*Jak już się przespaliśmy ze sobą? Przedtem? Potem? Podczas?*

Zobaczyłem czwartego gliniarza schodzącego do ładowni kutra.

– Musiałam zagrać swoją rolę do końca – wygłosiła Mona. – Przez pamięć Myrtille... Louise, Charles’a... To było, jak to powiedzieć, nierzeczywiste. Pamiętasz, wczoraj wieczorem w fiacie, koło Vaucottes, jak czytałeś tekst z brązowej koperty, życie małej dziewczynki z Puchot i jej koleżanki z dzieciństwa. Mimy i Lina. Śmiertelnie smutne życie dziewczyny, która płakała obok ciebie, gdy ty czytałeś ten list nieznanym...

Wczoraj wieczorem. Zaledwie dziesięć godzin temu. Miałem wrażenie, że od tego czasu minął cały rok.

Vaucottes. Fiat. Brązowa koperta.

„Wzruszające?” – zapytała wtedy. I dodała: „Dziękuję”.

Nic nie rozumiałem.

Chlapnąłem teraz garść zatrutych słów.

– Pamiętam. Nieźle sobie ze mną pograłaś.

– Nie, Jamal...

– Tak... Gratulacje! Jesteś niesamowitą aktorką.

Zawinęła rudy kosmyk na palcu, podskoczyła na równe nogi jak nieśmiała gimnazjalistka, po czym wzięła głęboki oddech.

– Nie, Jamal. Byłam szczerą. Wbrew wszystkim pozorom byłam szczerą. Absolutnie szczerą. Nie uwierzysz mi, Jamal, nie mam żadnych złudzeń, ale muszę ci to powiedzieć. Teraz. Poza tym, co dotyczyło podwójnego morderstwa, nigdy...

Zakończyła swoje oświadczenie na bezdechu.

– ...nigdy nie byłam tak szczerą, będąc z chłopakiem.

Jej nieporadny uśmiech rozbił się o moją twarz.

*Szczerą?*

*Poza tym, co dotyczyło podwójnego morderstwa?*

Również poza brązowymi kopertami rozsiewanymi za moimi plecami.

Poza nocnym wypadem do Le Medefa. Poza wizytą w pokoju z przerażonymi dziećmiakami w zajeździe w dawnym dworcu w Ifs. Poza wymyślonym życiem Magali Verron. Poza wyśnionym życiem niejakiej Mony Salinas, autorki pracy doktorskiej o krzemionce otoczków, ukochanej studentki promotora pracy kierującego największym we Francji laboratorium chemii doświadczalnej, który pożycza jej swoją willę. Dlaczego byś miała sobie odmawiać, co, Mona? No tak, jak się ma wybór, to lepiej przyjąć rolę dziewczyny zabawnej, inteligentnej i utytułowanej... Stworzyć sobie wszelkie możliwości uwodzenia naiwniaka siedzącego naprzeciw przy stoliku w La Sirène.

– Nic nie było prawdziwe – wymamrotałem. – Nic.

– Ani prawdziwe, ani fałszywe, Jamal... Wymyślaliśmy, opowiadaliśmy sobie historie!

Głuchy krzyk rozległ się nad moją głową.

– Odwalcie się!

W kabinie pilotażu „Paramé” Gilbert Avril wrzeszczał na gliniarza, który próbował go oderwać od steru. Przerażone mewy fruwały od jednego masztu do drugiego.

Moje spojrzenie przeleciało nad plecami Mony.

– Nie. Ja w to uwierzyłem.

Milczenie.

Zobaczyłem wysiadającą z renault trafic Océane w otoczeniu dwóch żandarmów, potem znikającą znowu z tyłu w C4. Berlinka po kilku sekundach skręciła na końcu nabrzeża.

Czułem jakiś ciężar w brzuchu. Odwróciłem oczy.

– Uwierzyłem, Mona – powtórzyłem. – Widzisz, wciąż cię nazywam Mona. Głupie, co? Mona Salinas nie istnieje! Nigdy nie istniała. Jesteś... nieznajomą!

Włosy fruwały jej ciągle wokół, tak dokuczliwie jak rój komarów.

– Jeśli tak myślisz... – powiedziała po dłuższej chwili. – Alina nie różni się jednak tak bardzo od Mony. To ta sama dziewczyna, Jamal. Zmienia się tylko kolejność liter. Wszyscy graliśmy swoje własne role, w gruncie rzeczy.

Podeszła i pocałowała mnie w policzek. Drżała. Usiłowała się uśmiechnąć.

– Nie mogę ci mieć za złe. To już by był szczyt wszystkiego, co? Bez urazy, więc...

Nie zareagowałem. Nie dodałem ani słowa. Radosny ton Mony wydał mi się strasznie sztuczny.

– Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie, Jamal? Naszą kolację we dwoje w La Sirène? Zapytałam cię, czy dałbyś mi jedną z tych wizytówek, które rozdawałeś najpiękniejszym dziewczynom na ulicy?

– Odpowiedziałem ci, że tak.

– To prawda. Ale przypominasz sobie, co ja dodałam?

*Nic a nic.*

Zbadałem jeszcze wzrokiem puste nabrzeże aż do rogu, gdzie za kremową willą zniknął C4 z Océane.

– Wtedy mówiłam do ciebie per pan, Jamal. Powiedziałam ci mniej więcej coś takiego: „Jestem pewna, że nie dałby mi pan swojej wizytówki. Pan kocha kobiety romantyczne, piękne femmes fatales. Nie takie bezpośrednie dziewczyny jak ja. – Mona przejechała zimnym palcem po moim policzku. – Przyciąga pan obrazy, kolekcjonuje je pan jak figurki Panini. Nie łapie pan tych, których panu trzeba”.

Musiałem zmrużyć oczy, gdy w tym bladym dniu błysnął flesz. Gliniarz robił zdjęcia parapetu „Paramé”. Zapewne chciał znaleźć to miejsce na pokładzie, z którego Saint-Michel przerzucił Piroza przez burtę. Żaden z nich nie wydawał się spieszyć z przesłuchaniem nas.

Słowa Mony w dalszym ciągu chodziły mi po głowie.

*Kocha pan kobiety romantyczne, piękne femmes fatales.*

*Nie łapie pan tych, których panu trzeba.*

Przypomniałem sobie teraz, powiedziała mi to już pierwszego wieczoru, przecucie, na które w ogóle nie zwróciłem uwagi.

– Bez urazy – potwierdziłem na głos. – Miałaś rację, Mona, pociągają mnie gwiazdy.

Moja ręka opadła w pustą przestrzeń pod lewym kolanem.

– Te, które powinienem zdobywać! Niedostępne szczyty. Wspinaczka na Mont Blanc, takie głupoty. Ciężko trenuję w tym celu.

– Wiem. Zawsze wiedziałam, w gruncie rzeczy. Ciao, Jamal. Gliniarze na nas czekają. Myślę, że oboje możemy pogrzebać tę pocziwą Monę, a więc...

Alina. Wbić sobie to imię do głowy.

Skręciła się, żeby wydobyć jakiś przedmiot z kieszeni džinsów.

– À propos twoich przyszłych szczytów, odzyskałam to wczoraj. Położyłam ją na masce fiata, niedaleko dawnego dworca w Ifs. Ześlizgnęła się, kiedy odpaliłeś, żeby uciec Pirozowi. Może nawet przejechałeś po niej.

Mona włożyła mi w dłoń żółtą gwiazdę szeryfa. Czarną od błota. Pogiętą.

– Dałeś mi ją pod opiekę. Będziesz musiał znaleźć inną strażniczkę.

Wzniosłem oczy do nieba. Nad rogalikiem księżycy, który strzepił się na długie białe chmury, błyszczała ostatnia konstelacja.

– Dziękuję, Mona. Ale już jej nie potrzebuję.

Znowu popatrzyłem na poranne gwiazdy, które odgrywały kokietki, ukryte za cienkim woalem nadmorskiej mgły, po czym schwyciłem odznakę szeryfa w dwa palce, kciuk i palec wskazujący.

Zdeterminowanym gestem rzuciłem ją najdalej jak mogłem do wody.

Kawałek pozłacanego metalu leciał dłuższą chwilę, zataczając elegancki łuk, aż dotknął, odbijając się kilka razy, czarnej powierzchni portu.

– Nie powinieneś być tego robić – zaprotestowała Mona. – To był twój talizman...

Gwiazda szeryfa powoli szła na dno.

– Twoja maskotka – dodała.

Odeszła. Nie zdążyła zejść trzech szczebli drabiny „Paramé”, żeby wyjść na nabrzeże, a już gliniarz w skórzanej kurtce wyciągał ręce z kieszeni, żeby jej pomóc.

Po pokładzie przedefilowały, niesione przez czterech innych żandarmów, trupy Piroza i Saint-Michela, zawinięte w plastikowe nieprzezroczyście worki.

Jeden z gliniarzy zwrócił obojętnie głowę w moją stronę. Może nawet spodziewał się, że pomogę im przenieść truposzy.

Zamknąłem oczy i poddałem się kołysaniu statku.

W głowie tańczyło mi pięć czasowników.

Pięć przykazań.

*Zostać* pierwszym niepełnosprawnym sportowcem uczestniczącym w maratonie Ultra-Trail du Mont Blanc

*Kochać się* z kobietą piękniejszą niż ja

*Mieć* dziecko

*Być* opłakiwanym po śmierci przez kobietę

*Splacić* dług przed śmiercią

Tym razem nie blefowałem w rozmowie z Moną.

Nie potrzebowałem już gwiazdy szeryfa, żeby mnie prowadziła w życiu. Dotknąłem palcem moich pięciu wytycznych. Pierwsza była tylko kwestią treningu. Druga nie była już niedostępnym Everestem.

*Océane...*

Nigdy nie miałem aż takiej chęci, żeby ta sama kobieta spełniła trzy z moich życzeń. Co się tyczy piątego, to tyle razy otarłem się o śmierć w ostatnich dniach, że chyba się zmęczyła i na długo da mi spokój...

Trudno powiedzieć, ile czasu siedziałem na skrzyni zatopiony w myślach, zanim przyszedł gliniarz, żeby mnie przesłuchać. Był młody, uśmiechnięty, prawie można było pomyśleć, że to stażysta. Podał mi koc, pytając, czy chcę się przebrać. Kiwnąłem głową.

– Proszę za mną...

Wstałem i podskoczyłem na swojej jedynej nodze. Stażysta odwrócił się, zakłopotany. Zdawało się, że szuka gdzieś na kutrze brakującej połowy mojej nogi. O mało nie wychylił się za burtę, żeby sprawdzić, czy jakiś krokodyl z otwartą paszczą nie czeka, żeby mi pożreć drugą.

Potem bardzo szybko poczułem, że jego zakłopotanie przechodzi

w niepokój. Jego spojrzenie powędrowało aż na moją twarz.

Podejrzliwe.

Może jemu też trudno było uwierzyć, że ów jednonogi Arab jest absolutnie niewinny w tej sprawie. Nie ma dymu bez ognia... W końcu, przecież stowarzyszenie Czerwona Nić zgromadziło dowody, byłem podwójnym nieznanym, jedynym facetem obecnym w złym momencie na miejscach zbrodni popełnionych na Morgane Avril i Myrtille Camus. Byłem ostatnim, który rozmawiał z Pirozem przed jego zabójstwem... Przecież w dossier Saint-Michela pozostało dużo stref cienia.

Przecież byłem idealnym kozłem ofiarnym.

Przecież może od początku kłamałem.

Wyciągnąłem rękę, żeby młody gliniarz użyczył mi swojego ramienia. Gdzie ci idioci ze stowarzyszenia Czerwona Nić mogli podziąć moją protezę? Domyślałem się oczywiście, że w nadchodzących godzinach będę musiał opowiadać i opowiadać o nieprawdopodobnym splocie wydarzeń ostatnich sześciu dni.

Również pisać, żeby niczego nie zapomnieć.

O tym, co najgorsze, i o tym, co najlepsze.

Najgorsze za mną, najlepsze przede mną.

Pamiętajcie. To była pierwsza scena tej opowieści.

Jadłem kolację u najładniejszej dziewczyny na świecie. Włożyła właśnie sukienkę koloru niebieskiego tulipana. Jej piersi tańczyły pod jedwabistym dekoltem, w który wolno mi było zanurzać wzrok tak długo, jak długo tego pragnąłem.

Teraz mogę wam wyjawić jej imię.

*Océane.*

Miałem się zaraz z nią kochać.

To były pierwsze linijki tej opowieści, będą ostatnie.

Miłośnicy thrillerów, przykro mi, że was zawiodę...

To będzie happy end!

**Najlepsze przede mną?**

Szampan Piper-Heidsieck, rocznik 2005.

Kielich.

Drwa w kominku przed niskim ciemnym stołem z egzotycznego drewna, którego nie znam, zapewne wart krocie.

Skórzany fotel, na którym siedzę. Pokryty patyną, z tej samej jasnobrązowej skóry, z której robi się siodelka harleya, wysokie botki, kapelusze Stetson. Wart majątek! Można się spodziewać, że ginekolog dobrze zarabia.

Océane hałasuje w kuchni. Mój kielich piper-heidsieck stoi na stole tuż obok stu kartek, dokładnie stu trzynastu. Opowieść z moich ostatnich sześciu dni. Piszę ostatnie linijki i za kilka minut, kiedy dam ją do przeczytania Océane, zamknę ją. Na zawsze.

Kto ją otworzy ponownie?

Kto ją przeczyta?

Czy ta opowieść pozostanie intymną introspekcją zapomnianą na dnie szuflady? Czy stanie się zdumiewającą powieścią z zagadką, której będę głównym bohaterem?

Kim będziecie wy, wy, którzy wpatrujecie się w ten tekst? Tylko czy będziecie istnieć?

Pełen wątpliwości, zapisuję te ostatnie strony.

Gliniarze uwolnili Océane późnym popołudniem. Jej adwokat twierdził, że już nic jej nie grozi. Obrona konieczna. Potwierdziło to pięciu świadków. Frédéric Saint-Michel strzeliłby do mnie, zabiłby mnie, gdyby Océane nie chwyciła za broń pierwsza. Główny Inspektorat Służb Porządkowych (IGS) w dalszym ciągu prowadzi dochodzenie na temat roli Piroza w tej sprawie. Zostaniemy jeszcze wszyscy przesłuchani jako świadkowie, zapewne po kilka razy. Komendant Weissman i trzech jego zastępców po wysłuchaniu mojej historii popatrzyli na mnie z pewnego rodzaju niezdrową litością i zapytali, czy pragnę wnieść skargę.

*Wnieść skargę? Przeciw komu?*

Nie wyglądali na bardzo pojętnych i zostawili mnie. Od dwóch dni gliniarze spierali się, grzebali, szukali, szperali, ale teraz w gruncie rzeczy chyba mają to gdzieś. Mają sprawcę, motyw, wyznania i aż nadto dowodów.

Frédéric Saint-Michel.

Zatrzymany. Osądzony. Wyrok wykonany.

Sprawa zamknięta.

Przyjechałem do Océane niecałą godzinę temu. Ona mieszka w małym odosobnionym domku w Lucy, kilka kilometrów od Neufchâtel-en-Bray, w chałupce dla lalek, ściany – glina ze słomą, mur pruski, na dachu słoma i kwarc, dookoła cztery żywopłoty. Studnia, odstojnik, labirynt żwirowych alejek biegnących między kwietnikami doskonale przyciętych roślin. Carmen musi chyba spędzać godziny nadliczbowe w ogrodzie swojej córki.

Océane wpuściła mnie, wskazała skórzany fotel i dała butelkę szampana, żebym ją otworzył przez ten czas, kiedy ona pójdzie na górę się przebrać. Gdy po kilku minutach zeszła z powrotem, zamiast sweterka i džinsów miała na sobie sukienkę koloru niebieskiego tulipana.

Pióro wypadło mi z ręki. Poczulem, jak skóra fotela roztapia się pode mną.

Szeroka turkusowa szarfa przechodziła za jej karkiem i dzieliła się na dwie poły, które zakrywały jej piersi, po czym schodziły do paska, rozdzielone jedna od drugiej oszalamiającym dekoltem. Suknia – kwiat rozszerzała się poniżej paska, tworząc jedwabną koronę kwiatową, otwierającą się na dwa ładne słupki opięte dwiema ażurowymi pończochami koloru niebieskiej laguny.

Nachyliła się nade mną, podała mi kielich, potem odeszła, żeby rozniecić ogień w kominku. Taniec jej długich włosów na twarzy wydał mi się wyzwaniem rzuconym płaszącym w palenisku płomieniom.

Była tak piękna, że aż mi dech zaparło.

Serce waliło mi tak, że o mało nie pękło. Żeby nie wybuchło, wbiłem wzrok w załomki jej sukienki. Océane nie miała nic pod spodem, ani popręgu spadochronu, żeby znowu uciec, ani biustonosza.

Podeszła i stanęła na wprost mnie.

– Nie myśl, że jestem dla ciebie miła tylko dlatego, że mi wybaczyłeś.

Jej wargi przylgnęły do moich, jakby chciała powstrzymać moją odpowiedź.

– Powinieneś zobaczyć swoją minę tego dnia, kiedy wtargnąłeś do mojego gabinetu w Neufchâtel. Jakbyś spotkał ducha.

– Anioła – szepnąłem.

Położyła ponownie palec na moich ustach. Kpiła sobie.

– I twoje cudowne przerażenie tego ranka, kiedy skoczyłam z klifu w Yport.

– Anioł – powtórzyłem.

Zadzwoiła swoim kieliszkiem szampana o mój.

– Mogę?

Nie czekając na pozwolenie, usiadła mi na kolanach, delikatnie, ze słodką lekkością małej dziewczynki, jakby chciała oszczędzić moją sztuczną nogę. Wstrzymałem oddech.

– Jesteś tak...

Znowu dotknęła palcem moich warg.

– Cii...

Utkwiła we mnie czarne jak węgiel oczy, z bliska. Próba sił, powieka za powiekę, aż ustąpię, aż opuszczę wzrok na jej swobodne piersi, ledwo przykryte dwiema turkusowymi zasłonami. Oparłem się pokusie, by je rozsunać, zakryć moimi dłońmi jej piersi, przejechać końcami palców po ich pięknych wypukłościach, okrążyć po tysiackroć ich ciemne brodawki. Siedząc wciąż na moich kolanach, Océane zakołysała się, żeby się jeszcze przysunąć. Jej piersi spłaszczyły się na moim torsie, podczas gdy jej wzgórek łonowy przywierał do rozporka moich dżinsów.

Zadrzałem.

Pięknotka nie nosiła nic pod sukienką.

Zanim zdążyłem uwięzić jej talię, wstała. Jej palce odpięły mój pas, po czym jednym ruchem ściągnęły mi spodnie i bokserki aż do kostek.

Błagałem niebios, żeby widok mojej kości piszczelowej nie przyhamował jej porywu. Wydawało się, że nawet jej nie zauważyła. Gestem księżniczki podciągnęła sukienkę, jakby nie chciała jej pognieść, siadając.

Jej uda łagodnie się ugięły.

Jej wargi lekko zadrzały, kiedy w nią wchodziłem.

Goła skóra Océane była ekranem kinowym, na którym odbijały się szalejące cienie płomieni w kominku.

– Nie zadałaś mi pytania – wyszeptałem jej do ucha.

Szampan spływał jej do gardła. Korciło mnie, żeby wylać do dołka pod jej szyją zawartość butelki, z której piła, żeby następnie umoczyć w nim wargi i język.

– Jakiego pytania?

– Tego, które wszyscy mi zadają. O moją nogę. Jak to się stało? Przed rokiem dwa tysiące czwartym czy po?

– Mam to gdzieś, Jamal.

Przykleiła do mnie swoje wrzące ciało. Nigdy nie rozmawiałem poważnie o moim kalectwie z osobą dorosłą. Jednak dokładnie w tej chwili nie miałem już ochoty grać, uciekać, kłamać. W końcu przecież w ostatnich liniijkach swojej opowieści przepiszę każde słowo tej rozmowy z kobietą moich marzeń. Moi przyszli czytelnicy też zasługują na to, by poznać prawdę przed końcem.

Przesunąłem dłonią po gołych plecach Océane i przemówiłem tonem konspiratora.

– Od urodzenia rozsiewałem dziesiątki wersji, każda była inna. Użyczyłem nawet kilka z nich członkom twojego stowarzyszenia Czerwona Nić. Bohaterskie wyczyny, tragiczne wypadki. Odgrywałem kalekiego strażaka, złodzieja pechowca, nieostrożnego Yamakasi... Ale prawda jest o wiele prostsza.

Jej ręka spoczęła z czułością na moim ramieniu, a wargi całowały moją szyję.

– Niektórzy rodzą się z siostrą bliźniaczką, życie mnoży wszystko przez



dwa. – Uśmiechnąłem się, wpatrując się w nią. – Mnie, przeciwnie, podzieliło wszystko przez dwa. Urodziłem się z jedną nerką, jednym płucem, jedną nogą, oczywiście z jednym sercem, ale za słabym. Moja matka, Nadia, miała czterdzieści sześć lat, kiedy zaszła ze mną w ciążę, ojciec miał ponad pięćdziesiąt. Byłem dla niej czymś w rodzaju małego cudu. Przez pierwsze piętnaście lat życia dojrzałej kobiety co trzy lata rodziła dziecko. Potem przez następne piętnaście lat nie miała już żadnego dziecka... Aż urodziła mnie.

Pocałunki Océane schodziły na moją klatkę piersiową, moje pieszczoty aż do wygięcia jej pleców.

– Mama spędziła ostatnie piętnaście lat życia, dogłądając mnie. W dzieciństwie przeszedłem osiemnaście operacji, musiałem w sumie spędzić ponad dwadzieścia miesięcy na łóżku szpitalnym. Sam jeden w wieku dziesięciu lat zrobiłem w kasie chorych departamentu 93 niezłą dziurę budżetową. Dorastałem z myślą, że nigdy nie będę duży, że nie mam w swoim silniku dość części w dobrym stanie, żeby daleko zajechać drogą. Że w każdej chwili może się coś zepsuć i zostanę na lodzie na poboczu drogi. Wtedy wymyśliłem swoją przyszłość, wyobraziłem sobie życie Achillesa, rozumiesz, co chcę powiedzieć? Zgodzić się umrzeć młodo, ale pod warunkiem, że się przedtem użyje życia, że się ustawi poprzeczkę nie z liczbą lat do przeżycia, lecz z celami do osiągnięcia.

– Dużo ich masz? – wyszeptała Océane.

W jej głosie była jakaś nieskończona czułość. Tak jakby moje wyznania pobudziły jej miłość do mnie. Aż zacząłem żałować wszystkich tych śmiechu wartych wersji wymyślanych od wczesnej młodości w celu uwodzenia dziewczyn.

– Pięć... Pięć ramion mojej gwiazdy.

Złapała delikatnie rękę, która biegła po jej skórze, i ścisnęła ją.

– Widzisz, moja matka nie chciała słyszeć o życiu Achillesa! Nerka, płuco, wielkie serce, to można znaleźć, można kupić albo można dać. Jeździła swoim wózkiem na organy po wszystkich szpitalach we Francji, stała się koszmarem najlepszych chirurgów. Płaciła za operacje, które kosztowały miliony euro, swoją kartą ubezpieczeniową. Osiemnaście operacji, wyobrażasz sobie? Dała mi jedno swoje płuco, gdy tylko moja klatka piersiowa osiągnęła wielkość jej klatki, miałem wtedy piętnaście lat. To była ostatnia moja operacja. A następnej zimy mamy już nie było.

Pięć jej palców uwięziło moje.

– Moja ostatnia operacja – powtórzyłem. – Byłem człowiekiem, który kosztował trzy miliardy. Robocop dla kumpli z La Courneuve. Całkiem nowe ciało z wyjątkiem jednej nogi i jednej stopy, jedynej części ludzkiego ciała, której żaden chirurg na świecie nie potrafił przeszczepić. Ale jedna stopa nie przeszkadza w poruszaniu się równie szybko jak inni. Nawet szybciej. W dniu pogrzebu mamy zacząłem biegać. Nigdy nie przestałem.

– Rozumiem.

– Wszyscy w dzielnicy mnie znają. Wystarczyłoby wam, żebyście się poinformowali w klatce schodowej w La Courneuve. Jestem kaleką od urodzenia, nie mogłem być gwałcicielem Morgane i Myrtille.

– Wybacz nam.

Skorzystałem z okazji, żeby jej skraść długi pocałunek.

– Wiesz, dorastałem, żyjąc z dnia na dzień, śmierć deptała mi po piętach i każdego dwudziestego piątego grudnia prosiłem Świętego Mikołaja o jeszcze jeden roczek życia... Więc gdybyście mnie zostawili, żebym się utopił koło Saint-Marcouf, to właściwie niczego bym nie żałował...

– Nawet pięciu ramion swojej gwiazdy?

Zawahałem się.

Czy się zmieniłem? Czy odechciało mi się tego życia jak Achilles? Oderwałem rękę od jej ręki i położyłem ją na jej prawej piersi, okrągłej, pełnej.

– Moja gwiazda może w dalszym ciągu błyszczeć po mojej śmierci, prawda?

Océane zadrżała. Jej ręka dotknęła mojej. Przez dłuższą chwilę przyciskała ją do swojej piersi, potem powoli poprowadziła ją po skórze, niżej, jeszcze niżej, aż na kraniec świata.

Océane wciągnęła sukienkę przez głowę, naturalnym gestem. Jedwab pokrył ją niczym drugą skórą.

– Jestem głodna. Skończysz tego swojego Goncourta przez ten czas, kiedy ja przygotuję naszą ucztę?

Bo Océane w dodatku gotuje?

Obserwowałem, jak przechodzi przez salon, chwyta machinalnie kielich szampana, żeby go odstawić na miejsce, po czym znika w kuchni.

To było kilka minut temu.

Od tamtej chwili, siedząc w skórzanym fotelu, przepisywałem dokładnie każde słowo, każdy gest, każdą emocję odczuwaną w ciągu tej godziny, która właśnie minęła.

W ten sposób zakończy się moja opowieść.

Za kilka chwil dam ją do przeczytania Océane. Pewnie znowu będziemy się kochać.

To piękna historia, co? Mały kulawy Arab, urodzony we Francji, którego wszyscy uważali za winnego, kończy życie w ramionach kobiety swoich marzeń. Co o tym myślicie?

Koniec pewno zbyt różowy, żeby robić z tego powieść sensacyjną, tak, zgoda. Ale do ładnego romansidła? *Piękna i Bestia*, wersja podmiejska...

Podnoszę wzrok. Nad normandzką szafą rzeźbioną w owoce otwiera się do nieba okrągła lukarna z koronką. Dziesiątki gwiazd połyskują na czarnym niebie.

Która jest moja?

Która ustawia pięć kierunków mojego życia?

Mój umysł błądzi w stronę dawnego życia, tego, do którego wrócę w poniedziałek w Instytucie. Ibou, który mnie uzna za wariata, Ophélie, która zebrała do kolekcji nowe fotografie facetów, ten kretyn Jérôme Pinelli, który będzie potwornie zazdrosny.

Océane śpiewa w kuchni. Zdaje mi się, że to *A nos actes manqués* Goldmana. Ale nie mam pewności.

Moje pióro zwalnia na białej kartce. Muszę ostrożnie wybrać ostatnie słowa tej opowieści.

Czy wygrałem?

Czy śmierć w końcu przestała krążyć wokół mnie?

Trzymam pióro w powietrzu, mijają długie sekundy, aż stukot drzwi od piekarnika przyprawia mnie o zawrót głowy. Pojawia się Océane ze ścierką w ręce. Intensywny zapach mile łechce mi nozdrza. Sos myśliwski, którego nie mogłem nigdy skosztować w stołówce. Grzyby, szalotka, śmietana i wino.

– Jesteś pewny? – rzuca Océane. – Nikt nie wie, że tu jesteś?

– Na pewno!

Uszanowałem jej wstydlivość, nikomu nie mówiłem, że idę do niej z wizytą. Pięknotka pewnie jeszcze się trochę wstydzi kłopotliwego amanta. Boi się, że Carmen nie będzie zachwycona. Że wuj Gilbert będzie zrzędził. Jak zareaguje Mona?

Nie Mona, Alina!

Zazdrosna?

Uwielbiam tę aurę tajemnicy. Dodaje to jeszcze smaku tej miłości.

Moje pióro po raz ostatni dotyka kartki. Chcę znaleźć ładne zdanie na zakończenie. Namyślałam się. Przygryzam skuwkę.

– Gotowe! – krzyczy Océane.

Trudno. Idę na łatwiznę.

To były pierwsze słowa tej opowieści, będą ostatnimi.

*Długo nie miałem szczęścia.*

*Zawsze myślałem, że szczęśliwy traf zdarza się zawsze po jednej stronie, nigdy po mojej.*

Szczerze mówiąc, nadal trudno mi uwierzyć, żeby przeszedł do drugiego obozu.

**IV**

**Egzekucja**

*Rosny-sous-Bois, 10 sierpnia 2014*

*Od Pana Gérarda Calmette, Jednostka Żandarmerii ds. Identyfikacji Ofiar Katastrof (UGIVC), Instytut Badań Kryminalnych Żandarmerii Narodowej (IRCGN)*

*Do Pana porucznika Bertranda Donnadiu, Żandarmeria Narodowa, Brygada Terytorialna Okręgu Etretat, Seine-Maritime.*

Panie poruczniku!

Piszę ten krótki list, żeby zawiadomić Pana o szczególnym przesłuchaniu w ramach sprawy zwanej sprawą trzech szkieletów znalezionych 12 lipca 2014 na plaży w Yport. Przypominam panu pokrótce, że ci trzej osobnicy, których nazwaliśmy, dla ułatwienia śledztwa, Albert, Bernard i Clovis, zmarli w różnych terminach, Albert w lecie 2004; Bernard na przełomie jesieni 2004 i zimy 2005; Clovis między lutym a marcem 2014, i że najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem ich zgonów jest zatrucie muskaryną w dawce, która według biegłych spowodować miała śmierć każdego z trzech osobników przez zatrzymanie pracy serca, niecałe trzydzieści minut po wchłonięciu trucizny.

Ale posuwając naprzód badania, trafiliśmy na dziwny szczegół, który zmusza mnie do zadania Panu pytania, za które z góry przepraszam, Panie poruczniku.

Czy pańskie służby mogły zaniedbać wysłania nam jednego z dowodów rzeczowych tego śledztwa? Inaczej mówiąc, brakuje nam jednej części puzzla i prosimy was o sprawdzenie z największą dokładnością, czy ta część gdzieś się nie zapodziała.

Wyjaśniam. Udało nam się doskonale odtworzyć szkielety Alberta i Bernarda z kości, które nam przekazaliście. Była to bardzo dokładna praca paleontologa, ale do takiej już przywykliśmy.

Natomiast mimo wielu wysiłków nie udało nam się odtworzyć szkieletu Clovisa, które to imię, przypominam, zostało nadane osobnikowi zmarłemu najpóźniej, w lutym 2014 roku, czyli zaledwie kilka dni po tym, jak sprawa Avril–Camus została rozstrzygnięta przez śmierć domniemanego podwójnego mordercy Frédéricą Saint-Michela. Specjalnie używam przymiotnika „domniemany”, ponieważ w poprzednim liście wyraźnie wskazywałem, że DNA Alberta otrutego w lecie 2004 roku zgadza się z DNA spermy znalezionej na ciałach i ubraniach Morgane Avril i Myrtille Camus. Na razie nie otrzymałem żadnej odpowiedzi od sędziego Lagarde’a, któremu wysłałem kopię mojego poprzedniego listu.

Szkielet Clovisa odpowiada szkieletowi mężczyzny poniżej trzydziestego roku życia, o doskonałych proporcjach, zmarłego sześć miesięcy temu, w stanie bardzo zaawansowanego rozkładu. Kiedy próbowaliśmy połączyć kości, które nam przysłaliście, mimo wielu naszych badań, kombinacji i poszukiwań, musieliśmy się pogodzić z oczywistością.

Brakuje mu kości piszczelowej.

Pozostaję w nadziei, że będzie Pan mógł dostarczyć nam wyjaśnienia na temat tej dziwnie zapodzianej lub zagubionej części.

Proszę przyjąć, Panie poruczniku, wyrazy najgłębszego poważania.

Porucznik Bertrand Donnadiou,

Brygada Terytorialna Okręgu Etretat

## Czy wygrałem?

Océane zatrzasnęła klapę bagażnika audi Q3, nie spojrzawszy na trupa Jamala. Sprawdziła tylko, czy nikt ich nie obserwuje w ciemności ogrodu. Jedyne pobliskie światło pochodziło z latarni na końcu ulicy i nie przedostawało się przez żywopłoty otaczające podwórze domu.

Było zimno. Drobnny roztopiający się śnieg pokrywał wilgotną warstwą dachy i chodniki. Nikt nie wyjdzie z domu tego wieczoru. Océane będzie miała wolną drogę do przetransportowania ciała i położenia koło innych.

Wróciła schronić się do chałupy.

Z trzech chłopców Jamal Salaoui był tym, przed którego zabiciem wahała się najdłużej. Piroz się nie liczył. Wyeliminowała go, ponieważ wszystko zrozumiał, ponieważ miał zgromadzić dowody; wbicie mu noża w brzuch i zrzucenie go z „Paramé”, kiedy był na wpół pijany, zabrało jej niecałą minutę.

Podeszła do kominka. Kilka ostatnich płomieni kąsało kawałki szczap.

Co innego z Jamalem Salaoui. Obiektywnie rzecz biorąc, nie zasługiwał na śmierć. Był ofiarą, tak jak ona. Ofiarą systemu, osądu innych i ich powielanej przemocy. Kozłem ofiarnym w najściślejszym sensie tego słowa, niewinnym, który bierze na siebie zbiorową winę wszystkich innych.

Wszystkich innych mężczyzn.

Océane ułożyła na niskim stole opowieść Jamala, przeszło sto kartek, i wrzuciła wszystko do ognia. Najpierw nic się nie działo, potem w jednej chwili stos papieru zapłonął jak olbrzymia pochodnia.

Jamal Salaoui mógł być odkryć prawdę.

Ten wścibski Piroz mówił mu o dylemacie więźnia, Jamal zapisał wszystko w swoim dzienniku. I o ile Jamal nie zrozumiał, to zmyślny czytelnik mógł inaczej odtworzyć wskazówki, które on zlekceważył, zastanowić się nad nielogicznościami wersji oficjalnej. Zrozumieć...

Océane zrzuciła sukienkę koloru tulipana. Długie sekundy stała nago przed kominkiem, pozwalając, by żar wysokich płomieni pożerał jej skórę. Delektowała się tą chwilą, w której żaden mężczyzna nie mógł obrzucać spojrzeniem jej ciała, nie mógł pożądać jej jak przedmiotu, który się chce posiadać, kupić na licytacji swoich perwersyjnych gier.

*Nigdy nie będzie między nami żadnego chłopaka.*

W głowie zabrzmiał jej cienki głosik Morgane. Jej siostra miała siedem lat, wdrapały się obie na wielką jabłoń rosnącą koło zajazdu mamy. Była wiosna, płatki

kwiatów spadały na ich włosy i ramiona, niczym różowy deszcz z baśni o wrózkach.

*Nigdy nie będzie między nami żadnego chłopaka.*

Obiecały. Nie będzie im potrzebny żaden rycerz, książę czy król, żeby stały się księżniczkami. Były siostrami, bliźniaczkami, jedna dla drugiej, druga dla pierwszej, i nic nigdy nie będzie mogło się wcisnąć między nie.

Nawet płatek kwiatu.

Ogień w kominku już dogasał. Jedynie kilka strzępów dziennika Jamala jeszcze podrygiwało. Océane nachyliła się i zgarnęła popiół, żeby ożywić iskry. Musiała zachować ostrożność, tak jak to robiła wciąż od dziesięciu lat. Oczywiście miły i posłuszny Jamal nie zwierzył się nikomu, że jedzie do niej na randkę, ale kiedy gliniarze zorientują się, że zniknął, na pewno będą ją przesłuchiwać. Nie powinna zostawiać żadnego śladu jego bytności u siebie. Tym bardziej śladu tego dziennika.

Morgane i ona często się wdrapywały na jabłoń, zanim ukończyły osiemnaście lat. Każdej wiosny, każdego roku, który je coraz bardziej do siebie zbliżał, czynił je coraz silniejszymi, również coraz piękniejszymi, obiecywały sobie.

*Żadnego chłopaka między nimi. Nigdy.*

Były po kolei Królowną Śnieżką i jej lustrem. Księżniczkami syjamskimi. Dwa serca, ale ta sama krew.

Mama, z jednym sercem, nigdy nie potrzebowała mężczyzny. Sama założyła rodzinę. Sama własnoręcznie wybudowała najpiękniejszy dom w Neufchâtel-en-Bray. Objęła stanowisko w radzie miejskiej i w stowarzyszeniu na rzecz rozwoju Pays de Bray, też sama. Nigdy nie było żadnego chłopaka między mamą a nimi.

Ogień zgasł. Océane dostała gęsiej skórki i stała tak przez chwilę w chłodzie, potem weszła na górę do pokoju, żeby wciągnąć dzinsy i ciemny sweter. Najwyższy czas, by trup Jamala Salaoui dołączył do dwóch innych chłopaków.

Drogi Pays de Caux były opustoszałe. Zimny deszcz pobiełał zbocza i szkielety drzew, Océane nie groziło zatrzymanie przez policję. Kto by się zapuszczał o trzeciej rano na drogi departamentalne smagane wiatrem i lodowatą mżawką? W świetle reflektorów tablica wskazywała kierunek na Yport. Dziesięć kilometrów.

Obietnica Morgane rozbrzmiała po raz kolejny.

*Nigdy nie będzie między nami żadnego chłopaka.*

Wwiercały jej się w mózg gitarowe rytmy z wieczoru 5 czerwca 2004 roku. Defilowały obrazy, którym towarzyszyła ogłuszająca muzyka. Wypad do Yport z Clarą, Nicolasem, Mathieu i Morgane. Noc w Sea View. Parkiet.

Wycieraczki na szybie uderzały w rytmie jej serca, zmiatając łzy, które



jednak wypływały, za każdym razem coraz bardziej gęste.

*Żadnego chłopaka między nami. Nigdy.*

Océane powtórzyła jej to. Szepnęła jej to na ucho w clio Nicolasa, kiedy zauważyła, że Morgane, z tyłu, się przebiera i wkłada tę sukienkę, która obciskała jej pośladki i piersi. Wykrzyczała jej to na parkiecie, odsuwając las mężczyzn o wilczych oczach, którzy ją otaczali. Muzyka techno była. Morgane, w transie, nie usłyszała jej. Nie usłuchała. Nawet nie spojrzała.

Morgane obiecała, jednak...

Nicolas i Clara całowali się na kanapie. Ten kretyn Mathieu nawet spróbował szczęścia, położył jej rękę na udach, przyłożył wargi do jej szyi. Czy myślał, że ona złamie obietnicę, żeby związać się z takim pacanem jak on? Zasnął nad wódką pomarańczówką. Océane też piła. Dużo. O wiele za dużo. Więcej niż kiedykolwiek w swoim życiu.

Potem ruszyła za nimi.

Morgane wybrała jednego z wilków. Nie przewodnika stada, raczej młodego wilczka z mlecznymi zębami, w rozpiętej koszuli, z torsem bez zarostu i durnym czerwonym szalikiem na szyi.

Océane widziała ich, jak się całowali na parkingu, jak się rozbierali na skraju plaży. W cieniu klifu usłyszała, jak biegli w stronę morza, dusząc się ze śmiechu, jak się dotykali w wodzie, jak wychodzili, trzęsąc się z zimna. Schowana za falochronem słyszała, jak Morgane wzdycha pod wpływem pieszczot nieznajomego, jak wstrzymuje jęki, oddaje się, zapomina.

Obiecałaś, był głos w jej głowie, *żaden chłopak, nigdy*. Kiedy się ubrali, choć Morgane nie zdążyła wciągnąć majtek pod sukienką, Océane, zataczając się, poszła za siostrą i chłopcem w czerwonym szaliku aż do schronu. Które z nich dwojga zapragnęło schwycić rękę drugiego, wspiąć się na schron, obserwować z niego morze i klif w nieskończoność? Océane nigdy się tego nie dowiedziała.

Pod wpływem alkoholu, na dole, łupkowe dachy domów w Yport kołysały się jak szare fale. Kilka minut później, kiedy młody wilk wreszcie się oddalił, Océane podeszła. Morgane miała na szyi szalik nieznajomego.

– Alex mi go dał.

Miał na imię Alexandre. Alexandre Da Costa.

– To nasz łącznik. Nasza czerwona nić. Będziemy się widywać. On jest inny niż...

Wycieraczki nie ocierały już łez. Océane zwolniła, potem zaparkowała na skraju drogi, tuż przed skrzyżowaniem z drogą w kierunku Bénouville. Obrazy były zbyt mocne. Rozmazane. Zachodziły jedno na drugie.

Jej krzyki w nocy. Uśmiech Morgane.

*Nie miałaś prawa. Obiecałaś. Nie miałaś prawa.*

Śmiech Morgane.

*Żadnego chłopaka. Żadnego chłopaka między nami. Nigdy.*

Jej wyzywający śmiech.

Océane widziała znowu, jak jej palce rozdierają sukienkę siostry, żeby ją zatrzymać, jak dłonie ściskają szalik, żeby się przestała śmiać, żeby w końcu zapłakała, żeby ją przeprosiła, żeby padła jej w ramiona.

*Żeby żaden mężczyzna nie mógł już nigdy się wcisnąć między nie.*

Océane znowu widziała, jak te łagodne oczy Morgane zastygają, jak jej ciało toczy się powoli po wilgotnej trawie w stronę zbocza, potem spada w przepaść.

Audi znowu ruszyło powoli. Océane ponownie zobaczyła tysiące razy, jak spojrzenie Morgane zatapia się, nieruchomieje w jej spojrzeniu, po czym ulatuje. Która z nich, królowna czy jej odbicie w lustrze, umarła tamtego wieczoru?

Żadna? Obydwie?

Gliniarze nic nie zrozumieli. Znaleźli na plaży ładną dziewczynę, uduszoną, w podartej sukience, ze śladami spermy na sobie i w pochwie, ze śladami niedawnej penetracji, gwałtownej, kilka minut przed aktem przemocy: ich konkluzja małych samców nie mogła przedstawiać innych hipotez niż gwałt! Océane odczuwała tylko pogardę wobec ich braku kompetencji.

Audi przejechało Bénouville. Miasteczko było pogrążone we śnie. Może nawet nie budziło się przez całą zimę. Tablica ostrzegała kierowców: „Valleuse du Curé – wjazd wzbroniony”. Océane pojechała dalej. Miała jeszcze do przejechania ze sto metrów nieutwardzonej drogi. Kto mógłby się tu zapuścić w poszukiwaniu trupa Jamala Salaoui? Nikt, podobnie jak w przypadku dwóch innych przed laty. Jutro rano deszcz zetrze wszelkie ślady opon na tej ścieżce.

Océane bez trudu odnalazła Alexandre'a Da Costę. Ukrywał się w Blonville-sur-Mer, w letnim domu swoich rodziców, którzy byli tuż przed emeryturą i przez dziewięć miesięcy w roku zamieszkiwali na Antylach, w Saint-Vincent-et-les-Grenadines. Kretyn, głupi jak but, ale jednak zrozumiał, że jest podejrzanym numer jeden w sprawie gwałtu i zamordowania Morgane Avril i że poniesie odpowiedzialność za nie swoje winy z powodu swojego DNA, swojej spermy i swojego szalika, jak tylko wyściubi nos.

Océane jeszcze łatwiej zdołała go uwieść. Zatelefonowała do niego, opowiadając, że dostała wiadomość od siostry tuż przed jej zamordowaniem, esemesa z nazwiskiem jej wielkiej miłości. Alexandre Da Costa.

Ten kretyn przypuszczał, że jakiś facet zaatakował Morgane, kiedy on ją zostawił samą, może chciał jej ukraść torebkę.

Umówiła się z nim w Yvetot, koło węzła drogowego na A29, wieczorem w hotelu Formule 1, gdzie nie ma nikogo, gdzie tylko maszyny rozdają kody do wejścia, zamrożone dania i kawę. Zaznaczyła, że nie zadenuncjowała go gliniarzom, jak mogła była to zrobić, ale się waha... Chciała najpierw z nim porozmawiać, chciała zrozumieć. Tamtego wieczoru chciała poznać każdą

z ostatnich emocji siostry. Przybiegł jak dobry piesek. Z podwiniętym ogonem, który szybko odwinął.

Zwiodła go jej uroda. Wariat. Uznał, potwór jeden, że jest jeszcze piękniejsza niż jej siostra. Może mniej wylewna na materacu w pokoju o tekturowych ścianach, numer 301, kiedy jego serce powoli przestawało bić pod wpływem działania muskaryny rozartej i dodanej do obrzydliwej musaki podgrzanej w mikrofalówce w hallu. Océane wzięła starannie w palce prezerwatywę zawierającą spermę młodego koguta, przelała zawartość do szklanego flakonu, po czym, około trzeciej rano, załadowała ciało do bagażnika swojego samochodu.

„Nigdy nie stanie między nami mężczyzna”, szepnęła do gwiazd, zrzucając trupa w ciemności.

Minęło wiele długich miesięcy, zanim rodzice Alexandre’a Da Costy zgłosili zniknięcie ich dwudziestodwuletniego syna, który kontaktował się z nimi nie częściej niż raz albo dwa razy w roku. Nie wiedzieli nawet, gdzie ostatnio mieszkał; oprócz domu w Normandii posiadali dwie inne rezydencje we Francji, jedną na Lazurowym Wybrzeżu, drugą na wyspie Ré, oraz trzecią na wyspie Cres w Chorwacji i jeszcze mieszkanie na Balearach. Océane dowiedziała się w tamtym czasie, że każdego roku we Francji znika prawie sześćdziesiąt pięć tysięcy osób i że ponad dziesięć tysięcy się nie odnajduje...

Nigdy nikt nic nie skojarzy...

Mama całe życie będzie szukała mordercy swojej córki, bez skutku. Był martwy. Océane pomściła siostrę. Mężczyzna, który próbował je rozdzielić, je dwie, wszystkie trzy, spał na wieki w dziurze w głębi klifu.

Océane zaparkowała audi Q3 za lasiem jesionów, uważając, żeby żaden nocny marek błędzący po polach, gdyby, co nieprawdopodobne, się taki znalazł, nie mógł namierzyć jej samochodu, nie otarłszy się o niego. Zaczynało się najtrudniejsze. Załadować ciało na własne plecy. Uważać, żeby nie zostawić żadnego śladu, żadnego odcisku, żadnego włosa ani kropli potu. Przebyć jeszcze sto pięćdziesiąt metrów na zachód od Valleuse du Curé.

Dziesięć lat wcześniej, w czerwcu 2004 roku, zanim się umówiła z Alexandre’em Da Costa w Formule 1, Océane spędziła całe dnie, wędrując wzdłuż klifów. Oddając się rozmyśleniom, sądzili przechodnie czy gliniarze. Zaniepokojeni. Pewnie wyobrażali sobie, że teraz ona z kolei zastanawia się, czy skoczyć, żeby dołączyć do swojej bliźniaczki. Byliby bardzo zadowoleni. Jak mogli się domyślać, że w tym kredowym murze podziurawionym jak ser szwajcarski, ciągnącym się kilometrami, ona szuka najlepszego naturalnego szybu, żeby wrzucić do niego kłopotliwych mężczyzn. Szybu wystarczająco dużego, żeby pomieścić połowę ludzkości.

Znalazła taki szymb, nieco na wschód od Bénouville, nieopodal Etigues. Była

to studnia krasowa ukryta pośród jeżyn, którą znały tylko normandzkie krowy i gdzie żadna z nich nie zapuściła się, jak sięgnąć pamięcią.

Océane wstrzymała oddech, otwierając bagażnik. Zawinęła ciało Jamala w koc, który miała spalić zaraz po powrocie do Neufchâtel.

Trzeci raz w życiu parkowała tutaj samochód.

Niewiarygodna wiadomość spadła jak grom 27 sierpnia 2004 roku. W Dolnej Normandii znaleziono zgwałconą dziewczynę, uduszoną czerwonym szalikiem Burberry. Niejaką Myrtille Camus. Ogólne przerażenie. Seryjny zabójca znów zaatakował. I jeszcze zaatakuje...

Mama zebrała stowarzyszenie Czerwona Nić jeszcze tego samego wieczoru w stołówce szkolnej w Grandcamp-Maisy, którą mer udostępnił na tę okazję. Chciała się spotkać ze wszystkimi bliskimi tej Myrtille, z rodzicami, babką, najlepszą przyjaciółką, przyszłym mężem. Czas nagił. Należało przyskrzynić zabójcę, zanim ucieknie. Albo zanim znowu to zrobi. Zebrać maksimum wskazówek. Przemówienie mamy było stanowcze, nie można ufać funkcjonariuszom policji, którzy są przeciążeni, źle opłacani i którzy tak naprawdę nie mogą się doczekać jednej rzeczy – wrócić jak najszybciej do domu, żeby zapomnieć o tej odrażającej sprawie.

Licząc z Gilbertem, bratem mamy, wokół stołu zebrało się osiem osób. Trzy od strony Avrilów, pięć od strony Camusów.

Przez całą drogę z Neufchâtel do Grandcamp, podczas gdy wuj Gilbert prowadził, złorzecząc na paryżan, którzy w sierpniu blokują A13, a mama nie przestawała syczeć między zębami: „Znowu zaatakował. Przyskrzynimy tego drania. Znowu zaatakował”, Océane roztrząsała swoje przekonanie: morderca znał Myrtille Camus! Był nawet jednym z jej bliskich, jednym z pierwszych, których policja miała podejrzewać. Inaczej dlaczego miałyby zamaskować swoją zbrodnię i odwrócić podejrzenia w stronę zabójcy poszukiwanego przez całą policję normandzką, mężczyzny gwałcącego, potem duszącego swoje ofiary czerwonym szalikiem Burberry? Po co by sobie zadawał tyle trudu, żeby uwierzono w seryjnego zabójcę?

Seryjnego zabójcę, który nie istniał! Ale tylko dwie osoby dzieliły ten sekret: morderca Myrtille Camus... i ona.

Kiedy wuj Gilbert zaparkował swojego starego mercedesa klasy E na parkingu przed szkołą imienia Jeana Mariona w Grandcamp-Maisy, Océane z trudem starała się ukryć podniecenie. Czy wśród pięciu osób, które zasiądą wraz z nimi wokół stołu, jedna z nich jest zabójcą Myrtille Camus?

Océane upuściła trupa Jamala. Plecy ją paliły. Nie uszła jeszcze trzydziestu metrów i poczuła się wyczerpana. Nigdy nie doniesie go do szybu. Zastanawiała się przez chwilę. Najlepiej byłoby go ciągnąć. Ciągnąć, a potem wyczyścić wszystko za sobą. Westchnęła.

Jej umysł, wbrew woli, znowu szybował w stronę Grandcamp-Maisy, do tego wieczoru, kiedy znaleziono ciało Myrtille. To zebranie z rodziną Camus w sali stołówki. Tamtego wieczoru popełniła błąd, jeden jedyny w ciągu tych dziesięciu lat. Błąd, który wtedy mógł ją drogo kosztować.

Gdy tylko weszła do sali stołówki szkolnej i przyjrzała się pięciu osobom siedzącym za małym ośmiokątnym stołem, Océane zaczęła podejrzewać, że to Frédéric Saint-Michel zabił swoją narzeczoną. Nikt z pozostałych bliskich, rodzice czy przyjaciółka, nie miał profilu wiarygodnego winowajcy. Obserwowała go przez cały wieczór, śledząc każdy jego najdrobniejszy gest, każde jego drżenie, najmniejszą reakcję na każdą wskazówkę dostarczoną przez lekturę policyjnych raportów.

Godzinę później jej przekonanie się ugruntowało. To on.

Ale zapomniała o jednym zasadniczym szczególe.

Morderca Myrtille Camus posiadał dokładnie taką samą przewagę. On też wiedział, że seryjny zabójca był tylko chimera wymyślona przez gliniarzy. Domyślał się tak samo jak ona, że morderca Morgane może siedzieć przy tym samym stole, naprzeciwko niego, i go szpiegować.

Kiedy ich spojrzenia w końcu się spotkały, nie powiedziawszy sobie nawet słowa, zrozumieli. Océane zdradziła się, obserwując go zbyt natarczywie. Kto by mógł go podejrzewać? Kto by mógł wątpić w tezę o seryjnym zabójcy? Tylko ktoś, kto wiedział, że Morgane nie została zabita przez włóczęgę uderzającego na chybił trafił.

Kto jak nie jej zabójca?

Łączył ich milczący pakt.

Zastanawiając się nad najlepszym sposobem trzymania trupa Jamala, Océane pomyślała o tej słynnej teorii, którą odgrzebał Piroz, o dylemacie więźnia. Dwóch współników, którzy mogą, albo nie, się zdradzić. Jeśli donoszą na siebie wzajemnie, tracą wszystko. Jeśli milczą i współpracują, obaj wygrywają. Aż do chwili, kiedy jeden z nich nabierze pewności, że może zdradzić, bo drugi nie zdąży odpowiedzieć. To maksymalna wygrana według tej teorii. Piroz był najbystrzejszy z gliniarzy, w końcu odgadł wszystko, ale kiedy sobie popił, jego głos niósł się trochę za głośno przez ściany kabin „Paramé”.

W dniu zamordowania Myrtille Camus wieczorne spotkanie stowarzyszenia Czerwona Nić w sali stołówki zakończyło się koło północy. Wszyscy wsiedli do samochodów i z zaczerwienionymi oczami dojechali do swoich hoteli. Océane tuż przed wyjściem udała się do toalety w głębi korytarza szkoły przylegającej do stołówki. Frédéric Saint-Michel poszedł tam za nią. Trupio błąd.

– To był wypadek – wybełkotał matowym głosem. – Wypadek. Nie chciałem jej udusić. Mieliśmy się pobrać. Kochała mnie, nigdy by mnie nie opuściła. To było szaleństwo. Ten facet się dla niej nie liczył. Myrtille mnie kochała. Ostatni raz

kochaliśmy się tuż przed...

– Z prezerwatywą, mam nadzieję?

Saint-Michel spojrział na nią. Nie był lepszy od innych mężczyzn! Od tej chwili Océane myślała już o wyeliminowaniu go, tak jak innych. Zrobi to, jak tylko będzie mogła, jak tylko nie będzie już żadnego ryzyka.

– Tak – przyznał.

– Mam dla pana prezent!

Océane wyjęła z kieszeni szklany flakonik. Saint-Michel oczywiście nic nie zrozumiał.

– Dał mi to ten, który zgwałcił moją siostrę – wyjaśniła Océane. – Ale trzeba by mi coś opowiedzieć.

Ręce Saint-Michela trzymały mocno flakon, podczas gdy on szeptał jakieś wyznania, które brzmiały bardziej jak spowiedź. Przerażony po zamordowaniu narzeczonej ukrył ciało Myrtille pod paprociami w Grandes Carrières, mając nadzieję, że nikt go nie znajdzie, zanim on wróci. Potem, przekonany, że stanie się podejrzanym, gdy tylko trup jego narzeczonej zostanie zidentyfikowany, wpadł na pomysł, żeby przyjąć taki sam scenariusz, jaki towarzyszył zbrodni w Yport, o której media opowiadały przez ostatnie miesiące. Saint-Michel pojechał aż do Deauville, wszedł do sklepu Burberry w domu towarowym Printemps, kupił koszulę za sto pięćdziesiąt euro, żeby uśpić czujność sprzedawczyń, kiedy upychał pod płaszczem czerwony kaszmirowy szalik. Wracając, na pustej plaży w Asnelle nabrał morskiej wody do kanistra, żeby skropić zwłoki Myrtille. W końcu po powrocie do Grandes Carrières ukradł jej torebkę i majteczki, odtwarzając gesty zabójcy Morgane Avril. Brakowało jednej jedynej rzeczy, notatnika Moleskine, notatnika, w którym Myrtille zapisywała swoje intymne myśli. Przepadł bez śladu, ani przy niej, ani w jej torebce.

Na końcu korytarza rozległ się silny głos mamy.

– Océane, idziemy?

– Już, już, mamo.

Océane zostawiła Saint-Michelowi szklany flakon.

*Współpraca – wzajemność.*

Ten zwyczajny dar uniewinnił ich wzajemnie.

Już następnego dnia rano policja odnalazła majteczki Myrtille Camus wiszące na krzaku jeżyn kilkaset metrów od Grandes Carrières, poplamione spermą gwałciciela, identyczną ze spermą odkrytą w pochwie Morgane Avril.

Ostateczny dowód, że był tylko jeden zabójca.

Seryjny zabójca, który wybierał swoje ofiary na chybił trafił.

Océane znowu westchnęła. Ciągnęła ciało Jamala jakieś sto metrów. Jeszcze trochę więcej niż dwadzieścia i wszystko zostanie zakończone. Jedynie kilka gwiazd i kwarta księżyca oświetlały pola ciągnące się w nieskończoność. Mżawka

się nasiliła. Jeszcze lepiej zatrze ślady. Nad ranem nie będzie już żadnego. Océane podniosła kaptur płaszczka, zatarła ręce w rękawiczkach i wzięła się do roboty.

Szansa dla Océane pojawiła się 6 października 2004 roku, kiedy to późnym popołudniem w jej kieszeni zadzwonił telefon komórkowy. Była wtedy sekretarzem stowarzyszenia Czerwona Nić, a mama regularnie zamieszczała ogłoszenia, żeby skłonić do zgłoszenia się potencjalnych świadków. Tych, którzy nie ośmieliliby się rozmawiać z gliniarzami.

Olivier Roy miał nieśmiały głos.

– Jestem tym, którego wszyscy poszukują – popłakiwał w telefon. – Chłopakiem w czapce adidasa, tym, który się kręcił koło Myrtille. Tym, którego policja...

Océane kazała mu zamilknąć i przede wszystkim z nikim nie rozmawiać. Chciała się z nim umówić w Formule 1 w Yvetot jeszcze tego samego wieczoru, ale się nie zgodził. Za daleko, za późno, zbyt niebezpiecznie. Udało jej się wytargować spotkanie przed południem na mokradłach koło Les Veys, kilka kilometrów od jego domu, na południe od Isigny, w opuszczonym szańcu nieopodal prowizorycznej przeprawy w Carentan z czasu drugiej wojny światowej.

– Nie zabiłem jej, proszę pani – jęczał dalej w telefon. – Wszyscy myślą, że tak, ale ja jej nie zabiłem. Kochałem ją. Miała zerwać ze swoim facetem. Pisała dla mnie wiersze. W swoim dzienniku je pisała.

– Ma pan ten dziennik?

– Tak, ale...

– Niech go pan przyniesie.

Olivier Roy, tak jak wszyscy, myślał, że Myrtille Camus padła ofiarą jakiegoś włóczęgi. Nie miał żadnego powodu, by podejrzewać swojego rywala. Długo się wahał, czy oddać się w ręce policji. Całe dni spędzał między swoim pokojem a długimi spacerami w miejscach odosobnionych. Zastanawiał się, medytował. Myślał o Myrtille. Nie miał sobie nic do wyrzucenia, w końcu łatwo mógłby udowodnić swoją niewinność. Ale z gliniarzami... Tak bardzo pragnęli zapuszkować winnego, porozwieszali w całym kantonie portret pamięciowy, który go mgliście przypominał, zakuliby mu ręce w kajdanki, zanimby zdążył się wytłumaczyć. Więc pomyślał, że skontaktuje się najpierw z członkami tego stowarzyszenia Czerwona Nić. Pewnie trzymają sztambę z adwokatami, znają jakieś elementy śledztwa, których policja nie ujawnia. Wysłuchają go, udzielą rad, powiedzą, jak się rozmówić ze stróżami porządku.

Na spotkaniu Olivier przekazał Océane wszystkie pamiątki, jakie miał po Myrtille, jej notatnik Moleskine, jej listy, wiersze. Ulżyło mu. Odwrotnie niż Océane. Jeśli Olivier Roy przemówi, podejrzewania przejdą na Frédérica Saint-Michela. Jeśli Frédéric Saint-Michel wpadnie, ona wpadnie razem z nim...

*Nie będzie nigdy żadnego chłopaka między nami.*

Océane otworzyła torbę. Było południe i słońce w zenicie nad mokradłami. Na wprost nich, na torfowisku koloru rdzy, pokawałkowanym przez przyplawy i odpływy, gnieździły się dziesiątki kaczek i biegusów. Olivierowi Roy chyba się to podobało. Wyglądał na romantyka ze skłonnością do depresji. Całkiem zagubiony. Kiedy Océane wyjęła butelkę coca-coli, kawałki zimnej pizzy i orientalne ciasteczka, zgodził się machinalnie przekazać to z nią. Pewnie wszystko było dla niego dziwnie przyprawione, pieprzne. Nic nie powiedział. Jego spojrzenie zaczęło powoli zachodzić mgłą, mięśnie sztywniały, potem, niczym czatujący pies myśliwski na gwizdek swojego pana, znieruchomiał. W ciągu następnych minut jego serce przestało bić.

Następnego dnia Saint-Michel znalazł w skrzynce na listy wiersz napisany przez swoją zmarłą narzeczoną. Océane prowadziła swoją grę.

*Współpraca – wzajemność.*

Saint-Michel był sprytny, posłużył się nim wobec komendanta Bastineta. Czysta przebiegłość. Mała Alina, myśląc stale o ostatnich dniach swojej najlepszej przyjaciółki, zadawała sobie coraz więcej pytań.

Jeszcze dwadzieścia metrów. Océane posuwała się naprzód ostrożnie, odsuwając na bok jeżyny, tak żeby się nie zaczepić. Gliniarze byli ślepi, ale byli maniakami. Zwykły kawałek materiału wiszący na kolcu mógł umożliwić zidentyfikowanie tego czy tej, co tu przyszli opróżnić pojemniki ze śmieciami.

Wraz ze zniknięciem Oliviera Roy śledztwo oklapło jak dziurawy balon. Mimo wściekłości mamy gliniarze zostawili tę sprawę. Dogłądanie płomienia powierzyli żandarmerii w Fécamp, a zwłaszcza kapitanowi Pirozowi.

Powrót do punktu wyjścia.

Mamusia uczepiła się tej hipotezy o podwójnym nieznanym. Znaleźć faceta, który był zarazem w Yport i w Isigny... Océane się nie sprzeciwiała. Przecież to mogło ustrzec mamę, żeby zupełnie nie zwariowała. Trwało to całe lata. Océane zbliżyła się w końcu do Aliny Masson, najlepszej przyjaciółki Myrtille Camus, i stopniowo zasiała w niej wątpliwości, tyle ile wystarczyło, żeby ją przygotować na dzień, kiedy trzeba będzie pozbyć się Saint-Michela, tego wirusa, konia trojańskiego na twardym dysku jej mózgu, tej zakały.

*A jeśli Myrtille nie została zabita przez włóczęgę?*

*A jeśli Myrtille знаła swojego mordercę?*

I pewnego pięknego dnia, w marcu 2013 roku, na wielkiej loterii pojawiło się wreszcie nazwisko: Jamal Salaoui. Nieszczęsny facet obecny w nieodpowiednich miejscach w nieodpowiednim czasie. Ale to wiedzieli tylko Saint-Michel i ona.

Kiedy Carmen wymyśliła swój szalony plan, tę nieprawdopodobną inscenizację mającą zdemaskować Salaouiego, Océane go zaakceptowała. Wszystko było przygotowane. To była tak wyczekiwana przez nią okazja, żeby



skończyć z Saint-Michelem. Obmyśliła mistrzowski finał na Saint-Marcouf, podsunęła go mamusi. W przeddzień uruchomienia wielkiego blefu dopracowała jeszcze kilka szczegółów. Trzeba było wyjąć cegłę z muru cytadeli na wyspie du Large i schować tam notatnik Moleskine Myrtille Camus. Wyryć trzy litery na tej cegle. M2O. W dalszym ciągu kompletować zawartość brązowych kopert, żeby Jamal Salaoui też zaczął wątpić. Żeby zrozumiał w odpowiedniej chwili... Poza tym pójść do Frédérica Saint-Michela, użyć drugiego kompletu kluczy wykradzonego podczas jednego z niekończących się zebrań Czerwonej Nici, ukryć w jego mieszkaniu torebkę Morgane, którą wciąż przechowywała, umieścić na dnie szuflady w łazience szklany flakon z resztkami starych śladów spermy Alexandre'a Da Costy. Saint-Michel nie był przecież aż takim kretynem, żeby trzymać ten dowód w domu.

Następnego dnia skoro świt rzucała się z klifu pod nosem Jamala Salaoui, skok z wysokości stu dwudziestu metrów, spowolniony jedynie kieszonkowym spadochronem. Machina ruszyła. Nikt, nawet Piroz, nie mógł jej zatrzymać. Jamal Salaoui zmagął się z tą machiną, która wcześniej czy później by go zmiażdżyła.

Ten ekonomista Axelrod pomylił się ze swoją pseudometodą rozwiązania dylematu więźnia.

*Współpraca – wzajemność – wybaczenie.*

To się zgadzało tylko w wypadku, kiedy wspólnicy spotykali się później, po wyjściu z więzienia, i znowu chcieli współpracować. Albo się mścić. Dobrą metodą było zdradzić tylko raz, w sposób definitywny.

Oddać cios za cios. Strzelić szybciej.

*Współpraca – zdrada – sankcja.*

Océane pociągnęła jeszcze trochę trupa Jamala, bliżej dziury. Według jej oceny dziura miała głębokość około trzydziestu metrów, może więcej, biorąc pod uwagę przylegające do niej kamienne chodniki, które wiły się pod wapienną skałą. Na pewno jacyś okoliczni chłopcy znali to miejsce i również przychodzili tu wyrzucać różne zawadzające przedmioty. Ale żaden nie wpadłby na pomysł, żeby tam zejść.

W najlepszym wypadku jakiś speleolog znajdzie te trzy szkielety za pięćdziesiąt lat, pośród szczątków psów, starych telewizorów i porzewiałych pralek. Albo i za sto lat, kiedy klif cofnie się wystarczająco. I nawet gdyby odkryto te ciała wtedy, a nawet jutro, to jak te trzy trupy można by powiązać z Océane? Nawet gdyby udało się zidentyfikować tych trzech zmarłych, odtworzyć datę ich zgonu i sposób, w jaki zostali zamordowani – policyjni eksperci powinni umieć to robić – nic, absolutnie nic nie łączyło ich z nią, nie pozwalałoby jej oskarżyć.

Nie przypisywała sobie żadnej zasługi poza tą dotyczącą zachowania ostrożności. Wszyscy wpadli w jej pajęczynę, nie musiała wcale ich w nią łapać.

Powtórzyła ostatni raz jak modlitwę: „Nigdy nie będzie między nami

żadnego chłopaka”. Teraz to już pewność. Wszyscy mężczyźni drogo za to zapłacili. Wszyscy mężczyźni, którzy zbliżyli się do niej, do nich, nie żyli.

Odwiązała sznurki, rozwinęła koc. Trup Jamala potoczył się z wolna po purpurowej tkaninie jak po dywanie, który by przed nim rozwijano na ostatnią ceremonię. Jego ciało zsunęło się bezszelestnie w dziurę bez dna.

Skończone.

Océane chciała wrócić czym prędzej do Neufchâtel-en-Bray, ale musiała uważać, sprawdzić, czy nie zostawiła żadnego śladu na swojej drodze, przy słabym świetle latarki, która ledwie oświetlała czubki jej stóp.

Spieszno jej było do domu.

Spieszno, by spotkać się z mamą.

Océane spojrzała na skarłowaciałe i nagie sylwetki kasztanowców w bladej poświacie, targane przez wiatr od morza.

Spieszno, by zobaczyć, jak zakwita znowu jabłoń na podwórzu zajazdu Dos-d’Ane.

**V**

**Rewizja**

*Fécamp, 13 sierpnia 2014 r.*

*Od Pana porucznika Bertranda Donnadiu, Żandarmeria Narodowa, Brygada Terytorialna Okręgu Etretat, Seine-Maritime.*

*Do Pana Gérarda Calmette, dyrektora Jednostki Żandarmerii ds. Identyfikacji Ofiar Katastrof (UGIVC), Instytut Badań Kryminalnych Żandarmerii Narodowej (IRCGN), Rosny-sous-Bois.*

Panie Dyrektorze!

W odpowiedzi na Pana list z 10 sierpnia 2014 roku dotyczący identyfikacji trzech szkieletów, Alberta, Bernarda i Clovisa, znalezionych na plaży w Yport 12 lipca 2014, oraz Pana zaniepokojenia z powodu „brakującej części puzzla”, chcę przede wszystkim Pana uspokoić. Kość piszczelowa owego Clovisa nie została zapodrziana ani przez pańskie służby, ani przez moje, ani nawet porwana przez morze po osunięciu się klifu.

Po przeczytania Pańskiego listu dokonaliśmy niezwłocznie konfrontacji z jednym z głównych bohaterów sprawy Avril–Camus, Jamalem Salaoui, młodym człowiekiem, który przez jakiś czas był podejrzewany, że może być gwałcicielem i mordercą obu dziewczyn. Łatwo Pan zrozumie powody naszej dedukcji. Jamal Salaoui był niepełnosprawny, dolną część jego lewej nogi zastępowała proteza. Ale przede wszystkim ten młody człowiek zniknął sześć miesięcy temu, kilka dni po tym, kiedy sprawa Avril–Camus została wyjaśniona. Bez żadnego wyraźnego powodu. Bez najmniejszego wytłumaczenia.

Pańskie odkrycie bezspornie wznawia sprawę. Jamal Salaoui z całą pewnością i z niewiadomego powodu został zamordowany.

Szczerze mówiąc, Panie Dyrektorze, nie mając żadnej innej poszlaki poza tym nagim szkieletem, nie byliśmy wcale usatysfakcjonowani wynikiem tego śledztwa, nawet jeśli wprowadzało ono zakłócenia co do konkluzji w sprawie Avril–Camus. Podwójny gwałciciel Frédéric Saint-Michel, zabity na wyspie Saint-Marcouf trzy dni przed zniknięciem Jamala Salaoui, z trudem mógłby zostać oskarżony o to otrucie! W ogóle nie wydaje nam się, żeby którykolwiek inny aktor tego dramatu mógł wzbudzać nasze podejrzenia. Ktokolwiek to był, osobnik, który otruił tych trzech mężczyzn, których szkielety znaleźliśmy, działał w sposób wyjątkowo skrupulatny, metodyczny i ostrożny.

Nawiązując do pańskiego listu, wszczęliśmy ponowne poszukiwania w sprawie zniknięcia Jamala Salaoui, prowadzone przedtem wspólnie przez żandarmerię z Fécamp i SRPJ z Rouen. Przesłuchaliśmy wszystkie bliskie mu osoby w La Courneuve, krewnych, kuzynów i przyjaciół, jak również innych

protagonistów sprawy Avril–Camus, członków byłego stowarzyszenia Czerwona Nić i wreszcie jego kolegów z Instytutu Terapeutycznego Saint-Antoine. Nikt nic nie wiedział. Jamal Salaoui był chłopcem raczej skrytym, introwertykiem, który cierpliwie budował swój osobisty świat, coś w rodzaju klosza, do którego nie dopuszczał wielu ludzi. Jego przełożony Jérôme Pinelli opisał nam go nawet jako człowieka skłonnego do depresji. Ale stąd do otrucia się muskaryną i rzucenia się w przepaść z klifu, żeby dotrzymać towarzystwa dwóm trupom zmarłym przed laty w takich samych okolicznościach, był jeden krok, którego moje służby nie zrobiły.

Kiedy szykowaliśmy się do opuszczenia Instytutu Saint-Antoine i umorzenia sprawy, pojawił się spontanicznie ostatni świadek. Młoda dziewczyna z tegoż Instytutu. Chciała koniecznie „porozmawiać ze stróżami porządku”, jak krzyczała na korytarzach, ale wychowawcy, przyzwyczajeni do jej awantur, zamknęli ją w pokoju na czas trwania naszej wizyty.

W końcu udało jej się wezwać nas przez okno, na trzecim piętrze, kiedy wsiadaliśmy już do samochodów. Była to piętnastoletnia dziewczynka przebywająca w Instytucie Terapeutycznym od poniedziałku do piątku, na całodobowym leczeniu przeciwłękowym. Według personelu Instytutu dziewczynka jest pobudzona psychicznie i cierpi na poważne zaburzenia seksualne związane z dzieciństwem. Klasyczny przypadek w tego typu zakładzie, jak nam powiedzieli. Podkochiwała się w Jamalu Salaoui i trzeba było kilka razy przywoływać młodego człowieka do porządku, żeby zachował odpowiedni dystans wobec niej i dał pracować profesjonalistom. Świadcstwo Ophélie Parodi, bo tak się nazywa ta nastolatka, przedstawiało się co najmniej jako niezbyt wiarygodne.

Jeden z wychowawców próbował pociągnąć dziewczynkę do tyłu, żeby odeszła od okna. Trzymała się parapetu, potem zasłony, potem złapała wychowawcę za sweter i wymierzyła mu kilka kopniaków. Histeryczka.

Położyłem temu kres, zapowiadając, że pójde posłuchać, co mała ma do powiedzenia. Szczerze mówiąc, Ophélie nie miała nam nic do powiedzenia...

Miała coś do pokazania!

Kiedy stanęła przede mną i moimi dwoma zastępcami, prawie uspokojona, oddychając za szybko, jak łania, która uciekła przed sforą, po prostu wcisnęła mi do ręki swój telefon komórkowy.

Ekran był otwarty na otrzymanej wiadomości.

Przeczytałem nazwisko nadawcy.

Imię Jamal miało po obu stronach dwa uśmiechnięte emotikony.

Zaintrygowany spojrzałem na godzinę i dzień nadania.

25 lutego 2014. Godzina 21.18.

To był ten dzień, kiedy Salaoui zniknął. Nikt go odtąd nie widział, dopiero sześć miesięcy później w postaci trupa w stanie prawie całkowitego rozkładu. Dziewczynka nie zwariowała, była ostatnia osobą, która miała kontakt z Jamalem

Salaoui.

Popatrzyłem jeszcze raz, żeby przeczytać treść wiadomości. Tekst był krótki i co najmniej ezoteryczny.

*20 na 20?*

Byłby nawet absolutnie nie do rozszyfrowania, gdyby nie towarzyszył mu obraz. Zrobiona ukradkiem fotografia, na której widać plecy i kawałek twarzy młodej kobiety ubranej w suknię koloru niebieskiego tulipana, ze ścierką w ręce, zajętą czymś w pomieszczeniu, które, jak się domyślamy, jest kuchnią.

Bardzo ładna kobieta.

Nie sposób jej nie rozpoznać, nawet na takim nieostrym zdjęciu, chociaż, Panie Dyrektorze, tożsamość tej kobiety odebrała mi mowę.

Océane Avril.

Siostra pierwszej ofiary. Przesłuchiwałem ją kilka razy w związku ze zniknięciem Jamala Salaoui, ani przez moment nie nabierając cienia podejrzeń wobec tej uroczej kobiety, inteligentnej i dumnej mimo ciężkich doświadczeń, jakich doznała.

Wie Pan teraz wszystko, Panie Dyrektorze.

Natychmiast zadzwoniłem do żandarmerii w Neufchâtel-en-Bray. W ciągu następnych minut Niezależna Brygada Terytorialna (BTA) przesłuchiwała Océane Avril w jej gabinecie położnej. Obecnie jest ona osadzona w zakładzie karnym des Vignettes w Val-de-Reuil. Pierwsze raporty psychiatrów są przytłaczające.

Tymczasem dzięki nowym pogłębionym poszukiwaniom informatykom z Instytutu Badań Kryminalistycznych (INPS) udało się wyciągnąć z laptopa Jamala Salaoui informatyczny ślad jego opowieści, którą napisał przed śmiercią w ciągu kilku dni zaraz po rzekomym rozwiązaniu sprawy Avril–Camus. Przeczytałem to i jestem zbudowany. Niech Pan przeczyta ten tekst, Panie Dyrektorze, przeplatając go naszą korespondencją, zobaczy Pan, to historia, którą każdy wydawca natychmiast by opublikował. W gruncie rzeczy mały Salaoui by na to zasługiwał.

Muszę też, Panie Dyrektorze, przekazać Panu ostatni element, chociaż nie wnosi on nic więcej do sprawy. Młoda Ophélie prawie natychmiast odpowiedziała na esemesa Jamala Salaoui. Według naszych symulacji Salaoui spożył już wtedy muskarynę i jego śmierć w ciągu najbliższych minut była nieuchronna.

Wiadomość była krótka. Stanowiła dokładną replikę wiadomości wysłanej przez Jamala Salaoui do Ophélie kilka dni wcześniej. Moja osobista opinia – jeśli mogę ją Panu przekazać – jest taka, że ta wybuchowa nastolatka, co by o niej mówili psychologowie z Instytutu Saint-Antoine, głupia nie jest, o, nie! Jej odpowiedź na zdjęcie Océane Avril i na zadane pytanie „20 na 20?” mieściła się w dwóch liniijkach.

*Zbyt piękna. Nie ufaj pozorom.*

*Wolałam rudą.*

Proszę przyjąć, Panie Dyrektorze, wyrazy najgłębszego szacunku.

Bertrand Donnadiu

Brygada Terytorialna Okręgu Etretat

**18 dni później,  
31 sierpnia 2014 roku**

Emile mechanicznym gestem otworzył wagonik 22 kolejki linowej na Aiguille du Midi i wypuścił około sześćdziesięciu chińskich turystów chwiejących się na nogach po podróży spędzonej w równowadze na drucie nad przepaścią głębokości dwóch tysięcy metrów.

Zrobił trzy kroki w jej stronę i zapalił marlboro.

Godzina 20. Normalnie to ostatnie metro. Wyjście na stacji i piwo na tarasie Choucas.

Ale nie dzisiaj.

Mała ruda przepuściła ostatnich Chińczyków, po czym podeszła do niego. Z tyłu, za nią, stał chłop wielki jak szafa, piękny jak alpejski strzelec, trochę mniej opalony, ale w takim samym śnieżnobiałym płaszczu z emblematami i galonami. Klasa. Zapewne facet z Dyrekcji Spraw Kryminalnych i Ułaskawień (DACG), pomyślał Emile.

Wyciągnął rękę do dziewczyny. W futrzanym kapturze na głowie wyglądała jak świstak.

– Pani Alina Masson?

Dziewczyna wetknęła swoją rękę gryzonia w jego rękę.

– Nie. Salinas. Mona Salinas.

Emile wzruszył ramionami. Gdyby się zjawił ktoś z ministerstwa, wcale by się nie przejął. Ochroniarz z DACG zostawił mu kilka zezwoleń z niebiesko-biało-czerwoną pieczęcią. Emile wypluł peta, potem wskazał im rozsuwane drzwi kabiny.

– No, ruszamy. Ostatnia podróż... W takim razie jadę z wami. To, o co mnie pani prosi, to zdaje się coś niespotykanego.

Kolejka się zakołysała. Dwa czarne kable wydawały się dwoma olbrzymimi zadrapaniami zniekształcającymi góry aż po ośnieżone wierzchołki na wysokości prawie trzech tysięcy metrów. Mona trzymała swój skarb na piersi. Hervé, człowiek do zadań specjalnych z Dyrekcji Spraw Kryminalnych i Ułaskawień, zachował kamienny spokój.

– To jednak szaleństwo, ten pomysł – ciągnął Emile, żeby przerwać milczenie. – Nawet wprost zakazane.

Olbrzym przemówił, intonując jak proboszcz.

– Zezwolenie przyszło bezpośrednio od pani minister. Pan wie o sprawie, co? Nie uważa pan, że to wzruszające?



Emile wbił wzrok w Mont Blanc, nie odpowiedział.

Wzruszające?

Jak te byki z ministerstwa zaczną wyciągać chusteczki...

– Zważywszy na okoliczności – wyjaśniał dalej Hervé – ministerstwo nie bardzo mogło odmówić pani Masson tego symbolicznego gestu.

– Myślałem, że ona się nazywa Salinas – mruknął w brodę motorniczy kolejki linowej.

Na północy ostatnie promienie słońca zabarwiały Vallée Blanche różowo-złotymi refleksami. Emile uruchomił swoje walkie-talkie.

– Następny przystanek na żądanie! Stacja Etoile. Wyjście na rue du Paradis prosto pod naszymi nogami.

Chwilę później kabina kolejki znieruchomiała. Mona uśmiechnęła się, patrząc w niebo. Emile przykucnął na podłodze i zaczął odkręcać klapę bezpieczeństwa.

Trzydzieści centymetrów na trzydzieści.

Cztery śruby.

Przeszło tysiąc pięćset metrów pod ich nogami.

Mona przeniosła wzrok z nieba na dolinę Chamonix.

– Którędy biegną zawodnicy? – spytała.

– Tam – odpowiedział słodkim głosem Hervé. – Za Aiguille de Bionnassay, tą białą piramidą na linii grzbietu. Będą przekraczać przełęcz du Tricot trochę niżej. Dwa razy brałem udział w North Face, pewnie dlatego powierzono mi tę misję. Zawodnicy wyruszyli trochę ponad dwie godziny temu. Pierwsi powinni dobiec do Włoch przed nocą. Następnie będą mieli jeszcze piętnaście godzin biegu, ci najszybsi.

Emile westchnął, tak jakby wysiłek uczestników biegu Ultra-Trail du Mont-Blanc był niczym w porównaniu z wysiłkiem, jaki on wkładał, żeby skończyć z tymi czterema śrubami, których nie odkręcano chyba całe wieki.

Mona zdjęła powoli pokrywę urny.

Tuż nad nią błyszczała już Wenus. Pięć marzeń...

Rozprostowała palce lewej ręki i wyrecytowała te marzenia po kolei, szeptem, ledwo poruszając wargami, jakby wypowiadała ostatnią modlitwę.

Pięć marzeń Jamala. Wszystkie by zrealizował.

*Być oplakiwanym przez kobietę, kiedy umrę*, wyszeptała w myślach Mona.

Po policzkach spływały jej łzy. Zgięła kciuk. Hervé podał jej chusteczkę, ale nie wzięła.

*Splacić dług przed śmiercią.*

Zginając palec wskazujący, Mona pomyślała o aresztowaniu Océane Avril oskarżonej o sześć morderstw, trzy trupy znalezione w klifie, ten drań Saint-Michel, kapitan Piroz, Morgane, jej bliźniaczka... Jamalowi udało się

wydobyć prawdę, tę prawdę, na której w trakcie poszukiwań tysiąc gliniarzy przez dziesięć lat połamało sobie zęby. Zamknęła oczy, jej wspomnienia pobłądziły w stronę huśtawki w pustym parku zabaw nad plażą w Yport. Tam pierwszy raz usłyszała o Ophélie. Tyle potem rozmawiały o Jamalu. Pierwszy raz w najbliższy weekend Instytut Saint-Antoine zgodził się, żeby mała spędziła z nią dwa dni w Elbeuf.

Trzy śruby potoczyły się po podłodze kabiny. Emile triumfował. Wiatr gwizdał za metalową płytą.

– Jak mi się uda wykręcić ostatnią, proszę pani, będzie trzęsło.

Mona mimo woli zadrżała.

*Kochać się z kobietą piękniejszą ode mnie.*

Zacisnęła środkowy palec. Pokazały się obrazy z tej pierwszej nocy w La Sirène. Pokój 7. Hałas kamieni przetaczanych przez fale. Ich skóra. Jej beztroska. Kochać się bez prezerwatywy.

Lodowaty podmuch wtargnął gwałtownie do kabiny. Emile trzymał w rękach żelazną płytę.

– Alina – powiedział Hervé. – Trzeba kończyć.

Jego głos nie był już tak łagodny. Bardziej stanowczy.

Mona zacisnęła palec serdeczny.

*Mieć dziecko.*

Jej dłoń dotknęła na chwilę zaokrąglonego brzucha, podczas gdy prądy powietrza na wysokości kołysały kabiną. Już sześć miesięcy od tej nocy w La Sirène.

Uklękła ostrożnie przed klapą. Hervé przytrzymał ją za ramiona, ale nie było żadnego niebezpieczeństwa. Żadne ciało, nawet drobne, nie mogło przecisnąć się przez ten otwór. Pochyliła urnę w dół, w przepaść.

\*

*Zostać pierwszym niepełnosprawnym sportowcem, który weźmie udział w Ultra-Trail du Mont-Blanc.*

Zgięła mały palec i prawą ręką wysypała prochy przez klapę.

Wiatr rozrzucił je prawie natychmiast w kierunku Mont Blanc du Tacul, Mont Maudit i Dômes du Miage, wysoko, bardzo wysoko, z szybkością i na wysokość, których nigdy nie osiągną zawodnicy Ultra-Trail, a których małe różnokolorowe kombinezony majaczyły już na szlaku turystycznym u stóp lodowca Des Bossons.

